



# LISA KLEYPAS

*Wyjdź  
za mnie*

Prószyński i S-ka

Lisa Kleypas

# Wyjdź za mnie

Rodzina Hathaway 01



\* \* \*

*Gdy niespodziewany spadek podnosi rodzinę Amelii Hathaway do rangi arystokracji, młoda dama odkrywa, że opieka nad trzema siostrami i niesfornym bratem to blahostka w porównaniu z trudnościami, jakich nastęcza jej odnalezienie się w zupełnie nowym świecie.*

*W dodatku na jej drodze staje wysoki, tajemniczy i niebezpiecznie pociągający Cam Rohan, a Amelia nie zamierza przecież wychodzić za mąż.*

*Cam, oszałamiająco zamożny zarządca najlepszego domu gry w Londynie, jest już zmęczony ograniczeniami, jakie narzuca mu życie towarzyskie, i coraz bardziej tęskni za swoimi „dzikimi” cygańskimi korzeniami.*

*Gdy urocza Amelia prosi go o pomoc, zamierza oferować jej tylko przyjaźń, nie może jednak oprzeć się obezwładniającemu pożądaniu. Czy mężczyzna, który gardzi tradycją, zgodzi się poświęcić wolność dla małżeństwa? Tej jesieni atmosfera w Londynie będzie naprawdę gorąca...*

\* \* \*

# Rozdział 1

*Londyn,  
Jesień 1848 roku*

Znalezienie jednego człowieka w mieście zamieszkiwanym przez dwa miliony osób było przedsięwzięciem niewątpliwie ambitnym. Pomagał nieco fakt, że ów zaginiony zachowywał się w sposób dosyć przewidywalny - zazwyczaj można go było znaleźć w gospodzie przy szklaneczce dżinu. Nie było to jednak łatwe.

Leo, gdzie jesteś?, zastanawiała się zdesperowana panna Amelia Hathaway, gdy koła powozu turkotały na pokrytej brukiem ulicy. Biedny, szalony, nieszczęśliwy Leo. Niektórzy ludzie, stając twarzą w twarz z niewdzięcznymi sytuacjami, po prostu się... załamywali. Tak się rzecz miała w przypadku jej niegdyś czarującego i godnego zaufania brata. Jego obecny stan ducha nie pozostawiał żadnej nadziei.

- Znajdziemy go - oznajmiła stanowczo Amelia, choć nie była tego taka pewna. Spojrzała na mężczyznę, który siedział naprzeciwko niej. Jak zwykle twarz Merripena nie wyrażała żadnych emocji.

Patrząc na niego, z łatwością można było założyć, że w ogóle ich nie odczuwa. Ten młody Cygan był tak zamknięty w sobie, że choć od piętnastu lat mieszkał z rodziną Hathawayów, nadal nie zdradził im swojego prawdziwego imienia. Zwracali się do niego „Merripen”, odkąd znaleźli go skatowanego do nieprzytomności na brzegu strumienia, który przepływał przez ich posiadłość.

Gdy Merripen się ocknął i zobaczył wokół siebie członków rodziny Hathawayów, zareagował bardzo gwałtownie. Musieli zebrać wszystkie siły, aby przytrzymać go w łóżku i wytłumaczyć mu, że jeśli nie chce, aby jego rany się otworzyły, musi leżeć nieruchomo. Ojciec Amelii był przekonany, że chłopiec ocalał z obławy na Cyganów, brutalnej rozrywki miejscowych właścicieli ziemskich, którzy uzbrojeni w broń palną i pałki atakowali konno romskie obozowiska.

- Zostawili go tu na pewną śmierć - stwierdził ponuro pan Hathaway. Jako człowiek nauki i dżentelmen o postępowych poglądach potępiał przemoc w każdym jej przejawie. - Obawiam się, że nie uda nam się skontaktować z jego bliskimi. Zapewne już dawno stąd odeszli.

- Możemy go zatrzymać, tatusiu? - zawołała niecierpliwie Poppy, młodsza siostra Amelii, biorąc dzikiego chłopca (który wyszczerzył zęby jak schwytyany rosomak) za nową interesującą zabawkę.

Pan Hathaway uśmiechnął się tylko w odpowiedzi.

- Może zostać tak długo, jak będzie chciał. Ale nie zabawi u nas dłużej niż tydzień. Cyganie, czy też Romowie, jak sami siebie nazywają, to lud koczowniczy. Nie pozostają długo w jednym miejscu. Czują się wtedy uwięzieni.

Merripen jednak został. Niepozorny, szczupły chłopak dzięki właściwej opiece i regularnym posiłkom w krótkim czasie wyrósł na mężczyznę krzepkiego i potężnie zbudowanego. Trudno było określić, kim właściwie był Merripen dla Hathawayów: członkiem rodziny czy sługą. Wykonywał różne zadania - bywał woźnicą albo człowiekiem do wszystkiego - ale zasiadał do posiłków z całą rodziną, gdy tylko wyraził taką chęć, i zajmował sypialnię w głównej części domu.

Gdy Leo zaginął, narażając się prawdopodobnie na niebezpieczeństwo, nie było wątpliwości, że Merripen pomoże go odnaleźć.

Nie wypadało, aby Amelia wyruszyła w podróż z mężczyzną pokroju Merripena, nie mając przy sobie przyzwoitki, lecz licząca sobie dwadzieścia sześć lat młoda dama była zdania, że jest już na tyle dorosła, aby się bez niej obywać.

- Zacniemy od wyeliminowania miejsc, do których Leo na pewno by się nie udał - powiedziała. - Kościoły, muzea, biblioteki, szkoły oraz przyzwoite domy można naturalnie od razu wykluczyć.

- Mimo to pozostaje nam większość miasta - mruknął Merripen.

Merripen nie darzył Londynu wielką sympatią. Jego zdaniem tak zwane cywilizowane społeczeństwo było zdecydowanie bardziej barbarzyńskie niż cokolwiek, na co można by się natknąć w naturze. Gdyby dano mu wybór pomiędzy spędzeniem godziny w zagrodzie z dzikami a godziny w salonie z londyńskim towarzystwem, bez wahania wybrałby dziki.

- Powinniśmy chyba zacząć od szynków - kontynuowała Amelia.

Merripen spojrzał na nią ponuro.

- Wiesz, ile jest szynków w Londynie?

- Nie, ale jestem przekonana, że się dowiem, zanim ta noc dobiegnie końca.

- Nie zaczniemy od szynków. Pojedziemy tam, gdzie Leo może się wpakować w największe kłopoty.

- Czyli?

- Do Jennera.

Jenner był to niesławny dom gry, do którego uczęszczali dżentelmeni, aby zachowywać się w możliwie najbardziej niedżentelmeński sposób. Został założony przez byłego boksera, Ivo Jennera, a po jego śmierci przeszedł w ręce jego zięcia, lorda St. Vincenta. Niewarta złamanego pensa reputacja St. Vincenta tylko dodawała uroku temu przybytkowi.

Członkostwo u Jennera kosztowało fortunę. Oczywiście Leo uparł się, aby je wykupić, gdy tylko trzy miesiące temu odziedziczył tytuł.

- Jeśli zamierzasz zapisać się na śmierć - oznajmiła spokojnie Amelia - możesz to uczynić w miejscu bardziej dla nas przystępnym.

- Jestem teraz wicehrabią - odparł nonszalancko. - Muszę to zrobić w odpowiednim stylu, bo inaczej co ludzie powiedzą?

- Powiedzą, że byłeś głupcem i nicponiem, i że lepiej by się stało, gdyby tytuł przypadł małpie.

Ta riposta wywołała tylko uśmiech na twarzy brata.

- Jestem przekonany, że to porównanie nie pochlebia małpiemu gatunkowi.

Narastający strach spowodował, że Amelia poczuła dreszcze. Przycisnęła osłonięte rękawiczką palce do pulsujących skroni. Nie pierwszy raz Leo znikał z domu, ale jeszcze nigdy nie zginął na tak długo.

- Nigdy nie byłem w klubie dla dżentelmenów. Będzie to dla mnie nowe doświadczenie.

- Nie wpuszczą cię do środka. Jesteś damą. A nawet gdyby cię wpuścili, ja nie pozwolę ci tam wejść.

Amelia opuściła dłoń i spojrzała na Merripena ze zdumieniem. Rzadko jej czegokolwiek zabraniał, w zasadzie był to chyba pierwszy raz. Poczuła irytację. Życie jej brata było zagrożone, nie miała więc zamiaru wyklócać się o zasady dobrego wychowania. Poza tym była naprawdę ciekawa, jak wygląda ten azyl uprzywilejowanych dżentelmenów. Skoro już była skazana na staropanieństwo, mogła chyba zakosztować odrobiny wolności, która się z tym faktem wiązała.

- Ciebie też nie wpuszczą - wytknęła swemu towarzyszowi. - Jesteś Cyganem.

- Tak się akurat składa, że zarządca klubu również.

To było niezwykle, a nawet niemal nadzwyczajne. Cyganie mieli wszak opinię złodziei i oszustów. Tymczasem oto jednemu z nich powierzono nie tylko rachunki i gotówkę, ale także rozpatrywanie sporów przy stolikach do gry. To wręcz zdumiewające.

- Musi to być niezwykle człowiek, skoro zdobył taką pozycję - powiedziała Amelia. - Dobrze więc, pozwolę ci towarzyszyć mi do Jennera. Możliwe, że twoja obecność nakłoni go do większej otwartości.

- Dziękuję - odparł szorstko Merripen.

Amelia milczała przezornie, gdy jechali zakrytym powozem przez dzielnicę największych atrakcji, teatrów i sklepów. Żle resorowany pojazd podskakiwał bez opamiętania na zatłoczonych ulicach, mijając wytworne kwartały wyznaczone przez kolumnady domów, schludnie przycięte żywopłoty i georgiańskie fasady. W miarę jak okolica stawała się coraz zamożniejsza, cegła ustępowała stiukom, zastępowanym z kolei przez kamień.

Widok West Endu był dla Amelii całkowitą nowością. Wprawdzie ich mała wioska nie leżała zbyt daleko od Londynu, ale Hathawayowie rzadko

gościli w mieście, a już na pewno nie w tej okolicy. Nawet teraz, gdy trafił im się nieoczekiwany spadek, nie na wiele było ich stać.

Spoglądając na swojego towarzysza, Amelia zastanawiała się, jak to możliwe, że Merripen sprawiał wrażenie, jak gdyby doskonale wiedział, dokąd ma jechać, skoro miasto było dla niego równie obce jak dla niej. Merripen potrafił jednak instynktownie odnaleźć drogę w każdej sytuacji.

Skęcili w King Street rozświetloną płomieniami gazowych latarni. Na ulicy panował hałas. Pełno tu było pojazdów i pieszych szukających wieczornej rozrywki. Niebo jaśniało mroczną czerwienią, która z trudem przebijała się przez opary węglowego dymu. Ostre dachy wysokich budynków łamały linię horyzontu, stercząc ponad nią niczym zęby czarownic.

Merripen skierował konie w wąską alejkę za masywną budowlą z kamienną fasadą. Jenner. Amelia poczuła, że coś ją ściska w żołądku. Nie należało przecież oczekiwać, że znajdą Leo całego i bezpiecznego w pierwszym miejscu, do którego się udali.

- Merripen? - W jej głosie dało się słyszeć napięcie. - Tak?

- Powinam cię uprzedzić, że jeśli mój brat nie zdołał jeszcze popełnić samobójstwa, ja sama go zastrzelę, gdy tylko go znajdziemy.

- Podam ci pistolet.

Amelia uśmiechnęła się i poprawiła czepek.

- Chodźmy więc. I pamiętaj, ja będę mówić.

Ulicę wypełniał nieznośny odór wielkiego miasta, woń zwierząt, nieczystości i węglowego dymu. Od dawna już nie padało, brud kumulował się na ulicach i w odpływach. Amelia zeskoczyła ze stopnia powozu prosto na piszczące szczury, które przebiegały wzdłuż ściany budynku.

Gdy Merripen oddawał lejce stajennemu, spojrzała na koniec ulicy.

Para uliczników kuliła się przy niewielkim ognisku, piekąc coś na patykach. Amelia nie chciała nawet się domyślać, skąd pochodziło to jedzenie. Jej uwagę zwróciła grupa osób, trzech mężczyzn i kobieta, których oświetlał migoczący płomień latarni. Dwaj najwyraźniej walczyli ze sobą. Byli jednak tak pijani, że ich pojedynek wyglądał jak taniec niedźwiedzi.

Suknia kobiety miała krzykliwy kolor, a stanik rozchyłał się, ukazując pulchne piersi.

Najwyraźniej bawił ją fakt, że dwaj dżentelmeni walczą o jej względy, a trzeci próbuje ich rozdzielić.

- Wystarczy, koguciki - krzyknęła nagle z cockneyow-skim akcentem. - Z chęcią przyjmę was obu, nie ma sensu się bić!

- Nie idź tam - mruknął Merripen.

Udając, że nie słyszy, Amelia przysunęła się bliżej, aby lepiej widzieć potyczkę. To nie bójka ją zaintrygowała. Nawet w ich wiosce, małym, spokojnym Primrose Place, używano pięści, aby rozwiązywać konflikty. Wszyscy mężczyźni, niezależnie od stanu, od czasu do czasu ulegali

pierwotnym instynktom. Jej uwagę zwrócił trzeci człowiek, potencjalny arbiter, który wszedł pomiędzy pijanych głupców, aby przemówić im do rozsądku.

Był ubrany jak dżentelmen, ale było jasne, że dżentelmenem nie jest. Miał czarne włosy i smagłą twarz o egzotycznych rysach. Poruszał się z gracją zwinnego kota, z łatwością unikając ciosów tamtych dwóch.

- Panowie - powiedział ugodowym tonem, zupełnie niewzruszony, że musiał zablokować ramieniem uderzenie ciężką pięścią. - Obawiam się, że musicie natychmiast z tym skończyć, w przeciwnym razie będę zobligowany do... - Przerwał i uchylił się, gdy stojący za nim mężczyzna ruszył do ataku.

Na ten widok ladacznica zarechotała.

- Uwzięli się dziś na ciebie, Rohan! - zawołała. Rohan znów rzucił się między przeciwników, podejmując kolejną próbę przerwania walki.

- Panowie, na pewno wiecie... - uchylił się przed szybkim ciosem pięścią - ...że przemoc... - zablokował prawy sierpowy - nigdy niczego nie rozwiązała.

- Idź do diabła! - krzyknął jeden z walczących, szarżując z głową wysuniętą do przodu jak obłąkany kozioł.

Rohan zrobił krok w bok i pozwolił mu staranować ścianę. Atakujący runął z jękiem na ziemię, na której już pozostał, z trudem łapiąc powietrze.

Reakcja jego przeciwnika była co najmniej niewdzięczna. Zamiast podziękować ciemnowłosemu za przerwanie bójki, tamten warknął:

- Przeklęty Rohan, po co się wtrącasz! Stukłbym go na kwaśne jabłko!

- Po czym rzucił się do walki, młóćąc powietrze pięściami jak młyn.

Rohan uchylił się przed ciosem z lewej strony i zgrabnie powalił napastnika. Stał nad rozciągniętym na brzuchu agresorem i otarł czoło rękawem.

- Macie obaj dosyć? - zapytał uprzejmym tonem. - Tak? To dobrze. Proszę pozwolić mi sobie pomóc wstać, milordzie. - Postawił mężczyznę na nogi i odwrócił się do drzwi, w których czekał już któryś z pracowników klubu. - Dawson, odeskortuj lorda Latimera do jego powozu czekającego od frontu. Ja się zajmę lordem Selwayem.

- Nie ma takiej potrzeby - oznajmił arystokrata, z trudem utrzymując się na nogach. - Sam mogę wrócić do tego cholernego powozu. - Poprawił ubranie i rzucił ciemnowłosemu mężczyźnie zaniepokojone spojrzenie. - Rohan, muszę cię o coś prosić.

- Tak, milordzie?

- Jeśli ta plotka się rozejdzie, jeśli lady Selway się dowie, że walczyłem na pięści o względy kobiety upadłej... moje życie nie będzie warte funta kłaków.

- Nigdy się nie dowie, milordzie - zapewnił go Rohan.

- Ona wie wszystko - odparł Selway. - Sprzymierzyła się z samym



diabłem. Gdyby kiedykolwiek zapytano cię o to drobne nieporozumienie...

- Powodem była wyjątkowo zażarta partia wista.

- Tak. Tak. Dobrze. - Selway poklepał ciemnowłosego mężczyznę po ramieniu. - A żeby przypieczętować naszą umowę... - Sięgnął pulchną dłonią do kieszeni kamizelki i wyjął sakiewkę.

- Nie, milordzie. - Rohan odsunął się, potrząsając stanowczo głową. Jego czarne, lśniące włosy zafalowały gwałtownie. - Moje milczenie nie ma ceny.

- Weź to.

- Nie mogę, milordzie.

- Są twoje. - Sakiewka wypełniona monetami upadła na chodnik u stóp Rohana z metalicznym brzękiem. - Proszę. Jeśli wolisz tak po prostu zostawić je na ulicy, twój wybór.

Gdy dzentelmen odszedł, Rohan spojrział na sakiewkę jak na zdechłego szczura.

- Nie chcę tego - mruknął do siebie.

- Ja je wezmę - oznajmiła ladacznica, podchodząc do niego. Podniosła sakiewkę i zważyła ją w dłoni. Uśmiechnęła się drwiąco. - Boziu, nigdy nie widziała Cygana, co się boi mamony.

- Nie boję się - odparł kwaśno Rohan. - Po prostu jej nie potrzebuję. - Westchnął i potarł ręką kark.

Kobieta zachichotała i przesunęła pełnym uznania spojrzeniem po jego szczupłej sylwetce.

- Nie lubię tak brać za nic. Może wejdziemy na chwilę w alejkę, zanim wrócę do Bradshawa?

- Doceniam propozycję, ale z niej nie skorzystam - odmówił grzecznie. Prostytutka beztrąsko wzruszyła ramionami.

- Tym lepiej dla mnie. Dobrej nocy.

Rohan skinął głową w odpowiedzi, skupiony na kontemplowaniu miejsca, w którym jeszcze przed chwilą leżała sakiewka. Trwał tak w bezruchu, jak gdyby się przysłuchując jakimś dźwiękom. Znow podniósł dłoń do karku i potarł go, jakby próbował złagodzić nieprzyjemne mrowienie.

Odwrócił się powoli i spojrział prosto na Amelię.

Gdy ich spojrzenia się spotkały, przeszedł ją dreszcz. Stali w odległości kilkunastu kroków od siebie, ale natychmiast poczuła siłę jego wzroku. Na jego twarzy nie było nawet cienia uprzejmości czy dobroci. Sprawiał wrażenie bezlitosnego i twardego, jakby już dawno temu się przekonał, że świat to brutalne miejsce, i postanowił zaakceptować go na własnych warunkach.

Amelia doskonale wiedziała, co widział, gdy jego oczy sunęły po jej sylwetce: przeciętną kobietę w praktycznej sukni i butach. Miała jasną skórę, ciemne włosy i zaróżowione, pełne policzki Hathawayów. Była średniego wzrostu, a jej zmysłowo zaokrąglona sylwetka rzucała wyzwanie modzie, która

preferowała damy wiotkie jak trzciny, blade i wątłe.

Nie była próżna, ale wiedziała, że choć wiele brakuje jej do ideału piękności, jest na tyle atrakcyjna, aby złapać męża.

Jednak już raz zaryzykowała i oddała komuś serce, a konsekwencje okazały się druzgoczące. Nie pragnęła próbować po raz wtóry. Bóg jeden wiedział, jak bardzo była zajęta zajmowaniem się gromadką rodzeństwa.

Rohan odwrócił wzrok i cofnął się bez słowa, aby wrócić do klubu tylnym wejściem. Szedł wolno, jakby dając sobie czas na przemyślenie czegoś. Jego ruchy pełne były niewymuszonej swobody.

Amelia zrównała się z nim na progę.

- Proszę pana... Panie Rohan... Zakładam, że jest pan zarządcą tego klubu.

Zatrzymał się i odwrócił. Stali tak blisko siebie, że Amelia poczuła zapach męskiego potu i ciepłej skóry. Rozpięty surdut uszyty z najlepszego szarego brokatu rozchyłał się na piersiach, ukazując białą koszulę z cienkiego płótna. Gdy Rohan podniósł rękę do guzików, zauważyła na jego palcach mnóstwo złotych pierścionków. Przeszył ją nerwowy dreszcz, który wywołał falę obcego jej ciepła. Nagle gorset zaczął ją uwierać, tak samo jak wysoki kołnierzyk.

Rumieniąc się, spojrzała mężczyźnie prosto w oczy. Był młody, na pewno nie skończył jeszcze trzydziestu lat, urodą przypominał egzotycznego anioła. Miał twarz stworzoną do grzechu... wydatne usta, mocną szczękę, orzechowozłote oczy ocienione długimi, prostymi rzęsami. Jego włosy domagały się strzyżenia, opadając ciężkimi, czarnymi lokami na tył kołnierzyka. Amelia zauważyła błysk diamentów w uchu Rohana i poczuła, jak coś ściska ją w gardle.

Mężczyzna uklonił się przed nią z kurtuazją.

- Do usług, panno...

- Hathaway - odparła zwięźle. Odwróciła się, aby wskazać swego towarzysza, który stanął u jej lewego boku. - A to mój towarzysz, Merripen.

Rohan spojrzał na niego bacznie.

- W romani oznacza to zarówno „życie” jak i „śmierć”. A więc takie było znaczenie tego nazwiska? Amelia ze zdumieniem popatrzyła na swojego opiekuna. Merripen wzruszył lekko ramionami, dając jej do zrozumienia, że to nieistotne. Odwróciła się z powrotem do Rohana.

- Przepraszam, chcielibyśmy zadać panu kilka pytań...

- Nie lubię pytań.

- Szukam brata, lorda Ramsaya - kontynuowała z uporem - i ogromnie potrzebuję informacji, które może pan posiadać, na temat miejsca jego pobytu.

- Nie powiedziałbym pani, nawet gdybym wiedział. - Jego akcent był subtelną mieszaniną obcości i cockneya, z nutką wymowy klasy wyższej. Był to głos człowieka, który obracał się w niezwykłym zbiorowisku ludzkim.

- Zapewniam pana, że nie naraziłabym siebie ani nikogo innego na żadne nieprzyjemności, gdyby nie była to absolutna konieczność. Mój brat nie wraca do domu już od trzech dni...

- To nie moje zmartwienie. - Rohan odwrócił się do drzwi.

- Ma ciągoty do złego towarzystwa...

- Co za pech.

- Może już być martwy.

- Nie mogę pani pomóc. Życzę powodzenia w dalszych poszukiwaniach. - Pchnął drzwi i wszedł do klubu.

Zatrzymał się, gdy Merripen przemówił do niego w romani.

Odkąd zjawił się u Hathawayów, tylko kilka razy nadarzyła się okazja, aby Amelia mogła usłyszeć, jak posługuje się tym tajemniczym językiem znanym tylko Cyganom, czy też jak mówili o sobie, Romom. Brzmiał pogańsko, najeżony spółgłoskami i przeciąganymi samogłoskami, ale była w nim też jakaś prymitywna melodia.

Rohan spojrział na Merripena z uwagą, opierając się ramieniem o futrynę.

- Stary język - powiedział. - Całe lata minęły, odkąd go słyszałem. Kto jest starszym twojego taboru?

- Ja nie mam taboru.

Minęła długa chwila. Rohan wpatrywał się uparcie w nieprzeniknioną twarz Merripena, aż w końcu zmrużył orzechowe oczy.

- Chodźcie. Może się czegoś dowiem.

Bez zbędnych formalności zostali wprowadzeni do klubu. Rohan nakazał jednemu ze służących, aby zaprowadził ich do prywatnego saloniku na piętrze. Amelia usłyszała dobiegający z oddali szmer rozmów i muzyki oraz odgłosy kroków. Było to gwarne, męskie zgromadzenie niedostępne dla kogoś takiego jak ona.

Młody człowiek z akcentem ze wschodniego Londynu, mający doskonale maniery, zaprowadził ich do eleganckiego salonu i poprosił, aby poczekali tam na Rohana. Merripen podszedł do okna wychodzącego na King Street.

Amelia zdumiała się na widok otaczającego ją dyskretnego luksusu: kremowo-błękitny dywan wydawał się ręcznie tkany, ściany wyłożono drewnianymi panelami, a meble były obite aksamitem.

- Całkiem gustowne - stwierdziła, zdejmując czepek i odkładając go na niski mahoniowy stolik. - Spodziewałam się czegoś bardziej... cóż, tandetnego.

- Jenner stoi o klasę wyżej od innych przybytków tego typu. Uchodzi za klub dla dżentelmenów, ale w rzeczywistości to największa jaskinia hazardu w Londynie.

Amelia podeszła do biblioteczki i z uwagą zaczęła studiować grzbiety

książek.

- Dlaczego, twoim zdaniem, pan Rohan odmówił przyjęcia pieniędzy od lorda Selwaya?

Merripen rzucił jej ironiczne spojrzenie.

- Wiesz przecież, co my, Romowie myślimy o dobrach materialnych.

- Tak, wiem, że twój lud nie lubi się nimi obarczać. Ale z tego, co wiem, Cyganie rzadko odmawiają kilku szylingów w zamian za swoje usługi.

- To coś więcej niż niechęć do obciążeń. Dla chała taka sytuacja...

- Co to jest cha/?

- Tak się określa syna Romów. Dla chała te eleganckie ubrania, pozostawanie pod jednym dachem przez tak długi czas, czerpanie takich korzyści finansowych to... wstyd. Hańba. To gwałt na jego naturze.

Był tak surowy i pewny siebie, że Amelia musiała nieco mu dokuczyć.

- A jaka jest twoja wymówka, Merripen? Pozostajesz pod dachem Hathawayów już bardzo, bardzo długo...

- To co innego. Przede wszystkim, nie czerpię z tego żadnych profitów. Amelia wybuchnęła śmiechem.

- A poza tym... - Głos jej towarzysza złągodniał. - Zawdzięczam wam życie.

Patrząc na jego stanowczą twarz, Amelia poczuła przypływ emocji.

- Psujesz mi zabawę - odrzekła miękko. - Ja próbuję z ciebie kpić, a ty niszczysz tę chwilę szczerością. Wiesz, że nie masz obowiązku z nami zostać, drogi przyjacielu. Spłaciłeś swój dług już po tysiąckroć.

Merripen gwałtownie pokręcił głową.

- Równie dobrze mógłbym zostawić gniazdo piskląt na pastwę lisa.

- Nie jesteśmy aż tak bezbronni - zaprotestowała. - Doskonale potrafię zatroszczyć się o rodzinę... Tak jak Leo. Kiedy jest trzeźwy.

- Czyli nigdy? - Jego obojętny ton przydał temu pytaniu jeszcze większy ładunek sarkazmu.

Otworzyła usta, aby zaprotestować, ale zaraz je zamknęła. Merripen miał rację - przez ostatnich sześć miesięcy Leo właściwie nie trzeźwiał. Przyłożyła rękę do serca, bo skumulowane troski ciążyły jej jak worek ołowiu. Biedny, nieszczęsny Leo. Przerazało ją, że nic nie może dla niego zrobić. Nie można ocalić człowieka, który nie chce być ocalony.

Co jednak nie oznacza, że ona przestanie próbować.

Amelia zaczęła spacerować po pokoju, zbyt poruszona, aby siedzieć i spokojnie czekać. Gdzieś tam był Leo i potrzebował pomocy. Nie wiadomo, jak długo Rohan będzie ich tu jeszcze trzymał.

- Rozejrzę się nieco - oznajmiła, podchodząc do drzwi. - Nie odejdę daleko. Zostań tu, Merripen, na wypadek gdyby pan Rohan wrócił.

Usłyszała, jak Merripen mruknął coś pod nosem. Ruszył za nią, ignorując prośbę.

- Tak nie wypada - powiedział.

Amelia nie zamierzała go słuchać. Nie przejmowała się, czy to, co robi, jest stosowne.

- To moja jedyna szansa, aby zobaczyć od środka takie miejsce. Nie zamierzam jej przegapić.

Podążając za dźwiękiem głosów, odważyła się podejść do galerii, która biegła wokół ogromnej, wspaniałej sali.

Tłum dżentelmenów w eleganckich strojach cisnął się przy trzech wielkich stołach, obserwując grę, podczas gdy krupierzy grabkami zbierali kości i pieniądze. Zewsząd rozbrzmiewały głośnie rozmowy i okrzyki, powietrze dosłownie drgało od emocji. Lokaje niespiesznie przechadzali się po sali, roznosząc na tacach wino i przekąski oraz świeże karty i żetony.

Częściowo zasłonięta kolumną Amelia chciwie lustrowała wzrokiem ten widok. Jej oczy zatrzymały się nagle na panu Rohanie, który teraz miał na sobie czarny surdut i fular. Chociaż był ubrany podobnie jak inni mężczyźni w sali, wyróżniał się wśród nich niczym lis pomiędzy gołębiami.

Siedział pochylony nad masywnym mahoniowym biurkiem w rogu sali, skąd najwyraźniej zarządzano rozgrywkami. Chyba wydawał polecenia jednemu z pracowników. Gestykulował oszczędnie, ale w jego ruchach widać było szczególną swobodną pewność siebie, która przyciągała spojrzenia.

Nagle... nie wiadomo jak... musiał chyba poczuć na sobie spojrzenie Amelii. Wyciągnął dłoń i potarł kark, a potem popatrzył wprost na nią. Tak jak w tamtej uliczce. Amelia poczuła nagle obezwładniającą słabość, która zaatakowała jej nogi i ręce, stopy, a nawet kolana. Na jej twarz wypłynął ognisty rumieniec. Zamarła w poczuciu winy i zaskoczenia, czerwona jak dziecko, aż w końcu doszła do siebie na tyle, aby skryć się z powrotem za kolumną.

- Co się stało? - Usłyszała głos Merripena.

- Pan Rohan chyba mnie zauważył. - Zaśmiała się, ale głos jej drżał. - O Boże. Mam nadzieję, że go nie rozgniewałam. Lepiej wróćmy do salonu.

Po raz ostatni ośmieliła się wychylić z ukrycia i znów omiotła wzrokiem salę, ale Rohana już nigdzie nie było.

## Rozdział 2

Cam wstał od biurka i wyszedł z sali. Jak zwykle po drodze musiał się zatrzymać raz czy dwa... Jeden z jego ludzi szepnął mu do ucha, że lord taki-to-a-taki życzy sobie zwiększenia limitu kredytowego. Lokaj pytał, czy ma już przygotować stół z przekąskami w jednym z pokoiów karcianych. Cam odpowiadał na ich pytania, nie zastanawiając się, co mówi, bo w jego myślach niepodzielnie panowała kobieta czekająca na niego na górze.

Zwyczajny wieczór w klubie nagle przybrał dość nieoczekiwany obrót.

Od dawna już żadna kobieta nie wzbudziła w nim takiego zainteresowania jak Amelia Hathaway. Gdy tylko ujrzał ją w alejce - jej zarumienione, pełne policzki, zmysłową figurę, ukrytą pod skromną suknią - natychmiast jej zapragnął. Nie miał pojęcia dlaczego, skoro była ucieleśnieniem tego wszystkiego, co go tak irytowało w Angielkach.

Na pierwszy rzut oka widać było, że panna Hathaway ma w sobie niezachwianą pewność, iż jest zdolna wszystko organizować i zarządzać wszystkimi wokół. Na widok takich kobiet Cam zazwyczaj umykał w przeciwnym kierunku. Gdy jednak spojrział w jej śliczne błękitne oczy i zobaczył małą, pełną determinacji zmarszczkę pomiędzy brwiami, poczuł grzeszną chęć, by pochwycić tę istotę w ramiona, porwać ją gdzieś i zrobić coś niecywilizowanego. Nawet wręcz barbarzyńskiego.

Rzecz jasna, w jego przypadku niecywilizowane chęci czały się tuż pod maską dobrego wychowania, czekając tylko na właściwy moment, aby się uwolnić. A w ciągu ostatniego roku Cam miał coraz więcej trudności z powściągnięciem owych odruchów. Stał się wyjątkowo impulsywny, niecierpliwy i łatwo go było sprowokować. Rozrywki, które kiedyś sprawiały mu przyjemność, przestały go satysfakcjonować. A najgorsze było to, że swoje seksualne potrzeby zaspokajał z takim samym brakiem entuzjazmu, z jakim ostatnio żył.

Znalezienie odpowiedniego damskiego towarzystwa nigdy nie było problemem - Cam osiągał spełnienie w ramionach wielu chętnych kobiet i odpłacał im za ich względy tak długo, aż jęczały z rozkoszy. Nie było w tym jednak emocji. Żadnego podniecenia, ognia, nic poza świadomością, że zadbał o podstawowe potrzeby swojego organizmu, takie jak sen czy jedzenie. A to wzbudzało w nim taki niepokój, że w końcu zdecydował się porozmawiać na ten temat ze swoim chlebodawcą, lordem St. Vincentem.

Niegdyś kobieciarz, dziś wyjątkowo oddany mąż, St. Vincent z pewnością wiedział o tych sprawach więcej niż jakikolwiek inny mężczyzna. Gdy Cam zapytał go ponuro, czy fakt, że ma coraz mniejsze potrzeby

fizyczne, należy wiązać ze zbliżającymi się trzydziestymi urodzinami, wicehrabia zakrzuszył się zawartością swego kieliszka.

- Dobry Boże, nie! - odparł, kaszląc lekko, gdy haust brandy palił mu przelyk. Był wczesny ranek, a oni przeglądali księgi rachunkowe w gabinecie zarządcy klubu.

St. Vincent był przystojnym dżentelmenem o włosach koloru pszenicy i bładoniebieskich oczach. Mówiono, że miał rysy i sylwetkę najdoskonalszego mężczyzny, jaki kiedykolwiek chodził po świecie. Wygląd anioła, dusza łajdaka.

- Jeśli mogę spytać, jakie kobiety goszczą w twoim łóżku?

- Co pan ma na myśli, milordzie? - zapytał Cam z rezerwą.

- Piękne czy nieładne?

- Chyba piękne.

- I na tym polega problem - odparł St. Vincent tonem, którym komunikuje się rzeczy oczywiste. - Nieładne dostarczają znacznie więcej przyjemności. Wdzięczność to najsilniejszy afrodyzjak.

- Pan jednak poślubił kobietę piękną. St. Vincent uśmiechnął się leniwie.

- Żony to zupełnie odmienna kategoria. Wymagają ogromnych nakładów, ale wysiłki zawsze zostają wynagrodzone. Zdecydowanie polecam żony. Zwłaszcza własne.

Cam spojrział na swojego chlebodawcę z irytacją, przypominając sobie, że poważne rozmowy z wicehrabią często utrudniało szczególne upodobanie tegoż do słownych kalamburów.

- Jeśli dobrze rozumiem, milordzie - zapytał szorstko - pańską receptą na brak pożądania jest uwodzenie nieatrakcyjnych kobiet?

St. Vincent podniósł srebrną obsadkę, a następnie zręcznie dopasował stalówkę i precyzyjnie zanurzył pióro w kałamarzu.

- Rohan, robię, co w mojej mocy, aby zrozumieć twój problem. Jednak brak pożądania to coś, czego nigdy nie doświadczyłem. Musiałbym leżeć na łożu śmierci, żeby przestać pragnąć... Nie, to nieprawda, w nieodległej przeszłości byłem na łożu śmierci i nawet wtedy miałem grzeszne myśli o swojej żonie.

- Moje gratulacje - mruknął Cam, porzucając nadzieję, że zdoła uzyskać od niego jakąkolwiek szczerą odpowiedź. - Wróćmy do ksiąg. Są ważniejsze kwestie do roztrząsania niż fizyczne rozkosze.

St. Vincent wykreślił liczbę i odłożył pióro.

- Nie, nalegam jednak na rozmowę o fizycznych rozkoszach. To znacznie zabawniejsze niż praca. - Pozornie rozleniwiony opadł na fotel. - Rohan, wprawdzie zachowujesz dyskrecję, ale trudno nie zauważyć, jak gorliwie poszukiwanym jesteś towarzyszem. Najwyraźniej dla londyńskich dam stanowisz pokusę nie do odparcia. I wygląda na to, że korzystasz w pełni

z tego, co ci się oferuje.

Cam spojrział na niego obojętnie.

- Pan wybaczy, milordzie, ale czy ten wywód do czegoś prowadzi?

St. Vincent rozsiadł się wygodnie, splótł palce i popatrzył na Cama.

- Nie miałeś podobnych problemów w przeszłości, mogę więc tylko założyć, że, jak to często bywa z apetytem, twój został już zaspokojony z nawiązką, powodując przesyt spowodowany monotonią doznań. Pomóc może tylko jakaś nowość.

Rozważając to stwierdzenie, któremu nie można było odmówić sensu, Cam zastanawiał się, czy ten dawny hulaka odczuwa kiedykolwiek pokusę, aby zbłądzić.

Cam znał jego żonę Evie od dziecka, kiedy to od czasu do czasu odwiedzała w klubie owdowiałego ojca, i żywił wobec niej opiekuńcze uczucia podobne do tych, które mógłby odczuwać wobec młodszej siostry. Nikt nigdy nie połączyłby w myślach łagodnej Evie z tym cynikiem. I nikt nie był chyba bardziej zaskoczony niż sam St. Vincent, kiedy ich małżeństwo z rozsądku stało się związkim opartym na namiętności i prawdziwej miłości.

- A życie małżeńskie? - zapytał Cam łagodnie. - Czy ono także prowadzi do przesytu monotonią?

Wyraz twarzy St. Vincenta zmienił się nagle - na myśl o żonie w jego przejrzystych niebieskich oczach błysnęło ciepło.

- Na podstawie własnych doświadczeń stwierdzam, że nigdy nie ma się dość odpowiedniej kobiety. Z rozkoszą powitałbym taki przesyt, ale wątpię, aby było to możliwe w życiu doczesnym. - Zdecydowanym ruchem zamknął księgi i wstał. - Jeśli mi wybaczysz, Rohan, życzę ci udanego wieczoru.

- A księgi?

- Pozostawiam je w twoich niezwykle kompetentnych rękach.

Gdy Cam jęknął, St. Vincent tylko niewinnie wzruszył ramionami.

- Rohan, jeden z nas jest mężczyzną nieżonatym, o wybitnych matematycznych uzdolnieniach i bez planów na wieczór. Drugi zaś jest nawróconym lubieżnikiem w miłosnym nastroju, a w domu czeka na niego chętna młoda żona. Kto, twoim zdaniem, powinien więc zająć się tymi piekielnymi rachunkami? - Żegnając się nonszalancko, St. Vincent opuścił biuro.

Nowość - tak brzmiała jego rada. Cóż, to słowo zdecydowanie znajdowało odniesienie do panny Hathaway. Dotychczas Cam preferował kobiety doświadczone, które traktowały romans jak grę i doskonale wiedziały, że nie należy mieszać przyjemności z uczuciami. Nigdy nie podejmował się roli uwodziciela niewinnych. W zasadzie perspektywa pozbawienia damy dziewictwa była raczej odstręczająca. Dla niej nic, tylko ból, a potem przerażające konsekwencje w postaci łez i żalu. Wzdrygnął się na samą myśl. Nie, nie będzie gonił za nowością w postaci panny Hathaway.



Podjąwszy tę decyzję, Cam wszedł do salonu gdzie czekała kobieta i ciemnolicy chal. Merripen było to dosyć powszechne nazwisko wśród jego plemienia. Ten człowiek jednak zachowywał się w sposób niezwykle. Wyglądało na to, że jest sługą kobiety - dziwaczna i wstrętna sytuacja dla kochającego wolność Roma.

Mieli więc ze sobą coś wspólnego. Obaj pracowali dla gadziów, zamiast włóczyć się po ziemi, swobodni, jak Bóg przykazał.

Romowie nie pasowali do miejsc, w których ograniczały ich ściany. Nie żyli w pudełkach pokoiów i domów, odcięci od nieba i wiatru, słońca i gwiazd. Nie oddychali dusznym powietrzem przesyconym zapachami z kuchni i pastą do podłóg. Po raz pierwszy od lat Cam poczuł nagłą panikę. Opanował ją jednak i skupił się na swoim zadaniu - pozbyć się tej osobliwej pary z salonu.

Szarpnął kołnierzyk, aby go nieco rozluźnić, pchnął uchylone drzwi i wszedł do pokoju.

Panna Hathaway stała niedaleko progu, czekając na niego ze źle skrywaną niecierpliwością, a Merripen nadal krył się w kącie. Gdy Cam do niej podszedł i spojrzał w jej twarz, fala paniki zamieniła się w intrygujący przyływ ciepła. Pod niebieskimi oczami kobiety rysowały się blade, lawendowe cienie. Jej miękkie wargi zacisnęły się w wąską kreskę. Ciemne, lśniące włosy zaczesane były do tyłu i upięte ciasno spinkami.

Ściągnięte surowo włosy i skromna suknia pod szyję narzucały obraz kobiety pełnej zahamowań. Typowa stara panna. Nic jednak nie mogło ukryć bijącej od niej silnej woli. Była... smakowita. Chciał ją rozpakować jak podarek, na który czekał zbyt długo. Pragnął jej bezwolnej i nagiej pod sobą, tych delikatnych warg, nabrzmiiałych od jego namiętych, głębokich pocałunków, jej jasnej skóry rozpalonej namiętnością. Zdumiony wrażeniem, jakie na nim wywarła, Cam zmusił się do zachowania obojętnej miny.

- I cóż? - zażądała sprawozdania Amelia, zupełnie nieświadoma, dokąd powędrowały myśli Rohana. Gdyby wiedziała, na pewno wybiegłaby z krzykiem z pokoju. - Dowiedział się pan czegoś na temat miejsca pobytu mojego brata?

- Owszem. -I?

- Lord Ramsay odwiedził nas wczesnym wieczorem, przegrał trochę pieniędzy przy stolikach...

- Dzięki Bogu, żyje! - zawołała Amelia.

- ...i najwyraźniej postanowił pocieszyć się wizytą w pobliskim przybytku rozkoszy.

- O Boże! - Amelia rzuciła pełne rozpaczony spójrzeń swemu towarzyszkowi. - Przysięgam, Merripen, Leo zginie dzisiaj z mojej ręki. - Spojrzała na Cama. - Ile przegrał?

- Około pięciuset funtów.

Śliczne niebieskie oczy pociemniały z gniewu.

- Będzie umierał bardzo powoli. Co to za przybytek?

- Bradshaw.

Amelia sięgnęła po czepek.

- Chodźmy, Merripen. Musimy go stamtąd zabrać.

- Nie! - padło jednocześnie z ust obu mężczyzn.

- Chcę się osobiście przekonać, czy nic mu nie jest - oznajmiła Amelia spokojnie.

- Wątpię.

Amelia rzuciła Merripenowi lodowate spojrzenie.

- Nie wrócę do domu bez Leo.

Na poły rozbawiony i zaniepokojony jej stanowczością, Cam zwrócił się do Merripena:

- Czy mam do czynienia z uporem, głupotą czy może połączeniem obu tych cech?

Amelia udzieliła mu odpowiedzi, zanim Merripen zdołał otworzyć usta.

- Z uporem z mojej strony. Głupota pozostaje nieodłącznym atrybutem mojego brata. - Poprawiła czepek i zawiązała wstążki pod brodą.

Wiśniowe wstążki, zauważył zdumiony Cam. Ten fry-wolny czerwony akcent był jedyną osobliwością jej stonowanego ubioru. Ta kobieta z każdą chwilą fascynowała go coraz bardziej.

- Nie wejdzie tam pani. Niezależnie od względów bezpieczeństwa i moralności, nawet nie wie pani, gdzie to, do diabła, jest.

Amelia nawet się nie skrzywiła, słysząc przekleństwo.

- Zakładam, że spora część gości krąży pomiędzy pana klubem a tym miejscem. Powiedział pan, że to niedaleko, co oznacza, że muszę tylko podążyć za falą dżentelmenów spieszących w tamtym kierunku. Do widzenia, panie Rohan. Naprawdę doceniam pańską pomoc.

Cam zastąpił jej drogę.

- Tylko zrobi pani z siebie pośmiewisko, panno Hathaway. Nie przejdzie pani nawet przez frontowe drzwi. Do takiego domu nie wpuszcza się obcych z ulicy.

- To, jak wydobanę stamtąd brata, to już nie pańskie zmartwienie, panie Rohan.

Miała rację. To nie było jego zmartwienie. Ale Cam od dawna tak dobrze się nie bawił. Żadne zmysłowe rozkosze czy utalentowane kurtyzany, a nawet pokój pełen nagich kobiet nie fascynowałyby go w połowie tak bardzo, jak panna Amelia Hathaway i jej czerwone wstążki.

- Jadę z wami - oświadczył. Zmarszczyła brwi.

- Nie, dziękuję.

- Nalegam.

- Nie potrzebuję już pańskich usług, panie Rohan. Camowi przyszła do

głowy całą masę usług, których wyraźnie potrzebowała i które z przyjemnością sam by jej ofiarował.

- Najwyraźniej będzie z pożytkiem dla wszystkich, jeśli wydostaniecie stamtąd Ramsaya i opuścicie Londyn najszybciej, jak to możliwe. Od teraz uważam przyspieszenie waszego odjazdu za swój obywatelski obowiązek.

## Rozdział 3

Mogli udać się tam na piechotę, ale zamiast tego pojechali wiekowym powozem. Zatrzymali się przed nieładnym budynkiem w stylu georgiańskim. Amelii, której takie miejsca kojarzyły się z krzykliwą ekstrawagancją, fasada przybytku wydała się zaskakująco dyskretna.

- Proszę zostać w powozie - powiedział Rohan. - Wejść do środka i wypytam kogoś o Ramsaya. - Spojrzał surowo na Merripena. - Nie zostawiaj panny Hathaway bez opieki nawet na sekundę. Niebezpiecznie tu o tej porze.

- Jest ledwie wczesny wieczór - zaprotestowała Amelia. - Znajdujemy się na West Endzie, otoczeni tłumem elegancko ubranych dżentelmenów. Czyż może to być niebezpieczne?

- Widywałem tych elegancko ubranych dżentelmenów, jak robili takie rzeczy, że wystarczyłby sam opis, aby pani zemdląła.

- Nigdy nie mdleję - oświadczyła zapalczywie Amelia.

Cam pozwolił sobie na uśmiech, którego nie mogła dostrzec w ciemnym wnętrzu powozu. Wysiadł i rozpląnął się w mroku, jakby był jego częścią, wtopił się w nią cały, w zmierzchu błysnęły tylko jego hebanowe włosy i diamentowy kolczyk.

Amelia przypatrywała mu się ze zdumieniem. Do jakiej kategorii zaliczał się ten człowiek? Nie był dżentelmenem ani lordem, ale nie był też zwykłym sługą ani nawet w pełni Cyganem. Poczula dreszcz, gdy przypomniała sobie chwilę, w której pomógł jej wsiąść do powozu. Miała na dłoniach rękawiczki, ale on ich nie nosił i poczuła ciepło i siłę jego palców. A na kciuku Rohana zauważyła błysk grubej złotej obrączki. Nigdy przedtem takiej nie widziała.

- Merripen, co oznacza obrączka na kciuku mężczyzny? Czy to jakiś cygański zwyczaj?

Jej towarzysz, najwyraźniej zaskoczony pytaniem, wyjrzał przez okno w wilgotną noc. Obok powozu przeszła roześmiana grupa młodych mężczyzn w eleganckich płaszczach i wysokich kapeluszach. Dwaj przystanęli, aby porozmawiać z krzykliwie odzianą kobietą.

Marszcząc brwi, Merripen odpowiedział na pytanie Amelii:

- To oznaka niezależności i swobodnych myśli. I oddzielenia. Nosząc ją, przypomina sobie, że nie należy do miejsca, w którym się znajduje.

- Dlaczego pan Rohan miałby chcieć o tym pamiętać?

- Bo ścieżka, którą kroczą twoi pobratymcy, jest kusząca - odparł ponuro Merripen. - Trudno jej się oprzeć.

- A dlaczego musicie jej się opierać? Nie rozumiem, co jest takiego

strasznego w mieszkaniu w przyzwoitym domu, zapewnieniu sobie stałych dochodów i cieszeniu się ładnymi rzeczami takimi jak wytworna porcelana czy wyściełane krzesła.

- Gadziowie - wymamrotał z rezygnacją. Amelia się uśmiechnęła. Wiedziała, że to słowo oznacza wszystkich, którzy nie są Romami.

Oparła się o wytarte wyściełane siedzenie.

- Nigdy nie przypuszczałam, że kiedyś będę tak rozpaczliwie poszukiwała brata w podobnym przybytku. Ale jeśli mam wybierać pomiędzy domem złej sławy a wyławianiem Leo z Tamizy... - Urwała i zakryła usta zaciśniętą pięścią.

- Przecież nie umarł. - Głos Merripena był ciepły i łagodny.

Amelia z całych sił starała się mu uwierzyć.

- Musimy wywieźć Leo z Londynu. Na wsi będzie bezpieczniejszy, prawda?

Merripen wzruszył ramionami; jego oczy pozostały bez wyrazu.

- Będzie miał mniej pokus - kontynuowała Amelia. - I przestanie pakować się w kłopoty.

- Człowiek, który szuka kłopotów, znajdzie je wszędzie.

Po kilku minutach nieznośnie dłużącego się oczekiwania Rohan podszedł do powozu i uchylił drzwi.

- Gdzie on jest? - zapytała Amelia, gdy wspiał się do środka.

- Nie tutaj. Lord Ramsay udał się na górę z jedną z dziewcząt i... cóż, dopełnił transakcji... a potem opuścił to miejsce.

- Dokąd się udał? Pytał pan?

- Powiedział, że idzie do tawerny Piekielko i Wiaderko.

- Urocze. Zna pan drogę?

Rohan usadowił się obok niej i spojrzał na Merripena.

- Jedź St. James na wschód, a potem skręć w lewo na trzecim skrzyżowaniu.

Merripen szarpnął lejcami i powóz potoczył się ulicą. Minęli trzy stojące na trotuarze ladacznice.

Amelia przyglądała się kobietom z nieskrywanym zainteresowaniem.

- Niektóre z nich są takie młode... Gdyby tylko jakaś instytucja pomogła im znaleźć godne zatrudnienie.

- Tak zwane godne zatrudnienie może się okazać równie złe - odparł Rohan.

Spojrzała na niego z oburzeniem.

- Uważa pan, że kobiecie lepiej jest, gdy para się takim procederem, niż kiedy ma uczciwą pracę, która pozwoliłaby jej żyć uczciwie?

- Tego nie powiedziałem. Ale niektórzy chlebobdawcy są znacznie bardziej brutalni niż sutenerzy i rajfurki. Służba musi znosić najprzeróżniejsze formy przemocy od swoich panów, zwłaszcza kobiety. A jeśli sądzi pani, że

godnie pracuje się w fabryce, to najwyraźniej nigdy nie widziała pani dziewczyny, która straciła palce, przycinając słomę na miotły. Czy też innej, która ma płuca tak wypełnione kurzem i kłaczkami z greplarek, że nie dożyje trzydziestych urodzin.

Amelia już otworzyła usta, aby mu odpowiedzieć, ale je zamknęła. Nieważne, jak bardzo pragnęła kontynuować tę dyskusję, dama, nawet jeśli jest starą panną, nie powinna rozmawiać o takich sprawach.

Przybrała minę chłodnej obojętności i odwróciła się do okna. Nie poświęciła Rohanowi już ani jednego spojrzenia, choć czuła, że on ją obserwuje. Była nieznośnie świadoma jego obecności. Nie pachniał wodą kolońską i pomadą, lecz czymś zdecydowanie bardziej ponętym - dymem i świeżością, goździkami.

- Pani brat całkiem niedawno odziedziczył tytuł - powiedział.

-Tak.

- Z całym szacunkiem, ale lord Ramsay nie wydaje się przygotowany do swojej nowej sytuacji.

Amelia nie zdołała opanować smutnego uśmiechu.

- Nikt z nas nie jest. Dla Hathawayów to doprawdy niezwykle obrót spraw. Przed Leo byli jeszcze co najmniej trzej spadkobiercy w prostej linii. Wszyscy zmarli nagle, z różnych przyczyn. Tytuł pociąga chyba za sobą konsekwencje w postaci krótkiego życia. W tym stanie ducha mój brat nie będzie cieszył się nim dłużej niż poprzednicy.

- Nikt nie wie, co kryje przed nami przeznaczenie.

Amelia odwróciła się do Rohana i zauważyła, że mężczyzna wpatruje się w nią intensywnie. Jej serce zaczęło uderzać szybciej.

- Nie wierzę w przeznaczenie - odparła. - Ludzie sami są kowalami swego losu.

Rohan uśmiechnął się lekko.

- Wszyscy, nawet bogowie, są bezbronni w obliczu przeznaczenia.

Amelia spojrzała na niego sceptycznie.

- Pan, jako zarządca domu gry, z pewnością wie wszystko o szansach i prawdopodobieństwie. Nie może pan więc, kierując się rozumem, wierzyć w szczęście, wyroki losu czy podobne rzeczy.

- Wiem wszystko o prawdopodobieństwie i szansach wygranej - zgodził się Rohan. - Niemniej wierzę w szczęście. - Uśmiechnął się do niej z płomieniem w oczach, aż zabrakło jej tchu. - Wierzę też w magię i tajemnicę, w sny, które odsłaniają przyszłość. I wierzę, że pewne rzeczy są zapisane w gwiazdach... lub nawet we wnętrzu pani dłoni.

Amelia, niczym zahipnotyzowana, nie mogła oderwać od niego wzroku. Był niezwykle przystojny, z tą swoją twarzą ciemną jak miód z koniczyny i czarnymi włosami, opadającymi na czoło w sposób, który wręcz prowokował, aby je odsunąć palcami.

- Ty też wierzysz w przeznaczenie? - zapytała Mer-ripena.

Długo się wahał.

- Jestem Romem - odrzekł w końcu. Czyli tak.

- Dobry Boże, Merripen. A ja miałam cię za rozsądnego.

Rohan się roześmiał.

- Uznanie takiej możliwości to właśnie dowód rozsądku, panno Hathaway. Jeśli nie może pani czegoś zobaczyć czy poczuć, nie oznacza to wcale, że dana rzecz nie istnieje.

- Nie ma czegoś takiego jak przeznaczenie - upierała się Amelia. - Są tylko czyny i ich konsekwencje.

Powóz zatrzymał się nagle, tym razem w miejscu znacznie nędzniejszym niż St. James i King Street. Po jednej stronie ulicy stała piwiarnia i trzypensowy zajazd, a po drugiej duża tawerna. Przechodnie zachowywali pozory dobrych manier, widać było jednak, że wszechobecni domokrażcy, kieszonkowcy i ladacznice nie są im obcy.

Na progu szynku trwała w najlepsze bijatyka, widać było kłębowisko rąk, nóg, latających kapeluszy, butelek i lasek. Za każdym razem, gdy widzieli taką scenę, okazywało się, że głównym jej inicjatorem był brat Amelii.

- Merripen - oznajmiła dziewczyna z obawą - wiesz, jak się zachowuje Leo, gdy jest zdezorientowany. Pewnie znalazł się w samym środku tej bójki. Gdybyś był tak dobry...

Zanim skończyła mówić, jej towarzysz zeskoczył na ziemię.

- Czekał - powiedział Rohan. - Lepiej będzie, jeśli ja się tym zajmę.

Merripen spojrzał na niego chłodno.

- Wątpisz w moje umiejętności?

- To londyńska spelunka. Przywykłem do sztuczek, które się tu stosuje.

A ty... - Urwał, gdy tamten po prostu go zignorował i z opryskliwym burknięciem ruszył ku tawernie. - Niech będzie - uznał Rohan, stając przy kole, aby mieć dobry widok. - Pokroją go jak makrelę na targu rybnym w Covent Garden.

Amelia również chciała wysiąść z powozu.

- Merripen bardzo dobrze odnajduje się w walce, zapewniam pana.

Rohan spojrzał na nią spod przymkniętych powiek.

- Będzie pani bezpieczniejsza w środku.

- Przecież pan mnie chroni, nieprawdaż? - zauważyła.

- Moja droga - odpowiedział z łagodnością, której nie zagłuszył nawet hałasujący tłum. - To przede mną trzeba cię chronić.

Jej serce na moment przestało bić. Rohan spojrzał w jej szeroko otwarte oczy z tak intensywnym zainteresowaniem, że dosłownie przeszły ją ciarki. Próbując zachować spokój, Amelia odwróciła wzrok. Pozostała jednak boleśnie świadoma obecności tego mężczyzny, jego swobodnej postawy, nieznannej siły, bijącej spod warstw eleganckiej odzieży.

Razem obserwowali, jak Merripen brnął wśród bijących się mężczyzn, kładąc ich pokotem. Nie minęło nawet pół minuty, gdy bezceremonialnie wyciągnął kogoś za kołnierz z bezładnej płataniny ciała, jednocześnie wolną ręką hojnie rozdając ciosy.

- Jest naprawdę niezły - stwierdził lekko zaskoczony Rohan.

Amelia rozpoznała brata i nagle ogarnęła ją obezwładniająca ulga.

- Och, dzięki Ci, Boże.

Zatrzepotała rzesami, gdy poczuła czyjeś delikatne dotknięcie. Rohan uniósł lekko jej twarz, muskając kciukiem podbródek. Ten nieoczekiwany, intymny gest wywołał w niej dreszcz. Jego rozpalone spojrzenie znów przykuło jej wzrok.

- Nie sądzi pani, że wykazuje zbyt dużą opiekuńczość, ścigając dorosłego brata po całym Londynie? Nie zrobił przecież nic aż tak niezwykłego. Większość młodych dżentelmenów w jego sytuacji zachowałaby się tak samo.

- Pan go nie zna. - Nawet ona słyszała, jak bardzo drży jej głos. Wiedziała, że powinna odepchnąć jego ciepłe palce, ale jej ciało wręcz rozkoszowało się jego dotykiem. - Leo zazwyczaj tak się nie zachowuje. On ma kłopoty. On... - Urwała nagle.

Rohan przesunął czubkiem palca po lśniącej wstążce jej czepka od ucha aż do węzła pod brodą.

- Jakie kłopoty?

Amelia poderwała głowę i odwróciła się do Merripena i Leo, którzy właśnie dotarli do powozu. Na widok brata poczuła przyływ miłości i dręczącego lęku. Był brudny, miał poszarpane ubranie i uśmiechał się do niej bez cienia skruchy. Każdy, kto nie znał Leo, w tej chwili mógłby pomyśleć, że nie dba on o cały świat. Ale jego oczy, kiedyś pełne ciepła, były teraz puste i zimne. Jego do niedawna zgrabna sylwetka zaokrągliła się, a twarz nabrzmiała. Wciąż daleko mu było do kompletnego upadku, ale wydawał się dążyć ku niemu z niezwykłą determinacją.

- Niezwykle - rzuciła Amelia od niechcenia. - Coś jeszcze z ciebie zostało. - Wyjęła z rękawa chusteczkę, podeszła do brata i delikatnie otarła pot i smugi krwi z jego policzków. - Jestem tą w środku, skarbie - dodała, widząc jego nieobecne spojrzenie.

- Ach, tak. - Głowa Leo podrygiwała jak marionetka na sznurkach. Spojrzał na Merripena, który stanowił znacznie stabilniejsze wsparcie niż jego własne nogi. - Moja siostra - powiedział. - Przerazająca istota.

- Zanim Merripen wsadzi cię do powozu, czy masz zamiar trochę się doprowadzić do porządku, Leo?

- Zdecydowanie nie - padła stanowcza odpowiedź. - Hathawayowie mają mocną głowę.

Amelia pieśczośliwie odsunęła brudne, brązowe loki, które opadały mu na oczy jak pasma przędzy.



- Byłoby miło, gdybyś w przyszłości nie poddawał swojej takim próbom, mój drogi.

- Ale siostrzyczko... - Gdy na nią spojrział, dostrzegła w nim ślad dawnego Leo, jakąś iskrę w tym nieobecny spojrzeniu, która jednak natychmiast zniknęła. - Mam tak potężne pragnienie.

Poczuła szczypanie w kącikach oczu i słony smak w ustach. Przełknęła łyżę.

- Przez następne dni będziesz je zaspokajał wodą i herbatą - oznajmiła spokojnym głosem. - Wsadź go do powozu, Merripen.

Leo spojrział na niego z wyrzutem.

- Na litość boską, chyba nie pozwolisz jej mnie zabrać?

- Wolałbyś wytrzeźwieć pod opieką strażników z Bow Street? - zapytał Merripen uprzejmie.

- Na pewno okazaliby więcej litości. - Zrzedząc pod nosem, zatoczył się w stronę powozu.

Amelia odwróciła się do Cama Rohana, który przyglądał jej się z nieprzeniknioną miną.

- Czy możemy odwieźć pana do Jennera? Będzie nam trochę ciasno, ale myślę, że jakoś się pomieścimy.

- Nie, dziękuję. - Rohan powoli obszedł z nią powóz. - To niedaleko. Przejdę się z przyjemnością.

- Nie mogę pozwolić, aby błąkał się pan po tej okolicy.

Przystanęli z tyłu, częściowo osłonięci przed ciekawskimi spojrzeniami.

- Nic mi nie będzie. To miasto nie ma przede mną żadnych tajemnic.

Proszę się nie ruszać.

Uniósł dłoń i delikatnie pogładził Amelię po policzku, a potem delikatnie otarł kciukiem jej oko. Ze zdumieniem poczuła, że ma tam smugę wilgoci.

- To przez ten wiatr - powiedziała drżącym głosem.

- Dzisiaj nie wieje.

Nie cofnął ręki, a gładka obrączka lekko wcisnęła się w skórę Amelii. Jej serce zaczęło tłuc się w piersi jak oszalałe, a szum krwi w uszach zagłuszył prawie wszystko, nawet zgiełk gospody. Mrok wokół nich gęstniał. Cam przesunął palce na jej szyję, pieszcząc ją łagodnie.

Patrzył jej prosto w oczy. Amelia zauważyła nagle, że jego orzechowozłote tęczówki są otoczone czarnymi obwódkami.

- Panno Hathaway... czy jest pani pewna, że przeznaczenie nie miało nic wspólnego z naszym dzisiejszym spotkaniem?

Amelia nie mogła złapać tchu.

- Całkiem pewna. Cam pochylił głowę.

- I można z ogromnym prawdopodobieństwem założyć, że już nigdy się nie spotkamy?

- Nigdy.

Był zbyt potężny, pochylał się zbyt nisko. Amelia próbowała zebrać

myśli, ale były jak rozsypane zapalki... które zajęły się ogniem, gdy oddech Rohana owiał jej policzek.

- Mam nadzieję, że się pani nie myli. Boże dopomóż, gdybym miał ponieść konsekwencje!

- Czego? - Jej głos brzmiał wyjątkowo słabo.

- Tego. - Ręka mężczyzny przesunęła się na jej kark, a wargi opadły na jej usta.

Amelia bywała już całowana. Nawet nie tak dawno temu, prawdę mówiąc, przez kogoś, kogo kochała. Jego zdrada zraniła ją tak głęboko, że dziewczyna przysięgła sobie, iż nigdy więcej nie pozwoli już zbliżyć się do siebie żadnemu mężczyźnie. Ale Cam Rohan nie pytał o zgodę i nie dał jej szansy, by zaprotestowała. Zesztywniała i oparła dłonie na jego piersi, próbując go odepchnąć. Chyba nawet nie zauważył jej oporu; jego usta były delikatne i uparte. Otoczył ją ramieniem i unióś lekko, przyciągając do swego silnego ciała.

Z każdym oddechem Amelia coraz głębiej wdychała jego zapach, słodycz mydła z pszczelego wosku, nutę soli na skórze; nie mogła się powstrzymać, aby się na nim nie oprzeć. Sprowokowało to jeszcze więcej pocałunków, zaczynających się, nawet jeśli poprzednie się jeszcze nie skończyły, gorących czułych pieszczot, tajemniczych muśnięć pełnych przyjemności i obietnic.

Mrucząc cicho obce słowa, które rozkosznie brzmiały w jej uszach, Rohan odsunął się w końcu. Jego wargi zaczęły wędrować po jej szyi, zatrzymując się w najbardziej wrażliwych miejscach. Jej ciało dosłownie spuchło pod ubraniem, gorset niezdolnie uwierał walczące rozpaczliwie o oddech płuca.

Zadrżała, gdy dotarł do wyjątkowo czulej strefy i dotknął jej czubkiem języka, jakby smak jej skóry był jakąś egzotyczną przyprawą. Czowała pulsowanie w piersiach, brzuchu i pomiędzy udami. Przepeliła ją przerażająca potrzeba oparcia się o niego, zapragnęła uwolnić się od warstw duszącego materiału, z którego uszyto jej suknię. Rohan był taki ostrożny, taki delikatny...

Z oszołomienia wyrwał ją brzęk tłuczonego szkła.

- Nie - wykrztusiła, wrywając się.

Rohan uwolnił ją z objęć, jego ręce przytrzymały ją, gdy walczyła o odzyskanie równowagi. Odwróciła się i jak błędna, na oślep ruszyła w kierunku drzwi powozu. Wszędzie, gdzie jej dotknął, skóra paliła ją żywym ogniem, domagając się więcej. Amelia nie podniosła głowy, wdzięczna za ochronę, którą dawał jej czepek.

Rozpaczliwie pragnąc uciec, stanęła na stopniu powozu. Zanim jednak zdołała samodzielnie wspiąć się do środka, poczuła obejmujące ją w talii dłonie Rohana. Przytrzymał ją na tyle długo, aby szepnąć jej jeszcze do ucha:

- *Latcho drom.*

Cygańskie pożegnanie. Rozpoznała kilka słów, których nauczył Hathawayów Merripen. Przeszedł ją intymny dreszcz, gdy ciepło jego oddechu musnęło jej ucho. Nie chciała, nie mogła odpowiedzieć, wsunęła się więc do powozu i niezręcznie zebrała spódnice, które blokowały wejście.

Drzwi zamknęły się gwałtownie, a pojazd ruszył, gdy konie posłusznie poddały się silnej ręce Merripena. Dwoje Hathawayów zajęło przeciwległe końce ławki, jedno z nich pijane, drugie oszołomione. Po dłuższej chwili Amelia sięgnęła drżącymi dłońmi do wstążek czepka i zauważyła ze zdumieniem, że zwisają luźno.

Jedna wstążka jest. Druga...

Amelia zdjęła czepkę i zaczęła się w niego wpatrywać z zaskoczeniem. Druga czerwona jedwabna wstążka zniknęła; pozostał po niej tylko skrawek po wewnętrznej stronie.

Została zgrabnie odcięta.

On ją zabrał.

## Rozdział 4

Tydzień później rodzeństwo Hathawayów wraz z całym dobytkiem przeniosło się z Londynu do nowego domu w Hampshire. Pomimo wielu wyzwań, które ich tam czekały, Amelia wierzyła szczerze, że ta decyzja okaże się korzystna dla wszystkich.

Z domem w Primrose Place wiązało się zbyt wiele wspomnień. Po śmierci rodziców życie młodych Hathawayów nie wróciło już na dawne tory. Pan Hathaway umarł na serce, a jego żona, z żalu, kilka miesięcy później. Ściany wchłaniały smutek sierot, aż stał się ich częścią, tak jak farba, papier i drewno. Amelia nie mogła patrzeć na kominek w salonie, nie przypominając sobie za każdym razem matki, która siadywała przy nim z robótką, ani chodzić po ogrodzie, nie widząc tam ojca przycinającego swoje słynne, nagradzane Róże Aptekarza.

Sprzedła więc dom bez żadnych skrupułów - nie z braku uczuć, lecz raczej z powodu ich nadmiaru. Za dużo tutaj było emocji, za dużo smutku. Nie można patrzeć w przyszłość, jeśli wciąż się pamięta o bolesnej stracie.

Jej rodzeństwo nie protestowało. Dla Leo nic nie było ważne - mogłaby mu powiedzieć, że będą mieszkać na ulicy, a powitałby tę nowinę obojętnym wzruszeniem ramion. Win, następna według starszeństwa po Amelii, była zbyt słaba po przebytej chorobie, aby sprzeciwić się decyzjom siostry. A Poppy i Beatrix były na to za młode, a poza tym same łaknęły zmian.

Amelia uznała więc, że tytuł nie mógł do nich trafić w bardziej odpowiedniej chwili. Choć musiała przyznać, że nie wiadomo było, jak długo Hathawayowie zdołają go utrzymać.

Tak naprawdę, nikt nie chciał zostać kolejnym lordem Ramsayem. Poprzedni trzej padli ofiarą złego losu, którego uwieńczeniem stanowiła przedwczesna śmierć. To wyjaśniało po części, dlaczego dalecy krewni Hathawayów ucieszyli się, gdy tytuł przypadł Leo.

- Dostanę jakieś pieniądze? - Tak brzmiało pierwsze pytanie brata, gdy dowiedział się, że został następnym wicehrabią.

Odpowiedź można było uznać za twierdzącą. Leo dziedziczył niewielką posiadłość w Hampshire i skromny roczny dochód, którego nie trzeba było przeznaczать na jej utrzymanie.

- Nadal będziemy biedni - oznajmiła mu Amelia, gdy przebiegła wzrokiem list od prawnika, opisujący majątek i kłopoty z nim związane. - Posiadłość jest niewielka, służba i znaczna część dzierżawców odeszła, dom się sypie, a tytuł jest najwyraźniej przeklęty. Mamy dalekiego kuzyna, który prawdopodobnie powinien dziedziczyć przed tobą. Możemy spróbować

zrzucić to wszystko na niego. Istnieje cień szansy, że interesy naszego praprapradziadka nie były do końca legalne, co pozwoliłoby nam zrzec się tytułu ze względu na...

- Przyjmę ten tytuł - oświadczył stanowczo Leo.

- Bo tak jak ja nie wierzysz w klątwy?

- Bo i tak jestem już przeklęty, jeszcze jedna nie zrobi żadnej różnicy.

Nigdy dotąd nie byli w południowym Hampshire, teraz więc wszyscy, z wyjątkiem Leo, wykręcali szyje, aby podziwiać widoki.

Amelia uśmiechnęła się, widząc ożywienie siostr. Poppy i Beatrix, obie ciemnowłose i niebieskookie, były pełne nadziei. Spojrzała na Win i przez chwilę zatrzymała na niej wzrok, aby uważnie ocenić stan zdrowia siostry.

Win wyglądała zupełnie inaczej niż reszta ich małej gromadki. Jako jedyna odziedziczyła jasne włosy i introwertyczną naturę po ojcu. Była cicha i nieśmiała, wszystkie niewygody znosiła bez cienia skargi. Gdy rok wcześniej przez ich wioskę przeszła epidemia szkarlatyny, Leo i Win ciężko zachorowali. Leo całkiem wrócił do siebie, ale Win wciąż była krucha i blada. Lekarz zdiagnozował u niej osłabienie płuc, wywołane gorączką, które, jego zdaniem, mogło już nigdy nie ustąpić.

Amelia nie pogodziła się z tym, że siostra do końca życia miałaby pozostać chora. Nieważne, jaką cenę przyjdzie za to zapłacić - Win musi wyzdrowieć.

Nie można byłoby chyba sobie wyobrazić lepszego miejsca dla Win i reszty Hathawayów niż Hampshire, jedno z najpiękniejszych hrabstw w Anglii, pełne łąk, lasów, dolin i wrzosowisk. Majątek Ramsayów znajdował się niedaleko Stony Cross, jednego z największych miejsc targowych w okolicy. W Stony Cross handlowano bydłem, owcami, drzewem, kukurydzą, różnymi lokalnymi odmianami sera i miodem z dzikich kwiatów... była to naprawdę ziemia mlekiem i miodem płynąca.

- Zastanawiam się, dlaczego Ramsey jest tak zaniedbane - dumiała Amelia, gdy powóz toczył się przez bujne pastwiska. - Ziemia w Hampshire jest tak dobra, że trzeba się dosłownie starać, aby nic nie wyhodować.

- Ale nasza ziemia jest przeklęta, prawda? - zapytała Poppy z odcieniem troski w głosie.

- Nie, nie sama ziemia. Tylko dziedzic tytułu. Czyli Leo.

- Ach. - Poppy wyraźnie się odprężyła. - To co innego. Leo nie zawracał sobie głowy rozmową, kulił się w kącie, patrząc na nie spode łba. Tydzień wymuszonej trzeźwości sprawił, że jego wzrok i myśli się rozjaśniły, ale nie poprawił mu nastroju. Przy Merripenie i siostrach, które krążyły nad nim jak jastrzębie, nie miał najmniejszych szans napić się czegokolwiek poza wodą i herbatą.

Przez pierwsze dni nie mógł opanować dreszczy, dygotania i obfitych potów. Teraz, gdy najgorsze minęło, coraz bardziej przypominał siebie z dawnych

dni. Niewiele osób uwierzyłoby jednak, że ma zaledwie dwadzieścia osiem lat. W ciągu ostatniego roku znacznie się postarzał.

Im bliżej byli Stony Cross, tym krajobraz stawał się ładniejszy. Trakt przebiegał obok schludnych, krytych strzechą czarno-białych domków, młynów i sadzawek, obsadzonych wierzbami płaczącymi, starych kościółków z kamienia, pamiętających jeszcze czasy średniowiecza. Drozdy pracowicie obrywały dojrzałe jagody z krzewów, a kląskawki obsiadały kwitnący głóg. Na łąkach kwitły jesienne kwiaty, drzewa mieniły się złotem i czerwienią. Na polach pasły się pulchne białe owce.

Zachwycona Poppy odetchnęła głęboko.

- Jak tu pięknie - powiedziała. - Ciekawe, dlaczego nawet wiejskie powietrze pachnie zupełnie inaczej?

- To zapewne ta farma świń, obok której właśnie przejeżdżamy - mruknął Leo.

- Hampshire jest znane ze swoich świń! - oznajmiła radośnie Beatrix, podnosząc oczy znad broszury, opisującej południe Anglii. - Karmi się je żołądziami i bukiem, które mają bardzo pozytywny wpływ na smak bekonu. I urządza się tu doroczny konkurs na najlepszą kiełbasę!

Leo spojrzał cierpko na siostrę.

- Wspaniale. Nie możemy tego przegapić.

- Historia Ramsay House jest imponująca - dodała Win, która czytała gruby tom o Hampshire i okolicach.

- Nasz dom jest w książce do historii? - zapytała zachwycona Beatrix.

- To tylko króciutki ustęp, ale tak, owszem, Ramsay House został tam wymieniony. Oczywiście nie można go nawet porównać z posiadłością naszego sąsiada, hrabiego Westcliffa, który ma jeden z najpiękniejszych majątków w Anglii. Jego rodzina osiadła tam prawie pięćset lat temu.

- W takim razie hrabia musi być strasznie stary - oświadczyła Poppy z kamienną miną.

Beatrix parsknęła śmiechem.

- Czytaj dalej, Win.

- Ramsay House jest położony w niewielkim parku, w którym rosną przede wszystkim majestatyczne dęby i buki, otoczonym przez kępy orlic. Wokół są odwiedzane przez jelenie torfowiska. Wybudowany w stylu elżbietan-skim dwór został ukończony w roku 1594 i są w nim długie galerie, charakterystyczne dla tego okresu. Po licznych przebudowach oryginalny budynek został powiększony o salę balową w stylu króla Jakuba i georgiańskie skrzydło.

- Mamy salę balową! - wykrzyknęła Poppy.

- Mamy jelenie! - uradowała się Beatrix.

Leo jeszcze głębiej wcisnął się w swój kąć powozu.

- Boże, obyśmy mieli wygodkę.

Dopiero wczesnym wieczorem ich powóz wjechał w prywatną, obsadzoną bukami aleję, która prowadziła do Ramsay House. Znużeni długą jazdą Hathawayowie wydali chóralne westchnienie ulgi, gdy ich oczom ukazał się stromy dach domu i kominy z cegieł.

- Zastanawiam się, jak sobie poradził Merripen - powiedziała Win z niepokojem. On, kucharka-gospodyni i lokaj wyjechali dwa dni wcześniej, aby przygotować dom na przybycie właścicieli.

- Na pewno pracował dniami i nocami bez wytchnienia - odparła Amelia - spisywał inwentarz, szykował dom i komenderował ludźmi, którzy nie śmieli mu się przeciwstawić. Jestem przekonana, że poradził sobie ze wszystkim.

Win się uśmiechnęła. Nawet blada i wyczerpana, była niezwykle piękna. Jej jasne włosy lśniły w słabnącym świetle dnia, tak samo jak porcelanowa cera. Jej profil wprawiłby w zachwyt każdego poetę i malarza. Patrzący na nią ludzie odczuwali pokusę, aby jej dotknąć, żeby się upewnić, że to istota żywa, a nie rzeźba.

Powóz zatrzymał się przed domem znacznie większym, niż Amelia się spodziewała. Żywopłot rozrósł się we wszystkie strony, na klombach panoszyły się chwasty. Jeśliby wszystko wyczyścić i odpowiednio przyciąć, otoczenie domu wyglądałoby uroczo. Budynek był asymetryczny, miał fasadę z cegły i kamienia, dach z łupków i wielkie okna z szybami osadzonymi w ołowiu.

Woźnica wyciągnął rozsuwany stopień i pomógł pasażerom wysiąść z powozu.

Amelia stanęła na podjeździe, przyglądając się otoczeniu.

- Dom i posiadłość są nieco zaniedbane - uprzedziła rodzeństwo. - Nikt tu nie mieszkał od bardzo dawna.

- Nie mogę pojąć czemu - stwierdził Leo.

- Jest bardzo malowniczy - dodała z ożywieniem Win. Podróż z Londynu wyczerpała jej wątłe siły. Jej wąskie ramiona opadły, a skóra na wysokich kościach policzkowych była napięta.

Gdy podniosła niewielki kufer podróżny, Amelia podbiegła do niej i zabrała ciężar.

- Ja to zaniosę - powiedziała. - Tobie nie wolno nawet ruszyć palcem. Wejdźmy do środka i znajdziemy jakieś miejsce, żebyś mogła odpocząć.

- Ależ ja doskonale się czuję - zaprotestowała Win, gdy ruszyli po schodach do drzwi.

Hol był wyłożony panelami, które kiedyś musiały być malowane, ale teraz zbrązowiwały ze starości. Podłoga była podrapana i brudna. Wspaniałą okrągłą klatkę schodową pokrywały kurz i pajęczyny. Amelia zauważyła, że ktoś próbował oczyścić balustradę z kutego żelaza, ale na pierwszy rzut oka

widać było, że nie uda się zrobić tego natychmiast.

Z jednego z bocznych korytarzy wyszedł do nich Merripen. Był w koszuli bez kołnierzyka. Nie miał fularu; spod rozpiętej pod szyją koszuli widać było opaloną, lśniąca od potu skórę. Z czarnymi włosami opadającymi na czoło i ciemnymi oczami, które uśmiechnęły się na ich widok, wyglądał doprawdy wspaniale.

- Spóźniliście się trzy godziny - stwierdził. Amelia ze śmiechem podała mu chusteczkę.

- W rodzinie, w której są cztery kobiety, pojęcie spóźnienia w ogóle nie istnieje.

Merripen przyglądał się przybyłym, wycierając z twarzy kurz i pot. Jego wzrok zatrzymał się dłużej na Win.

Potem wrócił spojrzeniem do Amelii i zaczął zdawać jej zwięzły raport ze swoich poczynąń. Zatrudnił dwie kobiety i chłopaka z wioski, aby pomogli uprzątnąć dom. Trzy sypialnie nadają się już do użytku. Masę czasu poświęcili na domycie kuchni i pieca, a kucharka właśnie szykuje im coś ciepłego...

Urwał nagle, zauważywszy jakiś ruch za Amelią. Bezceremonialnie ją odsunął i w trzech krokach znalazł się przy Win.

Amelia zauważyła kątem oka, że wiotka postać siostry chwieje się, a jej powieki opadają. Dziewczyna, mdlejąc osunęła się prosto w objęcia Merripena, który podniósł ją bez wysiłku, mówiąc cicho, żeby oparła głowę na jego ramieniu. Był równie opanowany i chłodny jak zazwyczaj, ale Amelię uderzyło, jak zaborczo przytulił do siebie Win.

- Ta podróż to było dla niej za dużo - oznajmiła z troską. - Musi odpocząć. Merripen spojrzał na nią beznamiętnie.

- Zabiorę ją na górę.

Win poruszyła się i zamrugwała.

- Stałam sobie spokojnie, dobrze się czułam i nagle ziemia uciekła mi spod nóg. Przepraszam. Gardzę omdleniami.

- Nic się nie stało. - Amelia uśmiechnęła się do niej ciepło. - Merripen zabierze cię do łóżka. To znaczy... zanieś cię do twojej sypialni.

- Dam sobie radę sama. Po prostu zakręciło mi się w głowie. Merripen, postaw mnie na ziemi.

- Nie pokonałabyś w tym stanie nawet jednego stopnia - odparł, ignorując jej protesty i niosąc ją w kierunku schodów. Win objęła go za szyję.

- Beatrix, pójdziesz z nimi? - zapytała ze sztucznym ożywieniem Amelia, wręczając siostrze sakwojaż. - Tu znajdziesz na pewno koszulę nocną Win. Pomóż jej się przebrać.

- Dobrze, oczywiście. - Piętnastoletnia Beatrix wbiegła na schody.

W holu zostali tylko Leo, Poppy i Amelia, która odwróciła się powoli, aby wszystko dokładnie obejrzeć.

- Prawnik uprzedził mnie, że posiadłość wymaga remontu. Moim



zdaniem ruina to dla niej znacznie bardziej odpowiednie określenie. Czy to w ogóle da się odrestaurować, Leo?

W nieodległej przeszłości, choć mogło się wydawać, że było to wieki temu, Leo studiował przez dwa lata architekturę i sztukę w Grand Ecole des Beaux-Arts. Pracował także jako malarz i projektant u znanego londyńskiego architekta Rowlanda Temple'a. Był wybitnym, obiecującym studentem i rozważał nawet otwarcie własnej pracowni. Teraz jednak wszystkie jego ambicje zgasły.

Leo obejrzał hol bez zainteresowania.

- O ile konstrukcja budynku jest w porządku, potrzebowalibyśmy na renowację co najmniej dwudziestu pięciu, trzydziestu tysięcy funtów. Amelia, słysząc to, zbladła jak ściana. Opuściła wzrok na podziurawioną podłogę i potarła skronie.

- Cóż, jedno jest oczywiste. Potrzebujemy pomocy zamożnych teściów. Co oznacza, że ty, Leo, powinieneś zacząć rozglądać się za młodą posażną panną, a ty, Poppy, musisz upolować wicehrabiego albo chociaż barona. - Rzuciła siostrze kpiące spojrzenie.

Leo wywrócił oczami.

- A ty? Nie rozumiem, czemu ty miałabyś zostać wykluczona z obowiązku wyjścia za mąż dla dobra rodziny.

Dziewiętnastoletnia Poppy popatrzyła chytrze na Amelię.

- Kobiety w wieku naszej siostry nie myślą już o romansie i miłości.

- Nigdy nic nie wiadomo - zauważył Leo. - Może uda jej się wydać za podstarzałego dżentelmena, który będzie potrzebował pielęgniarki.

Amelia miała na końcu języka gorzką odpowiedź, że już raz w życiu była zakochana i nie zamierza powtarzać tego doświadczenia. O jej względy zabiegał najlepszy przyjaciel brata, czarujący, młody architekt o nazwisku Christopher Frost, który razem z Leo terminował u Rowlanda Temple'a. Jednak w dniu, w którym pozwoliła sobie uwierzyć iż może się spodziewać oświadczenia, on brutalnie i obcesowo zakończył ich znajomość. Wyznał, że żywi gorące uczucie do innej kobiety, którą przypadkiem okazała się córka Rowlanda Temple'a.

Tęcza należało się spodziewać po architekcie, oświadczył jej wtedy Leo, dręczony wyrzutami sumienia, oburzony ze względu na siostrę i cierpiący po stracie przyjaciela. Światem architektów rządziły relacje mistrz-uczeń i młodzi bezustannie gonili za patronem. Wszystko, nawet miłość, należało poświęcić na ołtarzu ambicji. Inaczej bowiem można było stracić cenną okazję do uprawiania swojej sztuki. Ślub z panną Temple zapewniał Frostowi okazały kawałek tortu. Przy Amelii nigdy nie osiągnąłby takiej pozycji.

Ona mogła tylko dać mu swoją miłość.

Opanowując rozgoryczenie, Amelia spojrzała na brata i zdołała smutno się uśmiechnąć.

- Dziękuję ci bardzo, ale w tak dojrzałym stadium życia nie mam już ambicji, aby wyjść za męża.

W tym momencie Leo ogromnie ją zaskoczył, pochylił się i wycisnął na jej czole delikatny pocałunek. Jego głos był łagodny i pełen ciepła.

- Myślę, że pewnego dnia spotkasz mężczyznę, dla którego zgodzisz się poświęcić swoją niezależność. - Uśmiechnął się szeroko. - Pomimo twego szalenie zaawansowanego wieku.

Na chwilę myśli Amelii powróciły do pocałunku w ciemnościach, do gorących ust, opadających na jej wargi, do delikatnych męskich dłoni, do szeptu w ucho. Latcho drom...

Gdy brat odwrócił się, by odejść, zawołała za nim lekko rozdrażniona:

- Dokąd się wybierasz? Leo, nie możesz tak mnie tu zostawić!

Zatrzymał się i obejrzał, unosząc brwi.

- Od tygodnia wlewasz mi do gardła niesłodzoną herbatę. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym się teraz wysikać.

Amelia przymknęła powieki.

- Potrafiłabym wymyślić co najmniej tuzin kulturalnych eufemistycznych określeń, których mogłeś użyć.

Leo szedł dalej.

- Nie używam eufemizmów.

- I nie ma w tobie za grosz kultury! - zawołała za nim jeszcze, na co Leo się roześmiał.

Gdy w końcu wyszedł, Amelia skrzyżowała ramiona na piersi i westchnęła.

- Jest znacznie miłszy, gdy wytrzeźwieje. Szkoda, że nie zdarza się to zbyt często. Chodź, Poppy, znajdziemy kuchnię.

Stęchłe powietrze i wszechobecny w domu kurz miały fatalny wpływ na płuca biednej Win, która właściwie bezustannie kasłała przez całą noc. Amelia budziła się wiele razy, aby podać jej wodę, otworzyć okno, podpierać ją, dopóki duszności nie zelżały, toteż przywitała poranek z zaczerwienionymi oczami.

- To jak spanie w popielniku - oznajmiła Merripe-nowi. - Lepiej będzie, jeśli Win spędzi dzisiejszy dzień na świeżym powietrzu. Musimy porządnie wysprzątać jej pokój. Trzeba wytrześć dywany. A okna są po prostu odrażająco brudne.

Wszyscy jeszcze spali, ale Merripen, podobnie jak ona, był rannym ptaszkiem. W roboczym ubraniu i niezapiętej koszuli stał, marszcząc brwi, i przysłuchiwał się relacji Amelii.

- Jest wyczerpana tym całonocnym kaszlem, a gardło ma tak obolałe, że z trudem mówi. Próbowałam namówić ją na herbatę i grzanki, ale odmówiła.

- Przekonam ją, żeby zjadła.

Amelia spojrzała na niego zdumiona, choć właściwie nie powinna jej dziwić jego stanowczość. Merripen pomagał jej pielęgnować Win i Leo w czasie epidemii szkarlatyny. Bez niego żadne z nich by nie przeżyło.

- A ty w tym czasie - kontynuował Merripen - zrób listę rzeczy, które są ci potrzebne. Pojadę do wioski.

Amelia z wdzięcznością kiwnęła głową.

- Mam iść obudzić Leo? Mógłby pomóc... - Nie.

Uśmiechnęła się drwiąco, doskonale wiedząc, że brat byłby im bardziej zawadą niż pomocą.

Zeszła na dół i poprosiła Freddiego, chłopca z wioski, o pomoc przy przeniesieniu wiekowego szezlonga. Ustawili go na wyłożonym cegłą tarasie, z którego rozpościerał się widok na zachwaszczony ogród, graniczący z bukowym żywopłotem. Ogród na gwałt potrzebował troskliwej ręki - należało go uporządkować, poprzესadzać kwiaty, a także naprawić kruszejące murki.

- Jest tu sporo pracy do wykonania, panienko - skomentował Freddie, pochylając się, aby wyrwać wysoki chwast pomiędzy kamieni tarasu.

- Freddie, bardzo delikatnie to powiedziałeś - skomplementowała Amelia chłopca, który na oko miał nie więcej niż trzynaście lat. Był krzepki i rumiany, a włosy sterczały mu na wszystkie strony jak piórka rudzika. - Lubisz pracować w ogrodzie? - zapytała. - Znasz się na tym?

- Zajmuję się grządką mamy.

- A chciałbyś zostać ogrodnikiem u lorda Ramsaya?

- A ile płacę, proszę pani?

- Czy dwa szylingi tygodniowo to godziwa stawka? Freddie spojrzał na nią z namysłem i podrapał się po perkatym nosie.

- Brzmi całkiem rozsądnie. Ale musi pani zapytać mamę.

- Powiedz mi, gdzie mieszka, a odwiedzę ją jeszcze tego ranka.

- Dobrze. To niedaleko, mieszkamy w najbliższej części wsi.

Uścisnęli sobie dłonie, aby przypieczętować umowę, porozmawiali jeszcze chwilę, a potem Freddie odszedł, aby obejrzeć szopę ogrodnika.

Słyszac dźwięk głosów Amelia odwróciła się i zobaczyła, jak Merripen wyciąga jej siostrę z domu. Win wciąż była w koszuli nocnej, ale miała na sobie szlafrok i była opatulona szalem. Szczupłym ramieniem ścisnęła za szyję Merripena.

W białym stroju, z jasnymi włosami i bladą cerą, wydawała się wręcz pozbawiona kolorów - wyjątek stanowiły delikatnie zaróżowione policzki i żywy błękit oczu.

- ...to lekarstwo było najgorsze - opowiadała radosnym głosem.

- Zadziałało - stwierdził Merripen, pochylając się, aby delikatnie ułożyć ją na szezlongu.

- Co nie znaczy, że ci wybaczę to, że mnie zmusiłeś, abym je wzięła.

- Dla twojego własnego dobra.

- Jesteś tyranem - powtórzyła Win, uśmiechając się do niego.
- Tak, wiem - mruknął, z wyjątkową delikatnością otulając ją kocem.

Zachwycona nieco lepszym stanem zdrowia siostry, Amelia podeszła do nich, szeroko uśmiechnięta.

- Jest naprawdę okropny. Ale jeśli zdoła namówić jeszcze kilku mieszkańców wioski do pomocy w sprzątaniu dworu, będziesz musiała mu wybaczyć, Win.

Błękitne oczy Win błysnęły wesoło. Zwróciła się do siostry, ale spojrzenie wciąż miała utkwione w Merripenie.

- Absolutnie wierzę w siłę jego perswazji.

Gdyby powiedziała to inna dziewczyna, te słowa zabrzmiałyby na pewno jak zaproszenie do flirtu. Amelia była jednak przekonana, że Win nie dostrzega w Merripenie mężczyzny. Dla niej był tylko troskliwym starszym bratem, nikim więcej.

Uczucia Merripena natomiast wydawały się bardziej niejednoznaczne.

Na murku tarasu przysiadła ciekawsza szara kawka. Skrzeknąwszy parę razy, niepewnie podbiegła w kierunku Win.

- Przykro mi, nie mam się czym z tobą podzielić - powiedziała dziewczyna.

- Właśnie, że już masz! - Dał się słyszeć nowy głos. Beatrix zmierzała ku nim z tacą śniadaniową, na której niosła talerzyk z grzankami i filiżankę herbaty. Ciemne kręcone włosy miała ściągnięte do tyłu w niedbały węzeł. Była ubrana w biały fartuszek i sukienkę w kolorze jagód.

Dziewczynka w jej wieku nie powinna nosić fartuszka, pomyślała Amelia. Piętnastoletnie panny wkładają już spódnice do ziemi. I gorsety, Boże dopomóż. Wydarzenia ostatniego roku zepchnęły jednak kwestię stroju najmłodszej z sióstr Hathaway na daleki koniec. Trzeba zawieźć Beatrix i Poppy do krawcowej i uszyć im całkiem nową garderobę. Amelia dodała kolejną pozycję do długiej listy wydatków, którą układała w głowie, i zmarszczyła brwi.

- Twoje śniadanie, Win - oznajmiła Beatrix, stawiając tacę na kolanach siostry. - Czujesz się na tyle dobrze, żeby posmarować sobie grzankę masłem, czy ja mam to zrobić?

- Poradzę sobie, dziękuję. - Win przesunęła stopy i zaprosiła gestem siostrę, aby usiadła na drugim końcu szeszlona.

Beatrix posłuchała natychmiast.

- Poczytam ci trochę, gdy będziesz tu siedzieć - zaproponowała, sięgając do jednej z ogromnych kieszeni fartuszka. Wyjęła małą książeczkę i zaczęła nią kusząco wymachiwać. - Podarowała mi ją Philomena Parsons, moja najlepsza przyjaciółka na całym świecie. Powiedziała, że to straszliwa historia, pełna zbrodni, grozy i mściwych zjaw. Czy to nie brzmi wspaniale?

- Myślałam, że twoją najlepszą przyjaciółką jest Edwina Huddersneld -

powiedziała Win.

- Och, nie, to było całe tygodnie temu. Teraz nawet ze sobą nie rozmawiamy. - Beatrix usadowiła się wygodnie w rogu, po czym spojrzała na starszą siostrę z zakłopotaniem. - Win? Masz przedziwny wyraz twarzy. Czy coś się stało?

Win zamarła z uniesioną do ust filiżanką, a jej błękitne oczy rozszerzyły się z przerażenia.

Amelia podążyła za jej wzrokiem i zobaczyła niewielkie, wyglądające jak gad stworzenie, które pełzło zygzakiem po ramieniu Beatrix. Na ten widok Amelia krzyknęła ostro i rzuciła się naprzód z wyciągniętymi rękami.

Beatrix spojrzała na swoje ramię.

- O kurczę! Miałas zostać w kieszeni. - Złapała wijące się stworzonko i pogładziła je delikatnie. - Nakrapiana jaszczurka zwinka - oznajmiła. - Czyż nie jest urocza? Znalazłam ją wczoraj wieczorem w swoim pokoju.

Amelia opuściła ręce i oniemiała patrząc na siostrę.

- Zrobiłaś z jaszczurki zwierzątko domowe? - zapytała słabo Win. - Beatrix, kochanie, czy nie uważasz, że ona byłaby szczęśliwsza w lesie, gdzie jej miejsce?

- Ze wszystkimi tymi drapieżnikami? - oburzyła się dziewczynka. - Kropka nie przetrwałaby tam ani minuty.

Amelia w końcu odzyskała głos.

- Przy mnie też długo nie pożyje. Pozbądź się jej, Bea, albo uśmierć ją pierwszym ciężkim narzędziem, które nawinie mi się pod rękę.

- Zamordowałybyś moje zwierzątko?

- Jaszczurek się nie morduje, Bea, je się tępi. - Doprowadzona do rozpaczy Amelia odwróciła się do Merripena. - Znajdź w wiosce jakąś pomoc do sprzątanía, Merripen.

Bóg jeden wie, ile jeszcze takich stworzeń czai się gdzieś w tym domiszczu. Poza Leo, rzecz jasna. Merripen od razu zniknął.

- Kropka to urocze zwierzątko - oznajmiła wojowniczo Beatrix. - Nie gryzie i jest już oswojona.

- Zabraniam ci hodowania zwierzątek z łuskami. Beatrix spojrzała na siostrę z buntem w oczach.

- Jaszczurka zwinka to rdzenny mieszkaniec Hampshire. Kropka ma większe prawo tu być niż my.

- Tak czy inaczej, mieszkać razem nie będziemy. - Amelia postanowiła się wycofać, zanim powie coś, czego by potem żałowała.

Zastanawiała się, czemu Beatrix musi sprawiać tyle kłopotów, gdy tak wiele rzeczy jest do zrobienia. Zaraz jednak uśmiechnęła się wyrozumiale, gdy sobie uświadomiła, że piętnastolatki nie sprawiały kłopotów umyślnie. One po prostu takie były.

Uniosła spódnice, aby móc się poruszyć, i żwawym krokiem wbiegła

po schodach na górę. Nikt nie zapowiedział się z wizytą, oni też nie zamierzali nikogo odwiedzać, dlatego Amelia zdecydowała się nie wkładać tego dnia gorsetu. Wspaniale było móc oddychać tak swobodnie, jak tylko chciała, i poruszać się bez wysiłku po domu.

Pełna determinacji, zaczęła się dobijać do drzwi Leo.

- Wstawaj, śpiochu!

Zza ciężkich dębowych paneli dobiegła ją wiązanka przekleństw.

Amelia weszła do pokoju Poppy. Odsloniła okno, wzniesając chmurę pyłu, która zakreśliła jej w nosie.

- Poppy, już... apsik!... czas wstawać.

Siostra naciągnęła kołdrę po sam czubek głowy.

- Jeszcze nie – zaprotestowała.

Amelia przysiadła na brzegu materaca i ściągnęła z niej pościel. Poppy wciąż jeszcze była oszołomiona i zaspana. Na jej policzku odcisnął się ślad zagięcia na poszewce. Jej brązowe loki o cieplejszym, bardziej rudawym odcieniu niż włosy Amelii, zbiły się w nastroszoną plątaninę.

- Nie cierpię poranków - wymamrotała Poppy. - I nie lubię, gdy budzi mnie ktoś, kto jest z tego tak wyraźnie zadowolony.

- Przepraszam. - Nie przestając się uśmiechać, Amelia zaczęła delikatnie odgarniać siostrze włosy z twarzy.

- Mm. - Poppy zamknęła oczy. - Mama tak robiła. Jak miło.

- Naprawdę? - Amelia delikatnie pogładziła ją po głowie. - Kochanie, muszę iść do wioski, zapytać matkę Freddiego, czy możemy go zatrudnić jako ogrodnika.

- Nie jest aby trochę za młody?

- Nie w porównaniu z innymi kandydatami do tej pracy.

- Nie ma innych kandydatów.

- No właśnie. - Podeszła do otwartego kufra Poppy, stojącego w rogu pokoju, i podniosła leżący na stosie ubrań czepek. - Czy mogę go pożyczyć? Jeszcze nie naprawiłam mojego.

- Oczywiście, ale... idziesz już teraz?

- To nie potrwa długo. Szybko się uwinę.

- Chcesz, żebym poszła z tobą?

- Dziękuję ci za propozycję, ale nie ma takiej potrzeby. Ubierz się i zjedz śniadanie. I dotrzyмай towarzystwa Win. Teraz opiekuje się nią Beatrix.

- Och. - Poppy szeroko otworzyła oczy. - W takim razie się pospieszę.

## Rozdział 5

**B**ył przyjemnie chłodny, prawie bezchmurny dzień - klimat południa wydawał się znacznie łagodniejszy niż londyński. Amelia przeszła energicznym krokiem przez sad, który graniczył z ogrodem. Gałęzie jabłoni uginały się pod ciężarem dużych zielonych owoców. Te, które opadły, stały się już posiłkiem jeleni i innych zwierząt, albo leżały na ziemi, gnijąc.

Amelia przystanęła, aby zerwać jabłko z niskiej gałęzi, wytarła je o rękaw sukni i odgryzła spory kęs. Owoce miał intensywny kwaśny smak.

Tuż obok niej przeleciała pszczoła i Amelia uniosła głowę, zaniepokojona. Od zawsze bała się pszczół. Próbowwała sobie wyperswadować strach, ale nie potrafiła opanować paniki, która ją ogarniała, ilekroć te przekłete owady pojawiały się w pobliżu.

Za sadem rozpościerała się podmokła łąka. Pomimo późnej pory roku wszędzie kwitła rzeżucha. Jej listki o delikatnym, lekko pieprzowym smaku, znane jako „chleb biedaków”, były zrywane całymi nareczkami przez mieszkańców wsi i używane do wszystkiego - od zupy po nadzienie do gęsi. Nazrywam jej dla nas, gdy będę wracać, pomyślała Amelia.

Najkrótsza droga do wioski prowadziła przez posiadłość lorda Westcliffa. Gdy Amelia przekroczyła niewidoczną granicę pomiędzy Ramsay a Stony Cross, dosłownie wyczuła w powietrzu zmianę. Szła skrajem szeleszczącego lasu, zbyt gęstego, aby światło słońca mogło się przebić przez korony drzew. Okolica wyglądała bogato i tajemniczo, stare drzewa głęboko wrosły w ciemną, żyzną glebę. Amelia zdjęła czepek i trzymając go w dłoni, zwróciła twarz ku słońcu.

Ta ziemia należała do Westcliffów od pokoleń. Zastanawiała się, jakimi ludźmi są hrabia i jego rodzina. To na pewno dobrze wychowani tradycjoniści, uznała Amelia. Nie ucieszy ich wiadomość, że Ramsay House został zagarnięty przez źle wychowanych Hathawayów, w żyłach których płynie zwyczajna, a nie błękitna krew.

Weszła na wydeptaną ścieżkę przecinającą las i wystraszyła parę białorzytek, które z oburzonymi okrzykami zerwały się do lotu. Otoczenie tętniło życiem, wokoło fruwały motyle o tak żywym ubarwieniu, że wydawały się wręcz nienaturalne, i chrząszcze lśniące jak iskierki. Nie zbacząc z dróżki, Amelia uniosła spódnicę, aby nie zamiętać nią opadłych liści.

Z leszczynowego zagajnika wyszła na rozległe, suche pole. Puste. I złowieszczo ciche. Nie było słycać żadnych odgłosów, świergotu ptaków, brzęczenia pszczół czy szmeru pasikoników. Nagle poczuła, że instynktownie napina mięśnie, próbując stawić czoło nieznanemu zagrożeniu. Ostrożnie

zaczęła się pięć w górę, by wyjść z doliny.

Gdy dotarła na skraj prawie płaskiego wzgórza, przystanąła zdumiona, widząc przed sobą gigantyczną metalową konstrukcję, która wyglądała jak zjeżdżalnia na nóżkach, przechylona pod ostrym kątem.

Jej uwagę przykuło jakieś zamieszanie w oddali... Zza czegoś, co wyglądało jak niewielka drewniana szopa, wyskoczyło dwóch mężczyzn... Krzyczeli i machali do niej rękami.

Amelia natychmiast uświadomiła sobie, że grozi jej jakieś poważne niebezpieczeństwo, a chwilę później dojrzała dymiący, iskrzący ślad, który niczym wąż uniósł się z metalowej zjeżdżalni.

Raca?

Niewiele wiedziała o materiałach wybuchowych, ale była pewna, że jeżeli lont został podpalony, już nic takiego pocisku nie powstrzyma. Skuliła się na rozgrzanej słońcem trawie i przykryła głowę rękami, spodziewając się, że zaraz zostanie rozerwana na kawałki. Upłynęło zaledwie kilka chwil, gdy krzyknęła ze strachu, czując, że opada na nią czyjeś ciężkie ciało. Nie, nie opada, rzuca się. Mężczyzna zasłonił ją całą, opierając się kolanami z obu jej stron, jakby próbował chronić ją własnym ciałem.

W tym momencie powietrze rozdarła ogłuszająca eksplozja, coś świsnęło dziko nad ich głowami, a ziemia zatrzęsała się pod nimi. Zbyt oszołomiona, aby się ruszyć, Amelia próbowała wziąć się w garść. Jej uszy wypełnił wysoki dźwięk.

Jej towarzysz tkwił nad nią w bezruchu, dysząc ciężko w jej włosy. W powietrzu unosiła się gryząca woń dymu, ale nawet przez niego Amelia poczuła przyjemny, męski zapach słonej skóry, mydła i jakiegoś bliskiego jej wspomnieniom aromatu, którego nie potrafiła rozpoznać. Hałas w uszach cichł. Podniosła się na łokciach i poczuła na plecach potężną zaporę klatki piersiowej swojego obrońcy, ujrzała podwinięte rękawy koszuli, odsłaniające imponującą muskulaturę i coś jeszcze...

Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia na widok małego stylowego tatuażu na jego ramieniu. Czarny, uskrzydłony koń z oczami koloru siarki. Był to irlandzki wzór przedstawiający pukę: mitycznego diabolicznego stwora, który mówił ludzkim głosem i o północy porывał ludzi.

Jej serce dosłownie zamarło, gdy na kciuku mężczyzny zobaczyła masywną obrączkę.

Zaczęła się wiercić, aby przekreślić się na plecy.

Wokół jej ramion zacisnęła się silna dłoń, oferując pomoc. Usłyszała znajomy niski głos.

- Jest pani ranna? Tak mi przykro. Stała pani na drodze...

Urwał, gdy Amelia w końcu zdołała odwrócić się do niego twarzą. Jej włosy wyswobodziły się ze szpilek i jeden z loków opadł na twarz, zasłaniając oczy. Nie zdążyła go odsunąć, zrobił to za nią, a muśnięcie jego palców roz-



pałiło ogień w jej ciele.

- To ty! - powiedział miękko. Cam Rohan.

To niemożliwie, pomyślała oszołomiona. Tu, w Hampshire? Spoglądały jednak na nią złotoorzechowe, ocienione długimi rzęsami oczy, których nie można było zapomnieć. Zobaczyła ciemne włosy i wilgotne wargi. I jeszcze ten pogański błysk diamentu w uchu.

Patrzył na nią z niepokojem, jakby przypominała mu coś, o czym wolał nie pamiętać. Jednak gdy przesunął wzrokiem po zdumionej twarzy Amelii, kąciki jego ust uniosły się i przycisnął się do niej mocniej z beczelną obcesowością, która na chwilę pozbawiła ją tchu.

- Pan Rohan... jak... dlaczego... co pan tu robi?

Odpowiedział jej, nawet nie drgnąwszy, jakby zamierzał tak leżeć i konwersować cały dzień. Jego nieskończenie uprzejmy ton niepokojąco kontrastował z ich bliskością.

- Panna Hathaway. Cóż za miła niespodzianka. Tak się akurat składa, że przyjechałem z wizytą do przyjaciół. A pani?

- Mieszkam tu.

- Nie sądzę. To majątek lorda Westcliffa.

Jej serce tłukło się w piersi, gdy czuła przy sobie jego ciepło.

- Nie miałam na myśli dokładnie tego miejsca, chodziło mi o drugą stronę zagajnika. O Ramsay. Właśnie zamieszkaliśmy we dworze. - Pod wpływem zdenerwowania i strachu nie mogła powstrzymać się przed pytaniami. - Co to był za hałas? Co pan robił? Dlaczego ma pan na ramieniu tatuaż? To puka z irlandzkich podań, prawda?

Ostatnie pytanie przykuło całą jego uwagę. Zanim zdołał odpowiedzieć, podeszli do nich dwaj mężczyźni. Leżąc na brzuchu, Amelia widziała ich do góry nogami. Tak jak Rohan, mieli na sobie zwykłe koszule i niezapięte kamizelki.

Pierwszy był korpulentny, starszy i siwy. Na szyi miał zawieszony mały sekstans z drewna i metalu. Drugi, czarnowłosy, nie mógł mieć więcej niż czterdzieści lat. Nie był tak wysoki jak Rohan, ale otaczała go aura autorytarności i arystokratycznej arogancji.

Amelia poruszyła się bezradnie, a Rohan jednym płynnym ruchem podniósł ją z ziemi. Pomógł jej wstać i podtrzymał ją ramieniem.

- Jak daleko poleciała? - zapytał towarzyszy.

- Do diabła z rakietą - padła ponura odpowiedź. - Jaki jest stan kobiety?

- Nic jej nie jest.

- To imponujące, Rohan - oświadczył siwowłosy dżentelmen. - Pokonałeś dystans pięćdziesięciu jardów w pięć może sześć sekund.

- Nie mogłem przegapić szansy zwalenia z nóg pięknej kobiety - odparł Rohan.

Starszy mężczyzna zachichotał.

Ręka Rohana cały czas spoczywała na plecach Amelii. Od jego lekkiego dotyku krew w niej wrzała.

By odsunąć myśli od rozpraszającej ją pieśczości, Amelia uniosła dłonie i założyła za uszy opadające na oczy włosy.

- Czemu panowie odpalają rakiety? I co ważniejsze, dlaczego w kierunku mojego domu?

Czarnowłosa mężczyzna rzucił jej ostre, taksujące spojrzenie.

- Pani posiadłości?

- Lordzie Westcliff - wtrącił się Rohan. - To panna Amelia Hathaway. Siostra lorda Ramsaya.

Marszcząc brwi, Westcliff wykonał idealny ukłon.

- Witam, panno Hathaway. Nie poinformowano mnie o państwa przybyciu. Gdybym był go świadomy, uprzedziłbym panią o naszych eksperymentach, tak jak wszystkich innych sąsiadów.

Było jasne, że ten człowiek oczekiwał, iż będzie się go informować o wszystkim. Wyglądał na zirytowanego ze nowi sąsiedzi ośmielili się przybyć do swojej posiadłości, nie uprzedzając go o tym.

- Przyjechaliśmy dopiero wczoraj, milordzie - wyjaśniła Amelia. - Zamierzałam złożyć wizytę, gdy tylko poznamy okolicę. - W normalnych okolicznościach na tym by poprzestała, wciąż jednak była wytrącona z równowagi i nie zdołała się powstrzymać od komentarza. - Cóż, muszę powiedzieć, że w przewodniku nie ostrzegano nas przed możliwością pojawienia się rakiety na spokojnym niebie Hampshire. - Wyciągnęła dłoń i strzepnęła ze spódnicy kurz i liście, które się do niej przykleiły. - Jestem pewna, że nie zna pan naszej rodziny na tyle dobrze, aby do nas strzelać. Na razie. Gdy jednak lepiej się poznamy, nie wątpię, że znajdzie pan niejeden powód, aby wytoczyć ciężką artylerię.

Usłyszała nad głową śmiech Rohana.

- Biorąc pod uwagę nasze kłopoty z precyzyjnym celowaniem, nie ma się pani czego obawiać, panno Hathaway.

- Rohan, czy nie miałbyś nic przeciwko temu, aby znaleźć raketę... - odezwał się siwowłosa mężczyzna.

- Oczywiście. - Cam kilkoma susami zbiegł ze wzgórza.

- Niezwykle zwinny młodzieniec - oznajmił z aprobatą w głosie starszy pan. - Szybki jak lampart. A przy tym opanowany w ruchach i czynach. Byłby doskonałym saperem.

Przedstawił się jako kapitan Swansea, były oficer armii brytyjskiej. Wyjaśnił Amelii, że jest zagorzałym entuzjastą techniki raketowej i obecnie kontynuuje swoje badania w cywilu. Jako przyjaciel lorda Westcliffa, który podzielał jego zainteresowania inżynieryjne, Swansea przybył do Hampshire, aby eksperymentować z nowym pociskiem, bo było tu wystarczająco dużo wolnej przestrzeni. Lord Westcliff zwerbował do pomocy Cama Rohana, który

opracowywał matematyczną stronę całego przedsięwzięcia.

- Doprawdy niezwykła jest swoboda, z jaką ów młody człowiek para się liczbami - powiedział Swansea. - Na pierwszy rzut oka nie można by się tego po nim spodziewać.

Amelia mogła się tylko z nim zgodzić. Z własnego doświadczenia wiedziała, że naukowcy, tak jak jej ojciec, byii bladzi, bo spędzali zbyt dużo czasu w zamkniętych pomieszczeniach, mieli brzuszki, nosili okulary i pomięte tweedowe surduty. Rzadko natomiast bywali młodymi ludźmi o egzotycznym wyglądzie pogańskich książąt, którzy nosili złote pierścionki i tatuaże.

- Panno Hathaway - odezwał się lord Westcliff - z tego, co wiem, od prawie dekady do państwa posiadłości nie zaglądał żaden Ramsay. Trudno mi wierzyć, że po tak długim czasie dom nadaje się do zamieszkania.

- Och, jest naprawdę w dobrym stanie - skłamała radośnie Amelia. - Oczywiście wymaga generalnych porządków i kilku drobnych napraw, ale całkiem nam tam wygodnie.

Była pewna, że jej słowa brzmią przekonująco, ale Westcliff spojrział na nią sceptycznie.

- Dziś wieczorem wydajemy w Stony Cross kolację. Proszę przyprowadzić rodzinę. Będzie to doskonała okazja, aby poznać sąsiadów, między innymi pastora.

Kolacja z lordem i lady Westcliff. Boże, dopomóż!

Gdyby Hathawayowie wypoczęli już po podróży, gdyby Leo jeszcze nieco dłużej pozostał na ścieżce trzeźwości, gdyby mieli odpowiednie na taką okazję stroje, gdyby dano im wystarczająco dużo czasu, aby nauczyli się zasad dobrego wychowania... Amelia mogłaby wtedy rozważyć przyjęcie zaproszenia. Ale w tych okolicznościach było to niemożliwe.

- Jest pan niezwykle uprzejmy, milordzie, ale muszę odmówić. Dopiero przyjechaliśmy, a większość naszych ubrań nie została jeszcze rozpakowana...

- Okazja jest nieformalna.

Amelia szczerze wątpiła, czy jego rozumienie tego słowa pokrywa się z jej definicją.

- To nie tylko kwestia ubioru, milordzie. Jedna z moich sióstr jest bardzo słabego zdrowia, wizyta byłaby dla niej zbyt dużym wysiłkiem. Musi porządnie wypocząć po długiej podróży z Londynu.

- W takim razie jutro. Kolacja będzie znacznie skromniejsza i nie powinna nadwierać jej zdrowia.

Nie mogła odmówić, skoro wciąż nalegał. Przeklinając się za to, że nie została tego ranka w Ramsay House, Amelia zmusiła się do uśmiechu.

- Doskonale, milordzie. Jesteśmy dozgonnie wdzięczni za pańską gościnność.

Wrócił Rohan, oddychając szybko z wysiłku. Jego skóra pokryta mgiełką potu

świeciła teraz jak wypolerowany brąz.

- Nie zboczyła z kursu - powiedział do swoich towarzyszy. - Stateczniki zadziałały. Pokonała dystans mniej więcej dwustu jardów.

- Wspaniale! - zawołał Swansea. - A gdzie rakiety? Zęby Rohana błysnęły w uśmiechu.

- Zagrzebana w głębokiej, dymiącej dziurze. Potem ją wykopię.

- Dobrze, musimy ocenić stan obudowy i wewnętrznego rdzenia. - Swansea aż poczerwieniał na twarzy z radości. Wyjął chusteczkę i otarł twarz. Biło z niej zadowolenie. - Cóż to za ekscytujący poranek.

- Może już czas wracać do domu, kapitanie? - zasugerował Westcliff.

- Tak, na pewno. - Swansea uklonił się Amelii. - Była to dla mnie przyjemność, panno Hathaway. Niezwykle dzielnie zniosła pani niespodziewany atak rakietowy, jeśli mogę tak powiedzieć.

- Na następną przechadzkę, kapitanie, nie omieszkać wziąć białej flagi.

Swansea zachichotał i się pożegnał. Lord Westcliff spojrzał na Cama Rohana.

- Ja odprowadzę kapitana, a ty dopilnuj, żeby panna Hathaway bezpiecznie dotarła do domu.

- Oczywiście - padła natychmiastowa odpowiedź.

- Dziękuję za troskę - powiedziała Amelia - ale nie ma takiej potrzeby. To całkiem niedaleko.

Jej protest został zignorowany. Dwaj panowie się oddalili i została sama z Rohanem.

- Naprawdę nie jestem bezbronną panienką - oświadczyła. - Nie trzeba mnie nigdzie odprowadzać. Poza tym w świetle pana poprzedniego zachowania chyba będę bezpieczniejsza, jeśli wrócę sama.

Na chwilę zapadła cisza. Rohan przechylił głowę i popatrzył z ciekawością na Amelię.

- Poprzedniego zachowania?

- Wie pan doskonale, o czym... - Urwała i zarumieniła się na wspomnienie pocałunku w ciemnościach. - Mam na myśli to, co wydarzyło się w Londynie.

Spojrzał na nią z uprzejmym zakłopotaniem.

- Obawiam się, że nie wiem, o czym pani mówi.

- Chyba nie będzie pan udawał, że pan nie pamięta! - zawołała. A może naprawdę zapomniał? Całował pewnie legiony kobiet, nie mógł pamiętać wszystkich. - Czy zaprzeczy pan również, że ukradł mi wstążkę od czepka?

- Ma pani niezwykle bujną wyobraźnię, panno Hathaway. - Mówił obojętnym tonem, ale w jego oczach tlił się prowokacyjny uśmieszek.

- To nieprawda. Cała moja rodzina żyje w świecie wyobraźni, ja zaś mocno trzymam się rzeczywistości.

- Odwróciła się i zaczęła iść. - Wracam do domu. Nie ma potrzeby, aby

mnie pan odprowadzał.

Rohan całkowicie zignorował jej słowa i poszedł za nią szybko - na każde dwa jej kroki przypadał jego jeden. Pozwolił, by Amelia narzuciła tempo. Na otwartej przestrzeni wydawał się nawet wyższy, niż to zapamiętała.

- Gdy zobaczyła pani moje ramię - zapytał cicho - i ten tatuaż... Skąd pani wiedziała, że to puka?

Amelia zastanawiała się chwilę nad odpowiedzią. Cienie gałęzi krzyżowały się na ich twarzach. Po niebie szybował jastrząb z czerwonym ogonem, a po chwili zniknął za gęstą linią drzew.

- Znam irlandzki folklor - oznajmiła w końcu. - Ten puka to niegodziwy, niebezpieczny stwór. Sprowadza na ludzi koszmary. Dlaczego ozdobił pan rękę właśnie jego podobizną?

- Zrobiono mi ten rysunek, gdy byłem dzieckiem. Nie pamiętam już, kiedy.

- Ale w jakim celu? Jakie jest jego znaczenie?

- Moja rodzina nigdy mi tego nie wyjaśniła. - Rohan wzruszył ramionami. - Może powiedzieliby to teraz, ale od lat ich nie widziałem.

- A czy mógłby ich pan odnaleźć, gdyby zechciał?

- Gdybym miał czas. - Jakby od niechcienia zapiął koszulę i zsunął rękawy, zakrywając pogański symbol.

- Pamiętam opowieści mojej babki o puce. Namawiała mnie, żebym w niego uwierzył. Sama chyba także wierzyła. Praktykowała tradycyjną magię.

- To znaczy? Przepowiadała przyszłość?

Rohan pokręcił głową i wsunął dłonie do kieszeni spodni.

- Nie - odparł rozbawiony - chociaż czasami robiła to dla gadziów. Tradycyjna magia to wiara, że w naturze wszystko się łączy i jest sobie równe. Wszystko żyje. Nawet drzewa mają dusze.

Amelia słuchała zafascynowana. Merripena nie można było namówić do opowieści o dawnym życiu czy wierzeniach Romów, a oto stał przed nią człowiek, który nie krępował się rozmawiać z nią o tym wszystkim.

- A czy pan wierzy w tradycyjną magię?

- Nie, ale podoba mi się sama idea. - Rohan ujął ją pod ramię, aby pomóc jej przejść po nierównej ścieżce. Puścił Amelię, zanim zdołała zaprotestować przeciwko temu łagodnemu uściskowi. - Puka nie jest niegodziwy. Czasami jego złe uczynki wypływają z umiłowania do psot i figli.

Spojrzała na niego sceptycznie.

- Pan uważa, że to zabawne, gdy jakiś stwór wrzuca sobie pana na grzbiet, szybuje do nieba, a potem ciska pana do sadzawki lub bagna?

- To tylko jedna strona zagadnienia - przyznał Rohan z uśmiechem. - Ale przecież liczy się też to, że puka chce, by przeżyła pani fascynujące przygody, chce pokazać miejsca, które mogła pani widywać tylko w snach. A potem odstawia panią do domu.

- Legendy głoszą, że po takiej wyprawie człowiek już nigdy nie jest taki sam.

- Nie - odrzekł łagodnie. - Przecież nie może być. Nawet sobie tego nie uświadamiając, Amelia zwolniła kroku. Nie mogła przecież iść tak dziarsko w taki słoneczny, ciepły dzień. I z tym niezwykłym mężczyzną u boku - mrocznym, niebezpiecznym i czarującym Rohanem.

- Naprawdę nie spodziewałam się spotkać pana w posiadłości lorda Westcliffa. Jak się panowie zaprzyjaźnili? Jest, jak przypuszczam, członkiem klubu.

- Tak. I przyjacielem właściciela.

- Czy pozostali goście lorda Westcliffa akceptują pana obecność w Stony Cross?

- Dlatego, że jestem Cyganem? - Uśmiechnął się kpiąco.

- Obawiam się, że nie mają wyboru, muszą być wobec mnie uprzejmi. Po pierwsze, przez szacunek dla hrabiego. A poza tym większość z nich spotyka się ze mną, gdy ubiegają się o kredyt w klubie, co oznacza, że mam dostęp do informacji o stanie ich majątku.

- Nie mówiąc już o skandalach - dodała Amelia, wspominając bijatykę w alejce.

Cam uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Tak bywa.

- Niemniej czasami musi pan się czuć obco.

- Zawsze - przyznał. - Ale wśród swoich także jestem obcy. Widzi pani, mam mieszaną krew, jestem poshram, jak oni to nazywają. Moja matka była Cyganką, a ojciec irlandzkim gadziem. A że pochodzenie dziedziczy się po ojcu, nie jestem nawet uznawany za Roma. W przypadku kobiet małżeństwo z gadziem to jedno z najgorszych naruszeń kodeksu.

- I dlatego nie mieszka pan ze swoimi?

- To jeden z powodów.

Amelia zastanawiała się, jak musi się czuć ktoś uwięziony pomiędzy dwiema kulturami i nienależący do żadnej z nich. Rohan nie mógł mieć nadziei, że którakolwiek ze stron kiedykolwiek go w pełni zaakceptuje. A jednak w jego tonie nie było śladu użalania się nad sobą.

- Hathawayowie to także outsiderzy - oznajmiła.

- To oczywiste, że nie pasujemy do eleganckiego towarzystwa. Żadne z nas nie otrzymało stosownej edukacji ani wychowania. Kolacja w Stony Cross to będzie prawdziwy spektakl. Jestem przekonana, że zakończy się wyrzuceniem nas z rezydencji.

- Ta wizyta może więc panią zaskoczyć. Lord i lady Westcliff nie są zbyt formalni w obejściu. A przy ich stole zasiadają bardzo różnorodni goście.

Amelia nie była tego taka pewna. Arystokracja przypominała jej egzotyczne rybki, hodowane w ozdobnych akwariach ustawionych w

eleganckich, modnych salonach. Hathawayowie równie dobrze mogliby spróbować żyć pod wodą, jak należeć do tego wyrafinowanego towarzystwa. A jednak nie mieli wyboru - musieli spróbować.

Amelia zauważyła na skraju podmokłej doliny zatrząsienie rzeżuchy i podeszła, aby przyjrzeć się roślinie. Chwyciła całe naręcze i pociągnęła, a delikatne łodyżki ustąpiły.

- Cóż za obfitość rzeżuchy, prawda? Słyszałam, że można z niej zrobić pyszną sałatkę lub sos.

- Ma także właściwości lecznicze. Romowie mówią na nią panishok. Moja babka używała jej do okładów na rany i skręcenia. I można z niej zrobić potężny napój miłosny. Zwłaszcza dla kobiet.

- Słucham? - Delikatne zielone listki wypadły z jej pozbawionych czucia rąk.

- Jeśli mężczyzna pragnie pobudzić zainteresowanie kochanki, karmi ją rzeżuchą. To stymuluje...

- Proszę mi tego nie mówić! Proszę!

Rohan roześmiał się, w jego oczach zamigotał kpiący ognek.

Amelia upomniała go spojrzeniem, otarła dłonie z kilku zabłąkanych listków i ruszyła dalej. Cam podążył za nią.

- Proszę mi powiedzieć o swojej rodzinie. Ile was jest?

- Pięcioro. Leo, czyli lord Ramsay, jest najstarszy, ja następna, a po mnie jeszcze Winnifred, Poppy i Beatrix.

- Która z siostr choruje?

- Winnifred.

- Od urodzenia?

- Nie. Do zeszłego roku Win cieszyła się dobrym zdrowiem, ale zaraziła się szkarlatyną, która omal jej nie zabiła. - Amelia zawahała się, czując ucisk w gardle. - Przeżyła, dzięki Bogu, ale ma teraz bardzo słabe płuca. I tak mało sił, bardzo szybko się męczy. Lekarz twierdzi, że Win może już nigdy nie powrócić do zdrowia, bardzo prawdopodobne, że nie będzie mogła wyjść za mąż i zostać matką. - Rysy jej twarzy stwardniały. - Rzecz jasna, on się myli. Win będzie zdrowa.

- Niech Bóg ma w opiece każdego, kto stanie pani na drodze. Lubi pani rządzić cudzym życiem, prawda?

- Tylko jeśli jestem przekonana, że tak będzie lepiej dla tej osoby. Czemu się pan uśmiecha?

Rohan zatrzymał się i zmusił ją, aby się do niego odwróciła.

- Przez panią. Sprawia pani, że pragnę... - Urwał, jakby chciał jeszcze przemyśleć to, co zamierzał powiedzieć. Na jego wargach wciąż jednak błąkał się uśmiech.

Nie chciała, żeby Rohan tak na nią patrzył - sprawiał, że była spięta, zdenerwowana i oszołomiona. Wszystkimi zmysłami czuła, że jest to człowiek

na wskroś niegodny zaufania. Taki, który nie przestrzega żadnych reguł poza swoimi własnymi.

- Proszę mi powiedzieć, panno Hathaway, co by pani zrobiła, gdyby zaproszono panią w nocną podróż po lądach i oceanach? Wybrałaby pani przygodę czy została w bezpiecznym domu?

Nie mogła oderwać od niego wzroku. Jego topazowe oczy błyszczały figlarnie, lecz nie jak oczy niewinnego chłopca, tylko znacznie niebezpieczniej. Mogłaby bez trudu uwierzyć, że zaraz zmieni postać i jako puka pojawi się nocą pod jej oknem, aby unieść ją gdzieś daleko na skrzydłach północy...

- Zostałabym w domu, rzecz jasna - zdołała w końcu odpowiedzieć rozsądnym tonem. - Nie lubię przygód.

- A ja myślę, że pani lubi. Myślę, że w przypiływie słabości mogłaby pani zaskoczyć samą siebie.

- Nie miewam momentów słabości. Żadnego rodzaju, nigdy.

Jego śmiech otoczył ją jak obłok dymu.

- Wszystko przed panią.

Nie ośmieliła się zapytać, czemu jest tego taki pewien. Zakłopotana, utkwiała wzrok w swoich rękawiczkach. Czyżby Rohan z nią flirtował? Nie, zapewne z niej kpi, próbuje zrobić z niej głuptasa. Jeśli bała się czegokolwiek bardziej niż pszczoł, to właśnie tego.

Przypomniała sobie o poczuciu własnej godności, które tymczasem rozwiało się jak puch dmuchawca i zmarszczyła surowo brwi.

- Jesteśmy już prawie w Ramsay. - Wskazała linię dachu nad lasem. - Wolalabym przebyć ostatnią część drogi w samotności. Proszę przekazać hrabiemu, że bezpiecznie dotarłam do domu. Życzę miłego dnia, panie Rohan. Rzucił jej jedno z tych swoich wesołych, rozbrajających spojrzeń, skinął głową i stał, czekając, aby się upewnić, że jest bezpieczna. Z każdym krokiem Amelia powinna była czuć się spokojniejsza, ale napięcie nie ustępowało. Nagle usłyszała, że Rohan mruczy coś pod nosem, a w jego głosie pobrzmiwa rozbawienie. To brzmiało jak: „Pewnej nocy...”.



## Rozdział 6

Wieść o zaproszeniu na kolację do domu lorda i lady Westcliff spotkała się z całą gamą różnorodnych reakcji ze strony Hathawayów. Poppy i Beatrix były zachwycone i podekscytowane, a Win, która wciąż jeszcze nie odzyskała sił po męczącej podróży do Hampshire, przyjęła nowinę z rezygnacją. Leo nie mógł się już doczekać przydługiego posiłku, do którego na pewno podadzą doskonale wino.

Merripen z kolei stanowczo odmówił pójścia.

- Należysz do naszej rodziny - persadowała mu Amelia, obserwując, jak naprawiał poluzowane panele w jednym z pokoiów. Trzymał młotek pewnie i zręcznie, uderzając w wystający z brzegu deski gwoździ. - Nieważne, jak bardzo byś się starał zaprzeczyć wszystkim swoim związkom z Hathawayami, za co nie można cię winić, faktem jest, że należysz do rodziny i dlatego powinieneś pójść.

Merripen metodycznie wbił w ścianę jeszcze kilka gwoździ.

- Moja obecność nie będzie konieczna.

- Oczywiście, że nie będzie. Ale mógłbyś się dobrze bawić.

- Nie mógłbym - odparł z ponurą pewnością, kontynuując robotę.

- Dlaczego musisz być taki uparty? Jeśli się obawiasz, że źle cię potraktują, przypominam ci, że lord Westcliff gości już pod swoim dachem jednego Roma i wydaje się, że nie ma żadnych uprzedzeń...

- Nie lubię gadziów.

- Moja cała rodzina, to znaczy twoja rodzina to gadziowie. Czy chcesz powiedzieć, że nas nie lubisz?

Merripen nie odpowiedział i dalej pracował w milczeniu.

Amelia westchnęła ciężko.

- Merripen, jesteś okropnym snobem. A jeśli wieczór okaże się okropną katastrofą? Twoim obowiązkiem jest przetrwać go z nami.

Merripen sięgnął po kolejne gwoździe.

- To był sprytny argument - powiedział. - Ale i tak nie pójdę.

Prymitywna kanalizacja Ramsay House, marne oświetlenie i fatalny stan kilku nadających się do użycia lusterek znacznie utrudniły przygotowania do wizyty w Stony Cross. W kuchni grzała się woda w wielkiej kotle, a Hathawayowie kursowali z wiadrami po schodach w górę i w dół, aby napełnić balię. Wszyscy, z wyjątkiem Win, która odpoczywała w pokoju, oszczędzając siły na wizytę.

Amelia z niezwykłą dla siebie uległością poddała się zabiegom Poppy. Młodsza siostra uczesała jej włosy, splatając z tyłu grube warkocze i upinając

je w ciężki węzeł.

- Proszę - zawołała w końcu z radością Poppy. - Przynajmniej od uszu w górę będziesz modnie wyglądać.

Tak jak pozostałe panny Hathaway, Amelia miała na sobie praktyczną suknię z farbowanego na błękitno-surowego jedwabiu. Jej krój był bardzo prosty, niezbyt szeroka spódnica, a rękawy długie i wąskie.

Suknia Poppy uszyta była w podobnym stylu, lecz w kolorze czerwonym. Poppy była piękną dziewczyną, a jej śliczna twarz jaśniała żywą inteligencją. Gdyby o popularności decydowały przymioty ciała i duszy, a nie fortuna, Poppy byłaby gwiazdą londyńskich salonów. Zamiast tego mieszkała na wsi, w zrujnowanym domostwie, donaszała stare sukienki i dźwigała wodę i węgiel jak zwykła pokojówka. I nigdy na nic się nie skarżyła.

- Już wkrótce uszyjemy sobie nowe suknie - zapowiedziała szczerze Amelia, czując, jak jej serce ściska się z żalu. - Będzie lepiej, Poppy. Obiecuję.

- Mam nadzieję - odparła lekko dziewczyna. - Potrzebna mi prawdziwa suknia balowa, jeśli mam złapać bogatego męża, który pomoże naszej rodzinie.

- Przecież wiesz, że powiedziałam tak dla żartu. Nie musisz szukać bogatego męża. Ważne, żeby był dla ciebie dobry.

Poppy uśmiechnęła się szeroko.

- Cóż, musimy więc mieć nadzieję, że zamożność i dobroć mogą iść w parze, prawda?

Amelia również się uśmiechnęła.

- Zaiste.

Gdy wszyscy w końcu zebrali się w holu, Amelia odczuła jeszcze więcej wyrzutów na widok Beatrix w zielonej sukience do kostek i wykrochmalonym białym fartuszką - ubiorze stosownym dla dwunastolatki, nie piętnastoletniej panienki.

Amelia podeszła do brata.

- Koniec z hazardem, Leo - oświadczyła cicho. - Pieniądze, które przegrałeś u Jennera można byłoby przeznaczyć na suknie dla twoich młodszych sióstr.

- Na pewno wystarczyłoby ci pieniędzy, żeby zabrać dziewczęta do krawcowej - odparł chłodno Leo. - Nie rób ze mnie łajdaka, skoro ubieranie ich należy do twoich obowiązków.

Amelia zacisnęła zęby. Kochała brata, ale nikt tak jak on nie potrafił wyprowadzić jej z równowagi. Z rozkoszą wymierzyłaby mu mocny cios, żeby go w końcu otrzeźwić.

- Biorąc pod uwagę tempo, z jakim opróżniasz rodzinną kiesę, uznałam, że nie byłoby mądrze dokładać nasze zakupy do twoich szaleństw.

Siostry patrzyły na nich szeroko otwartymi oczami, bo sprzeczka przerodziła

się w prawdziwą kłótnię.

- Możesz sobie żyć jak sknera, ale ja nie zamierzam tego robić. Nie potrafisz cieszyć się chwilą, bo zawsze myślisz o jutrze. Cóż, dla niektórych z nas jutro nigdy nie nadejdzie!

Amelia poczuła palącą złość.

- Ktoś z nas musi myśleć o przyszłości, ty samolubny rozrzutniku!

- Powiedziała władcza jęcza...

Win stanęła pomiędzy nimi i położyła dłoń na ramieniu siostry.

- Sza, oboje. Nie ma sensu się kłócić, skoro wychodzimy. - Uśmiechnęła się do Amelii, a nikt nie potrafiłby się oprzeć temu uśmiechowi.

- Nie marszcz brwi, siostrzyczko. A jeśli ci tak zostanie?

- To pewne, jeśli nadal będę narażona na towarzystwo Leo.

Brat prychnął.

- Wygodnie jest zwać na mnie winę za wszystko, prawda? Gdybyś tylko umiała być wobec siebie szczerą, Amelio...

- Merripen - zawołała Win. - Czy powóz już gotowy?

Merripen w pomiętym ubraniu i z ponurą miną wszedł do holu. Uzgodniono, że odwiezie Hathawayów do rezydencji lorda Westcliffa, a potem ich stamtąd odbierze.

- Gotowy. - Gdy spojrzął na Win, jego mina stała się jeszcze bardziej ponura.

To ukradkowe spojrzenie było jak ostatni element łamigłówki, którą w końcu Amelii udało się rozwiązać. Merripen nie chciał uczestniczyć w kolacji, bo postanowił unikać spotkań towarzyskich z Win. Pragnął zachować pomiędzy nimi odpowiedni dystans, chociaż nie przestawał się martwić o jej zdrowie.

Amelia obawiała się, że Merripen, który nigdy nie okazywał emocji, może żywić silne, skrywane uczucia do jej siostry. Win była taka delikatna i subtelna, za bardzo się od niego różniła. A on o tym wiedział.

Amelia pełna współczucia wsiadła do powozu.

Jechali w milczeniu dębową aleją do Stony Cross. Dotychczas rzadko mieli okazję widywać posiadłości tak zadbane i imponujące. Każdy liść na każdym drzewie wydawał się rosnać w ściśle określonym miejscu. Dom, otoczony ogrodami i sadami, które płynnie przechodziły w gęsty las, wyrastał z ziemi niczym uśpiony olbrzym. Cztery wyniosłe wieże narożne wyznaczały oryginalny kształt budowli w stylu europejskim, do której przez wieki dodawano kolejne elementy, tworząc przyjemną dla oka asymetrię. Z upływem czasu miodowe fasady pokryły się patyną. Rezydencja otoczona była wysokim, idealnie przystrzyżonym żywopłotem.

Przed domem rozpościerał się rozległy dziedziniec, po bokach którego znajdowały się stajnie. Fasadę stajni zdobiły szerokie kamienne łuki. Posiadłość Stony Cross wydawała się doprawdy godna królów. I z tego, co

było wiadomo o lordzie Westcliffie, należało przypuszczać, że jego drzewo genealogiczne jest nawet bardziej imponujące niż rodowód królowej.

Zanim powóz zatrzymał się w końcu przed wejściem do pałacu, Amelia zaczęła już marzyć, żeby ten wieczór dobiegł końca. W tak majestatycznym otoczeniu wszelkie potknięcia Hathawayów jeszcze bardziej będą się rzucały w oczy. Będą wyglądać nie lepiej niż banda włóczęgów. Spojrzała na rodzeństwo. Win przybrała swą zwykłą maskę niewzruszonego spokoju, a Leo miał nieco znudzony, obojętny wyraz twarzy - takiej miny na pewno nauczył się od nowych znajomych u Jennera. Najmłodsze siostry z trudem panowały nad żywiołowym entuzjazmem i na ten widok Amelia się uśmiechnęła. Może przynajmniej dziewczęta będą się dobrze bawić, a Bóg jeden wiedział, jak na to zasługiwały.

Merripen pomógł siostrom wysiąść z powozu. Leo wynurzył się z niego ostatni. Gdy tylko stanął na ziemi, Merripen, mrużąc pod nosem, upomniał go, aby miał szczególne baczenie na Win. Leo popatrzył na niego gniewnie. Znoszenie krytycznych uwag Amelii było dla niego wystarczająco trudne, nie miał zamiaru wysłuchiwać pouczeń również od Merripena.

- Jeśli tak się o nią bardzo martwisz - odparł cicho Leo - to wejźdź do środka i sam baw się w niańkę.

Merripen zmrużył powieki, ale nic nie odpowiedział.

Związku tych dwóch mężczyzn nie można było określić mianem braterskiego, zawsze jednak odnosili się do siebie z chłodną serdecznością.

Merripen nigdy nie próbował zająć miejsca drugiego syna, choć wszyscy wiedzieli, jak ciepłymi uczuciami darzą go państwo Hathawayowie. Ilekroć zaistniała sytuacja, która mogłaby doprowadzić do rywalizacji, Merripen się wycofywał. Leo zawsze był wobec niego uprzejmy i liczył się z jego opinią, nawet jeśli ich poglądy się różniły.

Gdy Leo zachorował na szkarlatynę, Merripen pielęgnował go z cierpliwością i poświęceniem, przewyższającym nawet starania Amelii. Potem powiedziała zresztą bratu, że to Merripenowi zawdzięcza życie. Zamiast wdzięczności jednak Leo odczuwał chyba gniew.

Proszę cię, proszę, Leo, nie zachowuj się jak prostak, chciała mu szepnąć Amelia, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język i razem z siostrami podeszła do rześńście oświetlonego wejścia do Stony Cross Manor.

Masywne podwójne drzwi otwierały się na ogromny hol, ozdobiony bezcennymi gobelinami. Marmurowa klatka schodowa wiodła do wysokiej galerii na drugim piętrze. Nawet najdalsze kąty i korytarze były oświetlone potężnymi kryształowymi żyrandolami.

O ile otoczenie rezydencji było zadbane, o tyle jej wnętrza nie można by określić inaczej niż nieskazitelne, ponieważ wszystko wokół błyszczało jak wypolerowane. Atmosfery swobodnego splendoru nie zakłócały żadne nowoczesne elementy ani ostre kontrasty.

Tak właśnie, pomyślała posepnie Amelia, powinien wyglądać Ramsay House.

Służący odebrali od nich rękawiczki i kapelusze, a gospodyni w podeszłym wieku zaanonsowała przybycie gości. Amelia natychmiast skierowała całą uwagę na lorda i lady Westcliff, którzy zmierzali przez hol, aby ich powitać.

Lord Westcliff, ubrany w doskonale skrojony strój wieczorowy, poruszał się ze swobodną pewnością siebie, która znamionowała wytrawnego sportsmena. Na jego twarzy malowała się spokojna stanowczość; jego surowe rysy nie były klasycznie piękne, lecz robiły wrażenie. Wszystko w jego wyglądzie świadczyło o tym, że jest to człowiek wiele wymagający od innych, lecz jeszcze więcej od siebie.

Nie ulegało wątpliwości, że ktoś o jego pozycji wybierze sobie doskonałą angielską żonę, kobietę, którą od narodzin ćwiczą w chłodnej powściągliwości. Jakież było więc zdziwienie Amelii, gdy hrabina przemówiła do nich z wyraźnym amerykańskim akcentem, a słowa tak szybko wypływały z jej ust, jak gdyby w ogóle nie myślała nad tym, co chce powiedzieć.

- Nawet sobie nie wyobrażacie, jak bardzo marzyłam o nowych sąsiadach. W Hampshire czasami dopada mnie nuda. Wy, Hathawayowie, nadacie się w sam raz. - Zaskoczyła Leo, wyciągając rękę i potrząsając jego dłonią, tak jak zazwyczaj witali się mężczyźni. - Lordzie Ramsay, bardzo mi miło.

- Sługa unizony, milady. - Leo sam nie wiedział, co myśleć o tej kobiecie.

Amelia zareagowała automatycznie na podobny uścisk dłoni. Ucisnęła wyciągniętą rękę energicznie, patrząc prosto w migdałowe oczy koloru pierników.

Lilian, lady Westcliff, była młoda, szczupła i wysoka, miała lśniące czarne włosy, urocze rysy twarzy i ujmujący uśmiech. W przeciwieństwie do męża wręcz promieniowała swobodną życzliwością, którą od razu zjednywała sobie ludzi.

- A pani to Amelia, ta, do której wczoraj strzelano?

- Tak, milady.

- Taka jestem szczęśliwa, że hrabia pani nie zamordował. Rzadko chybia celu, wie pani.

Hrabia skwitował tę zuchwałość lekkim uśmiechem, jakby był do niej w pełni przyzwyczajony.

- Nie celowałem do panny Hathaway - oznajmił spokojnie.

- Mógłbyś jednak znaleźć sobie mniej niebezpieczne hobby - zasugerowała lady Westcliff. - Obserwowanie ptaków. Kolekcjonowanie motyli. Coś bardziej nobliwego niż detonacje i wybuchy.

Amelia spodziewała się, że hrabia zmarszczy brwi, słysząc tę

lekceważącą opinię, ale on tylko popatrzył na małżonkę z rozbawieniem. A gdy jego żona skierowała swoją uwagę na pozostałe panny Hathaway, spojrział na nią z ciepłą fascynacją. Ich wzajemne uczucie było dla wszystkich widoczne.

Amelia przedstawiła niekonwencjonalnej hrabinie swoje siostry. Na szczęście wszystkie trzy pamiętały o dygnicji i uprzejmie odpowiadały na bezpośrednie pytania, czy lubią jeździć konno, tańczyć, czy próbowały już lokalnych serów, czy dzielają niechęć pani domu do oślizgłych angielskich przysmaków, takich jak węgore i galaretka z nozek.

Śmiejąc się ukradkiem z pociesznej miny lady Westcliff, siostry Hathaway weszły za nią do salonu, gdzie zebrało się już ponad dwadzieścia osób zaproszonych na kolację.

- Lubię ją - szepnęła Poppy do Beatrix. - Myślisz, że wszystkie Amerykanki są tak pełne fantazji?

Pełna fantazji... Tak, to określenie zdecydowanie pasowało do lady Westcliff.

- Panno Hathaway - zwróciła się hrabina do Amelii tonem przyjacielskiej troski - hrabia uważa, że Ramsay House był niezamieszany tak długo, że musi tam panować kompletny chaos.

Odrobinę zaskoczona taką bezpośredniością, Amelia stanowczo pokręciła głową.

- Och, nie, chaos to zbyt mocne słowo. Należy tylko porządnie posprzątać, dokonać kilku drobnych napraw i... - Urwała, czując się niezręcznie.

Spojrzenie lady Westcliff było pełne szczerego współczucia.

- Aż tak źle?

Amelia lekko wzruszyła ramionami.

- Ramsay House wymaga wiele pracy - przyznała w końcu. - Ale ja się jej nie boję.

- Jeśli będzie pani potrzebować pomocy lub rady, Westcliff ma do dyspozycji nieograniczone środki. Może pani powiedzieć, gdzie znaleźć...

- Jest pani bardzo miła, milady - odparła pospiesznie Amelia - ale nie chcielibyśmy włączać państwa w nasze domowe sprawy. - Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowali Hathawayowie, była opinia biedaków i żebraków.

- Chyba nie uda się pani uniknąć naszego zaangażowania - odparła lady Westcliff, uśmiechając się szeroko. - Znalazła się pani w sferze wpływów Westcliffa, co oznacza, że otrzyma pani rady, czy się to pani podoba, czy nie. A najgorsze jest to, że większość z nich będzie naprawdę słuszna. - Lilian posłała mężowi czułe spojrzenie. Lord Westcliff stał w grupie panów po drugiej stronie salonu.

Gdy tylko poczuł, że żona na niego patrzy, odwrócił głowę. Przekazała mu jakąś wiadomość bez słów, na którą odpowiedział szybkim, prawie

niezauważalnym mrugnięciem.

Lady Westcliff stłumiła śmiech i odwróciła się do Amelii.

- We wrześnie minie cztery lata, odkąd się pobraliśmy - powiedziała nieco zmieszana. - Powinnam pewnie przestać już wodzić za nim wzrokiem, ale jakoś nie mogę. - W jej ciemnych oczach błysnęła figlarność. - Przedstawię pani kilkoro z naszych gości. Proszę mi powiedzieć, kogo chciałaby pani poznać najpierw.

Wzrok Amelii przesunął się z hrabiego na otaczających go mężczyzn. Na widok Cama Rohana przeszedł ją dreszcz. Był odziany w czerń i biel, tak jak inni dżentelmeni, ale cywilizowane eleganckie wieczorowe ubranie tylko podkreślało jego egzotyczny urok. Jego czarne, błyszczące jak jedwab włosy, skręcające się w loki nad wykrochmalonym białym kołnierzykiem, smagła twarz i tygrysie oczy sprawiały, że wyglądał w tym promieniującym bogactwem otoczeniu zupełnie nie na miejscu. Gdy ujrzał Amelię, uklonił się nisko, na co odpowiedziała sztywnym skinieniem głowy.

- Oczywiście, poznała już pani pana Rohana - skomentowała lady Westcliff, obserwując tę wymianę uprzejmości. - Niezwykle interesujący mężczyzna, nie sądzi pani? Taki czarujący i uprzejmy, a tylko na wpół cywilizowany, co bardzo mi się podoba.

- Ja... - Amelia z wysiłkiem oderwała wzrok od Rohana, jej serce zaczęło uderzać mocniej. - Na wpół cywilizowany?

- Och, wie pani, chodzi mi o te zasady postępowania arystokracji, przestrzeganie reguł tak zwanego dobrego wychowania. Pan Rohan nie przejmuje się większością z nich. - Lady Westcliff uśmiechnęła się radośnie. - Ja też nie, w zasadzie.

- Jak długo zna pani pana Rohana?

- Od chwili, w której lord St. Vincent przejął ów dom gry. Pan Rohan stał się wtedy kimś w rodzaju protegowanego i St. Vincenta, i Westcliffa. - Roześmiała się. - To tak, jakby mieć diabła na jednym, a anioła na drugim ramieniu. Rohan radzi sobie całkiem nieźle z nimi oboma.

- Dlaczego poświęcili mu tyle uwagi?

- To niezwykle człowiek. Nie jestem pewna, czy ktokolwiek wie, co o nim myśleć. Według Westcliffa Rohan ma zupełnie wyjątkowy umysł. A przy tym jest przesądny i nieprzewidywalny. Słyszała pani o jego szczęśliwym zakłęciu?

- O czym?

- Nieważne, co robi Rohan, i tak ciągnie z tego potężne zyski. Nawet jeśli z całych sił stara się stracić. Twierdzi, że to źle, aby jeden człowiek posiadał tak wiele.

- To poglądy Cyganów - odrzekła Amelia. - Oni nie wierzą w gromadzenie dóbr.

- Tak. Cóż, jestem z Nowego Jorku, więc nie do końca rozumiem ten

punkt widzenia, ale właśnie o to chodzi. Wbrew swojej woli pan Rohan otrzymał udziały w dochodach klubu. Nieważne, ile pieniędzy odda na cele dobroczynne, w jak szalone przedsięwzięcia zainwestuje wszystko zwraca się mu z nawiązką. Najpierw kupił starego koma wyścigowego z krótkimi nogami, Małego Dandysa, a ten w kwietniu zeszłego roku wygrał Grand National.' Potem było to gumowe fiasko, a...

- Przepraszam, co?

- We wschodnim Londynie działała niewielka manufaktura gumy. Była na krawędzi bankructwa, gdy Rohan zainwestował w nią znaczące środki. Wszyscy, nawet lord Westcliff, mu to odradzali, tłumacząc, że straci wszystko co do pensa...

- Co było jego zamiarem...

- Właśnie. Ale ku zdumieniu Rohana stało się inaczej. Zarządca wykorzystał te pieniądze do uzyskania praw patentowych do procesu wulkanizacji i wynaleźli te małe, rozciągliwe kółka z gumy, które nazywa się recepturkami. Firma odniosła oszałamiający sukces. Przykłady można by mnożyć, ale to cały czas wariacja na ten sam temat: pan Rohan wyrzuca pieniądze w błoto, a te wracają do niego pomnożone dziesięciokrotnie.

- Nie nazwałabym tego zaklęciem.

- Ani ja. - Pani domu roześmiała się cicho. - Ale pan Rohan jest innego zdania. To czyni całą tę sprawę tak zabawną. Powinna była pani widzieć, jak dąsał się całe przedpołudnie, po tym gdy odebrał ostatni raport od jednego ze swoich maklerów. Same dobre wieści. Dosłownie zgrzytał zębami.

Lady Westcliff ujęła Amelię pod ramię i poprowadziła ją na drugą stronę salonu.

- Dziś wieczorem nie ma u nas zbyt wielu dżentelmenów do wzięcia, ale obiecuję, że odwiedzi nas cały ich tłum podczas sezonu. Wszyscy przyjeżdżają tu, aby polować i łowić ryby, i zazwyczaj w stosunku do dam stanowią znaczącą większość.

- Cieszę się - odparła Amelia. - Mam nadzieję, że moje siostry znajdą odpowiednich kandydatów na mężów.

- A pani?

- Nie, ja nie marzę o zamążpójściu.

- Dlaczego?

- Mam obowiązki wobec rodziny. Potrzebują mnie. A poza tym z niechęcią poddałabym się dyktatowi męża - dodała szczerze Amelia po chwili milczenia.

- Miałam podobne odczucia. Ale muszę panią ostrzec, panno Hathaway... Życie często miesza nam szyki. Przemawia przeze mnie doświadczenie.

Amelia uśmiechnęła się bez przekonania. Dla niej była to po prostu kwestia priorytetów. Poświęci cały swój czas i energię, aby stworzyć dom



rodzeństwu i doprowadzi ich do szczęśliwych związków. Będzie miała mnóstwo bratanków, siostrzeńców i siostrzenic, a Ramsay House wypełni się istotami, które będzie mogła kochać.

Żaden mąż nie mógłby ofiarować jej więcej.

Kątem oka zauważyła zbliżającego się ku nim brata, na którego twarzy malował się przedziwny wyraz, a raczej brak wyrazu, co oznaczało zazwyczaj, że Leo próbuje ukryć silne wewnętrzne przeżycia. Podszedł do nich, wymienił kilka uprzejmości z lady Westcliff i kiwnął uprzejmie głową, gdy pani domu przeprosiła ich, aby powitać zaawansowanego wiekiem gościa, który właśnie się pojawił.

- Co się stało? - szepnęła Amelia, gdy Leo ujął ją pod rękę. - Wyglądasz, jakbyś właśnie połknął zmurszały korek.

- To nie najlepsza chwila, aby obrzucać się zniewagami. - Spojrzał na nią z taką troską, że aż ją to zdumiało. Jego głos był cichy i stanowczy. - Trzymaj się dzielnie, siostrzyczko, jest tu ktoś, kogo nie chciałabyś spotkać. I właśnie zmierza w naszą stronę.

Amelia wywróciła oczami.

- Jeśli masz na myśli pana Rohana, zapewniam cię, że doskonale...

- Nie, nie Rohana. - Objął ją w pasie, jakby przewidywał, że będzie tego potrzebowała.

I wtedy zrozumiała.

Zanim odwróciła głowę, aby spojrzeć na zmierzającego ku nim mężczyznę, pojęła, dlaczego Leo tak dziwnie zareagował i nagle poczuła jednocześnie chłód, żar i niepokój. A gdzieś pod tymi wszystkimi emocjami czaiła się cicha rezygnacja.

Zawsze przecież wiedziała, że któregoś dnia znów stanie twarzą w twarz z Christopherem Prostem.

Był sam - pewna ulga, bo przecież na pewno spodziewano się, że będzie zabierał ze sobą wszędzie swoją nowo poślubioną żonę. A Amelia była przerażająco pewna, że nie zniosłaby powitania z kobietą, dla której Christopher ją porzucił. Stała więc sztywno przy bracie i rozpaczliwie starała się wyglądać jak kobieta niezależna, która powita swego dawnego ukochanego z uprzejmą obojętnością. Wiedziała jednak, że nie uda jej się ukryć bladości, która powlokła jej twarz. Czuła, jak cała krew z żył spływa nagle prosto do jej przeciążonego serca.

Gdyby życie było sprawiedliwe, Frost wydałby jej się niższy, mniej przystojny i mniej atrakcyjny, niż go pamiętała. Jak zwykle jednak życie okazało się nie fair. Był równie szczupły, pełen wdzięku i dobrze wychowany jak zawsze. Miał takie same uważne niebieskie oczy i gęste włosy, zbyt ciemne, aby był blondynem, i zbyt jasne dla bruneta. Jego lśniąca grzywa mieniła się wszystkimi odcieniami brązu.

- Mój stary znajomy - powiedział Leo.

W jego głosie nie było jawnej nienawiści, ale nie było też radości ze spotkania. Ich przyjaźń przestała istnieć w chwili, w której Frost zostawił Amelię. Leo miał wady, to pewne, ale nigdy nie był nielojalny.

- Witam, lordzie Ramsay - odparł Frost cicho, kłaniając się obojgu. - Panno Hathaway, witam panią. - Chyba niełatwo było mu spojrzeć jej w oczy. Bóg jeden wie, ile ona włożyła w to wysiłku. - Minęło tak wiele czasu...

- Nie dla wszystkich - rzucił Leo, nawet się nie skrzywiwszy, gdy Amelia ukradkiem wbiła mu obcas w stopę. - Jest pan gościem lorda Westcliffa?

- Nie, odwiedzam starych przyjaciół rodziny. Są właścicielami wiejskiego zajazdu.

- Jak długo pan tu zabawi?

- Nie mam konkretnych planów. Mierzę się z kilkoma zleceniami i jednocześnie rozkoszuję się wiejskim zaciszem. -Jego wzrok na chwilę zabłądził w kierunku Amelii, a potem wrócił do Leo. - Wysłałem list, milordzie, gdy dowiedziałem się, że odziedziczył pan tytuł.

- Otrzymałem go - odparł lekceważąco Leo - ale doprawdy nie pamiętam treści.

- Coś na temat tego, że choć cieszę się z pańskiego szczęścia, to jednak przykro mi, że tracę tak znakomitego rywala. Pan zawsze pobudzał mnie do sięgania poza granice moich zdolności.

- Tak - zauważył Leo zgryźliwie. - Świat architektów poniósł wielką stratę.

- To prawda - zgodził się Frost bez śladu ironii i znów przeniósł wzrok na Amelię. - Mogę zauważyć, że wygląda pani doskonale, panno Hathaway? Jakie to dziwne, pomyślała Amelia w oszołomieniu, że kiedyś byłam w nim zakochana, a teraz prowadzimy taką uprzejmą obojętną rozmowę. Nie kochała go już, a jednak wspomnienia o nim, o jego pocałunkach i pieszczotach poruszały każdą jej myśl i emocję. Były jak poplamiona herbata wstążka. Takich śladów nie da się usunąć. Pamiętała bukiet róż, który jej kiedyś ofiarował... Wyjął jeden kwiat i gładził płatkami jej policzki i rozchylone wargi, uśmiechając się na widok szkarłatnego rumieńca Amelii. „Moja miłości”, szeptał...

- Dziękuję - powiedziała. - Czy w zamian mogę panu pogratulować małżeństwa?

- Niestety, gratulacje byłyby bezpodstawne - odrzekł powoli Frost. - Ślub się nie odbył.

Dłoń Leo zacisnęła się mocniej na talii Amelii. Oparła się lekko o brata i na chwilę odwróciła głowę, niezdolna wykrztusić słowa. On nie ma żony! W jej myślach zapanował chaos.

- To ona odzyskała rozum - zapytał Leo - czy ty?

- Dla nas obojga stało się oczywiste, że nie pasujemy do siebie tak

dobrze, jak byśmy sobie tego życzyli. Była na tyle wspaniałomyślna, aby zwolnić mnie z danego słowa.

- Wyrzucono cię z pracowni? Czy też może nadal pracujesz u jej ojca?

- Leo - zaprotestowała Amelia szeptem. Podniosła głowę i zobaczyła na twarzy Frosta kpiący uśmiezek. Jej serce ścisnęło się na ten znajomy widok.

- Nigdy nie przebierałeś w słowach, prawda? Tak, nadal pracuję u Temple'a. - Znów spojrzał na Amelię, dostrzegając jej kruchą ostrożność. - Miło było znów panią spotkać, panno Hathaway.

Gdy Frost odszedł, zachwiała się lekko i odwróciła do brata.

-Leo, byłabym zobowiązana, gdybyś zdobył się choćby na odrobinę dobrych manier.

- Nie wszyscy możemy być tak uprzedzająco grzeczni jak twój pan Frost.

- To nie jest mój pan Frost. Nigdy nie był mój.

- Zaslugujesz na znacznie więcej. Pamiętaj o tym, kiedy znów zaczniesz się kręcić koło ciebie.

- Nie zaczniesz - odparła Amelia, wstydząc się tego, jak jej serce pomimo wyćwiczonej obojętności zareagowało na widok ukochanego.

## Rozdział 7

Tuż przed przybyciem Hathawayów kapitan Swansea, który przez cztery lata służył w Indiach, uraczył gości opowiadką o tygrysim polowaniu w Vishnupur. Tygrys dopadł cętkowanego jelenia, powalił go na ziemię i zacisnął mu kły na karku. Damy i nawet kilku dżentelmenów skrzywiło się i wydało okrzyk przerażenia, słysząc, jak drapieżca pożerał swoją ofiarę, która nadal żyła. - Cóż za okropna bestia! - westchnęła jedna z pań. Gdy tylko Amelia pojawiła się na progu bawialni, Cam uznał, że absolutnie rozumie tygrysa. Niczego bardziej nie pragnął, niż wgryźć się w delikatny kark tej młodej kobiety i zaciągnąć ją w jakieś odosobnione miejsce, gdzie mógłby się nią raczyć godzinami. Amelia w prostej sukience i bez klejnotów wyróżniała się spośród tłumu wymyślnie ubranych kobiet. Chciał zostać z nią sam na sam, w cichym zakątku, i móc błądzić dłońmi po całym jej ciele. Oczywiście rozumiał doskonale, że nie powinien nawet sobie wyobrazić przyzwoitej młodej damy w takiej sytuacji.

Obserwował pełną napięcia rozmowę, którą prowadzili Amelia, lord Ramsay i architekt, pan Christopher Frost. Nie mógł usłyszeć słów, ale z zachowania całej trójki, z tego, jak Amelia dyskretnie szukała w bracie oparcia, odgadł wystarczająco dużo. Było jasne, że Amelię i Frosta łączy jakaś historia z przeszłości... i to nie taka z pomyślnym zakończeniem. Zapewne nieszczęśliwy romans, pomyślał. Wyobraził sobie razem tych dwoje, Amelię i Frosta, i zirytowało go to znacznie bardziej, niżby sobie życzył. Próbuąc stłumić przypływ niezdrowej ciekawości, z trudem oderwał wzrok od tamtych trojga.

Cam westchnął ciężko, przewidując długą, nijaką kolację, niekończące się dania i płytką konwersację przy stole. Już dawno temu zgłębił zasady rządzące takimi sytuacjami, znał sztywne granice tego, co stosowne. Z początku uważał to za interesującą grę i z zaciekawieniem studiował zachowanie uprzywilejowanych nieznajomych. Ale z czasem znudził się badaniem świata gadziów. Większość z nich nie życzyła sobie jego obecności we własnym kręgu, z czym zresztą obie strony się zgadzały. Nie było chyba jednak dla niego innego miejsca niż peryferie tego świata.

Wszystko zaczęło się mniej więcej dwa lata wcześniej, gdy St. Vincent rzucił mu niedbale książeczkę bankową.

- Założyłem ci konto w Londyńskim Towarzystwie Bankowo-Inwestycyjnym - oznajmił. - Mają siedzibę na Fleet Street. Co miesiąc będę ci tam przysyłać twój procent od dochodów z Jennera. Zarządzaj nimi, jak uznasz za stosowne, chyba że wolisz, aby wyręczyli cię w tym bankierzy.

- Nie chcę procentu od dochodów - powiedział Cam, kartkując książeczkę bez zainteresowania. - Wystarczy mi pensja.

- Twoja pensja nie pokryłaby moich rocznych wydatków na pucybuta.

- A mnie wystarczy. Zresztą nie wiedziałbym, co z tym robić. - Przeraziły go liczby, odzwierciedlające saldo jego rachunku. Skrzywił się i rzucił książeczkę na stół. - Możesz to sobie zabrać.

Mina St. Vincenta wyrażała rozbawienie i zaskoczenie.

- Do cholery, człowieku, jestem teraz właścicielem tej budy i nie pozwolę, aby mówiono, że nędznie płacę. Nie zniósłbym, gdyby ktoś nazwał mnie kutwą.

- Nieraz gorzej cię nazywano - wytknął mu Cam.

- Nie mam nic przeciwko epitetom, na które zasługuję. I dosyć często się zdarza, że ktoś obrzuca mnie wyzwiskami, to jasne. - St. Vincent popatrzył na Cama z namysłem. I w przebłysku przekłętej intuicji, o którą trudno by podejrzewać tego niedawnego lekkoducha, dodał: - To nic nie znaczy, przecież wiesz. To cię nie czyni gorszym Romem. Co za różnica, czy płacę ci w funtach, zębach wieloryba czy muszelkach?

- Poszedłem już na zbyt wiele ustępstw. Odkąd zamieszkałem w Londynie, tkwię w jednym miejscu, mam dach nad głową, chodzę w ubraniach gadziów, pracuję za pieniądze. Na tym jednak koniec.

- Ja tylko założyłem ci rachunek inwestycyjny, Rohan - odparł kwaśno St. Vincent. - Nie podarowałem ci ziemi.

- Wolałbym chyba kompost. Przynajmniej by się na coś przydał.

- Aż boję się zapytać, ale zżera mnie ciekawość... co to jest ten kompost?

- Nawóz.

- Ach. Ujmijmy to więc inaczej: pieniądze to tylko odmiana kompostu.

- St. Vincent wskazał ręką wzgardzoną książeczkę bankową. - Zrób z tym coś. Co tylko chcesz. Chociaż ja nie nawoziłbym tym ziemi.

Cam zdecydował więc, że pozbedzie się swojego kapitału co do pensa i rozpoczął serię szalonych inwestycji. Dopadło go jednak „szczęśliwe zakłęcie”. Jego rosnąca fortuna otworzyła przed nim drzwi, które nigdy nie powinny były się przed nim otworzyć. A gdy raz przekroczył ów próg, zaczął się zachowywać i myśleć w sposób, który nie był dla niego normalny. St. Vincent się mylił - pieniądze sprawiły, że z każdym dniem coraz mniej był Romem.

Zaczął zapominać: słowa, opowieści, piosenki, które kołysały go do snu, gdy był dzieckiem. Z trudem przypominał sobie smak pierożków z migdałami gotowanych w mleku, gulaszu z octem i liśćmi mlecza. Twarze krewnych zacierały się w jego pamięci. Nie był pewien, czy w ogóle by poznał swoich bliskich, gdyby ich teraz spotkał. I dlatego zaczął się obawiać, że nie jest już Romem. Kiedy ostatnio spał pod gołym niebem? Towarzystwo

przeniosło się do jadalni. Nieoficjalny charakter spotkania oznaczał, że nie trzeba było siadać przy stole zgodnie z zasadami dobrego tonu. Zastęp lokajów odzianych w czerni, błękit i musztardową żółć podszedł do gości, aby odsunąć krzesła, nalać wina i wody. Długi stół był przykryty nieskazitelnie białym obrusem. Każde nakrycie skrzyło się srebrem i było otoczone masą kryształowych pucharów różnej wielkości.

Cam przybrał na twarz maskę obojętności, gdy okazało się, że został posadzony obok małżonki pastora, którą poznał podczas swoich poprzednich wizyt w Stony Cross Park. Pastorowa bała się go śmiertelnie. Ilekroć na nią spojrzał czy próbował ją zagadnąć, zaczynała się krztusić. Prychała jak imbryk ze źle dopasowaną pokrywką.

Bez wątpienia nasłuchiwała się opowieści o Cyganach, którzy porywają dzieci, rzucają klątwy na ludzi i w przypływie zwierzęcej żądzy atakują bezbronne kobiety. Cama kusilo wręcz, aby ją zapewnić, że on z zasady nie porywa ani nie gwałci dziewczic przed drugim daniem. Milczał jednak i próbował wyglądać tak niewinnie, jak tylko był w stanie, podczas gdy jego sąsiadka kuliła się na krześle i ze sztucznym ożywieniem prowadziła rozmowę ze swoim towarzyszem po lewej stronie.

Na szczęście odwróciwszy głowę w prawo, Cam spojrzał prosto w błękitne oczy Amelii Hathaway. Usadzono ich obok siebie. Poczul obezwładniającą radość. Jej włosy lśniły jak atlas, oczy błyszcząły, a skóra wyglądała jak śmietanka z cukrem. Na pewno tak by smakowała. Jej naturalna subtelna twarz była po stokroć bardziej pociągająca niż pokryte pudrem i różem wyrafinowane oblicza innych kobiet.

- Jeśli stara się pan wyglądać potulnie i cywilizowanie, to z przykrością stwierdzam, że nie bardzo to panu wychodzi - oznajmiła Amelia.

- Zapewniam panią, że jestem całkowicie nieszkodliwy.

Uśmiechnęła się sceptycznie.

- Na pewno chciałby pan, aby wszyscy tak myśleli.

Rozkoszował się jej lekkim, świeżym zapachem i czarującym dźwiękiem głosu. Pragnął dotknąć gładkiej skóry jej policzków i szyi. Zamiast tego tkwił bez ruchu i obserwował, jak układała sobie na kolanach serwetkę.

Podszedł lokaj, aby napełnić winem ich kieliszki. Cam zauważył, że Amelia co chwila rzuca ukradkowe spojrzenia rodzeństwu - jak kwoka, której kurczęta rozbiegły się w różne strony. Nawet brat, siedzący tylko dwa miejsca dalej, był obiektem jej nieustannej troski. Zesztywniała, gdy zauważyła Christophera Frosta, którego posadzono bliżej końca stołu. Ich oczy się spotkały, a wtedy zadrżała lekko. Ten człowiek wręcz ją hipnotyzował. Wyraźnie było widać, że nadal istnieje pomiędzy nimi jakieś przyciąganie. I sądząc z wyrazu twarzy Frosta, ów mężczyzna nie miałby nic przeciw temu, by odnowić ich dawną znajomość.

Całą siłą woli, a jej zasoby były coraz mniejsze, Cam powstrzymywał

się, aby nie rzucić w tamtego widelcem. To on pragnął uwagi Amelii. Całej.

- Gdy usiadłem przy stole podczas mojej pierwszej oficjalnej kolacji w Londynie, byłem przekonany, że wyjdę z niej głodny - oznajmił.

Ku jego ogromnej satysfakcji Amelia natychmiast się doń odwróciła, koncentrując się wyłącznie na nim.

- Dlaczego?

- Bo myślałem, że tych małych talerzyków z boku używa się do głównego dania. Co oznaczało, że raczej się nie najem.

Amelia roześmiała się serdecznie.

- Musiał odczuć pan ogromną ulgę, gdy wniesiono duże talerze.

Cam pokręcił przecząco głową.

- Byłem zbyt zajęty uczeniem się reguł obowiązujących przy stole.

- Takich jak?

- Usiądź, gdzie ci każą, nie rozmawiaj o polityce i potrzebach fizjologicznych, pij zupę z brzegu łyżki, nie zastępuj widelca wykałaczką i nigdy nie częstuj sąsiada kaskami ze swojego talerza.

- Romowie dzielą się jedzeniem ze swoich talerzy? Obrzucił ją długim spojrzeniem.

- Gdybyśmy jedli tak jak Cyganie, siedzielibyśmy przy ognisku, a ja podsuwałbym pani najdelikatniejsze kawałki mięsa. Chleb bez skórki. Najśłodsze owoce.

Amelia zaczerwieniła się lekko i sięgnęła po kieliszek. Ostrożnie upiła łyk wina i powiedziała, nie patrząc na Cama:

- Merripen rzadko rozmawia z nami o takich rzeczach. Od pana dowiedziałam się dziś chyba teraz więcej niż od niego w ciągu ostatnich dwunastu lat.

Merripen... ten małomówny chał, który towarzyszył jej w wyprawie do Londynu. Cam nie mylił się, dostrzegając swobodną poufałość, z jaką się traktowali, która zdradzała, że Merripen jest dla niej kimś więcej niż sługą.

Zanim zdołał o to zapytać, wniesiono zupę. Lokaje w idealnej harmonii prezentowali zebranym ogromne parujące wazy z zupą rybną z limonką i koprem, zupą z pokrzyw z serem i kminkiem, zupą z rzeżuchy z mięsem z bażanta i zupą grzybową z kroplą gęstej śmietany i brandy.

Cam zdecydował się na zupę z pokrzyw i gdy tylko służący napełnił nią płytką miseczkę z porcelany, odwrócił się, aby znów porozmawiać z Amelią. Ku jego rozczarowaniu okazało się jednak, że zaanektował ją drugi sąsiad, opisujący swoją kolekcję fajansu z Dalekiego Wschodu.

Cam dokonał szybkiego przeglądu toczonych wokół dyskusji - wszystkie dotyczyły przyziemnych spraw. Czekał cierpliwie, aż żona pastora oderwie wzrok od zupy. Gdy podniosła łyżkę do swoich papierowych ust, zauważyła, że Cam się jej przygląda. Chrząknęła głośno, a łyżka zadrżała jej w dłoni.

Próbował wymyślić temat, który mógłby ją zainteresować.

- Gojnik - oznajmił w końcu stanowczo.

W oczach pastorewej błysnął strach, a jej szyja zaczęła widocznie pulsować. -G-g-g...-szepnęła.

- Gojnik, korzeń lukrecji i miód. Pomoże pani odkrztusić tę flegmę. Moja babka była zielarką, wiele mnie nauczyła.

Przy słowie „flegma” pastorowa omal nie zemdląła.

- Gojnik bardzo pomaga na kaszel i ukąszenia węża - kontynuował bezradnie Cam.

Pastorowa zbladła i odłożyła łyżkę. Odwróciła głowę i gwałtownie zaczęła się domagać uwagi od towarzysza z lewej strony.

Po tym, jak jego próba podjęcia uprzejmej konwersacji została odrzucona, Cam z rezygnacją dokończył zupę i zajął się drugim daniem, które właśnie podano. Grasicca w sosie beszamelowym, kuropatwa w ziołach, gołąbki, pieczone bekasy i suflet warzywny wypełniły powietrze obfitością zapachów. Goście głośno wyrazili aprobatę, z niecierpliwością wyczekując napełnienia talerzy.

Amelia Hathaway nawet nie zauważyła okazałych dań. Całą uwagę skoncentrowała na rozmowie, która toczyła się na końcu stołu pomiędzy lordem Westcliffem a jej bratem. Twarz miała spokojną, ale zacisnęła kurczowo palce na rączce widelca.

- ...oczywiste, że posiada pan ogromny kawał dobrej ziemi, która leży odłogiem... - mówił Westcliff, a Leo przysłuchiwał się temu wyraźnie bez zainteresowania. - Udostępnię panu mojego zarządcę, który zapozna pana ze standardowymi warunkami dzierżawy tu, w Hampshire. Zazwyczaj umowa pozostaje niepisana, co oznacza, że obie strony są honorem zobowiązane do przestrzegania jej postanowień...

- Dziękuję - oznajmił Leo, osuszając jednym potężnym haustem pół kieliszka - ale w odpowiednim czasie sam sobie poradzę z dzierżawcami, milordzie.

- Obawiam się, że niektórym z nich czas już się skończył - odparł Westcliff. - Wiele domów na pańskiej ziemi zostało zniszczonych przez powódzie. Ludzie, którzy polegają na panu, zbyt długo byli pozostawieni samym sobie.

- Cóż, najwyższy czas, żeby w końcu się dowiedzieli, że sprawianie zawodu ludziom, którzy na mnie polegają, to nieodłączna cecha mego charakteru. - Leo rzucił Amelii kpiące spojrzenie. - Nieprawdaż, droga siostrzo?

Z widocznym wysiłkiem oderwała palce od widelca.

- Jestem przekonana, że lord Ramsay z należytą uwagą przyjrzy się potrzebom swoich dzierżawców - powiedziała ostrożnie. - Mam nadzieję, że nie zwiodło milorda nietrafione poczucie humoru mojego brata. W



rzeczywistości wspominał mi o szeroko zakrojonych planach polepszenia sytuacji mieszkaniowej dzierżawców. Zamierza także studiować współczesne metody upraw...

- Jeśli cokolwiek będę studiował - wtrącił Leo - to dno butelki dobrego porto. Dzierżawcy w Ramsay dowiedli, że zaniedbanie im służy. Na pierwszy rzut oka widać, że nie potrzebują mojej pomocy.

Kilkoro gości powitało ze zdumieniem jego niefrasobliwą przemowę, gdzieś tam rozległ się wymuszony śmiech. Atmosfera wyraźnie się zagaściła.

Jeśli Leo zamierzał zrazić do siebie sąsiada, nie mógł wymyślić lepszego sposobu, aby to osiągnąć. Lord Westcliff naprawdę troszczył się o ludzi mających w życiu mniej szczęścia niż on i gardził pobłażającym sobie właścicielom ziemi, którzy nie potrafili sprostać ciężącym na nich obowiązkom.

- Niedobrze - mruknęła pod nosem Lilian, widząc, jak brwi jej męża zbiegają się nad zimnymi, pociemniałymi oczami.

Jednak gdy tylko hrabia otworzył usta, aby wygłosić miażdżącą przemowę do bezczelnego młodego sąsiada, jedna z pań wydała z siebie rozdzierający krzyk. Dwie inne damy zemdlały i spadły z krzesel, a kilku dżentelmenów z niedowierzaniem w oczach przyglądało się samemu środkowi stołu.

Rozmowy umilkły. Podążając za wzrokiem zebranych, Cam zauważył coś, chyba jaszczurkę, która torowała sobie drogę pomiędzy sosjerkami i solniczkami. Bez wahania wyciągnął rękę i chwycił zwinne stworzonko, wiążąc je w zamkniętych dłoniach. Jaszczurka wila się gwałtownie, próbując uciec pomiędzy jego palcami.

- Mam ją - oznajmił spokojnie.

Żona pastora z jękiem opadła ciężko na krzesło.

- Proszę nie robić jej krzywdy! - krzyknęła Beatrix Hathaway. - To moja jaszczurka!

Wszyscy goście przenieśli spojrzenie z zaciśniętych dłoni Cama na pełną skruchy twarz najmłodszej z rodzeństwa Hathawayów.

- Twoja? Co za ulga - stwierdziła lady Westcliff, patrząc na pozbawione wyrazu oblicze męża. - Myślałam, że to jakiś nowy angielski przysmak, który dziś podajemy.

Twarc lorda Westcliffa gwałtownie poczerwieniała. Gdy odwrócił głowę, dla wszystkich, którzy go dobrze znali, stało się jasne, że z trudem powstrzymuje głośny śmiech.

- Zabrałaś Kropkę na kolację? - zapytała Amelia z niedowierzaniem. - Bea, wczoraj już kazałam ci się jej pozbyć!

- Próbowałam - padła skruszona odpowiedź - ale kiedy odniosłam ją do lasu, wróciła za mną do domu.

- Bea, gady nie chodzą za ludźmi do domu.

- Kropka nie jest zwykłą jaszczurką. Ona...

- Porozmawiamy o tym na osobności. - Amelia wstała od stołu, dając znak sąsiadom, aby pozostali na swoich miejscach. Spojrzała przeproszająco na pana domu. - Bardzo mi przykro, milordzie. Jeśli możemy państwa przeprosić...

Hrabia nieznacznie skinął głową.

Tamten mężczyzna... Christopher Frost... spojrzał na Amelię tak intensywnie, że Cam poczuł szalony gniew.

- Czy mogę jakoś pomóc? - zapytał Frost. W jego głosie nie dało się usłyszeć żadnego nacisku, ale Cam nie wątpił, że ten człowiek bardzo pragnie z nią wyjść.

- Nie ma potrzeby - wtrącił gładko. - Jak pan widzi, nad wszystkim panuję. Do usług, panno Hathaway. - I wciąż mocno trzymając w dłoni wijące się zwierzątko, wyprowadził siostry z jadalni.

## Rozdział 8

Cam poprowadził je przez oszklone drzwi do oranżerii. Było w niej niewiele mebli, stały tu tylko krzesła z plecionymi oparciami i sofa. Po białych kolumnach podtrzymujących strop pięła się bujna roślinność.

Gdy tylko drzwi się zamknęły, Amelia podeszła do Beatrix z uniesionymi rękami. Z początku Cam był przekonany, że chciała ukarać siostrę, ale zamiast tego przyciągnęła winowajczynię do siebie. Ramiona jej drżały; ze śmiechu nie mogła złapać tchu.

- Bea... zrobiłaś to specjalnie, prawda? Po prostu nie mogłam uwierzyć własnym oczom... ta przekłeta jaszczurka pędząca po stole...

- Musiałam coś zrobić - wyjaśniła dziewczynka stłumionym głosem. - Leo bardzo źle się zachowywał... Nie rozumiałam, co mówi, ale gdy zobaczyłam twarz lorda Westcliffa...

- Och... och... - Amelia zaczęła się krztusić ze śmiechu. - Biedny Westcliff... W jednej chwili musi bronić miejscowych dzierżawców przed Leo, a w następnej Kropka pełźnie pomiędzy talerzykami na chleb...

- A gdzie ona jest? - Beatrix oderwała się od siostry i podeszła do Cama, który podał jej jaszczurkę w wyciągniętych dłoniach. - Dziękuję, panie Rohan. Ma pan niezwykle zręczne ręce.

- Tak słyszałem. - Uśmiechnął się do niej. - Jaszczurka to zwierzę amulet. Niektórzy twierdzą, że potrafi zsyłać prorocze sny.

- Naprawdę? - Beatrix spojrzała na niego zafascynowana. - Jeśli się nad tym zastanowić, rzeczywiście od pewnego czasu miewam więcej snów...

- Moja siostra nie potrzebuje na tym polu dodatkowej zachęty - stwierdziła Amelia, po czym spojrzała na Beę znacząco. - Czas pożegnać się z Kropką, moja droga.

- Tak, wiem. - Beatrix westchnęła ciężko i spojrzała przez palce na swoją ulubienicę. - Zaraz ją wypuszczę. Myślę, że Kropka wolałaby zamieszkać tu niż w Ramsay.

- A kto by nie wolał? Znajdź jej jakieś ładne miejsce, Bea. Zaczekam tu na ciebie.

Gdy siostra wybiegła, Amelia odwróciła się do okna i popatrzyła na rozciągający się za szybą malowniczy widok.

- Podziwia pani krajobraz? - zapytał Cam, podchodząc bliżej.

- Postanowiłam przyjrzeć się ogrodowi Stony Cross, bo to zapewne ostatni raz, kiedy mogę je oglądać.

Cam uśmiechnął się szeroko.

-Wątpię. Nieraz Westcliffowie ponawiali zaproszenia dla gości, którzy

zachowali się znacznie gorzej.

- A czy może być coś gorszego od jaszczurki biegającej po stole? Wielkie nieba, hrabiostwo musieliby naprawdę rozpaczliwie potrzebować towarzystwa.

- Mają wiele tolerancji dla ekscentrycznych zachowań. Nie mogą znieść w zasadzie jedynie bezduszności.

Aluzja do zachowania brata wywołała u Amelii falę emocji. Jej dobry nastrój prysł, ustępując miejsca rozgoryczeniu.

- Leo nigdy wcześniej taki nie był. - Oplotła się ściśle rękami, jakby próbując ochronić się przed światem. - Dopiero w zeszłym roku stał się wręcz nieznośny. Po prostu nie jest sobą.

- Bo odziedziczył tytuł?

- Nie, to nie ma nic wspólnego z tytułem. To dlatego że... - Odwróciła głowę, czując dławienie w gardle. Cam usłyszał, jak nerwowo postukiwała obcasem pantofelka, ukrytego pod spódnicą. - Leo kogoś stracił - wyznała w końcu. - W naszej wiosce wybuchła epidemia szkarlatyny. Zachorowało wiele osób, w tym dziewczyna, którą on... Byli zaręczeni. Miała na imię Laura. - Musiała urwać na chwilę. - Była naszą najlepszą przyjaciółką, moją i Win. Piękna dziewczyna. Lubiła rysować i malować, a śmiała się tak, że każdy musiał śmiać się wraz z nią. Zaraziła wszystkich wesołością.

Umilkła na chwilę, zatopiona we wspomnieniach.

- Zachorowała jako jedna z pierwszych. Leo czuwał przy jej łóżku nieprzerwanie. Nikt się nie spodziewał, że Laura umrze... To stało się bardzo szybko. Po trzech dniach miała taką gorączkę i była tak słaba, że z trudem dało się wyczuć tętno. Potem straciła przytomność i zmarła w ramionach Leo. A on zemdłał, gdy tylko w końcu wrócił do domu. Zrozumieliśmy, że też jest chory. Następna zachorowała Win.

- A pani i pozostałe siostry? Amelia pokręciła głową.

- Od razu wyprowadziłam z domu Beatrix i Poppy. A ja i Merripen pozostaliśmy zdrowi, nie wiadomo czemu. To on pomagał mi pielęgnować ich oboje. Bez jego pomocy z pewnością by zmarli. Zrobił syrop z jakiejś toksycznej rośliny...

- Z wilczych jagód - wtrącił Cam. - Niełatwo je znaleźć.

- Tak. - Spojrzała na niego z zaciekawieniem. - Skąd pan wiedział? Zapewne nauczył się pan tego od babki?

Kiwnął głową.

- Trudność polega na tym, by uzyskać dawkę na tyle dużą, aby zwalczyła chorobę, ale nie zabić przy tym pacjenta.

- Cóż, oboje przeżyli, dzięki Bogu. Ale Win nadal jest bardzo słaba, jak zapewne pan zauważył, a Leo... Teraz na niczym i na nikim mu nie zależy. Nawet na sobie samym. - Jej stopa znów zaczęła drgać. - Nie wiem, jak mu pomóc. Rozumiem, co czuje się po takiej stracie, ale... - Bezradnie rozłożyła

ręce.

- Ma pani na myśli pana Frosta?

Amelia rzuciła mu ostre spojrzenie i zarumieniła się gwałtownie.

- Skąd pan wie? Czy on coś mówił? Krążą plotki, że...?

- Nie, nic podobnego. Widziałem jedynie, jak pani z nim rozmawiała.

Amelia uniosła rękę do płonących policzków.

- Wielkie nieba. Tak łatwo mnie rozszyfrować?

- Może jestem Phuri Dae - powiedział, uśmiechając się do niej. - Czytającym w myślach Cyganem. Czy pani go kochała?

- To nie pańska sprawa - odparła odrobinę zbyt szybko. Cam spojrzał na nią uważnie.

- Dlaczego panią porzucił?

- Jak pan... - Urwała i nachmurzyła się, bo zrozumiała, że on zadaje te prowokacyjne pytania, aby poznać prawdę z jej reakcji. - A niech to! Dobrze, powiem panu. Zostawił mnie dla innej kobiety. Ładniejszej, młodszej, która przypadkiem była także córką jego przełożonego. Byłby to dla niego bardzo korzystny mariaż.

- Myli się pani.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Zapewniam pana, że byłby to dla niego niezwykle korzystny...

- Niemożliwe, aby była ładniejsza od pani.

Jej oczy rozszerzyły się, gdy usłyszała komplement.

- Och - szepnęła.

Cam podszedł bliżej i lekko nastąpił na jej ruchliwą stopę. Postukiwanie ustało.

- Niedobre przyzwyczajenie - oznajmiła speszona Amelia. - Nie mogę go wykorzenić.

- Kolibry robią tak wiosną. Zawisają nad swoim gniazdem i nóżkami ubijają podszycie.

Jej wzrok zaczął wędrować po oranżerii, jakby nie mogła się zdecydować, na co powinna patrzeć.

- Panno Hathaway - odezwał się Cam łagodnie, gdy zaczęła drzeć. Pragnął wziąć ją w ramiona i trzymać w objęciach, dopóki się nie uspokoi. - Czy moja obecność panią niepokoi?

Zebrała siły, aby na niego spojrzeć. W jej oczach krył się ciemnogrnatowy blask oświetlonego księżycem jeziora.

- Nie - odparła natychmiast. - Nie, oczywiście, że... Tak. Tak, niepokoi mnie pan.

Gwałtowna szczerłość jej odpowiedzi zaskoczyła oboje. Mrok się pogłębił, gdy jedna z lamp zgasła. Rozmowa zaczęła się rwać.

- Nigdy bym pani nie skrzywdził - oznajmił Cam cicho.

- Wiem. To nie jest powód mojego niepokoju.

- Chodzi o ten pocałunek?
- Powiedział pan, że... że nie pamięta.
- Pamiętam.

- Dlaczego pan to zrobił? - zapytała prawie szeptem.

- Impuls. Okazja. - Oszołomiony jej bliskością, Cam starał się opanować narastającą gotowość własnego ciała. - Przecież właśnie tego można się spodziewać po Cyganach. Bierzemy, co chcemy. Jeśli Rom pragnie kobiety, porywa ją po prostu. Czasami nawet z jej własnego łóżka. - Nawet w mroku dostrzegł kolejną falę rumieńców na policzkach Amelii.

- Przecież właśnie pan mnie zapewnił, że nigdy by mnie nie skrzywdził.

- Gdybym panią porwał... - Wizja jej miękkiego opierającego się ciała w jego ramionach sprawiła, że krew w nim zawrzała. Ujął go prymitywny czar tej sytuacji, rozsądek przegrał z żądzą. - Ostatnią rzeczą, której bym pragnął, byłoby skrzywdzenie pani.

- Nigdy by pan tego nie zrobił. - Z całych sił starała się mówić spokojnie i rzeczowo. - Oboje wiemy, że jest pan zbyt dobrze wychowany.

- Doprawdy? Proszę mi wierzyć, moje dobre maniere to kwestia bardzo dyskusyjna.

- Panie Rohan - zapytała niepewnie - czy moja obecność pana denerwuje?

- Nie. - I jakby wymagało to podkreślenia, powtórzył raz jeszcze: - Nie.

Niech to diabli, pomyślał, zastanawiając się nad tym, co robi. Nie był w stanie pojąć, dlaczego ta kobieta, niewinna, ale zarazem inteligentna, tak bardzo go urzekła. Czuł tylko nieodpartą potrzebę zerwania z niej tych wszystkich gorsetów, halek i butów, sukni i małych wsuwek do włosów.

Amelia gwałtownie zaczerpnęła tchu.

- Zapomniał pan dodać, panie Rohan, że jeśli Rom porywa kobietę, to zgodnie z tradycją ma na celu małżeństwo. A to rzekome porwanie często jest zaaranżowane i nawet odbywa się za zgodą przyszłej panny młodej.

Cam uśmiechnął się do niej czarująco, próbując rozluźnić napiętą atmosferę.

- Nie ma w tym za grosz subtelności, ale niezwykle przyspiesza to całą procedurę, nieprawdaż? Nie trzeba prosić ojca o zgodę, nie ma zapowiedzi i długiego okresu narze-czeństwa. Szalenie efektywne są te cygańskie zaloty.

Rozmowa została przerwana, bo pojawiła się Beatrix.

- Kropka odeszła - oznajmiła. - Chyba naprawdę cieszy się z przeprowadzki do Stony Cross.

Amelia, czując wyraźną ulgę na widok siostry, podeszła do niej, otrzepała jej rękaw z ziemi i poprawiła kokardę we włosach.

- Mam nadzieję, że będzie jej się tu dobrze wiodło. Wrócisz do stołu?

-Nie.

- Och, wszystko będzie dobrze. Pamiętaj tylko, aby zrobić zawstydzoną minę, kiedy spojrzę na ciebie groźnie, a na pewno pozwolę ci zjeść z nami deser.

- Nie chcę tam siedzieć - jęknęła Beatrix. - Jest strasznie nudno, nie lubię tego całego wystawnego jedzenia, a siedzę obok pastora, który chce rozmawiać tylko o swoich religijnych traktatach. To chyba lekka przesada cytować samego siebie, nie sądzisz?

- Jest w tym element pewnej nieskromności - przyznała z uśmiechem Amelia i pogładziła siostrę po ciemnych włosach. - Biedna Bea. Nie musisz tam wracać, jeśli nie chcesz. Jestem pewna, że ktoś ze służby wskaże ci jakieś spokojne miejsce, w którym będziesz mogła zaczekać do końca posiłku. Może pojedziesz do biblioteki?

- Och, dziękuję. - Beatrix westchnęła z ulgą. - Ale kto odwróci uwagę gości, gdy Leo znów zacznie zachowywać się nieznośnie?

- Ja - oświadczył ponuro Cam. - Potrafię naprawdę zaszokować, jeśli wymaga tego sytuacja.

- To mnie wcale nie dziwi - oznajmiła Amelia. - W zasadzie jestem przekonana, że nawet pan to lubi.

## Rozdział 9

Towarzystwo zgromadzone przy stole Westcliffa poczuło ogromną ulgę na wieść, że najmłodsza panna Hathaway zdecydowała się spędzić resztę wieczoru na samotnych rozmyślaniach. Bez wątpienia obawiali się kolejnej wizyty jej domowych ulubieńców, ale Amelia zapewniła wszystkich, że nie będzie już więcej niespodziewanych gości.

Tylko lady Westcliff wydawała się szczerze zaniepokojona nieobecnością dziewczyny. Pomiedzy czwartym a piątym daniem przeprosiła towarzystwo i zniknęła na kwadrans. Amelia dowiedziała się potem, że posłała do biblioteki tacę z kolacją i odwiedziła tam Beatrix.

- Lady Westcliff opowiedziała mi różne historie ze swojego dzieciństwa o tym, jak niegrzecznie się zachowywały razem z siostrą - relacjonowała Bea następnego dnia. - Mówiła, że przyniesienie jaszczurki na kolację to nic w porównaniu z ich postępkami. Podobno obie były rozpuszczonymi diablątkami, zepsutymi do szpiku kości. Czy to nie wspaniałe?

- Wspaniałe - odparła szczerze Amelia, uświadamiając sobie, jak bardzo lubi tę wesołą, swobodną Amerykankę. Z Westcliffem jednak było inaczej. Pan domu był bardziej niż onieśmielający. A po tym, jak Leo potraktował jego obawy o dzierżawców w Ramsay, wątpiła, aby Westcliff jeszcze kiedykolwiek spojrział na nich przychylnym okiem.

Na szczęście brat wytrwał do końca kolacji, nie wygłaszając już kolejnych kontrowersyjnych opinii, głównie dlatego, że zaczął flirtować z atrakcyjną damą siedzącą naprzeciwko. Kobiety zawsze lgnęły do niego, bo był wysoki, przystojny i inteligentny, ale nigdy nie miał takiego powodzenia jak obecnie.

- To chyba nie najlepiej świadczy o gustach kobiet - powiedziała Win Amelii w zaciszu kuchni Ramsay House - skoro poświęcają mu znacznie więcej uwagi teraz niż dawniej, gdy był miły. Im bardziej jest wstrętny, tym bardziej go lubią.

- Mogą go więc sobie wziąć - odparła Amelia zrzędliwie.

- Ja nie dostrzegam żadnego uroku w mężczyźnie, który przez cały dzień wygląda, jakby właśnie wstał z łóżka albo już się szykował, by do niego wrócić.

Osloniła włosy chustką i podwinęła końce, tworząc na głowie coś na kształt turbanu. Miała przed sobą kolejny dzień sprzątania, a wiekowy kurz nadzwyczaj łatwo przywierał do skóry i włosów. Niestety, wynajęta pomoc



niechętnie przychodziła na czas, jeśli już w ogóle się pojawiała. Leo wciąż odsypiał noc intensywnego picia i można było założyć, że nie wstanie do południa, dlatego Amelia była na niego wyjątkowo zła. To był przecież jego majątek i posiadłość - mógłby przynajmniej pomóc w przywróceniu domu do stanu używalności. Albo zatrudnić porządną służbę.

- Nawet oczy mu się zmieniły - zauważyła Win. - Już nawet nie mówię o wyrazie, chodzi mi o kolor. Dostrzegłaś to?

Amelia zamarła i przez długą chwilę nie mogła się zdobyć na odpowiedź.

- Myślałam, że to tylko moje przywidzenia.

- Nie. Wcześniej były ciemnoniebieskie, takie jak twoje. A teraz są jasnoszare. Jak staw zimą.

- Jestem pewna, że niektórym ludziom z wiekiem zmienia się kolor oczu.

- Przecież wiesz, że to przez Laureę.

Amelia poczuła w sercu ogromny ciężar na myśl o przyjaciółce, którą utraciła, i bracie, który chyba odszedł razem z ukochaną. Nie mogła jednak teraz się nad tym zastanawiać, za dużo było rzeczy do zrobienia.

- Nie sądzę, aby to było możliwe. Nigdy nie słyszałam o... - Urwała, gdy zauważyła, że Win osłania włosy chustką tak jak ona przed chwilą. - Co ty robisz?

- Będę ci dzisiaj pomagać - odparła ze spokojem siostra, ale w jej głosie dał się słyszeć upór. Stanowczym ruchem uniosła brodę. - Czuję się już całkiem dobrze i...

- Ależ nie ma mowy! Znów zasłabniesz, a potem całymi dniami będziesz odzyskiwała siły. Znajdź sobie jakieś spokojne miejsce, gdzie będziesz mogła usiąść, gdy my...

- Mam już dość siedzenia. Dość obserwowania czyjejs pracy. Znam swoje możliwości, Amelio. Pozwól mi pomagać.

- Nie. - Z niedowierzaniem obserwowała, jak Win wyciąga z kąta miotłę. - Win, odłóż to natychmiast i przestań się upierać! - Ogarnął ją gniew.

- Nie pomożesz nikomu, tracąc siły na najczarniejszą robotę.

- Mogę to zrobić. - Win ścisnęła kij od miotły obiema rękami, jakby wyczuwała, że jeszcze chwila, a Amelia spróbuje jej go wyrwać. - Nie będę się forsować.

- Odłóż tę miotłę!

- Zostaw mnie w spokoju! - krzyknęła Win. - Idź coś odkurzyć!

- Win, jeśli w tej chwili... - Amelia urwała, gdy spojrzenie jej siostry powędrowało do drzwi.

Stał w nich Merripen, wypełniając przejście swoją zwalistą postacią. Pomimo wczesnego ranka, cały był już pokryty kurzem i spocony. Koszula lepiła się do jego potężnej piersi. Miał wyraz twarzy, który doskonale znały -

nieprzejednany. Łatwiej można byłoby przewrócić górę łyżeczką do herbaty, niż go do czegoś przekonać, gdy był w takim nastroju. Podszedł do Win i wyciągnął potężną dłoń w niemym żądaniu.

Żadne z nich się nie poruszyło. Jednak nawet gdy dzielił ich spór, Amelia dostrzegła łączącą oboje nić, jakby żadne z nich nie chciało się wyzwolić z konfliktu, który ich poróżnił.

W końcu Win poddała się z bezradnym jękiem.

- Nie mogę nic robić. - Rzadko bywała taka drażliwa - Mam już dość siedzenia, czytania i wyglądania przez okno. Chcę się do czegoś przydać. Chcę... - Urwała, znów patrząc w twarz Merripenowi. - Dobrze już, weź ją sobie - Rzuciła mu miotłę, którą złapał bez wysiłku. - A ja znajdę sobie jakiś kącik, żeby tam cichutko oszaleć. Ja...

- Chodź ze mną - przerwał jej spokojnie. Odłożył miotłę i wyszedł z kuchni.

Win rzuciła siostrze zdumione spojrzenie, jej gniew zgasł.

- Co on zamierza?

- Nie mam pojęcia.

Obie poszły za nim przez korytarz do jadalni, oświetlonej promieniami słońca, wpadającymi do środka przez wysokie okna, które zajmowały całą ścianę. Pośrodku stał odrapany stół - a cały jego blat pokrywała zakurzona porcelana... sterty filiżanek i spodeczków, talerze różnej wielkości, wazy owinięte postrzępionymi kawałkami brudnego płótna. Były tam przynajmniej trzy różne serwisy wymieszane razem bez ładu i składu.

- Możesz to posortować - oznajmił Merripen, delikatnie popychając Win w kierunku stołu. - Wiele naczyń jest poobijanych. Takie trzeba odłożyć na bok.

Było to idealne zadanie dla Win - wystarczająco czasochłonne, aby zajęło ją przez cały dzień, ale niezbyt forsowne. Przepełniona wdzięcznością Amelia przyglądała się, jak jej siostra bierze filiżankę i odwraca ją do góry nogami. Mały martwy pająk upadł na podłogę.

- Co za bałagan - powiedziała Win z rozpromienioną miną. - Muszę także to wszystko umyć.

- Gdybyś potrzebowała pomocy, Poppy... - odezwała się Amelia.

- Nie waż się przysyłać mi Poppy! - przerwała jej Win.

- To moja praca i nie zamierzam z nikim się nią dzielić. - Usiadła przy stole i zaczęła rozpakowywać naczynia.

Merripen spojrzał na jej owiniętą chustką głowę i jego palce drgnęły, zmierzając do jasnego kosmyka włosów, który zdołał wysunąć się spod materiału. Twarz mężczyzny zastygła w grymasie bolesnej cierpliwości kogoś, kto wie, że nigdy nie dostanie tego, czego naprawdę pragnie. Koniuszkiem palca popchnął spodeczek ustawiony na krawędzi stołu. Porcelana zabrzęczała cicho na porysowanych deskach.

Amelia poszła za nim do kuchni.

- Dziękuję - powiedziała, gdy znaleźli się sami. - Tak chroniłam Win, żeby się nie przemęczała, że w ogóle nie pomyślałam o tym, że może wariować z nudów.

Merripen oparł na ramieniu ciężkie pudło pełne niepotrzebnych rzeczy do wyrzucenia. Uśmiechnął się lekko.

- Lepiej się czuje. - Podeszedł do drzwi i je otworzył.

Ta diagnoza nie pochodziła od wziętego lekarza, ale Amelia była przekonana, że to prawda. Rozejrzała się po zabałaga-nionej kuchni i ogarnęło ją uczucie szczęścia. Dobrze zrobili, że tu przyjechali. Nowe miejsce oferowało nowe możliwości. Może pech opuści w końcu rodzinę Hathawayów.

Zaopatrzona w miotłę, śmietniczkę i stos szmat Amelia ruszyła na górę do pokoju, którego jeszcze nie otwierali. Musiała użyć całej swojej siły, aby otworzyć drzwi. Wreszcie poddały się z trzaskiem i piskiem nienaoliwionych zawiasów. Był to najwyraźniej salonik z wbudowaną w ścianę biblioteczką.

Na jednej z półek leżały dwie książki. Przyglądając się pokrytym kurzem okładkom z popękanej ze starości skóry, Amelia przeczytała tytuł pierwszej: „Wędkarstwo właściwe. Studium o sztuce wędkowania z ustępem poświęconym płoci i szczupakowi”. Nic dziwnego, że poprzedni właściciel bez żalu rozstał się z tym tomiszczem, pomyślała. Drugi tytuł był bardziej obiecujący: „Życie miłosne dworu angielskiego za panowania króla Karola II”. Może znajdą się tam jakieś pikantne rewelacje, z których później będą mogły się pośmiać z Win.

Odłożyła książki na półkę i podeszła do okna, aby je odsłonić. Kotary dawno już wyblakły ze starości, aksamit był postrzępiony i przeżarty przez mole.

Gdy pociągnęła za jedną z zasłon, mosiężny karnisz, na którym je zawieszono, zerwał się z haczyków i z hukiem uderzył o podłogę, wzniesając chmurę pyłu. Amelia zaczęła kichać i kasłać. Z dołu rozległ się pytający głos, najprawdopodobniej Merripena.

- Nic mi nie jest! - zawołała.

Podniosła czystą ścierkę, wytarła twarz i spróbowała otworzyć nieprzyzwoicie brudne okno. Coś się jednak zacięło. Naparła na futrynę, aby poluzować zamek. Pchnęła ją jeszcze raz, mocniej, a potem oparła się na niej całym ciężarem. Okno ustąpiło tak gwałtownie, że straciła równowagę. Poleciała do przodu i w panice chwyciła się futryny, by znaleźć stabilne oparcie, ale został jej w ręce fragment listwy.

Wtedy usłyszała za sobą jakiś stłumiony dźwięk.

Chwilę później została wciągnięta do środka z taką siłą, że wszystkie jej kości zaprotestowały przeciw takiemu traktowaniu. Zatoczyła się i zderzyła z czymś mocnym, a jednocześnie miękkim. Bezradnie opadła na podłogę.

Rozciągnięta na potężnej męskiej piersi, dostrzegła nad sobą ciemną twarz.

- Merri... - szepnęła zdumiona.

Ale to nie czarne oczy Merripena na nią spoglądały, lecz inne - lśniące i bursztynowe. Poczowała falę ciepła w brzuchu.

- Wiesz, jeśli chcesz, abym nadal cię ratował - odezwał się swobodnie Cam Rohan - będziemy musieli porozmawiać o jakimś wynagrodzeniu.

Wyciągnął rękę, aby zdjąć Amelii z głowy przekrzywioną chustkę, a wtedy warkocze całkiem się rozsypały. Zawstydzienie stłumiło w niej wszystkie inne uczucia. Wiedziała, jak musi teraz wyglądać - rozczochrana i pokryta kurzem. Dlaczego on zawsze musiał ją oglądać w najmniej korzystnej sytuacji?

Z trudem wykrztusiła przeprosiny i spróbowała wstać, ale długa spódnica i halka skutecznie jej to uniemożliwiły.

- Nie... czekaj... - Rohan zachłysnął się, gdy zaczęła się szamotać i przetoczył się razem z nią po podłodze.

- Kto pana wpuścił? - zdołała zapytać. Rzucił jej niewinne spojrzenie.

- Nikt. Drzwi były otwarte, a hol pusty. - Wyplątał nogi z jej spódnicy i usiadł. Nigdy jeszcze nie widziała nikogo, kto poruszałby się z taką swobodą.

- Czy ktoś to oglądał? - zapytał. - Ten dom niebawem całkiem się rozsypie. Nie zaryzykowałbym wejścia tu bez odmówienia krótkiej modlitwy do Butyakengo.

- Do kogo?

- Do cygańskiego opiekuńczego ducha. - Uśmiechnął się do niej. - Ale skoro już tu jestem, to zaryzykuję. Pomogę pani wstać.

Podniósł ją na nogi i przytrzymał, dopóki nie odzyskała równowagi. Dotyk jego rąk sprawił, że Amelię przeszedł dreszcz. Zakrztusiła się lekko.

- Po co pan przyszedł? Rohan wzruszył ramionami.

- Sąsiedzka wizyta. W Stony Cross Park niewiele jest teraz do roboty. To pierwszy dzień sezonu polowań na lisy.

- Nie chciał pan w tym uczestniczyć? Cam pokręcił przecząco głową.

- Poluję, tylko gdy jestem głodny. Nie dla zabawy. I sympatyzuję z lisami, bo nieraz byłem na ich miejscu.

Zapewne ma na myśli ataki na cygańskie obozy, pomyślała z przykrością Amelia. Chciała o to zapytać, ale przecież nie mogła kontynuować rozmowy.

- Panie Rohan, naprawdę z przyjemnością odegrałabym rolę uprzejmej gospodyni i zaprosiła pana do saloniku na herbatę i przekąski, ale nie mam przekąsek. Nie mam nawet saloniku. Nie chciałabym, aby to zabrzmiało niegrzecznie, ale to naprawdę nie najlepsza pora na wizytę...

- Mogę pomóc. - Uśmiechnął się i oparł o ścianę. - Mam sprawne dłonie.

Jego ton był wolny od podtekstów, lecz Amelia i tak się zaczerwieniła.

- Nie, dziękuję. Butayenko by tego nie pochwalił.

- Butyakengo.

Uznała, że musi go przekonać o swojej wprawie w robieniu porządków, podeszła więc do okna i zaczęła szarpać za kotarę.

- Dziękuję, panie Rohan, ale jak pan widzi, doskonale sobie radzę.

- Chyba jednak zostanie. Dopiero co uratowałem panią przed upadkiem z jednego okna, więc nie chciałbym, aby wyleciała pani przez drugie.

- Na pewno nic mi nie będzie. Mam wszystko pod... - Pociągnęła mocniej i zerwała kotarę. W przeciwieństwie do tamtej, podszytej aksamitem, ta miała spód z jakiegoś mieniącego się, pomarszczonego materiału, czegoś na kształt...

Amelia zamarła z przerażenia. Wewnętrzną stronę zasłony obsiadły pszczoły. Pszczoły. Setki, nie, tysiące pszczoł, których opalizujące skrzydełka młóciły powietrze z gniewnym, jednostajnym brzęczeniem. Podniosły się zbitą masą z pogniecionego aksamitu, a kolejne zaczęły wylatywać ze szczeliny w ścianie, gdzie mieściło się ogromne gniazdo. Musiały dostać się tam przez dziurę w murze. Unosiły się jak języki ognia wokół sparaliżowanej ze strachu Amelii.

Poczuła, jak cała krew odpływa z jej twarzy.

- O Boże...

- Proszę się nie poruszać. - Głos Rohana był zadziwiająco spokojny. -I nie machać rękami.

Nigdy jeszcze nie odczuwała tak prymitywnego strachu, który zbierał tuż pod powierzchnią skóry i wyciekał z niej wszystkimi porami. Nie potrafiła zapanować nad własnym ciałem. Powietrze dosłownie pociemniało od pszczoł, całej masy pszczoł.

To nie będzie przyjemna śmierć. Amelia zacisnęła powieki i zmusiła się do bezruchu, choć każdy jej mięsień był napięty do granic wytrzymałości. Owady krążyły wokół niej, ocierając się o rękawy sukni, dłonie, ramiona.

- Boją się pani znacznie bardziej niż pani ich - dobiegł ją głos Rohana.

Amelia bardzo w to wątpiła.

- To n-nie są p-przestraszone pszczoły. - Jej głos brzmiał zupełnie inaczej. - To są w-wściekłe pszczoły.

- Istotnie, wyglądają na poirytowane - zgodził się Cam, podchodząc do niej powoli. - Może to przez tę sukienkę, chyba nie lubią ciemnych kolorów. Albo dlatego że właśnie zrujnowała im pani pół gniazda.

-Jeśli ma pan czelność dobrze się teraz bawić... - Urwała i zakryła twarz rękami, drżąc jak osika.

Jego kojący głos zagłuszył brzęczenie pszczoł.

- Nie ruszaj się. Wszystko będzie dobrze. Jestem przy tobie.

- Proszę mnie stąd zabrać - szepnęła z desperacją. Jej serce biło tak mocno, że cała się trzęsła, co sprawiało, że z jej głowy pierzchały wszelkie

rozsądne myśli. Poczwała, jak Rohan strzepuje z jej włosów i pleców kilka natarczywych owadów. Otoczył ją ramionami.

- Już, kochanie. Złap mnie za szyję.

Po omacku wyciągnęła ku niemu dłonie, czując się chora, słaba i oszołomiona. Mięśnie na jego karku napięły się i zeszywniały, gdy pochylił się ku niej i podniósł ją z taką łatwością, jakby była dzieckiem.

- I już - mruknął. - Trzymam cię.

Jej stopy oderwały się od podłogi. Wszystko wydawało się takie nierealne: wirowanie powietrza, brzęczenie pszczoł, twarda pierś i ramiona mężczyzny, które zamknęły ją w bezpiecznym uścisku. Nagle uświadomiła sobie, że mogła umrzeć, gdyby Rohan się nie pojawił. Był taki spokojny i opanowany, najwyraźniej pszczoły nie budziły w nim lęku. Dławienie w gardle ustąpiło. Amelia ukryła twarz na ramieniu Cama i rozluźniła mięśnie.

Jego ciepły oddech owiewał jej policzek.

- Niektóre ludy wierzą, że pszczoła to święty owad. Symbol reinkarnacji.

- Nie wierzę w reinkarnację - mruknęła. Usłyszała w jego głosie śmiech.

- A to niespodzianka. Obecność pszczoł w domu to znak, że nadejdą lepsze czasy.

Wełniany płaszcz Rohana tłumił jej głos.

- A jeśli ktoś ma w domu tysiące pszczoł?

Uniósł ją nieco wyżej. Jego usta dotknęły zimnego koniuszka jej ucha.

- Będzie miał zapas miodu do herbaty na wiele lat. Właśnie wychodzimy z pokoju. Zaraz postawię cię na ziemi.

Nawet nie drgnęła, jej palce jeszcze mocniej wbiły się w kołnierz płaszcza.

- Czy one lecą za nami?

- Nie. Wołają zostać blisko gniazda. Ich głównym zadaniem jest ochrona królowej przed drapieżnikami.

- Z mojej strony nie muszą się niczego obawiać!

Zaśmiał się leciutko i delikatnie opuścił Amelię na podłogę. Podtrzymał ją jedną ręką, a drugą otworzył drzwi. - I proszę. Wyszliśmy z pokoju. Już jesteś bezpieczna.

- Przesunął dłonią po jej włosach. - Możesz otworzyć oczy.

Trzymając się kurczowo wyłogów jego płaszcza, Amelia stała i czekała, aż poczuje ulgę, która jednak nie nadchodziła. Serce biło zbyt szybko, zbyt gwałtownie. Płuca bolały ją od nerwowych wdechów. Podniosła powieki, ale zobaczyła tylko deszcz iskier.

- Amelio... spokojnie. Nic ci nie jest. - Jego dłonie próbowały powstrzymać dreszcze, które nią wstrząsały.

- Uspokój się, kochanie.

Nie potrafiła. Czowała, że lada moment jej płuca eksplodują. Nieważne, jak się starała, nie mogła zaczerpnąć tchu. Pszczoły... Wciąż jeszcze brzęczały jej w uszach. Głos Rohana dochodził do niej z oddali. Nagle znów poczuła na sobie jego ręce i osunęła się w szarą mgłę.

Ocknęła się po minucie czy godzinie z rozkosznym uczuciem. Ktoś delikatnie uciskał jej czoło. Czyjeś palce muskały czule jej powieki i policzki. Silne ramiona przyciskały ją do czegoś wygodnie twardego, a świeży, słonawy zapach wypełniał jej nozdrza. Jej powieki zatrzepotały, gdy powróciła do świata, czując przyjemność i zakłopotanie.

- Wróciłeś - usłyszała cichy szept.

Amelia otworzyła oczy i ujrzała nad sobą twarz Rohana. Siedzieli na podłodze w holu, a Cam trzymał ją na kolanach. Jakby sama ta sytuacja była niedostatecznie zawstydzająca, miała rozpiętą z przodu suknię i poluzowaną sznurówkę. Jej piersi okrywała tylko pomięta koszula.

Amelia zeszywniała. Do tej chwili nie uświadamiała sobie, że istnieje uczucie silniejsze niż zażenowanie, które sprawiało, że człowiek chciał się zamienić w kupkę popiołu.

- Moja... moja suknia...

- Nie mogłaś złapać tchu. Pomyślałem, że najlepiej będzie poluzować gorset.

- Jeszcze nigdy nie zemdlałam - powiedziała w oszołomieniu, próbując usiąść.

- Byłaś przerażona. - Dotknął dłonią jej piersi i popchnął ją lekko do tyłu. - Poleż jeszcze chwilę. - Przesunął wzrokiem po jej bladej twarzy. - Myślę, że to dowodzi, jak bardzo nie lubisz pszczoł.

- Nienawidzę ich, odkąd skończyłam siedem lat.

- Dlaczego?

- Bawiłam się w ogrodzie z Win i Leo i podeszłam za blisko róż. Z krzaka wyleciała pszczoła i użądliła mnie tutaj. - Dotknęła miejsca tuż pod prawym okiem, na policzku. - Twarz spuchła mi tak bardzo, że nie było widać oka... Nic nie widziałam przez prawie dwa tygodnie...

Cam przesunął opuszkami palców po jej policzku, jakby chciał ukoić dawny ból.

- Brat i siostra przezywali mnie Cyklopem. - Patrzyła, jak Cam stara się opanować śmiech. - Nadal to robią, ilekroć obok mnie przeleci pszczoła.

Spojrzał na nią z przyjaznym współczuciem.

- Każdy czegoś się boi. -A ty?

- Głównie ścian i sufitów.

Spojrzała na niego ze zdumieniem, próbując zebrać myśli.

- To znaczy... wolałbyś mieszkać na zewnątrz, jak dzikie stworzenie?

- Tak, właśnie to miałem na myśli. Spałaś kiedyś na powietrzu?

- Na ziemi?

Konsternacja w jej głosie sprawiła, że Cam się uśmiechnął.

- Na posłaniu przy ognisku.

Spróbowała sobie wyobrazić, że leży na twardej ziemi bezbronna, wydana na łaskę wszystkich stworzeń, które pełzają, skaczą i latają.

- Chyba nie potrafiłabym tak zasnąć.

Rohan zaczął się bawić kosmykiem jej włosów.

- Potrafiłabyś. - Jego głos był niezwykle miękki. - Nauczyłbym cię.

Nie miała pojęcia, co chciał przez to powiedzieć. Czują tylko zmysłowy dreszcz, przesuwany się po plecach, gdy jego palce dotknęły jej głowy. Niezdarnie chwyciła za brzegi stanika, próbując się osłonić.

- Pomogę ci. Jesteś jeszcze osłabiona. - Odsunął jej dłonie i zaczął zręcznie zapinać jej suknię. Najwyraźniej miał w tym wprawę. Amelia nie wątpiła, że wiele kobiet pozwalało mu na sobie ćwiczyć.

- Użądliły mnie? - zapytała podenerwowana.

- Nie. - W jego oczach błysnął diabelski ogień. - Dokładnie sprawdziłem.

Amelia stłumiła jęk. Kusilo ją, aby odepchnąć jego ręce, ale radził sobie z jej ubraniem znacznie lepiej niż ona. Zamknęła oczy, próbując nie myśleć o tym, że leży na kolanach mężczyzny, który zapina jej suknię.

- Będiesz potrzebowała pomocy pszczelarza, żeby usunąć rój - oznajmił Rohan.

- Czy on je wszystkie zabije? - zapytała, myśląc o wielkości pszczelej rodziny żyjącej w ścianie.

- Może nie będzie musiał. Jeśli tylko okaże się to możliwe, oszołomi je dymem i zabierze królową do przenośnego ula. Reszta podąży za nią. Jeśli mu się nie uda, wytruje cały rój wodą z mydłem. Trudniej będzie natomiast usunąć plastry i miód. Jeśli nie zrobi się tego dokładnie, wszystko sfermentuje i przyciągnie całą masę robactwa.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego z obawą.

- Trzeba będzie usunąć całą ścianę?

Zanim Cam zdołał odpowiedzieć, do rozmowy włączył się nowy głos.

- Co tu się dzieje? - Leo właśnie wstał z łóżka i naciągnawszy na siebie ubranie, przyszedł na bosaka ze swojej sypialni. Popatrzył na nich zaczerwienionymi oczami. - Dlaczego leżysz w rozpiętej sukni na podłodze?

Amelia tylko chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Postanowiłam urządzić sobie schadzkę na środku holu z mężczyzną, którego ledwie znam.

- Cóż, następnym razem postaraj się robić to nieco ciszej. Niektórzy próbują tu spać.

Amelia popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Na miłość boską, Leo, nie martwisz się, że mogłam zostać skompromitowana?



- A zostałaś?

- Ja... - Zaczerwieniła się, gdy spojrzała w błyszczące oczy Rohana. - Chyba nie.

- Jeśli nie jesteś pewna, to znaczy, że nie. - Leo podszedł do Amelii, przykucnął i spojrzał na nią uważnie. - Co się stało, siostrzyczko? - Jego głos złagodniał.

Drżącym palcem pokazała mu zamknięte drzwi.

- Tam są pszczoły, Leo.

- Pszczoły. Dobry Boże. - Posłał jej czuły, kpiący uśmiech. - Ależ z ciebie tchórz, Cyklopie.

Amelia skrzywiła się i uniosła nieco, a Rohan natychmiast ją podtrzymał.

- Idź i zobacz sam.

Leo spacerowym krokiem podszedł do drzwi, otworzył je i wszedł do saloniku.

Wybiegł po dwóch sekundach, zatrzasnął drzwi i docisnął je ramieniem.

- Boże! - Oczy miał szeroko otwarte i szkliste. - Muszą ich być tysiące!

- Według mnie przynajmniej dwieście tysięcy - stwierdził Rohan. Zapiął ostatni guzik Amelii i pomógł jej wstać.

- Powoli - szepnął. - Może ci się zakręcić w głowie.

Pozwoliła mu się jeszcze chwilę podtrzymywać, gdy próbowała złapać równowagę.

- Już jestem spokojna. Dziękuję. - Jej dłoń wciąż spoczywała w jego ręce. Palce Rohana były długie i smukłe, obrączka na kciuku odcinała się od skóry koloru miodu.

Amelia niespokojnie szarpnęła ręką.

- Pan Rohan dwa razy ocalił mi dzisiaj życie. Najpierw, gdy prawie wypadłam przez okno, a potem, kiedy natknęłam się na pszczoły.

- Ten dom - mruknął Leo - powinien zostać zrównany z ziemią.

- Powinien pan dokładnie sprawdzić ten budynek - stwierdził Rohan. - Dom osiada. Kominy się pochylają, a sufit w holu zapada. Stolarkę i dźwigary trzeba wymienić.

- Znam sytuację. - Spokojna ocena obcego zirytowała Leo. Pracował wystarczająco długo jako architekt, aby móc właściwie ocenić stan budynku.

- Przebywanie tutaj może być niebezpieczne dla pana rodziny.

- Ale to moja sprawa, prawda?

Wyczulona na zmiany atmosfery Amelia starała się załagodzić sytuację.

- Panie Rohan, lord Ramsay jest przekonany, że dom nie stanowi bezpośredniego zagrożenia dla naszej rodziny.

- Nie byłbym tego taki pewien - odparł Rohan. - Ma pan cztery siostry pod opieką, milordzie.

- Może chcesz je sobie wziąć? - zapytał Leo. - Całkiem spory z nich pożytek. - Uśmiechnął się nieszczerze. - Nie? To racz przestać udzielać niechcianych rad.

Amelię ogarnął smutek, gdy zobaczyła ponurą minę brata. Stawał się jej coraz bardziej obcy, rozpacz i złość, którą miał w sobie, zaczynały go już zżerać od środka. W końcu, tak jak dom, załamał się, gdy najślabsza część konstrukcji się podda.

Nieporuszony jego zachowaniem Rohan zwrócił się do Amelii:

- W miejsce rady proszę pozwolić mi podzielić się pewną informacją. Za dwa dni w wiosce odbywa się Zamiatany Jarmark.

- A co to takiego?

- Jarmark, na który przybywają wszyscy okoliczni mieszkańcy w poszukiwaniu pracy. Mają ze sobą symbole swoich umiejętności: służąca przyniesie miotłę, strzecharz zwitek słomy i tak dalej. Proszę im dać szylinga, aby przypieczętować umowę, a zyska pani służbę na rok.

Amelia ostrożnie spojrzała na brata.

- Przydałaby się nam porządna służba, Leo.

- To idź tam i przyjmij, kogo ci się żywnie podoba. Nic mnie to nie obchodzi.

Kiwnęła głową i potarła dłońmi ramiona.

Jest bardzo zimno, pomyślała, jak na tę porę roku. Poczowała powiew lodowatego powietrza na kostkach, mimo pończoch, na nadgarstkach i spoconym karku. Napięła wszystkie mięśnie.

Obaj mężczyźni zamilkli. Leo zmienił się na twarzy, wzrok miał nieobecny.

Powietrze wokół nich zgęstniało, aż stało się ciężkie jak woda. Było coraz zimniej, ciaśniej, bardziej duszno... Amelia instynktownie odsunęła się od brata i oparła na piersi Rohana, który ujął ją za łokieć. Drżąc z chłodu, przytuliła się do jego ciepłego, pełnego życia, silnego ciała.

Leo się nie poruszał. Stał tak, jakby chciał wchłonąć w siebie ten chłód. Jakby na niego czekał, pragnął go. Twarz miał surową i mroczną.

Coś wypełniło przestrzeń pomiędzy nimi a Leo. Amelia wyczuła w powietrzu jakieś poruszenie, delikatniejsze niż powiew wiatru, lżejsze niż puch...

- Leo? - szepnęła zdezorientowana.

Na dźwięk jej głosu brat się ocknął. Mrugnął i spojrzał na nią zamglonymi oczami.

- Odprowadź pana Rohana do wyjścia - polecił szorstko. - Oczywiście, jeśli nie zostałeś już wystarczająco skompromitowany jak na jeden dzień. - Odwrócił się i odszedł szybkim krokiem. Wszedł do sypialni i zatrzasnął za sobą drzwi.

Amelia nie mogła się ruszyć, zdumiona zachowaniem brata i

lodowatym powietrzem wokoło. Odwróciła się do Rohana, który patrzył za Leo nieodgadnionym wzrokiem.

Spojrzał na nią, starając się nie dać niczego po sobie poznać.

- Nie chcę pani zostawiać. - W jego głosie pojawiła się kpiąca nuta. - Potrzebny pani ktoś, kto będzie chodził za panią krok w krok i chronił ją przed nieszczęśliwymi wypadkami. Choć z drugiej strony, potrzebuje pani także pszczelarza.

Rozumiejąc, że nie będzie chciał rozmawiać o Leo, Amelia poszła za nim.

- Znajdzie pan go dla nas? Oddałby mi pan wielką przysługę.

- Oczywiście. Chociaż... - Oczy mu błysnęły. - Jak już wspominałem, nie mogę bez przerwy oddawać pani przysług, niczego w zamian nie otrzymując. Mężczyzna potrzebuje zachęty.

- Jeśli... jeśli chce pan pieniędzy, z radością...

- Boże, nie! - Rohan się roześmiał. - Nie chcę pieniędzy. - Pogładził ją lekko po włosach, a potem przesunął dłonią po policzku Amelii. Jego dotyk był lekki i pełen erotyzmu. Amelia poczuła, że coś ścisną ją w gardle. - Do widzenia, panno Hathaway. Sam wyjdę. - Uśmiechnął się jeszcze i dodał: - Proszę się trzymać z dala od okien.

Idąc po schodach, minął Merripena, który właśnie wchodził na górę miarowym krokiem.

Twarc Merripena pociemniała na widok gościa.

- A ty co tu robisz?

- Pomagam pozbyć się szkodników.

- Możesz zacząć, wychodząc - warknął Merripen. Rohan uśmiechnął się tylko nonszalancko i zbiegł na dół.

Uprzedziwszy siostry o niebezpieczeństwach kryjących się w saloniku na piętrze, który natychmiast został nazwany pokojem pszczół, Amelia z największą ostrożnością obejrzała resztę pomieszczeń na górze. Nie znalazła tam jednak żadnych nowych niespodzianek, tylko brud, kurz i ciszę.

Dom nie sprawiał jednak wrażenia nieprzyjaznego nowym mieszkańcom. Gdy otworzyła okna, a światło słońca rozlało się po od lat nietkniętych ludzką stopą podłogach, budynek jakby się otrząsnął, gotów rozpocząć nowe życie. Ramsay House był naprawdę uroczy ze wszystkimi swoimi ekscentrycznościami, sekretnymi schowkami i niepowtarzalnymi detalami, które potrzebowały tylko nieco oszlifowania i uwagi. Dokładnie tak jak rodzina Hathawayów.

Po całym dniu pracy Amelia ciężko opadła na fotel. Poppy parzyła w kuchni herbatę.

- Gdzie Win?

- Drzemie w swoim pokoju - odrzekła Poppy. - Była wyczerpana pracowitym porankiem. Nie przyznała się, rzecz jasna, ale zawsze gdy jest

bardzo zmęczona, jej buzia staje się taka blada i ściągnięta.

- Była zadowolona?

- Zdecydowanie tak. - Nalewając wrzątek do poobijanego imbryka z liśćmi herbaty, Poppy dzieliła się z siostrą swoimi odkryciami. W jednej z sypialni znalazła śliczny dywan. Po godzinnym trzepaniu okazało się, że ma żywe kolory i jest w całkiem niezłym stanie.

- Większość tego kurzu przeniosła się na ciebie - stwierdziła Amelia.

Podczas trzepania Poppy osłoniła dolną część twarzy chusteczką, kurz osiadł więc na czole, powiekach i nosie dziewczyny. Połowa twarzy była teraz szara, a połowa biała.

- Świetnie się bawiłam - odparła Poppy z uśmiechem. - Nie ma to jak porządne machnięcie trzepaczką, gdy chce się dać upust frustracji.

Amelia już miała zapytać, czym tak frustruje się Poppy, gdy do kuchni wkroczyła Beatrix.

Zazwyczaj rozgadana i wesola, dziś była cicha i przybita.

- Herbata będzie zaraz gotowa - poinformowała ją Poppy, krojąc chleb na kuchennym stole. - Zjesz grzanekę, Beo?

- Nie, dziękuję. Nie jestem głodna. - Beatrix opadła na krzesło obok Amelii i utkwiała wzrok w podłodze.

- Przecież ty zawsze jesteś głodna - powiedziała Amelia. - Co się stało, kochanie? Źle się czujesz? Jesteś zmęczona?

Cisza. Beatrix gwałtownie pokręciła głową. Na pierwszy rzut oka było widać, że coś ją trapi.

Amelia położyła dłoń na szczupłych plecach siostry i pochyliła się ku niej.

- Beatrix, co się stało? Powiedz mi. Tęsknisz za swoimi przyjaciółkami? Za Kropką? Jesteś...

- Nie, to nie to. - Beatrix pochyliła głowę i widać było tylko zaczerwieniony policzek.

- Więc w takim razie co?

- Ze mną jest coś nie tak. - Jej głos był pełen żalu. - Znów to zrobiłam, Amelio. Nie mogłam się powstrzymać. Niewiele pamiętam. Ja...

- Och, nie - szepnęła Poppy. Amelia nie cofnęła ręki.

- Czy to ten sam problem co kiedyś? Beatrix kiwnęła głową.

- Ja się chyba zabiję - oświadczyła gwałtownie. - Zamknę się w pokoju pszczoł. Ja...

- Cicho już. Nic takiego nie zrobisz. - Amelia pogłaskała jej sztywne plecy. - Uspokój się, kochanie i daj mi chwilę pomyśleć. - Jej zmartwiony wzrok powędrował do Poppy nad pochyloną głową najmłodszej siostry.

„Problem” pojawiał się i znikał, odkąd zmarła pani Hathaway. Od czasu do czasu Beatrix odczuwała nieodparty impuls, aby coś ukraść, ze sklepu czy z czyjś domu. Zazwyczaj były to drobiazgi nikomej wartości... nożyczki,

spinki do włosów, stalówka, kostka wosku do pieczętowania listów. Czasami jednak zabierała też coś cennego, jak tabakierka czy kolczyk. Z tego, co wiedziała Amelia, wynikało, że Beatrix nigdy nie planowała swoich drobnych kradzieży - w zasadzie nie była ich w ogóle świadoma. Dopiero później cierpiała z powodu wyrzutów sumienia i strachu. Bardzo trudno było się jej pogodzić z odkryciem, że nie ma żadnej kontroli nad swoimi czynami.

Hathawayowie, rzecz jasna, utrzymywali całą sprawę w sekrecie i wspólnie starali się dyskretnie zwrócić skradzione przedmioty i ochronić Beatrix przed konsekwencjami. Jako że od roku już nic takiego się nie wydarzyło, założyli, że dziewczynka wyleczyła się ze swojego niewytłumaczalnego nałogu.

- Zakładam, że zabrałaś coś ze Stony Cross Manor - powiedziała Amelia, zmuszając się do spokoju. - To jedyne miejsce, w którym dotychczas byliśmy.

Beatrix kiwnęła głową żałośnie.

- To musiało się stać wtedy, kiedy wypuściłam Kropkę. Poszłam do biblioteki i zajrzałam jeszcze do kilku pokoi po drodze... Nie chciałam, Amelio! Przysięgam!

- Wiem. - Amelia objęła ją mocno, próbując pocieszyć. Instykt macierzyński nakazywał jej osłaniać, uspokajać, chronić najmłodszą siostrę. - Jakoś to naprawimy, Bea. Odłożymy wszystko na miejsce i nikt się nie dowie. Powiedz mi tylko, co zabrałaś i przypomnij sobie, skąd wzięłaś te rzeczy.

- Tu... jest wszystko. - Beatrix sięgnęła do kieszeni fartuszka i położyła na kolanach siostry cały zbiór zabranych przedmiotów.

Amelia podniosła pierwszy z nich. Był to konik z drewna, nie większy niż jej pięść, z jedwabną grzywą i misternie namalowanym pyskiem. Był podrapany i poznaczony śladami małych zębów.

- Westcliffowie mają córkę, jest jeszcze mała - mruknęła. - Konik pewnie należy do niej.

- Zabrałam dziecku zabawkę! - jęknęła Beatrix. - To najgorsza rzecz, jaką w życiu zrobiłam. Powinni mnie zamknąć w więzieniu.

Amelia podniosła kolejny przedmiot, kartonik z dwoma podobnymi obrazkami namalowanymi obok siebie. Domyśliła się, że wkłada się go do stereoskopu, urządzenia, które łączy oba rysunki w dwuwymiarowy obraz.

Był tam jeszcze klucz, i... o Boże! Misternie wykonana srebrna pieczęć z wygrawerowanym rodzinnym herbem hrabiego. Zapewne używano jej do zaklejania kopert woskiem. Pieczęć była ciężka i niewątpliwie kosztowna, zapewne przekazywano ją z pokolenia na pokolenie.

- Z prywatnego gabinetu lorda Westcliffa - wymamrotała Beatrix. - Leżała na biurku. Używa jej pewnie do oficjalnej korespondencji. Zabiję się ze wstydu!

- Musimy to niezwłocznie zwrócić - oświadczyła Amelia, przesuważąc

ręką po spoconym czole. - Gdy się zorientują, że pieczęć zniknęła, mogą podejrzewać służbę.

Wszystkie trzy zamilkły, porażone tą straszną myślą.

- Rano złożymy wizytę lady Westcliff - oznajmiła Poppy. Jej oddech rwał się z niepokoju. - Czy jutro przyjmuje wizyty?

- To nie ma znaczenia - odparła Amelia, siląc się na spokój. - Nie możemy czekać. Składamy jutro wizytę, nieważne, czy to odpowiedni dzień, czy nie.

- Czy ja też mam iść? - zapytała Beatrix.

- Nie - odpowiedziały zgodnie jej siostry. Obie pomyślały o tym samym: Beatrix może się nie kontrolować także podczas następnej wizyty.

- Dziękuję - odparła z ulgą dziewczynka. - Przepraszam, że musicie naprawiać moje błędy. Powinnyście mnie jakoś ukarać. Może powinnam się przyznać i przeprosić...

- Będzie na to czas, jeśli nas złapią. Najpierw jednak spróbujemy wszystko zatuszować.

- Czy musimy o tym mówić Leo albo Win i Merripenowi? - zapytała zmieszana Beatrix.

- Nie - mruknęła Amelia, przyciągając ją do siebie i przyciskając usta do jej niesfornych ciemnych loków. - Tym razem niech to pozostanie między nami. Zajmiemy się wszystkim z Poppy, skarbie.

- Dobrze. Dziękuję. - Beatrix odprężyła się w końcu i z westchnieniem przytuliła do siostry. - Mam nadzieję, że was nie złapią.

- Ależ na pewno nas nie złapią - zapewniła ją wesoło Poppy. - O to w ogóle nie musisz się martwić.

- Problem rozwiązany - dodała Amelia. Po czym ukradkiem wymieniły z Poppy spanikowane spojrzenia.

## Rozdział 10

- Naprawdę nie wiem, czemu Beatrix to robi - powiedziała Poppy do Amelii, gdy następnego ranka jechały powozikiem do Stony Cross Manor ze skradzionymi drobiazgami, ukrytymi w kieszeniach najlepszych dziennych sukienek.

- Na pewno nie robi tego umyślnie - odparła Amelia, ze zmartwienia marszcząc czoło. - Gdyby naprawdę chciała coś sobie przywłaszczyć, kradłaby rzeczy, których naprawdę potrzebuje, na przykład wstażki do włosów, rękawiczki czy słodycze, i nie przyznawałaby się do tego. - Westchnęła z bólem. - Dzieje się to zawsze, gdy w jej życiu zachodzi jakaś znacząca zmiana. Kiedy umarli rodzice, gdy chorowali Leo i Win... i teraz, kiedy opuściliśmy rodzinny dom i przenieśliśmy się do Hampshire. Musimy po prostu załagodzić tę sprawę w możliwie najbardziej dyskretny sposób i dopilnować, aby Beatrix mogła cieszyć się miłym, spokojnym życiem.

- U nas nigdy nie jest miło ani spokojnie - stwierdziła ponuro Poppy. - Och, Amelio, dlaczego nasza rodzina musi być taka dziwna?

- Nie jesteśmy dziwni.

Poppy lekceważąco machnęła dłonią.

- Dziwni ludzie nigdy nie uważają, że są dziwni.

- Ja jestem zupełnie zwyczajna - zaprotestowała Amelia. -Ha!

- Dlaczego, na Boga, powiedziałaś: „ha”? - zapytała ze zdumieniem.

- Rządzisz wszystkim i wszystkimi. I nie ufasz nikomu, kto nie należy do naszej rodziny. Jesteś jak jeżozwierz. Nikt nie może się przebić przez kolce.

- Cóż, bardzo ładnie - oburzyła się Amelia. - Zostałam porównana do wielkiego, kłującego stwora tylko dlatego, że zdecydowałam się poświęcić życie trosce o rodzinę...

- Nikt cię o to nie prosił.

- Ktoś musiał to robić. Jestem najstarszą z Hathawa-yów.

- Leo jest najstarszy.

- Jestem najstarszym trzeźwym członkiem rodziny.

- Co wcale nie oznacza, że musisz zostać męczennicą.

- Nie chcę być męczennicą. Po prostu jestem odpowiedzialna. A ty niewdzięczna!

- Wolałabyś wdzięczność czy męża? Osobiście wybrałabym to drugie.

- Nie chcę mieć męża.

Sprzeczały się całą drogę do Stony Cross Manor. Zanim dojechały, obie były poirytowane i złe. Kiedy jednak podszedł do nich lokaj, aby pomóc im

wysiąść z powozu, przykleiły do twarzy sztuczne uśmiechy i chwyciły się za ręce, idąc do frontowych drzwi.

Musiały poczekać w holu, aby kamerdyner zaanonsował ich przybycie. Ku ogromnej uldze Amelii po chwili zostały wprowadzone do saloniku. Zapowiedziano im, że lady Westcliff niezwłocznie się zjawi.

- Och, jak tu pięknie! I tak ładnie pachnie, a zobacz, jak okna błyszczą! - zawołała Poppy na widok wazonów pełnych świeżych kwiatów, mebli z gładkiego drewna, pokrytych bładoniebieskim jedwabiem, i płomieni buchających z białego marmurowego kominka.

Amelia nie odpowiedziała, ale nie mogła się nie zgodzić. Na widok nieskazitelnie czystego salonu, tak dalekiego od brudu i nędzy Ramsay House, poczuła wyrzuty sumienia i smutek.

- Nie zdejmuj czepka - powiedziała, gdy młodsza siostra zaczęła rozwiązywać wstążki. - Powinnaś go mieć na głowie w czasie oficjalnych wizyt.

- Tylko w mieście - sprzeciwiła się Poppy. - Na wsi zasady dobrego tonu nie są tak surowe. I nie sądzę, aby lady Westcliff miała coś przeciwko temu.

- Przeciwko czemu? - Usłyszały od drzwi kobiecy głos. Na progu stanęła lady Westcliff w różowej sukni i ciemnymi włosami ułożonymi w misterne loki upięte z tyłu. Uśmiechała się życzliwie. Na rękach trzymała ciemnowłose maleństwo w niebieskiej sukience, będące miniaturową wersją jej samej, tylko z ogromnymi, okrągłymi oczami koloru pierników.

- Milady... - Amelia i Poppy zgrabnie dygnęły. - Lady Westcliff, właśnie się zastanawialiśmy, czy wypada nam zdjąć czepki. - Amelia zdecydowała się na całkowitą szczerość.

- Dobry Boże, nie przejmujcie się dobrym tonem! - zawołała lady Westcliff, wchodząc z dzieckiem do pokoju. - Precz z czepkami, oczywiście. I nazywajcie mnie Lilian. To moja córka, Merritt. Została nam chwila zabawy przed jej poranną drzemką.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy... - zaczęła się usprawiedliwiać Poppy.

- Ależ skąd. Jeśli tylko zdołacie wytrzymać nasze figle w czasie wizyty, z chęcią was przyjmiemy. Posłałam już po herbatę. - Po chwili rozmawiały swobodnie. Merritt szybko pozbyła się początkowej nieśmiałości i zaprezentowała im swoją ulubioną lalkę imieniem Annie oraz kolekcję kamyków i liści, którą nosiła w kieszeni. Lady Westcliff, Lilian, była czułą i chętną do zabawy matką, nie zawahała się nawet, gdy trzeba było uklęknąć na podłodze i szukać zagubionych kamyków pod stołem.

Stosunek Lilian do dziecka był dosyć niezwykły. W arystokratycznych domach dzieci rzadko towarzyszyły rodzicom podczas wizyt, chyba że była to krótka prezentacja, zakończona poklepaniem po głowie i odesłaniem



do pokoju. Większość kobiet o takiej pozycji, jaką miała hrabina, widywała swoje potomstwo raz lub dwa razy dziennie, pozostawiając w rękach niań i guwernantek sprawy związane z wychowaniem.

- W ogóle nie mogę się z nią rozstać - wyjaśniła im Lilian szczerze. - Nianie musiały się nauczyć tolerować moją obecność.

Gdy podano herbatę, Annie została usadzona na sofie pomiędzy Poppy a Merritt. Dziewczynka przyłożyła brzeg swojej filiżanki do namalowanych ust lalki.

- Annie chce więcej cukru, mamó - oznajmiła. Lilian uśmiechnęła się, dobrze wiedząc, kto będzie pił przesłodzoną herbatę.

- Powiedz Annie, że nigdy nie słodzimy więcej niż dwie kostki na filiżankę, kochanie. Mogłaby się od tego pochorować.

- Ale ona uwielbia słodczyce - zaprotestowała Merritt. - I ma charakterek - dodała złowróźnie.

Lilian pokręciła głową z dezaprobatą.

- Cóż za uparta lalka. Musisz z nią postępować stanowczo, Merritt.

Poppy, która z uśmiechem przysłuchiwała się tej rozmowie, nagle zaczęła się kręcić zakłopotana.

- Przepraszam bardzo, chyba na czymś usiadłam... - Sięgnęła za siebie i wyciągnęła małego drewnianego konika, udając, że właśnie znalazła go pomiędzy poduszkami kanapy.

- To mój konik! - krzyknęła Merritt, zaciskając na nim kurczowo paluszki. - Myślałam, że uciekł!

- Dzięki Bogu - oznajmiła Lilian. - To jedna z ulubionych zabawek Merritt. Cały dom od rana go szukał.

Amelia zadrżała i rzuciła niespokojne spojrzenie na siostrę. Obie myślały o tym samym: czy odkryto już zniknięcie innych rzeczy? Wszystkie, a zwłaszcza srebrną pieczęć, należało zwrócić najszybciej, jak to możliwe. Amelia chrząknęła.

- Milady... to znaczy, Lilian... przepraszam bardzo, ale... muszę skorzystać...

- Och, oczywiście. Czy mam zawołać pokojówkę, aby cię zaprowadziła, czy...

- Nie, dziękuję - przerwała jej Amelia. - Poradzę sobie. Usłyszawszy dokładne instrukcje, przeprosiła raz jeszcze i opuściła salonik.

Najpierw udała się na poszukiwanie biblioteki, skąd Beatrix zabrała rysunek do stereoskopu i klucz. Przypomniała sobie rozkład pomieszczeń, który opisała jej siostra i ruszyła w głąb cichego korytarza. Zwolniła na widok pokojówki czyszczącej dywan, starając się sprawiać wrażenie osoby, która doskonale wie, dokąd idzie. Pokojówka przerwała pracę i wstała z szacunkiem, gdy Amelia obok niej przeszła.

Znalazła bibliotekę i wślizgnęła się do środka. Na szczęście pokój był

pusty. Na masywnym stole zauważyła stereoskop. Obok niego stało drewniane pudełko, wypełnione rysunkami identycznymi z tym, który miała w kieszeni. Amelia odłożyła go na miejsce i wybiegła z biblioteki, zatrzymując się tylko na chwilę, aby włożyć klucz do pustej dziurki w drzwiach.

Zostało ostatnie zadanie - należało odnaleźć prywatny gabinet pana domu i zwrócić srebrną pieczęć, która ciążyła jej w kieszeni i przy każdym ruchu obijała się o jej biodro. Boże, proszę, oby Westcliffa tam nie było, pomyślała z rozpaczą. Proszę, oby gabinet był pusty. Proszę, niech mnie nie przyłapią.

Beatrix powiedziała, że gabinet mieści się tuż obok biblioteki, ale pierwsze drzwi, które otworzyła Amelia, prowadziły do pokoju muzycznego. Zauważyła następne i odkryła za nimi schowek na wiadra, miotły, ścierki oraz kubelki z woskiem i pastą do podłóg.

- A niech to! - mruzczała pod nosem, biegnąc do kolejnych otwartych drzwi.

Był to pokój bilardowy. Znajdowało się tu kilku dżentelmenów, zaabsorbowanych grą. Co gorsza, jednym z nich okazał się Christopher Frost. Jego przystojna twarz była całkiem pozbawiona wyrazu, gdy na nią spojrział. Amelia zatrzymała się i oblała szkarłatnym rumieńcem.

- Proszę mi wybaczyć - wymamrotała i uciekła.

Ku jej konsternacji Christopher Frost zrobił ruch, jakby chciał za nią biec. Amelia tak szybko rzuciła się do ucieczki, że nie zauważyła kogoś, kto stanął Frostowi na drodze, skutecznie go blokując.

- Panno Hathaway!

Amelia odwróciła głowę. Spodziewała się zobaczyć Christophera Frosta i ze zdumieniem zobaczyła, że to Cam Rohan za nią szedł.

-Sir.

Miał na sobie tylko koszulę z kołnierzykiem tak rozluźnionym, że zapewne musiał za niego pociągać. Jego kruczoczarne włosy były w nieładzie, jakby dopiero co przeczesywał palcami lśniące pasma. Serce Amelii zaczęło bić szybciej. Czekala sztywno, aż Rohan podejdzie do niej swoim płynnym krokiem.

Natomiast Christopher Frost przez chwilę jeszcze stał na progu pokoju, po czym obrzucił ich ostatnim spojrzeniem i wrócił do stołu.

Rohan zbliżył się do Amelii i skłonił lekko głowę na powitanie.

- Czy mogę pani jakoś pomóc? - zapytał grzecznie. - Zabłądziła pani?

Porzucając wszelką ostrożność, chwyciła go za podwinięty rękaw.

- Panie Rohan, czy wie pan, gdzie znajduje się prywatny gabinet lorda Westcliffa?

- Tak, oczywiście.

- Proszę mnie tam zaprowadzić. Spojrział na nią z zagadkowym uśmiechem.

- Dlaczego?

- Nie czas teraz na pytania. Po prostu proszę mi go wskazać. Szybko!

Bez słowa poprowadził ją na drugą stronę korytarza do niewielkiego pokoju wyłożonego panelami z różanego drewna. Gabinet dżentelmena. Jediną ozdobą był rząd prostokątnych witrażowych okien na jednej ze ścian.

To tu Marcus, lord Westcliff, załatwiał większość spraw dotyczących posiadłości.

Rohan zamknął za nimi drzwi.

Amelia wyciągnęła z kieszeni ciężką srebrną pieczęć.

- Gdzie mam ją odłożyć?

- Na prawą stronę biurka, tuż obok kałamarza. Skąd pani to ma?

- Później panu wyjaśnię. Błagam, proszę nic nikomu nie mówić. - Podeszła do biurka, aby odłożyć pieczęć. - Mam nadzieję, że nikt nie zauważył jej zniknięcia.

- A po co ona była pani w ogóle potrzebna? - zapytał Rohan z roztargnieniem. - Czyżbyśmy mieli zamiar posunąć się do fałszerstwa?

- Fałszerstwa! - Amelia zbladła. List sygnowany nazwiskiem Westcliffa i zapieczętowany jego rodzinnym herbem byłby doprawdy potężnym narzędziem. Jakie inne wnioski można było wysnuć z takiej sytuacji? - Och, nie, ja nigdy bym... to znaczy, ja nie...

Urwała, słysząc trzask przekręcanej gałki u drzwi. Ogarnęło ją przerażenie i rezygnacja. To koniec. Była tak blisko, ale została przyłapana i teraz Bóg jeden wie, jakie wynikną z tego konsekwencje. Nie miała innego wyjaśnienia dla swojej obecności w gabinecie pana domu poza ujawnieniem prawdy o Beatrix, co sprowadzi hańbę na całą rodzinę i zrujnuje przyszłość dziewczyny w towarzystwie. Figiel z jaszczurką to jedno, ale kradzież to zupełnie co innego.

Wszystkie te myśli kłębiły się bezładnie w głowie Amelii. Nagle jednak Rohan zbliżył się do niej dwoma szybkimi krokami. I zanim zdążyła się ruszyć, pomyśleć czy nawet odetchnąć, przyciągnął ją do siebie gwałtownie i pochylił się ku jej ustom.

Całował ją z nieprzyzwoitą namiętnością, od której zakreśliło jej się w głowie. Zamknął ją w ramionach i unieruchomił, a jego wargi naparły na jej usta. Uniosła ręce do góry w niepewnym sprzeciwie i dotknęła twardych mięśni jego klatki piersiowej. Był jedyną ostoją w wirującym wokół świecie. Przestała go odpychać, a jej ciało wyczuło jego napierającą męskość, twarde kształty jego sylwetki, świeży zapach lasu, zmysłową pieśczość jego ust. Przeżyła ten pocałunek po tysiącokroć w swojej wyobraźni. Dopiero teraz to sobie uświadomiła.

Smukłe palce dotknęły jej podbródka, unosząc ku górze jej twarz. Przesunął opuszkami po delikatnej skórze na jedwabistej linii włosów, ani na chwilę nie przestając napędzać jej intensywnym ogniem, aż usta zaczęły ją

słodko piec, a kolana się ugięły. Cam przedłużył pocałunek i delikatnie musnął językiem jej wargi, rozchylając je, gdy przywarła doń, oszołomiona przyjemnością.

Gdy uniósł głowę, jego gorący oddech owionął jej twarz intymną pieśzczotą. Odwrócił głowę w kierunku osoby, która weszła do pokoju.

- Proszę o wybaczenie, milordzie. Potrzebowaliśmy chwili prywatności.

Amelia poczuła, że jej policzki powlokły się szkarłatem, gdy dostrzegła na progu lorda Westcliffa, przyglądającego im się z nieodgadnioną miną.

Zapadła cisza, w czasie której pan domu najwyraźniej zbierał myśli. Jego wzrok przesunął się z twarzy Amelii na Rohana. W ciemnych oczach Westcliffa błysnął uśmiech.

- Zamierzam tu wrócić za mniej więcej pół godziny. Wolałbym, aby do tego czasu mój gabinet został zwolniony. - Kiwnął szarmancko głową i wyszedł.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za nim, Amelia oparła czoło o ramię Rohana i jęknęła cicho. Odsunęłaby się, ale nie ufała swoim nogom.

- Dlaczego pan to zrobił?

W ogóle nie wyglądał na skruszonego.

- Musiałem wymyślić jakiś powód, dla którego oboje się tu znaleźliśmy. To był najlepszy.

Amelia wolno potrząsnęła głową, wciąż opierając się o niego. Słodki zapach Cama przypominał jej skapaną w słońcu dolinę.

- Myśli pan, że komuś o tym powie?

- Ależ skąd - odparł natychmiast. - Westcliff nie plotkuje. Nie powie ani słowa nikomu z wyjątkiem...

- Z wyjątkiem?

- Lady Westcliff. Jej powie na pewno.

Amelia zastanawiała się przez chwilę i doszła do wniosku, że to wcale nie takie tragiczne. Lady Westcliff nie wyglądała na osobę, która mogłaby ją za to potępić. Lilian wykazywała zastanawiająco dużo tolerancji dla skandalicznych zachowań.

- Oczywiście - kontynuował Rohan - jeśli lady Westcliff się dowie, prawdopodobnie podzieli się tym z lady St. Vincent, która ma przyjechać z mężem przed końcem tygodnia. Lady St. Vincent mówi swojemu mężowi wszystko, więc on też się dowie. Poza tym już naprawdę nikt. Chyba że...

Jej głowa podskoczyła jak główka kukielki na sznurku.

- Chyba że?

- Lord St. Vincent może o tym wspomnieć panu Hun-towi, który na pewno powie o tym pani Hunt, a wtedy, wtedy dowie się cała okolica.

- Och, nie. Nie zniosłabym tego.

Spojrzał na nią czujnie.

- Dlaczego? Bo przyłapano panią na całowaniu się z Cyganem?

- Nie, bo nie jestem kobietą, która całuje się z kimkolwiek. Nie miewam schadzek! Gdy wszyscy się dowiedzą, moja dobra reputacja zostanie zrujnowana. Nie... Czemu pan się uśmiecha?

- Przez panią. Nie spodziewałem się takich melodramatycznych słów.

Rozzłościł tym Amelię, która nie znosiła melodramatów. Odepchnęła go bardziej stanowczo.

- Moja reakcja jest w pełni zrozumiała, biorąc pod uwagę fakt...

- Jest pani w tym całkiem niezła. Mrugnęła zdezorientowana.

- W dramatyzowaniu?

- W całowaniu. Przy odrobinie praktyki będzie pani naprawdę wspaniała. Ale musi się pani odprężyć.

- Nie chcę się odprężyć. Nie chcę... och, dobry Boże. - Pochylił się nad nią i dotknął wargami jej szyi. Poczowała lekki, palący dreszcz. - Proszę tego nie robić - zaprotestowała słabo, ale Cam nie posłuchał. Jego usta były zwodniczo miękkie, a jej oddech zaczął się rwać, gdy poczuła musnięcia jego języka.

Bezwiednie uniosła ręce do jego umięśnionych ramion.

- Panie Rohan, nie wolno panu...

- Tak właśnie powinnaś całować, Amelio. - Ujął jej twarz w dłonie i zgrabnie przechylił ją na bok. - Nosi tu. - Poczowała jeszcze jedno rozpraszające musnięcie jego ust, a potem falę zmysłowego ciepła. - Smakujesz cukrem i herbatą.

- Wiem, jak się całować!

- Naprawdę? - Dotknął kciukiem jej rozpalonych od pocałunków ust, aby rozchylić wargi. - Pokaż mi - szepnął. - Wpuść mnie, Amelio.

Nigdy nie podejrzewała, że usłyszy tak oburzającą propozycję od mężczyzny. Już same te słowa wydawały się wystarczająco niestosowne, ale błysk w jego oczach był wręcz skandaliczny.

- Ja... ja jestem starą panną - wyszeptała, zasłaniając się tymi słowami, jakby to była tarcza. Wszyscy wiedzieli, że rozpustnicy zostawiają stare panny w spokoju. Ale najwyraźniej nikt nie powiedział o tym Camowi Rohanowi.

Kąciki jego ust uniosły się w krzywym uśmiechu.

- To cię przede mną nie ochroni. - Spróbowała się odwrócić, ale jego dłonie przytrzymały jej twarz. - Jakoś nie mogę ci się oprzeć. W zasadzie zamierzam przeformułować całą moją politykę w stosunku do starych panien.

Zanim zdołała zapytać, jaka to polityka, znów zagarnął jej usta, jednocześnie gładząc ją delikatnie po podbródku, aby się odprężyła. Nawet w chwilach największego zapamiętania Christopher Krost nie całował jej w ten sposób. Wargi Rohana ocierały się o jej wargi, aż stały się gorące, a jego język odnalazł jej język. Drażnił ją, muskając go lekko i posuwając się coraz dalej. Gładził jej plecy i ramiona, aż wreszcie oderwał usta od jej warg i zaczął pieścić nimi jej szyję. W pewnym momencie Amelia zaczęła drżeć pod jego

dotknięciem, aż z jej gardła wyrwał się bezradny jęk.

Rohan podniósł głowę. Jego oczy jarzyły się jak dwa kryształy siarki, otoczone ciemną obwódką. Mówił powoli, jakby musiał dobierać słowa.

- To na pewno nie był dobry pomysł. Amelia przytaknęła z drzeniem.

- Na pewno, panie Rohan.

Muśnięcie jego palców wywołało kolejną falę gorąca na jej policzkach.

- Mam na imię Cam.

- Nie mogę tak do pana mówić.

- Dlaczego nie?

- Przecież pan wie, dlaczego - odparła szybko. Zachłysnęła się, gdy poczuła na policzku jego usta. - Co ono oznacza?

- Moje imię? W języku Romów znaczy słońce. - Przesunął usta na jej skroń. - Wiesz, że Cygan ma trzy imiona?

Amelia pokręciła przecząco głową, gdy jego usta powędrowały na jej czoło.

- Pierwsze jest tajemnicą, matka szepcze je do ucha dziecku tuż po porodzie. Drugie to imię używane tylko przez innych Cyganów. A trzeciego używamy w relacjach z nie-Romami.

Jego zapach otaczał ją jak obłok, swobodny, świeży i słodki.

- A jak brzmi twoje cygańskie imię?

Rohan uśmiechnął się lekko, wyczuła to na policzku.

- Nie mogę ci powiedzieć. Nie znam cię jeszcze wystarczająco dobrze.

Jeszcze. Kusząca obietnica zawarta w tym jednym słowie sprawiła, że Amelii zabrakło tchu.

- Puść mnie - szepnęła. - Proszę, nie wolno nam... - Słowa rozplynęły się, gdy pochylił się nad nią i znów zaatakował jej usta.

Płonąc z rozkoszy, Amelia wplotła mu palce we włosy, znajdując dziką satysfakcję w przesuwaniu ciężkich jedwabnych pukli pomiędzy palcami. Gdy poczuł jej dotknięcie, mruknął zachęcająco. Jego oddech przyspieszył, a pocałunki stały się głębokie i intensywne.

Wziął to, co mu ofiarowała, a nawet więcej. Odpowiadała mu całą sobą, aż stanęła w ogniu, a wszystkie rozsądne myśli uleciały jej z głowy. Rohan przyciągnął ją blisko, zbyt blisko, do siebie i unieruchomił. Trwali tak przez chwilę, przytuleni.

W końcu rozluźnił uścisk. Uwalniał ją powoli, aż zdołał całkiem się od niej odsunąć.

- Wybacz - powiedział cicho, spoglądając na nią z oszołomieniem. - Zazwyczaj nie mam takich trudności, żeby przestać.

Amelia bezwiednie kiwnęła głową i objęła się ciasno rękami. Nie była świadoma, że znów stuka nerwowo stopą w podłogę, dopóki Rohan nie podszedł do niej i nie dotknął nogą jej stopy, aby ją uspokoić.

- Koliberku - szepnął. - Lepiej uciekaj. Jeśli tego nie zrobisz,

skompromituję cię na tyle różnych sposobów, że nawet sobie tego nie wyobrażasz.

Amelia nie była pewna, jak zdołała wrócić do saloniku, nie gubiąc się przy tym po drodze. Poruszała się jak we śnie.

Usiadła na sofie obok Poppy, pozwoliła nalać sobie jeszcze jedną filiżankę herbaty, uśmiechnęła się do małej Merritt, która próbowała wyłowić paluszkami ze swojej filiżanki kawałek słodkiego herbatnika, i niezobowiązująco odpowiedziała na zaproszenie Lilian, aby cała piątka Hathawayów wybrała się z nimi na piknik pod koniec tygodnia.

- Tak bym chciała, żebyśmy mogły przyjąć zaproszenie - powiedziała tęsknie Poppy, gdy wracały do domu. - Ale byłyby to pewne kłopoty, bo Leo zachowywałby się w sposób nie do przyjęcia, a Beatrix znowu by coś ukradła.

- A poza tym czeka nas jeszcze mnóstwo pracy w Ramsay House - dodała Amelia w roztargnieniu.

W jej głowie tkwiła tylko jedna rozsądna myśl. Cam Rohan niebawem wróci do Londynu. Dla swojego własnego dobra, i pewnie jego również, powinna do tego czasu unikać Stony Cross Park.

Panny Hathaway popadły tego wieczoru w nastrój błęgiego rozleniwienia, być może z powodu zmęczenia wywołanego sprzątaniami, naprawianiem i urządzaniem swojego nowego gospodarstwa. Wszystkie rozsiadły się wygodnie wokół kominka w jednym z pokoiów na dole, a Win zaczęła czytać głośno powieść Dickensa. Merripen zajął miejsce w kącie, blisko dziewcząt, ale jakby osobno, i przysłuchiwał się temu chciwie. Cóż, Win mogłaby czytać listę nazwisk rejestrów ubezpieczeniowych, a on i tak uznałby to za fascynujące.

Poppy, zajęta robótką, wyszywała parę męskich kapci jaskrawą wełnianą nitką, a Beatrix układała pasjansa na podłodze. Widząc, jak najmłodsza siostra tasuje karty, Amelia się roześmiała.

- Beatrix - zapytała, gdy Win skończyła rozdział. - Dlaczego, na litość boską, oszukujesz w pasjansie? Przecież grasz sama ze sobą.

- Nikt się więc nie sprzeciwia, gdy oszukuję.

- Nieważne, czy wygrasz, liczy się to, jak grasz.

- Słyszałam to już kiedyś i kompletnie się z tym nie zgadzam. Znacznie lepiej jest wygrywać.

Poppy pokręciła głową nad swoim haftem.

- Beatrix, nie masz za grosz poczucia przyzwoitości.

- Ale wygrywam - oznajmiła dziewczynka z satysfakcją, wyciągając z talii brakującą kartę.

- Gdzie popełniliśmy błąd? - zapytała Amelia na głos. Win się uśmiechnęła.

- Ona ma tak mało przyjemności. Przecież oszukując przy pasjansie, nikogo nie krzywdzi.

- Zapewne masz rację. - Amelia chciała dodać coś jeszcze, ale po jej kostkach przemknął powiew chłodnego powietrza, sprawiając, że jej palce zdrętwiały. Zadrżała i owinęła się ciasniej robionym na drutach błękitnym szalem. - Ależ tu zimno.

- Chyba siedzisz w przeciągu - oznajmiła Poppy z troską. - Usiądź przy mnie, Amelio, bliżej ognia.

- Dziękuję ci za propozycję, ale chyba się już położę. - Wciąż trzęsąc się z zimna, Amelia ziewnęła. - Dobranoc wszystkim. - Gdy wychodziła, Beatrix poprosiła Win, aby przeczytała im następny rozdział.

Idąc korytarzem, Amelia minęła mały pokój, który musiał być kiedyś gabinetem pana domu. Była w nim wnęka wystarczająco duża, aby pomieścić stół bilardowy, a na ścianie wisiał wyblakły obraz przedstawiający scenę polowania. Pomiędzy oknami stał masywny fotel ze zniszczonym aksamitnym obiciem. Lampa ustawiona w rogu dawała ledwie nikłe światło.

Leo drzemał w fotelu, jego ręka spoczywała swobodnie na podłokietniku. Na podłodze obok fotela stała pusta butelka, rzucając podłużny cień na przeciwległą ścianę.

Amelia poszłaby dalej, ale coś w wyglądzie brata kazało się jej zatrzymać. Wydawał się taki bezbronny, gdy tak spał z głową opartą na ramieniu i rozchylonymi wargami, jak wtedy gdy był dzieckiem. Gniew i smutek zniknęły z jego twarzy, przez co wyglądał młodo i delikatnie. Przypominał tamtego subtelnego i wrażliwego chłopca, którym był kiedyś. Serce Amelii ścisnęło się na ten widok.

Gdy weszła do pokoju, zdumiała ją nagła zmiana temperatury - powietrze dosłownie szczypało w policzki. Było tu znacznie zimniej niż na korytarzu. I nie sprawiła tego jej wyobraźnia - Amelia widziała wyraźnie białe obłoczki swojego oddechu. Drżąc, podeszła do brata. Chłód koncentrował się wokół niego z taką siłą, że gdy nabierała powietrza, kłuł w płuca. Gdy pochyliła się nad śpiącym, ogarnął ją smutek tak wielki, że wyciskał z oczu łzy.

- Leo? - Jego twarz była szara jak popiół, usta suche i sine. Gdy dotknęła jego policzka, nie wyczuła ani śladu ciepła. - Leo!

Nie odpowiedział.

Potrząsnęła nim, przytuliła się do niego i otoczyła jego zeszywniałą twarz dłońmi. Poczła jakby przyciąganie niewidzialnej siły. Obejmując mocno brata, zacisnęła palce na jego koszuli.

-Leo, obudź się!

Ku nieskończonej uldze Amelii poruszył się i westchnął, a powieki mu zadrżały. Jego tęczęwki były blade i zimne jak lód. Oparł dłonie na jej ramionach.

- Nie śpię. Nie śpię - mruknął oszołomiony. - Jezu, nie krzycz tak. Umarłego byś obudziła tym wołaniem.



- Przez chwilę byłam pewna, że właśnie to robię. - Oparła się ciężko na poręczu fotela, nie mogąc uspokoić nerwów. Dreszcze powoli ustępowały. - Och, Leo, byłeś taki blady i nieruchomy. Widziałam nieboszczyków, którzy wyglądali lepiej.

Brat potarł palcami powieki.

- Jestem tylko lekko zawiany, nie martwy.

- Nie mogłam cię dobudzić.

- Nie chciałem się obudzić. Ja... - Przerwał z zakłopotaniem. Jego głos stał się miękki i pełen zadumy. - Śniłem. Miałem taki realny sen...

- O czym?

Nie odpowiedział.

- O Laurze?

Twarz Leo powlokła się bledością, głębokie zmarszczki pokryły ją na podobieństwo szczelin, drażzonych w skale przez wodę.

- Powiedziałem, że macie nigdy nie wspominać przy mnie jej imienia.

- Tak, bo nie chcesz, aby ci o niej przypominano. Ale to przecież bez znaczenia, Leo. Nigdy nie przestajesz o niej myśleć, czy słyszysz jej imię, czy nie.

- Nie będę o tym rozmawiał.

- Wyraźnie widać, że unikanie tego tematu nic nam nie daje. - W głowie Amelii myśli wirowały jak szalone, gdy zastanawiała się, jaką zastosować taktykę, jak do niego dotrzeć. Wybrała stanowczość. - Nie pozwolę ci się załamać, Leo.

Spojrzenie, które jej rzucił, od razu powiedziało jej, że dokonała złego wyboru.

- Kiedyś - oznajmił z chłodną uprzejmością - może będziesz musiała przyjąć do wiadomości, że nad pewnymi rzeczami nie masz władzy. Jeśli będę chciał się załamać, zrobię to, nie pytając cię o pozwolenie.

Spróbowała więc współczucia.

- Leo... Wiem, co przeżywasz, odkąd Laura umarła. Ale ludzie otrząsają się po takiej stracie i znów odnajdują szczęście...

- Nie ma już dla mnie szczęścia - przerwał jej szorstko Leo. - Nie ma spokoju w żadnej minucie mojego życia. Zabrała ze sobą moje serce. Na miłość boską, Amelio, zacznij rządzić kimś innym, a mnie, do diabła, zostaw w spokoju.

## Rozdział 11

Następnego ranka po wizycie sióstr Hathaway Cam poszedł odwiedzić lorda Westcliff w jego prywatnym gabinecie.

- Witam, milordzie - powiedział, stając w otwartych drzwiach.

Uśmiechnął się na widok wystającej spod mahoniowego biurka porcelanowej głowy lalki, która siedziała oparta o jedną z nóg, ubrudzona resztkami czegoś, co wyglądało jak ciasto z miodem. Wiedząc, że hrabia uwielbia córkę, Cam domyślił się, że trudno mu jest zabronić Merritt odwiedzin.

Westcliff podniósł głowę i gestem zaprosił Cama do środka.

- To tabor Brishena? - zapytał bez wstępów. Cam zajął wskazane mu krzesło.

- Nie, starszym jest mężczyzna imieniem Danior. Zobaczyli znaki na drzewach.

Tego ranka jeden z dzierżawców Westcliffa doniósł mu o obozie cygańskim rozbitym nad rzeką. W przeciwieństwie do większości właścicieli ziemskich w Hampshire Westcliff tolerował obecność Cyganów na swojej ziemi, dopóki ci przestrzegali prawa i nie nadużyli jego gościnności.

Przy kilku poprzednich okazjach hrabia posyłał odwiedzającym go Romom jedzenie i wino. Ci natomiast wycięli znaki na drzewach przy rzece, aby zaznaczyć, że to przyjazna okolica. Zazwyczaj zatrzymywali się tam tylko na kilka dni i wyjeżdżali, nie czyniąc żadnych szkód.

Gdy Cam dowiedział się o przybyciu taboru, zgłosił się na ochotnika, aby powitać wędrowców i wypytać ich o zamiary. Westcliff zgodził się od razu, ciesząc się z możliwości posłania tam kogoś, kto zna język romani.

Wizyta była całkiem owocna. Tabor okazał się niewielki, a jego przywódca był przyjazny. Zapewnił Cama, że nie będą sprawiać kłopotów.

- Zamierzają zostać tydzień, nie dłużej - oznajmił Cam.

- To dobrze.

Zdecydowana odpowiedź hrabiego sprawiła, że się uśmiechnął.

- Nie lubisz, gdy odwiedzają cię Romowie.

- Nie jest to coś, czego bym sobie życzył - przyznał Westcliff. - Ich obecność drażni mieszkańców wioski i moich dzierżawców.

- A jednak pozwalasz im zostać. Czemu?

- Po pierwsze, kiedy są w pobliżu, łatwiej się dowiedzieć, co robią. A poza tym... - Westcliff przerwał, jakby musiał dobierać słowa z niezwykłą starannością. - Wielu uważa Romów za bandę włóczęgów, a co gorsza, żebraków i złodziei. Są też jednak tacy, którzy dostrzegają ich oryginalną kulturę. Ci

uważają, że nie można karać ludzi za to, że żyją w zgodzie z naturą.

Cam uniósł brwi zdziwiony. Rzadko można było spotkać kogoś, a co dopiero arystokratę, kto tak uczciwie traktowałby Cyganów.

- I ty wyznajesz ten drugi pogląd?

- Przychyłam się do niego - Westcliff uśmiechnął się drwiąco - choć wiem, że ludzie żyjący zgodnie z naturą miewają czasami lepkie palce.

Cam uśmiechnął się szeroko.

- Romowie wierzą, że nie można posiadać na własność ziemi czy żyjących na niej istot. W teorii więc nie można ukraść czegoś, co należy do wszystkich.

- Tyle że moi dzierżawcy nie podzielają tej opinii - odparł sucho Westcliff.

Cam odchylił się do tyłu, opierając ręce na podłokietnikach. Złote pierścionki zaślśniły na kosztownym mahoniu. W przeciwieństwie do hrabiego, ubranego w idealnie dopasowany surdut i zgrabnie zawiązany fular, Cam miał na sobie wysokie buty, bryczesy i koszulę bez kołnierzyka. Niestosownie byłoby odwiedzać tabor w eleganckim ubraniu gadziów.

Westcliff przyjrzał mu się uważnie.

- O czym rozmawialiście? Zapewne wyrazili jakieś zdziwienie, spotykając Roma, który żyje z gadziami?

- Zdziwienie - potwierdził Cam - pomieszane z litością.

- Litością? - Hrabia nie był aż tak oświecony, żeby przypuszczać, że Romowie mieli się za gatunek znacznie przewyższający gadziów.

- Współczują każdemu człowiekowi, który wiedzie takie życie. - Cam wskazał gestem wytworne otoczenie. - Śpi pod dachem. Jest obciążony dobytkiem. Działa według planu. Nosi kieszonkowy zegarek. To wszystko jest nienaturalne.

Umilkł, wspominając chwilę, kiedy postawił stopę w obozie, i uczucie beztroski, jakie go wtedy ogarnęło.

Widok wozów, psów wałęsających się pomiędzy nimi, zadowolonych kuców spętanych nieopodal, zapach dymu i popiołu... wszystko to przywołało ciepłe wspomnienia dzieciństwa. I tęsknotę. Pragnął takiego życia, nigdy nie przestał go pragnąć. Przez te wszystkie lata nie znalazł niczego, co mogłoby je zastąpić.

- Śmiem stwierdzić, że nie ma nic nienaturalnego w marzeniu skrycia się pod dachem, kiedy pada deszcz - odparł Westcliff. - W posiadaniu i uprawianiu ziemi czy mierzeniu upływu czasu za pomocą zegara. W naturze ludzkiej jest zakorzenione pragnienie narzucenia swojej woli otoczeniu. W przeciwnym razie społeczeństwo by się rozpadło, nie zostałoby nic, tylko chaos i wojna.

- Bo Anglicy, ze swoimi zegarkami, farmami i płotami, nie prowadzą wojen?

Hrabia zmarszczył brwi.

- Nie można tego tak upraszczać.

- Romowie to robią. - Cam wbił wzrok w czubki swoich znoszonych butów, pokrytych cienką warstwą rzeczno mułu. - Poprosili, żebym z nimi powędrował - powiedział nieobecny głosem.

- Odmówiłeś, oczywiście.

- Chciałem się zgodzić. Zgodziłbym się, gdyby nie moje obowiązki w Londynie.

Westcliff spojrzał na niego z obojętnym wyrazem twarzy.

- Zdziwiasz mnie.

- Czemu?

- Jesteś człowiekiem o niezwykłych zdolnościach i inteligencji. Jesteś zamożny i możesz zdobyć jeszcze więcej. Jaki jest logiczny powód, aby to wszystko poszło na marne?

Cam uśmiechnął się lekko. Westcliff miał otwarty umysł, ale również silne przekonania co do tego, jak wszyscy powinni żyć. Wyznawane przezeń wartości - czyli honor, pracowitość i postęp - nie zgadzały się ze światopoglądem Romów. Dla hrabiego natura była czymś, co można zorganizować i czym można zarządzać: kwiaty miały rosnać na klombach i gazonach, zwierzęta należało tresować lub na nie polować, ziemię trzeba było uprawiać. A każdy młody człowiek powinien z czasem założyć produktywnie przedsiębiorstwo i ożenić się z odpowiednią kobietą, aby stworzyć z nią solidną brytyjską rodzinę.

- Dlaczego na marne?

- Mężczyzna powinien wykorzystać cały swój potencjał - padła natychmiastowa odpowiedź. - Nigdy byś tego nie zrobił, żyjąc jak Rom. Ledwie zaspokajałbyś swoje podstawowe potrzeby, takie jak jedzenie i schronienie. I stale byś się zastanawiał, jak to możliwe, że pociągało cię takie życie, skoro mogłeś mieć wszystko, czego człowiek może zapragnąć.

Cam wzruszył ramionami.

- To wolność. Westcliff pokręcił głową.

- Jeśli pragniesz ziemi, masz środki na to, aby wykupić całe hrabstwo. Jeśli kochasz konie, możesz kupić całe stado rumaków czystej krwi. Jeśli pragniesz...

- To nie jest wolność. Ile czasu poświęcasz na zarządzanie posiadłością, planowanie inwestycji, swoje inne przedsięwzięcia, spotkania z agentami i maklerami, podróże do Bristolu i Londynu?

Westcliff spojrzał na Cama z urazą.

- Czy chcesz mi powiedzieć, że naprawdę rozważasz rezygnację z pracy, z ambicji, z przyszłości na rzecz... podróży wozem cygańskim?

- Owszem, rozważam. Westcliff zmrużył oczy.

- I myślisz, że po latach produktywnego życia w Londynie tak po

prostu przystosujesz się do egzystencji bez celu?

- To życie, do którego zostałem stworzony. W twoim świecie jestem odmieńcem.

- Cholernie udanym odmieńcem. I masz przy tym możliwość reprezentowania swoich ludzi...

- Na miłość boską. - Cam roześmiał się bezradnie. - Jeśli kiedykolwiek do tego dojdzie, zastrzel mnie.

Hrabia podniósł srebrną pieczęć do listów i z niezwykłą uwagą zaczął przyglądać się jej grawerowanej podstawie. Brzegiem paznokcia usunął stwardniałą kroplę wosku, która brudziła wypolerowaną powierzchnię. Cama nie zwiódła jednak nagle wstrzeźliwość Westcliffa.

- Trudno nie zauważyć - mruknął hrabia - że podczas gdy rozważasz zmianę całego swojego życia, wykazujesz także rzucające się w oczy zainteresowanie panną Hathaway.

Twarz Cama nawet nie drgnęła.

- To piękna kobieta. Musiałbym być ślepy, żeby tego nie zauważyć. Ale ona nie ma żadnego wpływu na moje plany.

- Na razie.

- Nigdy. - Urwał, gdy usłyszał w swoim głosie niepotrzebne napięcie. Natychmiast zmienił ton. - Wyjeżdżam za dwa dni, gdy tylko naradzę się z St. Vincentem co do klubu. Wątpliwe, abym w tym czasie znów spotkał pannę Hathaway. - I dzięki Bogu, dodał w duchu.

Jego dotychczasowe spotkania z Amelią Hathaway wzbudziły w nim niepokój. Nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy, jeśli w ogóle, jakaś kobieta tak go pociągała. Nie mieszał się zazwyczaj w sprawy innych ludzi. Nie cierpiał dawać rad i niewiele czasu poświęcał na roztrząsanie spraw, które bezpośrednio go nie dotyczyły. Ale Amelia nieodparcie go przyciągała. Była tak rozkosznie poważna, tak zaferowana dyrygowaniem wszystkimi ludźmi ze swego otoczenia, że wręcz czuł irracjonalną potrzebę rozbawienia jej. Pobudzania do śmiechu i bez troski. I mógłby to robić, gdyby tylko chciał. Wiedza ta sprawiała, że jeszcze trudniej było mu trzymać się od niej z daleka.

Głębokie więzi, które łączyły ją z rodziną, ogrom poświęcenia, z jakim się zajmowała siostrami i bratem... To przemawiało do niego. Tacy byli Romowie. Troszczyli się o swoich bliskich. A jednak Amelia była jego dokładnym przeciwieństwem we wszystkich najważniejszych kwestiach, udomowioną istotą, która nalegałaby na zapuszczenie korzeni. Co za ironia, że tak fascynowała go osoba, która reprezentowała sobą to wszystko, od czego on chciał uciec...

Chyba całe hrabstwo zjawilo się na Zamiatanym Jarmarku, który zgodnie z tradycją od przynajmniej stu lat odbywał się dwunastego października. Wioska ze schludnymi sklepikami i biało-czarnymi, krytymi strzechą domkami wyglądała wręcz absurdalnie uroczo. Tłumy przechadzały

się po głównej drodze, przy której ustawiono prowizoryczne kramy i budki pełne zabawek za pensa, smakołyków, torebek soli z Lymington, szkła, tkanin i garnków lokalnego miodu.

Występy skrzypków i śpiewaków były nagradzane burzą oklasków. Oficjalne sprawy załatwiono z samego rana. Pełni nadziei pracownicy i rzemieślnicy ustawiali się kolejno na wioskowym zieleńcu, aby porozmawiać z potencjalnymi pracodawcami. Każdą nowo zawartą umowę potwierdzano szylingiem, a resztę dnia można już było poświęcić na zabawę.

Merripen udał się do wioski wcześniej, aby znaleźć kilkoro odpowiednich służących do Ramsay House. Po południu zaś wrócił tam z rodzeństwem Hathawayów. Wszyscy byli zachwyceni perspektywą muzyki, jedzenia i rozrywek. Leo zniknął natychmiast z jakimiś dwiema wieśniaczkami, zostawiając siostry pod opieką Merripena.

Rozglądając się pomiędzy straganami, panny Hathaway zajadały się zapiekaną w cieście wieprzowiną, pasztecikami z nadzieniem z porów, jabłkami, gruszkami i ku swej wielkiej uciechu „mężami z piernika”. Były to figurki mężczyzn z lukrowanego ciasta piernikowego. Cukiernik długo je przekonywał, że każda niezamężna panna musi zjeść takiego pierniczka na szczęście, jeśli naprawdę chce kiedyś wyjść za mąż.

Pomiędzy nim a Amelią wybuchła zabawna sprzeczka, gdy dziewczyna zdecydowanie odmówiła kupna piernika dla siebie, twierdząc, że nie zamierza wyjść za mąż.

- Ależ oczywiście, że panienka wyjdzie za mąż! - zadeklarował piekarz z chytrym uśmieszkiem. - Każda kobieta o tym marzy.

Amelia uśmiechnęła się i rozdała pierniczki siostrom.

- Ile za trzy, proszę pana?

- Ćwierć pensa od sztuki - odparł, wciskając jej czwarty.

- A ten za darmo. To byłaby straszna strata, gdyby taka śliczna błękitnooka dama miała się obyć bez męża.

- Och, nie mogę tego przyjąć - zaprotestowała Amelia.

- Dziękuję, ale nie zamierzam...

Nagle z tyłu dał się słyszeć męski głos.

- Weźmie go.

Poczuła zakłopotanie i falę przyjemności na widok ogorzałej ręki, która upuściła na dłoń piekarza srebrną monetę. Słyszając wesoly chichot sióstr, Amelia odwróciła się i spojrzała prosto w znajome jasne, orzechowe oczy.

- Przyda się pani szczęście - oznajmił Cam Rohan, wciskając piernik w jej dłoń. - No, proszę wziąć.

Roześmiał się, gdy celowo odgryzła „mężowi” głowę. Poczuła w ustach słodki smak melasy.

Spojrzała na Rohana, szukając na jego twarzy choćby jednej skazy, jakiejś nieregularności... ale jego skóra była gładka jak ciemny miód, a rysy

regularne. Gdy się ku niej pochylił, w jego włosach błysnęły promienie słońca.

- Nie wierzę w szczęście - wymamrotała Amelia, próbując przełknąć kawałek ciastka.

Rohan się uśmiechnął.

- Ani w mężów, najwyraźniej.

- Nie dla mnie, ale dla innych...

- To nieistotne. I tak wyjdzie pani za męża.

- Dlaczego pan tak sądzi?

Zamiast odpowiedzieć, Cam spojrział szybko na siostry Hathaway, które życzliwie się do niego uśmiechały. Merripen natomiast skrzywił się wyraźnie.

- Mogę porwać siostrę pań? - zapytał. - Mamy do omówienia kilka spraw dotyczących pasieki.

- A co to znaczy? - zapytała Beatrix, biorąc od Amelii bezgłowego piernikowego męża.

- Przypuszczam, że pan Rohan ma na myśli nasze dzikie pszczoły - odparła Win z uśmiechem, łagodnie popychając siostry naprzód. - Chodźcie, spróbujemy znaleźć kram z jedwabiem do haftowania.

- Tylko nie odchodźcie za daleko! - zawołała za nimi Amelia, bardziej niż zdumiona tym, jak szybko ją porzuciły. - Bea, nie płac za nic, jeśli się nie potargujesz, a ty, Win... - Urwała, gdy zniknęły wśród straganów, w ogóle nie zwracając uwagi na jej słowa. Merripen spojrział groźnie przez ramię na nich oboje.

Wyraźnie rozkoszując się jego złością, Cam podał Amelii ramię.

- Proszę się ze mną przejść.

Gotowa była się sprzeciwić temu rozkazowi wypowiedzianemu miękkiem głosem, ale był to zapewne ostatni raz, kiedy widziała Rohana. I trudno było jej oprzeć się czarującemu błyskowi w jego oku.

- Dlaczego uważa pan, że wyjdę za męża? - zapytała Amelia, gdy powoli przeciskali się przez tłum. Nie uszły jej uwagi liczne spojrzenia rzucane w kierunku przystojnego Roma, który był ubrany jak dżentelmen.

- Wyczytałem to z pani dłoni.

- Czytanie z dłoni to szalbierstwo. A poza tym mężczyźni nie wróżą z dłoni, tylko kobiety.

- To, że tego nie robimy, nie oznacza, że nie umiemy - odparł wesoło Rohan. - A nawet ślepiec by dojrzał pani linię małżeństwa. Jest bardzo wyraźna.

- Linia małżeństwa? Która to? - Amelia cofnęła rękę z jego ramienia i zaczęła jej się dokładnie przyglądać.

Rohan pociągnął ją w cień ogromnego buku. Tłumy przechadzały się po ścieżkach, rozkoszując się ostatnimi promieniami zachodzącego słońca. Pochodnie i lampy już płonęły w oczekiwaniu wieczoru.

- Ta - powiedział Rohan, odwracając jej rękę dłonią do góry.

Amelia zacisnęła palce, czując zalewającą ją falę zakłopotania. Powinna była włożyć rękawiczki, ale najlepszą parę poplamiała, a w drugiej zrobiła się dziura na palcu. Nie zdążyła jeszcze kupić sobie nowych. Co gorsza, na kciuku miała strup w miejscu, gdzie rozcięła palec o brzeg metalowego wiadra, a jej paznokcie były króciutkie jak u dziecka, bo większość połamała. Mogła to być dłoń służącej, nie damy. Ileż by teraz oddała za dłonie Win - blade, wytworne, ze smukłymi palcami.

Rohan wpatrywał się w jej rękę. Gdy Amelia spróbowała ją wyrwać, chwycił ją mocniej i przytrzymał stanowczo.

- Zaczekaj - usłyszała jego szept.

Nie miała więc innego wyjścia, niż go posłuchać. Zaczerwieniła się, gdy kciukiem zaczął zataczać kółka na dłoni, aż palce wyprostowały się bezwiednie.

Jego cichy głos zdawał się ją hipnotyzować.

- Tutaj. - Lekko przesunął opuszkami po poziomej linii zaczynającej się obok małego palca. - Tylko jedno małżeństwo. Będzie długie. A to... - Dotknął trzech pionowych śladów, które zbiegały się z linią małżeństwa. - To oznacza, że będziesz mieć przynajmniej troje dzieci. - Zmrużył oczy w skupieniu. - Dwie dziewczynki i chłopca. Elizabeth, Jane i... Ignatiusa.

Amelia nie mogła się nie uśmiechnąć.

- Ignatiusa?

- Po ojcu - oznajmił ponuro. - Wyjątkowo dystyngowanym pszczelarzu.

Figlarna iskra w jego oczach sprawiła, że puls Amelii przyspieszył. Ujęła Rohana za rękę.

- Teraz ja zobaczę pańską przyszłość.

Jego dłoń była rozluźniona, ale Amelia wyraźnie czuła jej siłę - mocne kości i napięte mięśnie pod muśniętą słońcem skórą. Miał zadbane palce, z czystymi, równiutko przyciętymi paznokciami. Cyganie byli niezwykle skrupulatni, jeśli chodzi o higienę. Hathawayowie nieraz się śmiali, słysząc poglądy Merripena na to, co znaczy prawdziwa czystość i że należy się myć pod bieżącą wodą, a nie moczyć w kąpeli.

- Ma pan jeszcze mocniej zaznaczoną linię małżeństwa niż ja.

Cam odpowiedział skinieniem głowy, nie spuszczać wzroku z twarzy Amelii.

- I też będziesz miał troje dzieci. Czy raczej czworo?

- Dotknęła prawie niezauważalnej linii tuż przy brzegu jego dłoni.

- Tylko troje. Ta linia na boku oznacza niezwykle krótkie narzeczeństwo.

- Zapewne pójdzie pan do ołtarza pod lufą strzelby jakiegoś szalejącego z gniewu ojca.

Uśmiechnął się lekko.



- Tylko jeśli uda mi się porwać narzeczoną z sypialni. Amelia przyjrzała mu się uważnie.

- Nie mogę wyobrazić sobie pana w roli męża. Wygląda pan na samotnika.

- Ależ skąd. Żonę będę ze sobą wszędzie zabierał.

- Jego palce zacisnęły się na jej kciuku. - Będziemy podróżować wozem z jednego końca świata na drugi. Będę jej wsuwał złote pierścionki na palce rąk i nóg i bransoletki na kostki. Każdej nocy będę mył jej włosy i rozczesywał je w świetle ogniska. I będę ją całował na dzień dobry każdego poranka.

Amelia odwróciła głowę, aby ukryć zdradliwe szkarłatne rumieńce. Odsunęła się, próbując przerwać zawstydzającą intymność chwili. Cam natychmiast ruszył za nią.

- Panie Rohan... dlaczego opuścił pan swoich krewnych?

- Sam nie wiem. Spojrzała na niego zdumiona.

- Miałem dziesięć lat. Odkąd pamiętam, podróżowałem wozem moich dziadków. Nigdy nie znałem rodziców. Moja matka zmarła przy porodzie, a ojciec był irlandzkim gadziem. Jego rodzina potępiła to małżeństwo i przekonała go, aby opuścił matkę. Chyba nawet nie wiedział, że urodziła syna.

- Czy ktoś próbował go powiadomić?

- Nie wiem. Może stwierdzili, że to niczego by nie zmieniło. Moi dziadkowie opowiadali, że był młody - uśmiechnął się do niej kpiąco - i wyjątkowo niedojrzały, nawet jak na gadzia. Pewnego dnia moja babka ubrała mnie w nową koszulę, którą mi uszyła, i powiedziała, że muszę opuścić tabor. Podobno znalazłem się w niebezpieczeństwie i nie mogłem już dłużej z nimi mieszkać.

- W jakiego rodzaju niebezpieczeństwie?

- Nie powiedziała mi. Mój starszy kuzyn Noah zabrał mnie do Londynu i pomógł mi znaleźć posadę. Obiecał, że pewnego dnia przyjedzie po mnie, gdy już będę mógł bezpiecznie wrócić do swoich.

- I zaczął pan pracować w klubie?

- Tak, stary Jenner zatrudnił mnie jako gońca. - Twarz Rohana złagodniała. - Pod wieloma względami był dla mnie jak ojciec. Był nerwowy i porywczy, ale był dobrym człowiekiem. Dbał o mnie.

- Na pewno nie było panu łatwo - powiedziała Amelia, przepelniona współczuciem dla chłopca, który musiał opuścić dom i sam układać sobie życie. - Dlaczego nie próbował pan uciec i wrócić do swoich?

- Obiecałem, że tego nie zrobię. - Sięgnął po trzepoczący na wietrze liść i zerwał go jednym zręcznym ruchem. Przysunął do nosa, zaciągnął się jego słodkim zapachem i podał Amelii. - Przez lata czekałem w klubie, aby Noah po mnie wrócił.

Amelia przesunęła liść między palcami.

- Ale nigdy tego nie zrobił. Rohan w milczeniu pokręcił głową.  
- A potem Jenner umarł, a jego córka i zięć przejęli klub.  
- Dobrze pana traktowali?  
- Aż za dobrze. - Na jego czole pojawiła się pozioma zmarszczka. - To wtedy zaczęło działać to szczęśliwe zaklęcie.

- A tak, słyszałam o tym. - Uśmiechnęła się do niego. - Ale ja nie wierzę w szczęście czy klątwy, jestem sceptyczna, gdy o to chodzi.

- To wystarczy, aby zrujnować Cygana. Nieważne, co robię, pieniądze płyną do mnie rzeką.

- To straszne. Musi to być dla pana bardzo męczące.

- To żenujące - mruknął ze szczerością, w którą nie można było wątpić.

- Miał pan już wcześniej takie problemy? - zapytała Amelia na poły rozbawiona i na poły zazdrosna.

Rohan pokręcił przecząco głową.

- Ale to przewidziałem. To przeznaczenie. - Przystanął i pokazał jej swoją dłoń i siateczkę linii w kształcie gwiazdy u podstawy palca wskazującego. - Powodzenie finansowe - padło ponure wyjaśnienie. - I wygląda na to, że nieprędko się skończy.

- Mógłby pan rozdać te pieniądze. Przecież istnieją niezliczone instytucje charytatywne i wielu ludzi w potrzebie.

- Zamierzam tak zrobić. Wkrótce. - Ujął ją za łokieć i poprowadził ostrożnie nierówną ścieżką. - Pojutrze wracam do Londynu, aby znaleźć kogoś, kto zastąpi mnie w klubie.

- I dokąd pan pójdzie?

- Będę żył jak prawdziwy Rom. Znajdę tabor, z którym będę podróżował. Koniec z księgami rachunkowymi, widelcami do sałatek i pastą do butów. Będę wolny.

Wydawał się absolutnie przekonany, że spodoba mu się takie proste życie, ale Amelia miała wątpliwości. Problem polegał na tym, że nie było drogi pośrodku. Nie można być jednocześnie włóczęgą i dżentelmenem domatorem. Należało dokonać wyboru. Poczwała ulgę, że w jej naturze nie ma żadnej dwoistości. Wiedziała dokładnie, kim i czym jest.

Rohan poprowadził ją do straganu ustawionego przy winiarni i kupił dla nich dwa kubki śliwkowego wina. Piła cierpki, lekko słodki napój dużymi haustami, aż Cam się uśmiechnął.

- Nie tak szybko - ostrzegł ją. - To wino jest mocniejsze, niż się pani wydaje. Jeszcze kropla i będę musiał zanieść panią do domu na ramionach jak powalonego jelenia.

- Wcale nie jest takie mocne - zaprotestowała, nie wyczuwając nuty alkoholu w młodym winie. Było pyszne, smak suszonych śliwek łaskotał ją w język. Podawała kubek sprzedawcy. - Poproszę jeszcze jeden.

Przyzwoita kobieta nie powinna była jadać i pić publicznie, ale na

wiejskich jarmarkach i festiwalach, gdzie szlachta mieszała się z pospólstwem, ignorując wszelkie konwenanse, często uchylano tę zasadę.

Rozbawiony Rohan dokończył swoje wino i czekał cierpliwie, aż Amelia wypije drugi kubek.

- Znalazłem dla pani pszczelarza - oznajmił. - Wyjaśniłem mu, co się stało. Przyjdzie do Ramsay House jutro lub pojutrze. Tak czy inaczej, pozbędzie się pani pszczół.

- Dziękuję. Jestem pana dłużniczką, panie Rohan. Czy dużo czasu zajmie mu usunięcie roju?

- Nie może nic powiedzieć, dopóki go nie zobaczy. Biorąc pod uwagę to, jak długo dom stał nieużywany, rój mógł się rozrosnąć do pokaźnych rozmiarów. Pszczelarz mówił mi, że kiedyś w opuszczonej chatce natknął się na pół miliona pszczół, według jego szacunków.

Oczy Amelii zrobiły się ogromne.

- Pół miliona...

- Wątpię, aby u pani było tak źle. Ale nie ma wątpliwości, że tę część ściany trzeba będzie zburzyć, kiedy już pozbędziecie się pszczół.

Więcej wydatków. Więcej napraw. Na tę myśl Amelia smętnie opuściła ramiona.

- Gdybym wiedziała, że Ramsay House jest w takim okropnym stanie, nigdy nie przeprowadziłabym się z rodziną do Hampshire - powiedziała, nie zastanawiając się. - Nie powinnam była wierzyć prawnikowi, gdy przekonywał nas, że dom nadaje się do zamieszkania. Ale tak się spieszyłam, żeby wywieźć Leo z Londynu... Tak chciałam, żebyśmy wszyscy mogli zacząć od nowa...

- Nie może pani odpowiadać za wszystko. Pani brat jest dorosły. Podobnie panna Winnifred i Poppy. Zgodzili się z pani decyzją, czyż nie?

- Tak, ale Leo całkiem stracił rozum. A Win jest taka krucha i...

- Lubi pani przyjmować winę na siebie, prawda? Proszę się ze mną przejść.

Odstawiła pusty kubek w róg straganu. Czowała się lekko i swobodnie, ale druga porcja wina niewątpliwie była błędem. A spacer z tym mężczyzną w pogłębiających się ciemnościach będzie kolejnym. Gdy jednak spojrzała w orzechowe oczy Rohana, poczuła się absurdalnie lekkomyślna. Tylko kilka kradzionych chwil... Nie potrafiła oprzeć się jego psotnemu uśmiewchowi.

- Moje siostry zaczną się martwić, jeśli wkrótce do nich nie wrócę.

- Wiedzą, że jest pani ze mną.

- I dlatego będą się martwić - odparła, prowokując jego kolejny wybuch śmiechu.

Przystanęli przy stoisku z magicznymi latarniami - małymi, tłoczonymi w cynie lampkami, wyposażonymi w soczewki kondensacyjne z przodu. Tuż za soczewką był otwór na malowaną ręcznie szybkę. Gdy lampa była

zapalona, obrazek wyświetlał się na ścianie. Rohan uparł się, aby kupić taką lampkę Amelii, wraz z zestawem obrazków.

- Ale to przecież zabawka dla dzieci - protestowała, trzymając latarnię za uchwyt. - Co ja będę z nią robić?

- Będzie się pani oddawać bezsensownej rozrywce. Bawić się. Powinna pani czasami spróbować.

- Zabawy są dla dzieci, nie dla dorosłych ludzi.

- Och, panno Hathaway - mruknął, odciągając ją od kramu. - Najlepsze zabawy są właśnie dla dorosłych.

Spacerowali na obrzeżach rozbawionego tłumu, aż w końcu uciekli od świateł latarni, ruchu i muzyki i skryli się w mrocznej ciszy bukowego gaju.

- Powie mi pani, skąd wzięła srebrną pieczęć Westcliffa? - zapytał.

- Wolałabym nie, jeśli to panu nie przeszkadza.

- Próbuje pani chronić Beatrix?

Obrzuciła go zdumionym spojrzeniem.

- Skąd pan... to znaczy, dlaczego podejrzewa pan moją siostrę?

- Tamtego wieczoru tylko Beatrix miała czas i sposobność, by zabrać pieczęć. Pytanie brzmi, dlaczego to zrobiła?

- Beatrix to dobra dziewczynka - odparła Amelia szybko. - Wspaniała dziewczynka. Nigdy umyślnie nie zrobiłaby nic złego, a... Nie powiedział pan nikomu o pieczęci, prawda?

- Oczywiście, że nie. - Dotknął dłonią jej twarzy. - Nie obawiaj się, koliberku. Nie zdradzę twoich tajemnic. Jestem twoim przyjacielem, tak sędzę... A w innym życiu bylibyśmy kimś więcej niż przyjaciółmi.

Jej serce zaczęło gwałtownie uderzać o żebra.

- Nie ma czegoś takiego jak inne życie. Nie może być.

- Dlaczego nie?

- Brzytwa Ockhama.

Zamilkł, zdumiony jej odpowiedzią, a potem z jego gardła wyrwał się pełen zaskoczenia śmiech.

- Średniowieczna teoria naukowa?

- Tak. Formułując teorię, należy oprzeć się na jak najmniejszej liczbie założeń i pojęć. Innymi słowy, najprostsze wyjaśnienie jest najbardziej prawdopodobne.

- I dlatego nie wierzy pani w magię, przeznaczenie i reinkarnację? Bo to zbyt skomplikowane teorie?

-Tak?

- A skąd pani wie o brzytwie Ockhama?

- Mój ojciec był uczonym. Specjalizował się w średniowieczu. - Zadrzała, gdy dłoń Cama przesunęła się po jej szyi. - Czasami czytaliśmy razem różne dzieła.

Rohan wyjął magiczną latarnię z jej drżących palców i postawił ją na

ziemi.

- A czy nauczył panią, że czasami skomplikowane wyjaśnienia są znacznie bardziej precyzyjne niż proste?

Amelia pokręciła głową, niezdolna wykrztusić słowa, gdy objął ją i przytulił do siebie z przesadną troską. Jej puls oszalał. Nie powinna była pozwolić, aby ten człowiek ją przytulał. Ktoś mógłby ich zobaczyć, nawet w tych ciemnościach. Jednak gdy jej ciało poczuło ciepło jego ciała, przyjemność wyparła z głowy wszelkie wątpliwości i Amelia przestała dbać o cokolwiek i kogokolwiek poza mocnym uściskiem jego ramion.

Dłonie Rohana przesuwają się z zadziwiającą delikatnością po jej szyi, policzku i na linii włosów.

- Jesteś fascynującą kobietą, Amelio.

Jej ciało pokryło się gęsią skórą wszędzie tam, gdzie musnął ją oddech Cama.

- Nie potrafię p-pojać, dlaczego pan tak sądzi. Przesunął usta na jej skroń.

- Jesteś obezwładniająco, ogromnie intrygująca. Chciałbym cię otworzyć jak książkę i przeczytać każdą stronę. - Uśmiechnął się lekko. - Łącznie z przypisami - dodał ochryple. Wyczuł pod palcami sztywne mięśnie jej karku i zaczął usuwać z nich napięcie, uciskając je delikatnie. - Pragnę cię. Chciałbym kochać się z tobą pod konstelacjami gwiazd, chmurami i w cieniu drzew.

Zanim zdołała odpowiedzieć, przykrył jej usta swoimi. Poczowała falę gorąca, krew w niej zapłonęła. Nie mogła już dłużej zapanować nad sobą. Sięgnęła do jego włosów i wsunęła w nie palce. Dotknęła jego ucha i wyczuła brylantowy kolczyk. Przesunęła po nim palcami, a potem pogładziła gładką szyję Cama. Jego oddech zaczął się rwać; pogłębił pocałunek, napierając na nią całym ciałem.

Smugi księżycowego blasku przedzierały się przez konary buków, wydobywając z mroku jego rysy i kładąc się nieziemskim blaskiem na policzkach Amelii. Obejmując ją jedną ręką, drugą dotknął jej twarzy. Jego oddech był gorący i pachniał słodkim winem.

Nagle przez wilgotny mrok przedarł się ostry głos.

-Amelio!

Kilka kroków od nich stał Christopher Frost, sztywny, gotowy do walki. Posłał Rohanowi długie, ciężkie spojrzenie.

- Nie rób z niej pośmiewiska. To dama, i tak powinna być traktowana.

Amelia wyczuła, jak napinają się mięśnie Cama.

- Nie tobie dawać rady co do tego, jak ją traktować - odparł miękko.

- Chyba wiesz, co stanie się z jej reputacją, jeśli ktoś was zobaczy.

Nagle Amelia zrozumiała, że jeśli czegoś nie zrobi, między tymi dwoma zaraz dojdzie do gwałtownej konfrontacji. Odsunęła się od Rohana.

- To niewłaściwe - powiedziała. - Muszę wracać do sióstr.

- Odprowadzę cię - zaproponował natychmiast Frost. Oczy Rohana błysnęły niebezpiecznie.

- Po moim trupie.

- Proszę. - Amelia dotknęła zimnymi palcami jego rozchylonych warg.

- Myślę... Lepiej będzie, jeśli tu się rozstaniemy. Powinam z nim pójść. Są sprawy, o których musimy porozmawiać. A ty... - Zdołała się do niego uśmiechnąć. - Przed tobą jeszcze wiele dróg. - Pochyliła się sztywno, żeby podnieść magiczną latarnię. - Do widzenia, panie Rohan. Mam nadzieję, że znajdzie pan to, czego pan szuka. Mam nadzieję... - Urwała, czując bolesny ucisk w gardle. Z trudem przełknęła słodko-gorzki smak tęsknoty. - Do widzenia, Cam - szepnęła.

Nie poruszył się ani nie odpowiedział. Wiedziała jednak, że ją obserwował, gdy podeszła do Christophera Frosta. Czuła na sobie jego wzrok, przenikający przez ubranie i palący jej skórę. Z każdym krokiem coraz boleśniej odczuwała to rozstanie.

Szli powoli, ona i Christopher, odnajdując znajome, harmonijne tempo. Często spacerowali, gdy się do niej zalecał, lub urządzali sobie przejażdżki. Były to przyzwyczajone zaloty, ze szczerymi rozmowami, czułymi listami i ukradkowymi, słodkimi pocałunkami. Wydawało się jej cudowne, i wprost niewiarygodne, że ktoś tak przystojny i doskonały pragnął jej właśnie. Właściwie za pierwszym razem mu odmówiła, tłumacząc ze śmiechem, że na pewno z niej żartuje. Przekonał ją do siebie, tłumacząc, że nie mógłby stroić sobie żartów z siostry najlepszego przyjaciela, a poza tym nie jest jakimś londyńskim hulaką, który mógłby się dopuścić tak haniebnego czynu.

- Przecież nawet nie wyglądam na hulakę - zauważył z uśmiechem, wskazując swoje doskonale uszyte, lecz stonowane ubranie.

- Ma pan rację - zgodziła się, spoglądając na niego z kpina. - W zasadzie nie wyglądam pan wystarczająco dobrze nawet jak na architekta.

- I... - kontynuował - ...nigdy nie złamałem żadnego serca ani nie nadszarpnąłem reputacji damy. Żaden hulaka by się do tego nie przyznał.

- Jest pan bardzo przekonujący - odparła wtedy Amelia, tracąc oddech, gdy Christopher przysunął się nieco bliżej.

- Panno Hathaway - szepnął, biorąc jej chłodną dłoń w swoje ciepłe ręce. - Proszę się zlitować. Proszę chociaż pozwolić mi pisywać do siebie. Proszę obiecać, że przeczyta pani mój list. A jeśli potem nadal nie będzie mnie pani chciała, już nigdy nie będę się pani narzucał.

Zaintrygowana wyraziła zgodę. Cóż to był za list... czarujący, elokwentny, a chwilami zjadliwy. Zaczęli ze sobą korespondować, a Christopher bywał w Primrose Place, kiedy tylko mógł.

Nigdy wcześniej Amelia nie czuła się tak dobrze w towarzystwie mężczyzny. Mieli podobne poglądy na wiele spraw, co było bardzo

przyjemne. Kiedy się jednak nie zgadzali, bawili się jeszcze lepiej. Christopher rzadko wybuchał gniewem - miał raczej usposobienie analityczne, naukowe i przypominał jej ojca. A jeśli Amelia się na niego zdenerwowała, śmiał się i całował ją tak długo, aż zapominała, co wywołało jej irytację.

Nigdy nie próbował jej uwieść - za bardzo ją szanował. Nawet gdy była tak podniecona, że przekonywała go, aby posunęli się dalej, odmawiał.

- Pragnę cię, moja miłości - szeptał drżącym głosem, z oczami rozpalonymi namiętnością. - Ale nie wezmę cię teraz. Dopiero gdy zostaniesz moją żoną.

Wtedy najbardziej zbliżył się do oświadczyn. Nie było oficjalnych zaręczyn, chociaż pozwolił jej wierzyć, że wkrótce nastąpią. Potem zniknął na miesiąc, aż w końcu Leo wyjechał, aby go w jej imieniu odnaleźć. Wrócił z Londynu z wściekłą, ponurą miną.

- Krążą plotki - oznajmił szorstko, przyciskając Amelię do piersi i osuszając łzy siostry chusteczką. - Widuje się go z córką Rowlanda Temple'a. Podobno się do niej zaleca.

Wkrótce potem nadszedł list od Christophera, tak druzgoczący, że jeszcze długo potem Amelia nie mogła się nadziwić, jak kilka linijek napisanych czarnym atramentem na papierze może porwać na strzępy ludzką duszę. Przez tydzień leżała w łóżku, nie wychodziła w ogóle z ciemnego pokoju i bezustannie płakała.

Jak na ironię, ocaliła ją szkarlatyna, na którą zapadli Win i Leo. Rodzeństwo jej potrzebowało, a troska o brata i siostrę wyciągnęła Amelię z otchłani rozpacz. Potem nie uroniła już ani jednej łzy nad swoją miłością. Nie znaczy to jednak, że wyzbyła się wszelkich uczuć do Christophera. Zdumiało ją odkrycie, że po tych wszystkich latach pod pokładami rozgoryczenia i ostrożności wciąż kryje się w niej podziw dla tych jego cech, które kiedyś kochała.

- Jestem zapewne ostatnią osobą, która powinna zwracać ci uwagę na to, jak układasz swoje sprawy osobiste - powiedział teraz cicho Christopher - musisz jednak pamiętać o tym, co ludzie powiedzą, jeśli cię z nim zobaczą.

Zaoferował jej swoje ramię, a ona przyjęła je po chwili wahania.

- Doceniam twoją troskę o moją reputację - odparła z ironią - ale nie jestem chyba jedyną osobą na świecie, która uległa kaprysowi na wiejskim jarmarku.

- Gdybyś była z dżentelmenem, przyknięto by na to oko. Ale on jest Cyganem, Amelio.

- Zauważyłam - stwierdziła sucho. - Nie podejrzewałabym cię o takie uprzedzenia.

- To nie moje uprzedzenia, tylko społeczeństwa. Możesz się im przeciwstawić, ale będziesz musiała kiedyś za to zapłacić.

- Ta dyskusja jest zupełnie bezcelowa - oświadczyła Amelia. - Pan Rohan wkrótce wyjeżdża do Londynu, a potem dalej. Wątpię, abyśmy jeszcze kiedyś się spotkali. I w ogóle nie pojmuję, dlaczego miałyby cię to tak interesować.

- Przecież to chyba oczywiste - odparł łagodnie. - A może żałuję, że cię skrzywdziłem. Bardziej niż jesteś w stanie sobie wyobrazić. I nie chcę, aby na moich oczach spotkała cię krzywda z powodu następnego nierozważnego uczucia

- Nie żywię żadnych uczuć do pana Rohana. Nie jestem aż tak głupia.

- Cieszę się, że to słyszę.

Jego przesadnie łagodny ton był wyjątkowo drażniący. Sprawił, że zapragnęła zrobić coś dzikiego i nieodpowiedzialnego tylko po to, aby rozzłościć Christophera

- Dlaczego nie jesteś żonaty? - zapytała bez ogródek. Westchnął ciężko.

- Przyjęła moje oświadczenia tylko po to, żeby zadowolić ojca, a nie ze szczerego przywiązania do mnie. Okazało się wkrótce, że kochała innego, a jej ojciec tego nie pochwalając uciekli do Gretna Green.

- Jest w tym jakaś przewrotna sprawiedliwość. Ty porzuciłeś kogoś, kto cię kochał. A ona porzuciła cię dla kogoś, kogo kochała.

- Czy zadowoli cię, jeśli powiem, że nigdy jej nie kochałem? Lubiałem ją i ceniałem, ale... to było nic w porównaniu z tym, co czułem do ciebie.

- Me, w najmniejszym stopniu mnie to nie zadowala. Tym gorzej, że postanowiłeś postawić ambicje ponad wszystko inne.

- Obawiałem się, że nie utrzymam siebie, ani w przyszłości rodziny, z bardzo niepewnej kariery. Nie spodziewam się, że to zrozumiesz.

- Twoja kariera nigdy nie była aż tak niepewna. Miałeś wszelkie widoki na awans, nawet bez ślubu z córką Rowlanda Temple'a. Leo zawsze powtarzał, że masz ogromny talent.

- Sam talent nie wystarczy. Jesteś naiwna, myśląc w ten sposób.

- Cóż, naiwność wydaje się wadą całej rodziny Hathawayów.

- Amelio - szepnął. - Cynizm zupełnie do ciebie nie pasuje.

Pochyliła głowę.

- Nie wiesz, jaka teraz jestem.

- Chciałbym mieć szansę, by się tego dowiedzieć. Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Nic nie zyskasz na odnowieniu znajomości ze mną, Christopherze. Nie jestem ani trochę bogatsza, nie mam żadnych koneksji. Nic się nie zmieniło od naszego ostatniego spotkania.

- Może to ja się zmieniłem. Może w końcu uświadomiłem sobie, co straciłem.

- Co odrzuciłeś - poprawiła go z bólem w sercu.

- Co odrzuciłem - zgodził się. - Byłem głupcem i łajdakiem, Amelio.



Nigdy nie śmiałybym poprosić, żebyś zapomniała o tym, co ci zrobiłem. Ale może dasz mi przynajmniej szansę, aby ci to wynagrodzić? Chciałbym zaoferować twojej rodzinie moje usługi, jeśli to możliwe. I pomóc twojemu bratu.

- Nie możesz. Nie widzisz, co się z nim stało?

- On ma niezwykły talent. Grzechem byłoby go zmarnować. Może gdybyśmy znów się zaprzyjaźnili...

- Wątpię, aby się na to zgodził...

- Chcę mu pomóc. Mam teraz istotny wpływ na Rowlanda Temple'a. Po ucieczce córki czuje się w stosunku do mnie zobowiązany.

- Jak korzystnie dla ciebie się złożyło.

- Może Leo chciałby znów u niego pracować. Obaj by na tym skorzystali.

- A ty? Dlaczego miałbyś się tak przejmować moim bratem?

- Nie jestem kompletnym łajdakiem, Amelio. Mam sumienie, nawet jeśli go nie słuchałem. Nie jest mi łatwo żyć pamiętając o ludziach, których w przeszłości skrzywdziłem. Włączając w to ciebie i twojego brata.

- Christopherze - szepnęła Amelia, rzucając mu roztargnione spojrzenie. - Nie wiem, co powiedzieć. Potrzebuję czasu, aby to przemyśleć...

- Masz tyle czasu, ile zapragniesz - odpowiedział łagodnie. - Jeśli nie mogę stać się dla ciebie tym, kim byłem kiedyś... zadowolę się rolą twojego korespondencyjnego przyjaciela. - Uśmiechnął się miękko, a jego oczy wypełniły czuły blask. - A jeśli kiedykolwiek zapragniesz więcej... wystarczy jedno twoje słowo.

## Rozdział 12

**W** normalnych okolicznościach Cam ucieszyłby się z przyjazdu lorda i lady St. Vincent do Stony Cross Park. Tym razem jednak musiał poinformować St. Vincenta o swojej decyzji opuszczenia klubu, a wiedział, że pracodawcy to się nie spodoba. Nie tylko dlatego, że będzie zmuszony szukać za niego zastępstwa. Wątpił, czy wicehrabia wykaże zrozumienie dla jego pragnienia cygańskiego życia, gdyż St. Vincent był zagorzałym zwolennikiem wygód.

Posługiwał się słowem jak orężem i był wyrachowany. Wielu ludzi nawet się go bało. Cam jednak do nich nie należał. W zasadzie sprzecznali się z wicehrabią przy wielu okazjach z taką zjadliwością, że omal nie porozrywali się na strzępy.

St. Vincentowie przyjechali do Stony Cross z rudowłosą córeczką, Phoebe, impulsywną i rozpieszczoną. W jednej chwili była spokojna i urocza, a w następnej wrzeszczała jak opętana - w takich chwilach uspokoić ją mógł tylko dźwięk głosu ojca.

- Już dobrze, kochanie - szeptął St. Vincent dziewczusce do ucha. - Ktoś nie spełnił twojego życzenia? Zignorował cię? Och, co za bezczelność. Moja słodka księżniczka dostanie wszystko, czego zapagnie... - Rozpuszczona jak dziadowski bicz Phoebe milkła wtedy i uśmiechała się radośnie.

Dziecko ogólnie podziwiano i wzbudziło zachwyt wszystkich obecnych w saloniku. Evie i Lilian zaś trajkotały bez przerwy, przytulając się i trzymając za ręce jak stare przyjaciółki.

Po chwili Cam, St. Vincent i lord Westcliff wycofali się na zaciszny tylny taras. Popołudniowy wiaterek niósł ze sobą zapachy rzeki, turówki i bagiennych nagietków. Jesienny spokój od czasu do czasu zakłócały gęgania sza-ronogich gęsi i ryk bydła pędzonego wydeptaną ścieżką na pastwisko.

Mężczyźni usiedli przy stole. Cam, który nie lubił tytoniu, machnął ręką odmownie, gdy St. Vincent zaproponował mu cygaro.

Porozmawiali chwilę o postępach prac renowacyjnych w klubie, a Westcliff przysłuchiwał się im z zaciekawieniem. W końcu, nie widząc sensu dalszego owijania spraw w bawełnę, Cam oznajmił wprost wicehrabiemu, że zamierza zrezygnować z pracy, gdy tylko prace zostaną zakończone.

- Opuszczasz mnie? - zapytał St. Vincent z niepokojem. - Na jak długo?  
- Właściwie na zawsze.

Po chwili wicehrabia przetrawił tę informację i zmrużył bładoniebieskie oczy.

- A z czego będziesz żył?

Cam, zupełnie się nie przejmując niezadowoleniem swego chlebodawcy, wzruszył ramionami.

- Mam więcej pieniędzy, niż zdołałbym wydać.

Wicehrabia wzniosł oczy ku górze.

- Każdy, kto tak twierdzi, po prostu nie wie jeszcze, co można by za nie mieć. - Westchnął cicho. - Jeśli dobrze rozumiem, zamierzasz porzucić cywilizację i żyć jak dzikus?

- Nie, zamierzam żyć jak Rom, a to różnica.

- Rohan, jesteś zamożnym, młodym kawalerem, który może się cieszyć wszystkimi osiągnięciami współczesnego świata. Jeśli ci się nudzi, rób to, co robią wszyscy zamożni młodzi ludzie.

Cam uniósł brwi.

- Czyli?

- Uprawiaj hazard! Pij! Kup sobie konia! Weź kochankę! Na litość boską, miejże trochę wyobraźni. Nie potrafisz wymyślić nic innego, niż tylko rzucić to wszystko i żyć jak dzikus, przy okazji przysparzając mi kłopotu? Kim, do diabła, miałbym cię zastąpić?

- Nikt nie jest niezastąpiony.

- Ty jesteś. Nie ma w całym Londynie człowieka, który mógłby robić to co ty. Jesteś chodzącą księgą rachunkową, masz oczy z tyłu głowy, poczucie taktu urodzonego dyplomaty, umysł bankiera, pięści boksera i potrafisz załagodzić każdy konflikt w dwie sekundy. Musiałbym zatrudnić z pół tuzina ludzi, żeby sobie poradzili z twoją robotą.

- Nie mam umysłu bankiera - oburzył się Cam.

- Po tych wszystkich udanych inwestycjach nie możesz zaprzeczyć, że...

- To nie było celowe! - Cam się nachmurzył. - To moje szczęśliwe zakłęcie.

Zadowolony, że udało mu się wytrącić przyjaciela z równowagi, St. Vincent zaciągnął się cygarem. Wypuścił elegancką smugę dymu z ust i spojrział na Westcliffa.

- Powiedz coś. Nie wierzę, żebyś to pochwalał.

- Nikt z nas nie musi tego pochwalać.

- Dziękuję - mruknął Cam.

- Pragnę jednak, Rohan - kontynuował Westcliff - zwrócić twoją uwagę na fakt, że tylko w połowie jesteś kochającym wolność Cyganem, a w drugiej połowie Irlandczykiem, a ci są znani ze swojego zacieklego przywiązania do ziemi. Mam wątpliwości, czy wędrując po świecie, będziesz tak szczęśliwy, jak sobie założyłeś.

Ta uwaga zirytowała Cama. Od zawsze próbował ignorować gadzia, który w nim tkwił, taszcząc go za sobą jak balast, od którego chciałby się

uwolnić, ale nigdy nie znalazł dla niego odpowiedniego miejsca.

- Jeśli chciałeś mi przypomnieć, że jestem przeklęty niezależnie od tego, co zrobię - stwierdził lakonicznie - to wolałbym raczej zachować wolność.

- Wszyscy inteligentni mężczyźni muszą w końcu wyrzec się wolności - odparł St. Vincent. - Główna wada bycia kawalerem to ta, że samemu żyje się zbyt łatwo, przez co szybko się to nudzi. Jedynym prawdziwym wyzwaniem pozostaje wtedy małżeństwo.

Małżeństwo. Poważanie. Cam spojrzał na swoich towarzyszy ze sceptycznym uśmiechem, myśląc w duchu, że wyglądają jak dwa ptaki, które same siebie próbują przekonać, jak wygodna jest ich klatka. Żadna kobieta nie była warta tego, aby dać sobie dla niej podciąć skrzydła.

- Jutro wyjeżdżam do Londynu - powtórzył. - Pozostanę w klubie do jego ponownego otwarcia. A potem zniknę na dobre.

Bystry umysł St. Vincenta próbował pojąć problem, analizując go pod różnymi kątami.

- Rohan... od lat wiesz już mniej lub bardziej cywilizowaną egzystencję, aż tu nagle stwierdzasz, że stała się nie do zniesienia. Dlaczego? Cam nie odpowiedział. Nawet sam przed sobą nie chciał wyznać prawdy, a co dopiero podzielić się nią z innymi.

- Musi istnieć jakiś powód, dla którego odchodzisz - upierał się St. Vincent.

- Może się mylę - wtrącił Westcliff - ale podejrzewam, że to może mieć coś wspólnego z panną Hathaway.

Rohan posłał mu potępiające spojrzenie. St. Vincent zaczął przesuwając wzrokiem od twarzy jednego do drugiego.

- Nie powiedzieliście mi, że w sprawę zamieszana jest kobieta.

Cam wstał tak szybko, że prawie przewrócił krzesło.

- Ona nie ma z tym nic wspólnego.

- Kim ona jest? - St. Vincent nie znosił, gdy omijała go smakowita plotka.

- To jedna z sióstr lorda Ramsaya - poinformował go Westcliff. - Mieszkają w sąsiednim majątku.

- Proszę, proszę. Musi być doprawdy kimś wyjątkowym, skoro udało jej się wywołać u ciebie taką reakcję, Rohan. Opowiedz mi o niej. Jasna? Ciemna? Zgrabna?

Milczenie albo uparte zaprzeczenie byłoby oznaką słabości. Cam opadł na krzesło i wysilił się na niedbały ton.

- Ciemnowłosa. Śliczna. I ma... dziwactwa.

- Dziwactwa! - W oczach St. Vincenta błysnęło szczere rozbawienie. - Urocze. Kontynuuj.

- Studiuje średniowieczną filozofię. Panicznie boi się pszczoł. Stuka

bezwiednie nogą, gdy się denerwuje. - Było jeszcze tyle innych rzeczy, o których nie mógł im powiedzieć. Jasna skóra na jej szyi i piersi wydawała się gładka jak aksamit, włosy miękkie i ciężkie, siła i wrażliwość łączyły się w jej charakterze w idealnie równych proporcjach, jak gdyby były dwoma kawałkami płótna zszytymi grubą nicią. A jej ciało zostało po prostu stworzone do grzechu.

Nie chciał myśleć o Amelii. Za każdym razem gdy to robił, ogarniały go uczucia, których nie znał, przenikliwie jak ból i dojmujące jak głód. Uczucia, które nocami pozbawiały go spokojnego snu. Cam był zafascynowany każdym skrawkiem ciała Amelii, a nigdy nic takiego mu się nie zdarzyło, zupełnie nie wiedział, jak próbować sobie z tym radzić.

Gdyby mógł ją uwieść i zaspokoić to niekończące się pożądanie... Wiedział jednak, że gdy raz weźmie ją do łóżka, może już nigdy nie przestać jej pragnąć. W matematyce można w nieskończoność dzielić skończoną liczbę, a choć jej wartość była niezmienna, jej zbiór można było powiększać bez ograniczeń. Potencjalna nieskończoność. Po raz pierwszy w życiu Cam rozważał tę uwagę w odniesieniu do kobiety. Świadom, że Westcliff i St. Vincent wymieniają znaczące spojrzenia, oznajmił cierpko:

- Jeśli zakładacie, że moje plany są tylko reakcją na pannę Hathaway... Brałem to pod uwagę od wielu lat. Nie jestem idiotą. I mam za sobą doświadczenia z kobietami.

- Eufemistycznie rzecz ujmując - skomentował sucho St. Vincent. - Ale w twoim pościgu za kobietami, choć może należałoby powiedzieć w pościgu kobiet za tobą, zawsze zmieniałeś je jak rękawiczki. Aż do teraz. Jeśli ta panna Hathaway tak ci się podoba, to może warto byłoby się nad tym zastanowić?

- Boże, nie. To mogłoby skończyć się tylko jednym.

- Małżeństwem - stwierdził wicehrabia.

- Tak. A to niemożliwe.

- Dlaczego?

Fakt, że dyskutowali o Amelii Hathaway w kontekście małżeństwa, wystarczył, aby Cam zbladł.

- Nie nadaję się na męża. St. Vincent prychnął.

- Żaden mężczyzna się nie nadaje. Małżeństwo to wynalazek kobiet.

- A nawet gdybym się ku temu skłaniał... Jestem Romem. Nie mógłbym jej tego zrobić.

Żadne wyjaśnienia nie były potrzebne. Przyzwoite panny nie wychodziły za Cyganów. Rohan był mieszańcem i nawet gdyby Amelia nie żywiła wobec niego żadnych uprzedzeń, codzienne afronty, które go spotykały na każdym kroku, na pewno przeniosłyby się na żonę i dzieci. A jakby to nie wystarczyło, jego ród także sprzeciwiłby się temu związkowi. Gadje Gadjensa, Rom Romensa... Gadziowie z gadziami, Romowie z Romami.

- A jeśli twoje korzenie nie są dla niej ważne? - zapytał cicho Westcliff.

- Nie o to chodzi. To świat będzie ją gorzej traktował. -Widząc, że hrabia zamierza się sprzeczać, Cam zapytał: - Czy któryś z was chciałby, aby jego córka poślubiła Cygana? - Gdy nie odpowiedzieli, uśmiechnął się smutno.

Po chwili Westcliff zgasił cygaro niespiesznym ruchem.

- Najwyraźniej już podjąłeś decyzję. Dalsza dyskusja jest więc bezcelowa.

St. Vincent zgodził się z nim, z rezygnacją wzruszając ramionami.

- Chyba więc muszę ci życzyć szczęścia na nowej drodze życia. Chociaż szczęście przy braku kanalizacji to dosyć dyskusyjna idea.

Cam nie zwiódł ten pokazowy akt kapitulacji. Nigdy jeszcze nie widział, aby Westcliff czy St. Vincent poddali się z taką łatwością. W podobnych sytuacjach każdy na swój sposób dotrzymywał pola przeciwnikowi na długo po tym, gdy przeciętny człowiek upadał na kolana. Rohan był pewien, że nie usłyszał od nich jeszcze ostatniego słowa.

- Wyjeżdżam o świcie - powtórzył jeszcze.

Nic nie mogło wpłynąć na zmianę jego postanowienia.

## Rozdział 13

**M**agiczna latarnia tak ovladnęła wyobraźnią Beatrix, że dziewczynka nie mogła się doczekać wieczoru i kolejnego pokazu przezroczy. Niektóre obrazki były bardzo zabawne - przedstawiały zwierzęta przebrane za ludzi i grające na pianinie, siedzące przy biurkach i sekretarzykach albo mieszające zupę w garnku.

Inne były nieco bardziej sentymentalne: parowóz przejeżdżający przez malowniczą wioskę, sceny zimowe, bawiące się dzieci. Znalazło się nawet kilka ujęć egzotycznych drapieżników w dżungli. Jedno, z tygrysem ukrytym wśród listowia, było szczególnie zachwycające. Beatrix eksperymentowała z latarnią, przysuwając ją i oddalając od ściany, by uzyskać jak najwyraźniejszy obraz wielkiego kota.

Potem doszła do wniosku, że napisze jakąś historię i namówiła Poppy, aby namalowała kilka obrazków odnoszących się do treści. Zgodziły się, że muszą kiedyś zorganizować pokaz, w czasie którego Beatrix będzie opowiadać, a Poppy operować magiczną latarnią.

Gdy młodsze siostry rozłożyły się przy kominku i omawiały swoje pomysły, Amelia usiadła z Win na sofie i zapatrzyła się na jej smukłe, eleganckie dłonie, wyszywające delikatny kwiatowy wzór. Igła błyskała raz po raz, zagłębiając się w płótnie.

Leo siedział na dywanie przy dziewczynkach, zgarbiony i na wpół pijany, ze skrzyżowanymi nogami. Kiedyś miły i kochający starszy brat, który pomagał opatrywać skaleczone palce i szukać zaginionych lalek, dziś traktował młodsze siostry z uprzejmą obojętnością - jak obcych ludzi.

Amelia bezwiednie sięgnęła ręką do karku, aby rozmasować zeszywniałe mięśnie. Spojrzała na Merripena, który siedział w kącie, odpoczywając po całym dniu ciężkiej pracy. Miał nieobecny wzrok, jakby on także był pochłonięty własnymi myślami. Amelia nie była w stanie zbyt długo na niego patrzeć. Szlachetna barwa jego skóry i lśniąca burza czarnych włosów zbyt żywo przypominały jej Cama Rohana.

Tego wieczoru nie mogła przestać myśleć o nim i o Christopherze, portrety obu w jej głowie wyraźnie kontrastowały. Cam nie pragnął żadnych zobowiązań ani wspólnej przyszłości, oferował tylko chwilową przyjemność. Nie był dżentelmenem, ale cechowała go bezwzględna szczerłość, którą Amelia ceniła znacznie bardziej niż gładkie słowa.

A z drugiej strony był jasnowłosy, dobrze wychowany, rozsądny, przystojny Christopher. Wyznał, że chciałby odnowić ich przyjaźń. Nie wiedziała, czy mówił szczerze, ani tym bardziej, co mu odpowiedzieć. Ile

kobiet z radością powitałoby szansę powrotu do pierwszego uczucia? Gdyby zdecydowała się zapomnieć o błędach które popełnił w przeszłości i mu wybaczyć, zachęcić go, mogłoby się okazać, że jeszcze nie jest dla nich za późno. Ale nie była pewna, czy chce podjąć porzucone kiedyś marzenia. Czy byłaby szczęśliwa, żyjąc z człowiekiem, którego kochała, ale któremu nie potrafiła zaufać?

Beatrix wyjęła szklany widoczek z lampki, ostrożnie odłożyła go na bok i sięgnęła po następny.

- To jest mój ulubiony - powiedziała do Poppy, wsuwając szkiełko do latarni.

Amelia już dawno straciła zainteresowanie pokazem, nie podniosła więc głowy. Jej oczy cały czas podążały za smukłymi palcami Win. Nagle jednak igła wbiła się w delikatną skórę palca siostry. Z ranki wypłynęła kropla szkarłatnej krwi.

- Och, Win... - szepnęła Amelia.

Win w żaden sposób nie zareagowała na ból. Nawet nie zauważyła, co się stało. Marszcząc brwi, Amelia przyjrzała się jej pobladłej twarzy - Win utkwiała wzrok w ścianie.

Obrazek wyświetlony na ścianie przedstawiał zimowy widok: niebo ciemniejące od śniegu i mroczny las. Scena byłaby całkiem zwyczajna, gdyby nie delikatny zarys kobiecej twarzy, który zdawał się wynurzać z cienia.

Znajomej twarzy.

Amelia zamarła ze zdumienia, gdy widmowe rysy zaczęły się materializować, aż stały się tak rzeczywiste, że wydawało się, iż można przesunąć po nich dłonią.

- Laura - wykrztusiła Win.

To była twarz dziewczyny, którą kochał Leo. Nie mogły się mylić. Z początku Amelia pomyślała, że Beatrix i Poppy zdecydowały się na jakiś okrutny żart. Ale gdy spojrzała na pogrążone w niewinnej pogawędce siostry, zrozumiała, że one nie widzą zmarłej. Nie widział jej też Merripen, obserwujący Win z pytającym wyrazem twarzy.

Zanim Amelia zdołała ponownie spojrzeć na ścianę, postać Laury zniknęła.

Beatrix wyciągnęła przezrocze z magicznej latarni. Opadła na ziemię z piskiem, gdy Leo rzucił się na nią i chwycił szybkę.

- Dawaj to - powiedział ostrym, zachrypniętym głosem. Twarz miał bladą i wykrzywioną, ciało sparaliżowane strachem. Pochylił się nad kawałkiem malowanego szkła i spojrzał przez nie jak przez małe okienko do piekła. Wyrwał siostrze magiczną latarnię i prawie ją zniszczył, próbując wepchnąć obrazek do środka.

- Nie rób tak, zepsujesz! - krzyknęła zdezorientowana Beatrix. - Leo, co



ty robisz?

- Leo - zdołała wykrztusić Amelia - spowodujesz pożar. Ostrożnie.

- Co się dzieje? - zapytała Poppy z niepokojem. Szybka dopasowała się w końcu, a na ścianie znów mignęła zimowa scenka. Śnieg, niebo, las. Nic więcej.

- Wróc - mamrotał gorączkowo Leo, potrząsając latarnią. - Wróc do mnie. Wróc.

- Przerażasz mnie, Leo! - zawołała Beatrix, po czym wstała i podbiegła do Amelii. - Co mu się stało?

- Jest trochę dezorientowany - odparła z roztargnieniem Amelia. - Wiesz, co się z nim dzieje, kiedy wypije zbyt dużo.

- Nigdy taki nie był.

- Czas do łóżek - zauważyła Win. W jej głosie słychać było obawę. - Chodźmy na górę, Beatrix... Poppy... - Spojrzała na Merripena, który natychmiast wstał.

- Leo zniszczy moją latarnię - zawołała Beatrix. - Leo, przestań, zepsujesz wszystko!

Brat był jednak w takim stanie, że nic do niego nie docierało. Win i Merripen zdołali w końcu nakłonić dziewczęta do opuszczenia salonu. Merripen zapytał o coś szeptem, a Win odpowiedziała, że wyjaśni mu wszystko później.

Gdy tamci już wyszli, a ich głosy ucichły w korytarzu, Amelia podeszła ostrożnie do brata.

- Ja też ją widziałam, Leo. I Win także.

Nawet na nią nie spojrział, wzrok miał wciąż utkwiony w ścianie. Po chwili wyjął obrazek i znów włożył go do latarni. Ręce mu drżały. Jego cierpienie było tak wyraźne, że nie można było na nie patrzeć.

- Leo, proszę cię, porozmawiaj ze mną. Proszę.

- Zostaw mnie w spokoju. - Uniósł dłonie do twarzy, aby zasłonić się przed siostrą.

- Nie powinieneś być teraz sam. - W pokoju robiło się coraz zimniej. Amelia poczuła silny dreszcz.

- Nic mi nie jest. - Zrobił kilka nieregularnych wdechów i z wielkim wysiłkiem opuścił ręce. Spojrział na siostrę dziwnie jasnymi oczami. - Nic mi nie jest, Amelio. Potrzebuję po prostu... muszę... chciałbym zostać na chwilę sam.

- Chcę z tobą porozmawiać o tym, co przed chwilą widzieliśmy.

- To nie było nic takiego. - Z każdą chwilą coraz bardziej nad sobą panował. - Złudzenie.

- To była twarz Laury. Ja, ty, Win, wszyscy ją widzieliśmy!

- Wszyscy widzieliśmy ten sam cień. - Jego wargi wygięły się w gorzkim półuśmiechu. - Daj spokój, siostrzyczko, jesteś zbyt racjonalna, aby

wierzyć w duchy.

- Tak, ale... - Znajoma kpina w jego głosie nieco ją uspokoiła. Ale i tak nie podobał jej się sposób, w jaki trzymał latarnię.

- No, idź - ponaglił ją delikatnie. - Jest późno, przed chwilą sama tak mówiłaś. Musisz odpocząć. Nic mi się nie stanie.

Amelia zawahała się na moment. Jej ramiona nagle pokryły się gęsią skórką.

- Jeśli naprawdę tego chcesz...

- Tak. Idź.

Posłuchała go z ociąganiem. Gdy wychodziła z pokoju, poczuła gwałtowny przeciąg. Nie miała zamiaru zamykać drzwi, ale zatrzasnęły się za nią z brzękiem jak szczęki głodnego zwierzęcia.

Trudno było jej zmusić się do odejścia. Czowała, że musi chronić brata. Nie wiedziała tylko przed czym. Weszła do sypialni i włożyła swoją ulubioną koszulę nocną. Biała flanela była gruba i zbiegła się już po wielu praniach. Wysoki kołnierzyk i długie rękawy ozdabiał biały haft wykonany przez Win. Chłód, który ogarnął Amelię w saloniku, zaczął ustępować, dopiero gdy wśliznęła się pod kołdrę i zwinęła w ciasny kłębek. Powinna była rozpaścić ogień w kominku. Mogłaby zrobić to teraz, w pokoju zaraz zrobiłoby się cieplej, ale pomysł opuszczenia łóżka w ogóle jej nie pociągał.

Zamiast tego postanowiła myśleć o ciepłych rzeczach: o filiżance herbaty, wełnianym szalu, parującej kąpieli, owiniętej we flanelę cegle z paleniska. Ciepło zaczęło się w niej stopniowo kumulować i w końcu zasnęła.

Nie był to jednak spokojny sen. Miała wrażenie, że cały czas spiera się ze wszystkimi, toczy dyskusje, której nie mają żadnego sensu. Wierciła się, odwracała, kładła na plecach i na brzuchu, bez powodzenia próbując odgonić męczące ją koszmary.

Słyszała jakieś głosy... głos Poppy.... Właściwie nieważne, jak bardzo starała się go nie słuchać, nie ustępował.

- Amelio, Amelio!

Uniosła się na łokciach, przez chwilę nie mogąc odzyskać pełnej świadomości. Usłyszała obok siebie głos Poppy.

- Co się stało? - wymamrotała, odsuwając włosy z czoła.

Z początku twarz siostry zdawała się unosić w mroku, ale gdy oczy Amelii przyzwyczyły się do ciemności, zobaczyła całą szczupłą postać dziewczyny.

- Czuję dym - powiedziała Poppy.

Takich słów nie wypowiadano bez zastanowienia i nie można było ich zbyć. Zagrożenie ogniem było ciągle obecne w życiu ludzi, niezależnie od tego, gdzie mieszkali. Przyczyną mogło być wszystko: przewrócona świeca, lampa, iskra z kominka. A ogień w domu tak starym jak ich byłby katastrofą.

Amelia wstała z łóżka i po omacku podeszła do skrzyni w nogach

łóżka. Uraziła się w palec i zaczęła podskakiwać i sykać.

- Poczekaj, zaraz ci je wyjmę. - Poppy podniosła lekką pokrywę skrzyni i wyjęła z niej buty, a Amelia w tym czasie znalazła swój szal.

Chwyciły się za ręce i zaczęły skradać przez pokój ostrożnie, jak stare koty.

Gdy doszły do szczytu schodów, Amelia pociągnęła nosem, ale nie wyczuła nic poza znajomym zapachem mydlin, wosku, kurzu i oleju do lamp.

- Nie czuję dymu.

- Twój nos się jeszcze nie obudził. Spróbuj jeszcze raz. Tym razem wyczuła zdecydowany swąd spalenizny.

Ogarnął ją strach. Pomyślała o Leo, którego zostawiła samego z latarnią, ogniem i olejem... I nagle zrozumiała, co musiało się stać.

- Merripen! - krzyknęła tak głośno, że Poppy podskoczyła. Amelia chwyciła siostrę za ramię. - Pędź po Merripena. Obudź wszystkich. Zrób tyle hałasu, ile tylko zdołasz.

Poppy posłuchała natychmiast i pobiegła do sypialni sióstr, Amelia natomiast zeszła na dół. Od saloniku biła złowróźbna poświata, w szparach drzwi migało jasne światło.

- Leo! - Otworzyła drzwi na oścież i odsunęła się, czując uderzenie gorąca. Jedna ze ścian stała w ogniu, który piał się w górę piekącymi mackami. Przez gęstą chmurę dymu dostrzegła na podłodze masywną sylwetkę brata. Podbiegła i chwyciła go za fałdy koszuli, a potem pociągnęła za nią tak mocno, że szwy popękały. - Leo, wstawaj, wstawaj natychmiast! - Brat wydawał się jednak nieprzytomny.

Krzyczała na niego, aby się obudził i wziął w garść, próbowała go wyciągnąć z pokoju, ale bezskutecznie. Z jej oślepionych dymem oczu pociekły łzy bezsilności. Nagle jednak u jej boku pojawił się Merripen i dość szorstko odepchnął ją na bok. Pochylił się, podniósł Leo i przerzucił go sobie przez ramię.

- Chodź za mną - polecił Amelii stanowczo. - Dziewczęta są już na zewnątrz.

- Muszę na chwilę wrócić. Pójdę na górę i wezmę kilka rzeczy...

Spojrzał na nią groźnie. -Nie.

- Ale nie mamy żadnych ubrań. Wszystko zaraz...

- Wychodzimy!

Przez te wszystkie lata Merripen nigdy nie podniósł na nią głosu, Amelia przestraszyła się więc i go posłuchała. Oczywiście wciąż ją piekły i łzawiły od dymu, ale w końcu zdołali się wydostać przez frontowe drzwi na ciemny, wysypany żwirem podjazd. Win i Poppy pochylały się nad Leo, próbując go ocucić i posadzić na ziemi. Tak jak Amelia miały na sobie tylko koszule nocne, szale i ranne pantofle.

- Gdzie Beatrix? - zapytała Amelia. W tej samej chwili usłyszała bicie

domowego dzwonu; jego czysty, wysoki dźwięk popłynął na wszystkie strony świata.

- Powiedziała jej, żeby zadzwoniła - wyjaśniła Win. Wiedziały, że dźwięk sprowadzi sąsiadów i mieszkańców wioski, jednak miały świadomość, że Ramsay House spłonie, zanim zdoła do nich dotrzeć pomoc.

Merripen pobiegł wyprowadzić konie ze stajni, na wypadek gdyby dosięgnął jej ogień.

- Co się dzieje? - dał się słyszeć ochryply głos Leo. Zanim którakolwiek z sióstr zdołała coś odpowiedzieć, brat rozkasał się gwałtownie. Win i Poppy podbiegły do niego, wołając coś czule. Amelia nawet nie drgnęła, tylko jeszcze ciaśniej owinęła się szalem.

Przepełniały ją rozżalenie, złość i strach. Nie miała wątpliwości, że to Leo wznicił pożar, który spowodował utratę dachu nad głową i omal ich nie zabił. Podejrzewała, że minie dużo czasu, zanim będzie mogła zaufać sobie na tyle, aby móc z nim porozmawiać - z tym bratem, którego kiedyś tak kochała, a który teraz wydawał jej się zupełnie kimś innym.

Niewiele już w nim zostało do kochania. W dobrych chwilach mógł być najwyżej człowiekiem godnym pożałowania, w tych gorszych stwarzał zagrożenie dla samego siebie i reszty rodziny. Lepiej by im było bez niego, pomyślała Amelia. Tylko że jeśliby umarł, tytuł przeszedłby na kolejnego dalekiego krewnego albo wygaś, a one i tak pozostałyby z niczym.

Na widok oświetlonego blaskiem księżyca Merripena, który ratował konie i wyprowadzał powóz ze stajni, Amelia poczuła ogromną wdzięczność. Co by bez niego zrobiły? Kiedy ojciec przygarnął tego bezdomnego chłopca wiele lat temu, wszyscy w Primrose Place uważali to za odruch miłosierdzia. Hathawayowie zostali jednak po wielokroć wynagrodzeni za ów miłosierny uczynek. Nigdy się nie dowiedzieli, dlaczego zdecydował się z nimi zostać, ale na pewno oni skorzystali na tym bardziej niż Merripen.

Od strony wioski i Stony Cross Manor zbliżali się już ludzie. Wieśniacy sprowadzili wóz z ręczną pompą, ciągnięty przez mocnego konia. Po bokach wozu zainstalowano koryta, które napełniano mozolnie wodą z rzeki, nosząc wiadra tam i powrotem. Przy użyciu drewnianej dźwigni wodę pompowano do skórzanego węża, który wyrzucał ją pod ciśnieniem przez metalową dyszę. Przygotowanie tego trwało długo i nie było wątpliwości, że zanim pompa będzie gotowa, ogień wymknie się spod kontroli. Było jednak możliwe, że z jej pomocą uda się ocalić choć część zabudowań.

Amelia podbiegła do wieśniaków, aby wskazać im najkrótszą drogę do rzeki. Grupa mężczyzn, wśród których znajdował się również Merripen, natychmiast popędziła po wodę, niosąc wiadra na ramionach.

Gdy Amelia cofnęła się, aby wrócić do sióstr, wpadła na wysoką postać. Zachłysnęła się ze zdumienia, czując na sobie czyjeś ręce.

- Christopher. - Na jego widok poczuła ulgę, mimo iż przecież nie mógł

zrobić nic, aby ocalić jej dom. Podniosła oczy i ujrzała jego przystojną twarz skąpaną w świetle księżyca.

Objął ją i jakby nie mogąc się powstrzymać, przycisnął do piersi jej głowę.

- Dzięki Bogu, nic ci nie jest. Jak doszło do pożaru?

- Nie wiem. - Amelia znieruchomiała, myśląc w oszołomieniu, że nigdy nie przypuszczała, że znów będzie się do niego tulić. Przypomniała sobie, jak bezpiecznie czuła się kiedyś w jego ramionach. Ale natychmiast powróciło także wspomnienie zdrady, której się dopuścił, zaczęła się więc gwałtownie wyrывać.

Christopher puścił ją bardzo niechętnie.

- Nie zbliżaj się do domu. Ja pomogę przy pompie.

Nagle z ciemności rozległ się głos.

- Bardziej przydasz się tutaj.

Oboje odwrócili się zdumieni, bo ów głos zdawał się płynąć znikąd. Czarnowłosy Cam Rohan w czarnym ubraniu wynurzył się jak cień z mroku nocy.

- Cholera jasna - mruknął Christopher. - Jesteś taki ciemny, że ledwo cię widać.

Uwaga była wyjątkowo obraźliwa, ale Cam nie odpowiedział. Szybko zlustrował wzrokiem Amelię.

- Jesteś ranna?

- Nie, ale dom... - Z jej gardła wyrwał się szloch. Cam zdjął płaszcz i otulił nim Amelię, ściągając mocno klapy z przodu. Wełniany materiał zachował ciepło jego ciała i niosący pociechę męski zapach.

- Zobaczmy, co się da zrobić. - Skinął ręką Christopherowi, aby ten poszedł za nim. - Dwie konwie stoją przy schodach. Pomożesz mi wnieść je do środka.

Amelia otworzyła szeroko oczy na widok dwóch dużych blaszanych naczyń.

- Co to jest?

- Wynalazek kapitana Swansea. Są wypełnione roztworem węgla potasu. Spróbujemy powstrzymać nim rozprzestrzenianie się ognia, dopóki pompa nie będzie gotowa. - Rohan spojrzął na Krosta z ukosa. - Swansea jest za stary, aby dźwigać konwie, więc ja wezmę jedną, a ty drugą.

Amelia wiedziała, że Christopher niechętnie przyjmuje polecenia od innych, a zwłaszcza od ludzi, których uważał za gorszych od siebie. Zaskoczyło ją więc, gdy zgodził się bez protestów iść za Camem Rohanem do płonącego domu.

## Rozdział 14

Obserwowała, jak Cam Rohan i Christopher Frost podnoszą masywne miedziane konwie i przenoszą je przez frontowe drzwi. Kapitan Swansea pozostał na schodach i stamtąd wykrzykiwał instrukcje.

Z okien buchnęły dzikie płomienie, gdy ogień zaczął pochłaniać wnętrze domu. Wkrótce, pomyślała Amelia posępnie, zostanie tylko szkielet.

Wróciła do sióstr i stanęła przy Win, która ułożyła sobie na kolanach głowę Leo.

- Jak on się czuje?

- Pochorował się od dymu. - Win przesunęła ręką po rozczochranych włosach brata. - Ale chyba nic mu nie będzie.

Amelia spojrzała na niego.

- Następnym razem, jak będziesz próbował się zabić, wolałabym, abyś nie zabierał ze sobą nas wszystkich – wymamrotała. Chyba nie usłyszał jej słów, ale Win, Beatrix i Poppy spojrzały na nią zdumione.

- Nie teraz, kochanie - powiedziała Win tonem łagodnej nagany.

Amelia powstrzymała ostre słowa, które cisnęły się jej na usta i z kamienną twarzą odwróciła się w stronę domu.

Przybywało ludzi większość z nich ustawiła się rzędem od rzeki do pompy, aby podawać wiadra z wodą. W budynku nic się nie działo. Ogień szalał. Amelia zaczęła się zastanawiać, co robią Rohan i Frost.

Win chyba czytała jej w myślach.

- Kapitan Swansea w końcu ma możliwość wypróbowania swojego wynalazku - stwierdziła.

- Jakiego wynalazku? A ty skąd o tym wiesz?

- Siedziałam obok niego w czasie kolacji w Stony Cross Manor - wyjaśniła Win. - Opowiedział mi, że podczas swoich eksperymentów z raketami wpadł na pomysł urządzenia, które gasiłoby pożary poprzez rozpylanie węgla potasu. Gdy miedziany pojemnik zostanie postawiony pionowo, fiolka kwasu zmiesza się z roztworem, powodując ciśnienie, które wypycha płyn z kanistra.

- Czy to zadziała? - zapytała z powątpiewaniem Amelia.

- Mam taką nadzieję.

Drgnęły, słysząc dźwięk tłuczonego szkła. To ludzie obsługujący pompę wybijali szyby, aby móc skierować strumień wody na płomienie.

Amelia, czując narastający lęk, wpatrywała się uważnie w budynek,

próbując dostrzec Rohana lub Frosta. Nie podobał jej się pomysł ratowania płonącego domu za pomocą niesprawdzonego urządzenia, które lada chwila mogło wybuchnąć komuś w twarz. Zderzenie z chemikaliami, dymem i falą gorąca mogło oszołomić i przytłoczyć każdego. Świadomość, że obaj mężczyźni są w niebezpieczeństwie, wydawała jej się nie do zniesienia. Wszystkie jej mięśnie napięły się tak mocno, że aż poczuła ból.

Właśnie się zastanawiała, czy nie spróbować zajrzeć do środka, gdy w drzwiach domu ukazali się Rohan i Prost z opróżnionymi konwiami. Kapitan Swansea natychmiast ruszył w ich stronę.

Amelia także pognąła ku nim, płacząc ze szczęścia. Ale zamiast się zatrzymać przed całą trójką, podbiegła do Rohana.

Cam upuścił pojemnik i przytulił ją do siebie.

- Spokojnie, koliberku.

Biegając, zgubiła gdzieś jego płaszcz i swój szal. Zimne, nocne powietrze przenikało przez cienki materiał koszuli nocnej, wywołując silne dreszcze. Rohan objął ją jeszcze mocniej, aż poczuła gryzący zapach potu i dymu. Jego serce biło miarowo, a ciepła dłoń zataczała kółka na jej plecach.

- Gaśnice są nawet bardziej efektywne, niż sądziłem.

- Usłyszała głos kapitana Swansea. - Jeszcze dwie lub trzy i wierzę, że moglibyśmy sami stłumić pożar.

Amelia zebrała się w sobie i wyjrzała ponad bezpieczny krąg ramion Rohana. Frost wpatrywał się w nią z jawną dezaprobatą i czymś, co było chyba zazdrością. Wiedziała, że robi z siebie przedstawienie, ale nie mogła jeszcze opuścić niosącego otuchę schronienia jego ramion.

Kapitan Swansea uśmiechnął się, zadowolony z efektów swoich prób.

- Ogień został już opanowany - powiedział Amelii.

- Myślę, że wkrótce całkiem go ugaszą.

- Kapitanie, nigdy nie zdołam się panu odwdzięczyć - wykrztusiła Amelia.

- Czekałem na taką okazję - zapewnił ją. - Choć oczywiście zrobiłbym wszystko, aby to nie pani dom stał się moim poligonem doświadczalnym. - Odwrócił się, aby spojrzeć na pompę, która pracowała teraz pełną parą. - Obawiam się - powiedział smutno - że szkody wyrządzone przez wodę będą równie poważne jak te od płomieni.

- Może część pokoi na górze nada się do zamieszkania - odparła Amelia. - Za kilka minut pójde tam i...

- Nie - przerwał jej spokojnie Rohan. - Ty i wy wszyscy jedziecie do Stony Cross Manor. Mają tam tyle pokoi gościnnych, że mogą was gościć bez kłopotu.

Zanim Amelia zdołała coś powiedzieć, Christopher Frost odpowiedział za nią.

- Zatrzymałem się u rodziny Shelsherów w tawernie we wsi. Panna

Hathaway i jej rodzeństwo pojedą ze mną.

Rohan podniósł rękę i dotknął kciukiem łokcia Amelii, wyczuwając pod delikatną skórą gwałtowne pulsowanie krwi. Poglądził ją z zaborczą intymnością kochanka.

- Rezydencja lorda Westcliffa jest bliżej - stwierdził.

- Panna Hathaway i jej siostry marzną już wystarczająco długo, ubrane w same koszule nocne. Ich brata musi zbadać lekarz, a jeśli się nie mylę, Merripena również. Jedziemy do Stony Cross.

Amelia zmarszczyła brwi, gdy pojęła sens tych słów.

- Dlaczego Merripena powinien obejrzeć lekarz? Gdzie on jest?

Rohan zwrócił jej głowę w przeciwną stronę.

- Tam, za twoimi siostrami.

Zachłysnęła się ze zdumienia na widok leżącego na ziemi Merripena. Win klęczała przy nim, próbując ściągnąć mu z pleców cienki materiał koszuli.

- Och, nie! - Amelia wyrwała się z objęć Rohana i pospieszyła ku siostrze. Usłyszała, jak Christopher ją woła, ale się nie zatrzymała.

- Co mu jest? - zapytała, opadając na wilgotną ziemię obok Win. - Czy Merripen się poparzył?

- Tak, na plecach. - Win oddarła brzeg swojej koszuli, aby zrobić z niej prowizoryczny opatrunek. - Beatrix, czy mogłabyś wziąć to i zamoczyć w wodzie, proszę?

Bea pobiegła bez słowa w kierunku pompy.

Win pogłodziła Merripena, który leżał z głową opartą na przedramionach, po gęstych, czarnych włosach. Oddychał nierówno przez zaciśnięte zęby.

- Boli czy drętwieje? - zapytała Amelia.

- Koszmarnie boli - wykrztusił.

- To dobry znak. Oparzenie jest znacznie poważniejsze, jeśli w tym miejscu ciało drętwieje.

Merripen posłał jej wymowne spojrzenie. Win położyła mu dłoń na karku.

- Podszedł za blisko i roztopiony ołów z dachu spadł mu na plecy. - Podniosła oczy, gdy wróciła Beatrix z wilgotną szmatką. - Dziękuję ci, kochanie. - Win podniosła koszulę Merripena i przyłożyła szmatkę do rany. Merripen jęknął z bólu. Zapominając całkiem o dumie i przyzwoitości, pozwolił, by Win oparła sobie jego głowę na kolanach, i zaczął się trząść.

Amelia spojrzała na Leo, który wyglądał niewiele lepiej, i uświadomiła sobie, że Cam Rohan ma rację - trzeba natychmiast jechać do Stony Cross i posłać po lekarza.

Nie protestowała, gdy Rohan i kapitan Swansea zgarnęli całą rodzinę do powozu. Leo trzeba było wnieść do środka, podobnie Merripena, który



stawał się coraz bardziej niespokojny i rozgorączkowany.

Kapitan szarpnął za lejce i zawiózł wszystkich do Stony Cross.

Powitano ich tam z przejęciem i współczuciem. Służący rozbiegli się we wszystkie strony, a goście zaoferowali wypożyczenie ubrań i przedmiotów osobistych. Lady Westcliff i lady St. Vincent zajęły się młodszymi dziewczętami, a Amelię oddano pod opiekę dwóch bardzo stanowczych pokojówek. Było jasne, że nie wypuszczą jej z rąk, dopóki się nie wykapie, nie naje i przebierze.

Minęła cała wieczność, zanim w końcu podano jej czystą koszulę i niebieski aksamitny szlafrok. Przez następnych piętnaście minut służące starannie zaplatały jej wilgotne włosy w porządne warkocze. Gdy skończyły, Amelia podziękowała im ciepło i odeszła. Musiała sprawdzić, co z jej rodzeństwem, poczynając od brata.

Lokaj w korytarzu wskazał jej drogę do pokoju Leo, skąd wychodził właśnie starszy dżentelmen ze starannie przyciętą szarą bródką, niosący torbę lekarską w dłoniach. Przystanął, gdy zapytała o stan brata.

- W sumie lord Ramsay ma się całkiem nieźle - odparł. - W gardle pojawiła się niewielka opuchlizna, rzecz jasna od dymu, ale to raczej podrażnienie niż coś niepokojącego. Ma rumieńce, serce jest silne, wszystkie znaki wskazują więc, że będzie zdrow jak ryba.

- Dzięki Bogu. A Merripen?

- Cygan? Jego stan jest bardziej niepokojący. To paskudne oparzenie. Oczyszcilem ranę i nałożyłem opatrunek z miodu, żeby bandaż nie przylepił się do ciała. Wrócę jutro, aby sprawdzić, jak się czuje pacjent.

- Dziękuję. Panie doktorze, nie chciałabym pana dłużej zatrzymywać, wiem, że jest już bardzo późno, ale czy mógłby pan poświęcić jeszcze kilka minut i zobaczyć moją siostrę? Ma słabe płuca i choć nie była wystawiona na działanie dymu, to jednak długo stała na nocnym powietrzu...

- Mówi pani o pannie Winnifred? - Tak.

- Była w pokoju Cygana. On najwyraźniej podziela pani troskę, bo kłócili się oboje dosyć zażarcie o to, kogo pierwszego powinienem zbadać.

- Och. - Amelia uśmiechnęła się blado. - Kto wygrał? Rzecz jasna, Merripen?

Lekarz uśmiechnął się do niej, kręcąc głową.

- Nie, panno Hathaway. Pani siostra może mieć słabe płuca, ale jest bardzo stanowcza. - Ukłonił się. - Życzę dobrej nocy. Współczuję pani z powodu tego nieszczęścia.

Amelia kiwnęła głową i weszła do pokoju oświetlonego nikłym płomieniem lampy. Leo leżał na boku z otwartymi oczami, ale na nią nie spozjrzał. Usiadła ostrożnie na brzegu łóżka i pogłaskała brata po splątanych włosach.

- Przyszłaś mnie zniszczyć? - wychrypiał. Uśmiechnęła się gorzko.

- Sam doskonale sobie radzisz. Jak zaczął się pożar, kochanie?

Wtedy podniósł na nią oczy, tak nabiegłe krwią, że przypominały siatkę dróg na mapie.

- Nie pamiętam. Zasnąłem. Nie zaproszyłem ognia celowo. Mam nadzieję, że mi wierzysz.

- Tak. - Pochyliła się i ucałowała jego czoło, jakby był małym chłopcem. - Odpoczywaj, Leo. Rano wszystko będzie wyglądać lepiej.

- Zawsze to powtarzasz - mruknął, zamykając oczy.

- Może któregoś dnia okaże się wreszcie, że miałas rację.

- Zasnął niepokojąco szybko.

Słyszac hałas, Amelia odwróciła głowę i zobaczyła gospodynię z tacą, uginającą się pod ciężarem butelek z brązowego szkła i pełną suszonych ziół. Kobiecie towarzyszył Cam Rohan, który niósł mały imbryk, wypełniony parującą wodą.

Jeszcze nie zdążył zmyć z siebie sadzy. Na pewno był zmęczony, ale nie pokazywał tego po sobie. Obrzucił Amelię długim spojrzeniem - jego oczy jarzyły się jak płomienie w pokrytej smugami brudu i potem twarzy.

- Para ułatwi lordowi Ramsayowi oddychanie podczas snu - wyjaśniła gospodyni. Zapaliła świece i umieściła nad nimi imbryk.

Gdy para uniosła się w powietrzu, Amelia poczuła silny, przyjemny zapach.

- Co to? - zapytała cicho.

- Rumianek, tymianek i lukrecja - odparł Rohan - a także wiaz i liście skrzypu na gardło.

- Przynieśliśmy także morfinę, aby lordowi łatwiej było zasnąć - dodała gospodyni. - Zostawię mu ją przy łóżku, na wypadek gdyby się obudził...

- Nie - powiedziała Amelia szybko. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował Leo, był swobodny dostęp do dużej butelki morfiny. - To nie będzie konieczne.

- Dobrze, panienko. - Zanim gospodyni wyszła z pokoju, poprosiła jeszcze, żeby dzwonili, jeśli będą czegoś potrzebować.

Cam został w pokoju i oparł się swobodnie o słupek łóżka. Obserwował, jak Amelia podchodzi do parującego imbryczka i bada jego zawartość. Próbowwała nie zwracać uwagi na Rohana, który wpatrywał się w nią badawczym wzrokiem, zagadkowo wykrzywając wargi.

- Musisz być wyczerpany - powiedziała, wyciągając spomiędzy suchych listków gałązkę. Podniosła kruche zioła do nosa, by je powąchać. - Jest bardzo późno.

- Większość życia spędziłem w klubie, jestem przyzwyczajony do długiego czuwania. Ale ty powinnaś się położyć.

Amelia pokręciła głową. Jej serce biło zbyt szybko, a różne myśli i obawy wirowały w jej głowie i choć pod tym wszystkim czaiło się ogromne zmęczenie, wiedziała, że teraz z pewnością nie zdoła zasnąć - leżałaby tylko w

łóżku, wpatrując się w sufit.

- Kręci mi się w głowie. Na samą myśl o spaniu...

- Może potrzebujesz ramienia, na którym mogłabyś się wyplakać? - zapytał miękko.

Z całych sił próbowała nie okazać mu, jak bardzo to pytanie wytrąciło ją z równowagi.

- Dziękuję, ale nie. - Ostrożnie wrzuciła zioła do imbryka. - Płacz to strata czasu.

- Płacząc, umniejszasz zgryzotę.

- To jakieś cygańskie powiedzenie?

- Szekspir. - Patrzył na nią i widział zbyt wiele; zdawał sobie sprawę, co kłębi się pod wymuszonym spokojem. - Masz przyjaciół, którzy pomogą ci przez to przejść, Amelio. A ja jestem jednym z nich.

Przeraziła ją myśl, że może ją postrzegać jako osobę godną litości. A tego pragnęła uniknąć za wszelką cenę. Nie zamierzała opierać się na nim ani na kimkolwiek innym. Gdyby to zrobiła, mogłaby już nigdy więcej nie stanąć pewnie na własnych nogach. Odsunęła się od niego i pomachała rękami, jakby próbowała zniweczyć każdą jego próbę pocieszenia jej.

- Proszę się nie kłopotać Hathawayami. Damy sobie radę. Zawsze dawaliśmy.

- Nie tym razem. - Rohan obserwował ją, nie poruszając się. - Twój brat nie zdoła teraz nikomu pomóc, nawet sobie. Twoje siostry są na to zbyt młode, z wyjątkiem Winnifred. A Merripen jest przykuty do łóżka.

- Zajmę się nimi. Nie potrzebuję pomocy. - Sięgnęła po ręcznik upuszczony w nogach łóżka i złożyła go równiutko. - Rano wyjeżdża pan do Londynu, prawda? Proszę pójść za swoją własną radą i położyć się spać.

Jego oczy błysnęły gniewnie.

- Do kaduka, Amelio, dlaczego musisz być taka uparta?

- Nie jestem uparta. Ja po prostu nic od ciebie nie chcę. A ty powinienes odnaleźć wolność, której tak długo byłeś pozbawiony.

- Troszczysz się o moją wolność czy boisz się przyznać, że kogoś potrzebujesz?

Miał rację. Ale wolałaby umrzeć, niż powiedzieć to głośno.

- Nikogo nie potrzebuję, a już na pewno nie ciebie. Jego ton był łagodny, ale zabrzmiała w nim zjadliwa nuta.

- Nawet nie wiesz, z jaką łatwością mógłbym ci udowodnić, że się mylisz. - Ruszył w jej stronę, zatrzymał się i spojrzał tak, jakby chciał ją udusić i pocałować jednocześnie.

- Może w następnym życiu - szepnęła, siląc się na krzywy uśmiech. - Idź już, Gam. Proszę, idź.

Gdy w końcu wyszedł z pokoju, odetchnęła z ulgą.

Cam wyszedł do ogrodów, aby uciec przed duszną atmosferą domu.

Słabe nitki księżycowego blasku rozjaśniały nieskończoną ciemność nocy. Poszedł aż do stromej ściany, graniczącej z urwiskiem nad rzeką. Podciągnął się na nią i usiadł, przewieszając nogi przez krawędź, i wsłuchiwał się w szum wody i odgłosy nocy. W powietrzu wciąż jeszcze unosił się zapach dymu zmieszany z wonią ziemi i lasu.

Cam próbował pojąć tę płataninę emocji. Nigdy wcześniej nie czuł zazdrości, ale gdy tego wieczoru zobaczył Amelię w objęciach Christophera Krosta, poczuł nieodpartą ochotę, by udusić tego człowieka. Wszystkie zmysły Cama krzyczały, że Amelia należy tylko do niego, że to on powinien ją chronić i pocieszać. Ale nie miał do tego żadnego prawa.

Jeśli Krost postanowił ją zdobyć, nie należało się wtrącać. Amelii byłoby lepiej z kimś podobnym do niej niż z romskim mieszkańcem. A Camowi będzie lepiej bez niej. Dobry Boże, czy naprawdę choć przez chwilę rozważał spędzenie reszty życia jak gadzio, zobligowany, by dbać o rodzinę?

Powinien opuścić Hampshire. Amelia sama podejmie decyzję co do Krosta, a on, Cam, podąży za swoim przeznaczeniem. Żadnych kompromisów ani ofiar. Wszak nie miał być dla niej nikim więcej niż krótkim, mglistym zapamiętanym epizodem.

Pochylił głowę i przegarnął palcami niesforne włosy. Czuł ból w piersi, ale dotychczas brał to uczucie za tęsknotę za wolnością. Po raz pierwszy zadał sobie pytanie, czy naprawdę wie, czego chce. Bo nie wydawało mu się możliwe, aby po wyjeździe ten ból zniknął. W zasadzie należało się spodziewać, że będzie tylko gorzej.

Przyszłość rozpościerała się przed nim na kształt wielkiej, martwej pustki. Tysiące nocy bez Amelii. Może tulić i pieścić inne kobiety, ale żadna z nich nie będzie tą, której naprawdę pragnął.

Pomyślał o Amelii żyjącej w staropanieństwie. Albo co gorsza, pogodzonej z Prostem, poślubiającej go ze świadomością, że już raz ją zdradził i może to zrobić znowu. Zasługiwała przecież na znacznie więcej. Zasługiwała na namiętą, rozpalającą serce, obezwładniającą, przenikającą ją miłość. Zasługiwała...

Do diabła. Za dużo myślał. Zupełnie jak gadzio.

Zmusił się w końcu, aby zmierzyć się z prawdą. A prawda była taka, że Amelia należała do niego, niezależnie od tego, czy zdecydowałby się z nią zostać, czy odejść, czy będą kroczyć tą samą ścieżką, czy nie. Mogą mieszkać na przeciwległych krańcach świata, a ona i tak należy do niego.

Jego cygańska połowa duszy wiedziała to od samego początku.

I właśnie tej połowy zdecydował się posłuchać.

Łóżko Amelii było miękkie i luksusowe, ale równie dobrze mogłoby być zrobione z nieoheblowanych desek. Przewracała się, kręciła, układała, ale nie mogła znaleźć wygodnej pozycji dla swego obolałego ciała ani spokoju dla udręczonego umysłu.

Powietrze w pokoju było duszne i nieruchome i z każdą minutą gęstniało. Marząc o świeżym, chłodnym powiewie, Amelia wysliznęła się z łóżka, podszła do okna i otworzyła je szeroko. Z jej piersi wyrwało się westchnienie ulgi, gdy otulił ją lekki powiew wiatru. Zamknęła szczypiące oczy i palcami potarła mokre rzęsy.

Jakie to dziwne - miała tyle zmartwień, a nie mogła zasnąć. Myślała tylko o tym, czy Christopher Frost kiedykolwiek naprawdę ją kochał. Chciała w to wierzyć, nawet po tym, gdy ją porzucił. Wmawiała sobie, że dla większości ludzi miłość to luksus, na który nie mogą sobie pozwolić, że Christopher obrał ciernistą drogę kariery i stanął przed najtrudniejszym z trudnych wyborem. Zrobił to, co wydawało mu się najlepsze. Może niepotrzebnie oczekiwała, że wybierze ją, nie zważając na konsekwencje.

Być upragnioną ponad wszystko, ubóstwianą, pożądaną, jedyną... jej nigdy się to nie przydarzy.

Drzwi otworzyły się bezszelestnie. Zobaczyła grę cieni na ścianie i wyczuła, że ktoś wszedł do pokoju. Odwróciła się ze strachem i zobaczyła Cama Rohana. Jej serce zaczęło gwałtownie tłuc się w piersi. Wyglądał jak zjawia ze snów, mroczny, tajemniczy upiór.

Podszedł do niej powoli. Z każdym jego krokiem wszystko wokół rozpadało się i znikało, pozostawiając ją odsłoniętą i podatną na zranienie. Cam także oddychał niespokojnie. Tak jak ona. Po długiej chwili milczenia przemówił:

- Romowie wierzą, że zawsze trzeba wybierać drogę, która cię wzywa, i nigdy z niej nie zawracać. Bo nie wiadomo, jakie przygody cię na niej czekają. - Powoli wyciągnął dłoń, dając Amelii możliwość protestu. Dotknął jej biodra i przyciągnął ją do swojej mocnej piersi.

- Pójdziemy więc tą drogą - szepnął - i zobaczymy, dokąd nas zaprowadzi.

Czekał na sygnał, słówko sprzeciwu lub zachęty, ale tylko się w niego wpatrywała, nieruchoma i bezradna.

Pogłaskał ją po głowie i szepnął, aby się nie bała. On się nią zajmie, zadowolony ją. Jego palce odnalazły wrażliwe miejsce na szyi. Objął dłońmi jej twarz i pocałował ją. Pieścił ustami jej wargi tak długo, aż rozchyliły się i zwilgotniały.

Poczuła falę podniecenia i poddała się oszałamiającej przyjemności. Cam popchnął ją delikatnie, aż straciła równowagę i opadła na skłębioną pościel, a wtedy pochylił się i ucałował jej szyję. Pociągnął za tasiemki jej koszuli i rozsunął ją z przodu.

Wyczuwała jego pragnienie, promieniujące z niego ciepło, ale każdy jego ruch był delikatny, pełen czułości. Sięgnął do rozcięcia stanika i zaczął pieścić jej pierś. Amelia podciągnęła kolana, całe jej ciało wygięło się, chłonąc przyjemność jego dotyku. Dłonie Cama powędrowały od kolan do

piersi Amelii. Rozchylonymi wargami potarł różowy pączek, pieszcząc go, aż stwardniał. Amelia wsunęła palce w ciemne włosy Cama, przyciągając go do siebie. Jego usta zamknęły się na sutku i pociągnęły za niego lekko. Zadrzała i spróbowała się odsunąć, wytracona z równowagi, czując, że zmierza ku krawędzi zupełnie nowych przeżyć.

Cam przyciągnął ją do siebie i pochylił się nad nią znowu. Przykrył ustami jej wargi, a jego ciepłe palce uniosły dół jej koszuli i odsłoniły uda.

Amelia sięgnęła drżącymi rękami do guzików jego koszuli. Była luźna, bez kołnierzyka, na pewno wkładał ją przez głowę, zamiast rozpinąć. Cam przesunął się, ściągnął koszulę i odrzucił na bok. Księżycowy blask oświetlił jego gibkie, muskularne ciało i potężną klatkę piersiową.

Amelia położyła dłonie na jego torsie i przesunęła je powoli na boki. Cam zadrzał pod wpływem jej dotyku i opadł obok niej, wsuwając nogę pomiędzy jej uda. Brzegi koszuli rozchyliły się całkiem, ukazując piersi, a dół podsunął się wysoko na uda.

Cam znów pochylił się do jej piersi, całował je i gładził dłońmi, zachwycając się ich sprężystością. Amelia wygięła się ku niemu, pragnąc z całych sił jak najbardziej się ku niemu zbliżyć, poczuć na sobie jego ciężar. Powstrzymał ją, przesuwając dłońmi po jej ciele pieszczotliwym ruchem, który miał ją uspokoić. Zadrzała i zacisnęła palce na jego plecach. Nie potrafiła zebrać myśli, znaleźć właściwych słów. Wiła się pod nim, czując narastające do granic wytrzymałości pożądanie.

- Cam... Cam... - Przycisnęła twarz do jego piersi. Wyczuł wilgoć na jej rzęsach, odchylił głowę Amelii do tyłu i dotknął językiem zbłąkanej lzy.

- Cierpliwości, koliberku. Jeszcze za wcześnie. Spojrzała na jego ciemną twarz.

- Dla ciebie?

Cam milczał przez chwilę.

- Nie, dla ciebie.

- Mam dwadzieścia sześć lat - zaprotestowała. - Jak może być dla mnie za wcześnie?

Jego pocałunki były coraz głębsze i dłuższe, a w przerwach pomiędzy nimi szeptał coś do niej, płacząc angielskie słowa z romskimi. Sam chyba nie wiedział, którego języka używa. Chwycił jej dłoń i położył na swoim nabrzmiałym członku. Zaszokowana i zafascynowana Amelia przesunęła po nim palcami, ściskając go lekko, z wahaniem. Cam jęknął, jakby z bólu, aż przestraszona zabrała rękę.

- Przepraszam, przepraszam! - szepnęła, rumieniąc się. - Nie chciałam zrobić ci krzywdy.

- Nie zrobiłaś mi krzywdy. - W jego głosie zabrzmiało czule rozbawienie. Chwycił jej dłoń i znów przycisnął ją do siebie.

Amelia dotykała go nieśmiało, a jej ciekawość rosła na widok

pulsujących ruchów jego męskości pod napiętym materiałem obcisłych spodni. Cam wzdychał, rozkoszując się jej delikatną pieśczołą. Ułożył się ostrożnie pomiędzy jej nogami i delikatnie rozsunął jej uda, koszula nocna uniosła się do talii. Amelia odkryta i obnażona poczuła wstyd i podniecenie, gdy jego ręka powędrowała w dół jej brzucha. Wkrótce pozna ból i tajemnicę posiadania. Pomyślała, że to chyba odpowiedni moment, aby o czymś wspomnieć.

- Cam?

Podniósł głowę.

- Tak?

- Słyszałam, że są sposoby... bo to przecież może doprowadzić do... och, nie wiem, jak to powiedzieć...

- Nie chcesz, abym obdarzył cię dzieckiem. - Jego palce zagłębiły się delikatnie w ciemnym trójkącie między jej udami.

- Tak. To znaczy... nie. - Jej szept przeszedł w jęk.

- Nie zrobię tego. Choć zawsze istnieje ryzyko. - Odnalazł miejsce tak pulsujące rozkoszą, że Amelia poderwała się i przyciągnęła do siebie kolana. Jego palce lekko i delikatnie rozchyliły jedwabiste fałdki. - Pytanie brzmi, kochanie, czy pragniesz mnie wystarczająco mocno, aby podjąć to ryzyko.

Pławiła się cała we wstydzie i rozkoszy. Jej wszystkie myśli zostały zredukowane do tej jednej chwili. A Cam o tym wiedział. Czekał na odpowiedź, muskając ją, gładząc delikatnie i uważnie śledząc każdy jej dreszcz i skurcz jej mięśni.

- Tak - odparła drżącym głosem. - Pragnę cię.

Jego kciuk przesunął się niżej i zanurzył w jej wilgotnym wnętrzu. Długie rzęsy opadły na błyszczące oczy.

- Chcesz tego? - szepnął.

Amelia skinęła głową i spróbowała przytaknąć, ale z jej gardła wydobył się tylko niski jęk.

Czuła, że Cam zatacza w niej powolne kółka, gładkie kółko obrączki drażniło ją, aż całkiem osłabła, rozpalona pożądaniem. Och, tak, nie, proszę... kolejne kółko, jeszcze jedno, każde potęgowało przyjemność, aż jej serce zaczęło wyrwać się z piersi, a biodra pulsowały, rytmicznie ocierając się o jego dłoń. Nagle jednak cudowna pieśczoła została przerwana, a Amelia poczuła w sobie pustkę. Sięgnęła po niego i zacisnęła na nim palce rozgrzajączkowana, ale Cam roześmiał się miękko.

- Spokojnie, kochanie. To dopiero początek. Nie ma potrzeby się spieszyć.

- Początek? - Z trudem mogła mówić oszołomiona i rozedrgana. Jeśli czegoś była pewna, to tego, że nie zniesie dłużej tej wyrafinowanej tortury. - Myślałam, że do tego czasu już skończysz.

Uśmiechnął się, pocałował ją w zagłębienie łokcia i zaczął sunąć

wargami do nadgarstka.

- Cały sens polega na tym, aby to trwało jak najdłużej.

- Dlaczego?

- Tak będzie lepiej. Dla nas obojga. - Rozsunął jej zaciśnięte palce i złożył pocałunek na dłoni. Poprawił jej koszulę, zapinając ze skrupulatną troską guziki.

- Co robisz?

- Zabieram cię na przejażdżkę. - Gdy zasypała go pytaniami, delikatnie położył jej palec na ustach. - Zaufaj mi - szepnął.

Oszołomiona Amelia nie protestowała, gdy podniósł ją z pościeli, owinał aksamitnym szlafrokiem i wsunął jej stopy w miękkie kapcie.

Wziął ją za rękę i wyprowadził z pokoju. Dom był nieruchomy i cichy. Ze ścian spoglądały na nich potępiające twarze arystokratycznych przodków lorda Westcliffa.

Poszli na tył domu, na wielki, kamienny taras, skąd prowadziły do ogrodu szerokie schody. Światło księżyca przebijało się przez małe chmury jaśniejące na czarno-śliwkowym niebie. Zaintrygowana Amelia zeszła za Camem na dół.

Zatrzymał się i gwizdnął krótko.

- Co... - Westchnęła ze zdumienia, słysząc tętent ciężkich kopyt i zobaczyła masywną czarną sylwetkę pędzącą ku nim jak koszmarna zjawa. Ogarnął ją strach, przylgnęła więc do Cama i ukryła mu twarz na piersi. Objął ją ramieniem i przytulił do siebie.

Gdy hałas ucichł, Amelia zaryzykowała spojrzenie. Obok nich stał wielki czarny koń, prychając cicho. W chłodnym powietrzu unosiła się chmurka jego oddechu.

- Czy to się dzieje naprawdę? - zapytała.

Cam sięgnął do kieszeni i poczęstował konia kostką cukru, a potem przesunął dłonią po jego lśniącej czarnej jak noc szyi.

- A miałas kiedyś taki sen?

- Nigdy.

- Więc to musi być prawda.

- Naprawdę masz konia, który zjawia się, gdy na niego zagwizdziesz?

- Tak go nauczyłem.

- Jakie nosi imię?

Jego uśmiech błysnął bielą w mroku.

- Może zgadniesz?

Amelia zastanawiała się przez chwilę.

- Puka? - Koń odwrócił ku niej łeb, jakby zrozumiał. - Puka - powtórzyła z bladym uśmiechem. - Masz może skrzydła?

Na subtelny znak swego pana koń potrząsnął głową, zaprzeczając dobitnie, a Amelia roześmiała się cicho.



Cam podszedł do Puki i dosiadł go jednym zwinnym ruchem. Podprowadził zwierzę do stopnia, na którym stała Amelia i wyciągnął dłoń. Chwyła ją i oparła stopę na strzemieniu. Cam z łatwością ją uniósł i posadził przed sobą. Odsunęła się nieco, ale Cam objął ją ramieniem i przytrzymał. Usadowiła się wygodnie. Jej nozdrza wypełnił zapach jesieni, wilgotnej ziemi, konia, mężczyzny i nocy.

- Wiedziałaś, że pojedę z tobą, prawda? - zapytała. Cam pochylił się i pocałował jej skroń.

- Marzyłem o tym.

Spiął konia do galopu, a po chwili płynnie przeszedł w kłus. A kiedy Amelia zamknęła oczy, była gotowa przysiąc, że unieśli się w powietrze.

## Rozdział 15

Cam poprowadził konia w kierunku opuszczonego cygańskiego obozowiska nad rzeką. Wciąż jeszcze było tam widać ślady bytności jego ziomków: wyrzeźbione przez koła wozów koleiny, zjedzoną trawę w miejscu, gdzie pasły się kuce, palenisko wypełnione popiołem. Rwąca rzeka pluskała o kamienie i rozpychała brzegi, przesączaając się przez miękką ziemię.

Zsiadł z konia i pomógł Amelii zejść. Usiadła na zwalonym pniu drzewa i czekała, gdy on rozbijał prowizoryczny obóz. Złożyła dłonie na kolanach i obserwowała każdy ruch Cama. Zdjął z siodła tobolek z kocami i w kilka minut rozpalil ogień w otoczonym kamieniami palenisku, a potem ułożył obok posłanie.

Amelia podeszła do sterty pledów i ukryła się pod warstwami wełny i pikowanych narzut.

- Czy tu jest bezpiecznie? - zapytała stłumionym głosem.

- Tutaj zagrażam ci tylko ja. - Cam uśmiechnął się i położył obok niej. Zdjął buty, wszedł pod koce i przyciągnął ją do siebie. Przypominając sobie, jak nagradzana bywa w takich przypadkach cierpliwość, przytulił ją i czekał.

Minuty mijały, a Amelia wtulała się w niego coraz bardziej. Wspaniale się czuł, mogąc ją tylko tak trzymać i nawet nie robiąc nic więcej. Wsłuchiwał się w rytm jej oddechu, czuł, jak unosi się nad nimi chłodne nocne powietrze, podczas gdy ich ciała promieniowały ciepłem. Pograżyli się w nieruchomej, cichej przyjemności, której Cam nigdy wcześniej nie zaznał. Jego krew zaczęła pulsować wraz z każdym uderzeniem serca. Amelia dotykała go niepewnie biodrami, pobudzając jego sztywną męskość. Wciąż jednak się nie poruszał, pozwalając jej przytulać się i ocierać o niego, aż poczuł, że jest napięty i pobudzony.

Ogień migotał, żółte iskry padały na powaloną brzozę i dąb. Rozpalony... Cam nigdy w życiu nie był tak rozpalony. Rozważał właśnie, czy zdjąć koszulę, gdy dłonie Amelii wślizgnęły się pod nią z wahaniem. Drobne, chłodne palce wędrowały po jego płonącej skórze. W miejscach, których dotknęła, jego mięśnie kurczyły się i napinały, a było to tak wspaniałe uczucie, że Cam jęknął słabo, kryjąc twarz w jej włosach. Amelia chwyciła brzeg jego koszuli i podciągnęła ją do góry. Bez wahania usiadł, zdarł ją z siebie i odrzucił na bok.

Siadła mu na kolanach, a jej długie włosy rozsypały się po jego nagiej piersi i ramionach jedwabistą falą. Oczarowany Cam trwał nieruchomo, gdy przyciskała usta do jego klatki piersiowej, ramion, szyi, obsypując go gradem

delikatnych pocałunków.

- Amelio... - Objął rękami jej twarz i uniósł ku sobie. Jej ciepłe loki przesunęły się po jego dłoniach, wywołując przyjemny dreszcz. - Monisha - szepnął. - Nie postąpię wbrew twojej woli. Pragnę tylko ofiarować ci przyjemność.

Jej twarz jaśniała w blasku ognia, a usta miały kolor czerwonych porzeczek.

- Co znaczy to słowo?

- Monisha? To czułe określenie. - Z trudnością zebrał myśli. - Rom mówi tak do kobiety, z którą jest blisko.

Podniosła ręce do jego rąk i splotła z nim palce. Trwali tak, szepcząc do siebie bezgłośnie, dotykając się wargami i dzieląc gorącym płomieniem.

Cam pchnął ją lekko na koce, w krąg tańczącego ognia. I zaczął szeptać miłosne zaklęcia w starym języku, zapewniając ją, że chciałby ją ścigać, tak jak słońce ściga księżyc po niebie, że chciałby ją osiąść, aby stali się corthu, jednością. Był tylko na poły świadom swoich słów, oszołomiony jej zapachem i gorącym bijącym z jej ciała.

Rozchylił jej szlafrok i koszulę, z rozkoszą odsłaniając jej piersi i talię. Była taka piękna, zgrabna i sprężysta, jej blada skóra lśniła jak wypolerowana. Zmysłowe cienie kładły się na miejscach, których pragnął dotykać i smakować. Podążył ustami za oblewającym ją rumieńcem, ścigając falę czerwieni. Amelia zadrżała pod nim i uchwyciła się jego mocnych ramion.

Wziął w dłonie jej piersi i drażnił ich koniuszki językiem, aż stały się twarde i wilgotne. Łagodnie przesunął jeden z nich pomiędzy zębami i przytrzymał go tak, aż jęknęła i uniosła biodra.

Cam odsunął rozdzielającą ich koszulę Amelii. Jej brzuch unosił się i opadał w rytm gwałtownego oddechu. Pochylił się nad nim i zatopił w ciasnym kółeczku pępka czubek języka.

- Cam... czekaj... - Zaczęła się kręcić i go odpychać. Chwycił jej ręce i unieruchomił z boków jej ciała; Amelia czuła na brzuchu jego urywany oddech. Próbując odzyskać kontrolę nad sobą, Cam delikatnie przesunął policzkiem po jej podbrzuszu.

- Nie skrzywdzę cię - szepnął. - Chcę cię tylko pocałować... posmakować...

- Ale nie tam - zaprotestowała podniecona.

Cam nie potrafił stłumić uśmiechu. To było dla niego takie nowe - ta mieszanina rozbawienia i pożądania.

- Zwłaszcza tam. - Poglądził ją palcem po udzie i zanurzył go w jedwabistym ciemnym trójkącie. - Chcę poznać każdy fragment ciebie, monisha... Nie poruszaj się dla mnie i... tak, kochanie, tak... - Opuścił głowę, wstrząsany dreszczem. Intymna, słonawa woń kobiecej skóry rozpałała w nim pragnienie nie do zniesienia. Jego usta dotarły do sekretnego miejsca. Polizal

je, aż wargi się rozchyliły, i zagłębił się w gorącym wnętrzu, smakując i dając jej przyjemność.

Amelia milczała, z jej gardła wydobywały się tylko urywane westchnienia. Jej nogi przywarły ściśle do jego ciała. Bezradnie poddała się jego językowi, który kreślił w niej zawile wzory, gdy całe jej ciało prężyło się i wyginało w pragnieniu. Drażnił ją i prowokował, jego usta przemykały po niej delikatnie jak jaskółka w locie, czuła jego gorący oddech w swym wilgotnym wnętrzu. Wreszcie wsunął palec pomiędzy pulsujące jedwabiste fałdki. Amelia wydała z siebie rozpaczliwy jęk, jakby straciła całą kontrolę, a on rozkoszował się tym, doprowadzając ją na skraj spełnienia. Nie przestał nawet, gdy jej głośne jęki przeszły w łkanie. Napięła się i uniosła, zaciskając palce na jego włosach. Jej wnętrze pulsowało niepowstrzymanie, gdy zlizywał z niej każde drgnienie i dreszcz.

Po chwili przyciągnął ją do siebie. Sięgnęła do zapięcia jego spodni, które opadły mu luźno na biodra, uwalniając pulsującą męskość. Jej palce zacisnęły się na uniesionym członku i zaczęły przesuwając po nim miarowo, aż Cam szarpnął się z jękiem.

Amelia miała zarumienioną twarz i przymknięte oczy. Dotknęła go znowu i pociągnęła na siebie, instynktownie układając biodra i nogi w kuszącą kołyskę. Cam oparł się na łokciach tuż nad nią, osłaniając ją sobą przed wścibskim księżycem. Rozłożył dłonie i przesunął nimi po jej ciele. Zadrżała, gdy palcem dotknął koniuszka jej piersi. Zatoczył wokół niego kółko i patrzył, jak pączek unosi się i sztywnieje.

- Jeśli mnie pragniesz, kochanie - szepnął - powiedz mi to w moim języku. Proszę.

Amelia na oślep odwróciła głowę i przycisnęła usta do jego ramienia.

- Co powinnam powiedzieć?

Szepnął jej do ucha miękko, czułe słowa i czekał cierpliwie, aż je powtórzy, pomagając jej, gdy się zawahała. Równocześnie ułożył się nad nią niżej, ciaśniej i gdy tylko z jej ust padła ostatnia sylaba, wszedł w nią zdecydowanym pchnięciem.

Wzdrygnęła się i krzyknęła z bólu, a Cam poczuł się rozdarty pomiędzy bolesnym żalem, że musiał ją skrzywdzić, a oszałamiającą przyjemnością pograżenia się w niej. Jej niedoświadczone ciało zaczęło opierać się intruzowi, jej biodra poderwały się do góry, jakby chciały go wypchnąć, ale z każdym ruchem tylko wciągała go głębiej. Spróbował ukoić jej ból, pieszcząc ją i wyciskając pocałunki na jej szyi i piersiach. Wziął w usta różowy sutek, ssał go lekko i przesuwał po nim językiem, aż odprężyła się pod nim i zaczęła jęczeć.

Nie zdołał się powstrzymać przed kolejnym ruchem, zapominając o wszystkim poza pragnieniem, aby zatopić się jeszcze głębiej w łagodnie zaciskającym się wnętrzu. Otoczyło go jej ciepło, w ustach poczuł słodki

oddech Amelii. Szeptał w jej wargi jedno słowo, ciągle i ciągle od nowa, gdy wzbierała i pulsowała w nim rozkosz.

- Mandis... mandis...

Moja.

Wyczuwając zbliżające się spełnienie, wycofał się na jej gładki brzuch. Ciepło wytrysnęło gwałtownie i rozlało się pomiędzy nimi. Cam ukrył twarz w zagłębieniu szyi Amelii i jęknął głucho. Nigdy wcześniej nie czuł nic, co mogłoby się z tym równać. Nic nie mogło.

Przyjemność nie ustąpiła nawet wówczas, gdy jego puls się unormował i wróciła mu zdolność jasnego myślenia. Amelia drzemała pod nim, wzdychając cicho. Zmusił się, aby wstać, choć marzył tylko o tym, aby nadal móc się rozkoszować jej bliskością.

Chusteczką otarł krew i wilgoć z jej ciała, ubrał ją i dorzucił chrustu do ognia. Gdy wrócił na posłanie, Amelia wtuliła się w zagłębienie jego ramienia.

Wpatrzony w ogień, gładził jej włosy, spływające na jego ramię. Amelia spała mocno, a długie rzęsy rzucały cienie na jej policzki. Przyglądał się jej czujnym wzrokiem kochanka, zapamiętując każdy szczegół: miękką linię włosów, zgrabny kształt nosa, małe uszy. Zaprağnął je skubać, bawić się nimi, ale nie zrobił nic, co mogłoby zakłócić jej sen.

Podciągnął koc wyżej na śnieżnobiałe ramiona Amelii i odgarnął lok, który opadł jej na ucho. Wszystko się zmieniło, pomyślał. Już nie ma odwrotu.

## Rozdział 16

**B**rzask. Światło poranka wpadło do pokoju, kładąc się jasnymi smugami na łóżku i podłodze pomiędzy oknem a niewielkim kominkiem.

Amelia mrugnęła kilka razy i przez dłuższą chwilę leżała oszołomiona. Na kominku płonął ogień - musiała przespać przyjście pokojówki, która go rozpałała.

Ogień... Ramsay House... Wspomnienia opadły ją nieprzyjemną chmurą, zamknęła więc oczy. Otworzyła je jednak po chwili na myśl o ciemnościach, atramentowym blasku księżycy i ciepłym, męskim ciele. Poczowała gęsią skórę na ramionach.

Co ona najlepszego uczyniła?

Leżała znów w łóżku, jak przez mgłę przypominając sobie powrót do domu, gdy było jeszcze ciemno. Cam zaniósł ją do sypialni i ułożył w pościeli, jakby była dzieckiem. „Zamknij oczy”, szepnął, gładząc ją po głowie w geście pocieszenia. Zasnęła więc i spała. Przez zmrużone powieki dostrzegła tykający radośnie zegar, który wskazywał prawie południe.

Zalała ją fala paniki, która zaraz ustąpiła, gdy Amelia przypomniała sobie, że panika jest zupełnie bezużyteczna.

Niezależnie jednak od tego, jej serce zdawało się tłoczyć coś, co było zbyt gorące i lekkie, aby mogło być krwią, a jej oddech zaczął się rwać.

Próbowała przekonać samą siebie, że to tylko sen, ale jej ciało wciąż było poznaczone niewidocznymi śladami jego warg, języka, zębów i dłoni.

Amelia uniosła palce do ust i poczuła, że jej wargi są jakieś nabrzmiałe, gładziej niż zazwyczaj... Jego usta rozgniały je i ocierały się o nie w pocałunkach. Każdy skrawek jej ciała pulsował, wciąż jeszcze rozkoszując się przyjemnym wspomnieniem.

Przyzwoita kobieta powinna poczuć wstyd z powodu takiego wyuzdania. Amelia nie czuła jednak wstydu. Ta noc była tak wyjątkowa, tak dla niej hojna, gorąca i słodka, że będzie ją pamiętała przez całą wieczność. Ofiarowano jej doświadczenie, którego głupotą byłoby unikać; akt miłosny z mężczyzną niepodobnym do nikogo, kogo znała i miała szansę poznać.

Miała jednak nadzieję, że Cam zdążył już wyjechać.

Przy odrobinie szczęścia jest już w drodze do Londynu, gdzie zajmie się swoimi sprawami. Amelia nie była pewna, czy zdołałaby spojrzeć mu w oczy po ostatniej nocy. I zdecydowanie nie chciała, aby ją rozpraszał teraz, gdy należało podjąć tak wiele decyzji.

A co do wspomnień... Nie czas się nimi zajmować. Będzie jeszcze okazja po temu. Całe dni, miesiące, lata.

Nie myśl o tym, nakazała sobie surowo, wstając z łóżka. Zadzwoiła po pokojówkę i zawiązała szlafrok. Po nie więcej niż minucie na progu pojawiła się okrągłutka, jasnowłosa służąca z rumianymi jak jabłuszko policzkami.

- Czy mogę prosić o ciepłą wodę? - zapytała Amelia.

- Oczywiście, panienko. Mogę przynieść na górę albo naszykować panience kąpiel w pokoju kąpielowym. - Pokojówka miała ciepły akcent z Yorkshire.

Amelia kiwnęła głową, słysząc drugą propozycję, bo przypomniała sobie swoje ekscesy z zeszłego wieczoru. Poszła za służącą, która przedstawiła się jako Betty.

- Jak się miewają moje siostry? I pan Merripen?

- Panna Winnifred, panna Poppy i panna Beatrix zeszły już na śniadanie. Obaj dzentelmeni są jeszcze w łózkach.

- Czy są chorzy? Czy pan Merripen ma gorączkę?

- Pani Briarly, gospodyni, mówiła, że obaj mają się całkiem dobrze, panienko. Tylko odpoczywają.

- Dzięki Bogu. - Amelia postanowiła zajrzeć do Merri-pena, gdy doprowadzi się do porządku. Rany od oparzeń były niebezpieczne i nieprzewidywalne; nie mogła przestać się o niego martwić.

Weszły do pomieszczenia, którego ściany wyłożono bladobłękitnymi kafelkami. W jednym rogu stała wygodna leżanka, a naprzeciw niej duża porcelanowa wanna. Z sufitu zwisała bogato zdobiona orientalna kotara, tworząc zasłonięte miejsce, gdzie można było się przebrać. Płonący kominek przyjemnie nagrzał pokój. W dużej otwartej bieliźniarce czekały schludnie ułożone prześcieradła kąpielowe, tureckie ręczniki, różnego rodzaju mydelka i przybory toaletowe. Woda do kąpieli była podgrzewana na miejscu przez jakieś urządzenie, z którego wystawały rurki z gorącą, zimną i letnią wodą zakończone kurkami.

Betty odkręciła kurki i do wanny poleciała woda. W równiutkim rzędku ułożyła na leżance prześcieradła kąpielowe.

- Pomóc pani przy kąpieli, panienko?

- Nie, dziękuję - odparła natychmiast Amelia. - Poradzę sobie sama. Gdybyś tylko mogła przynieść mi do przebieralni moje ubrania...

- Którą suknię, panienko?

Amelia zamarła. Nagle uświadomiła sobie, że przybyła do Stony Cross Manor bez żadnej odzieży.

- Ojej. Czy nie można by posłać kogoś do Ramsay House, aby przyniósł stamtąd trochę rzeczy...?

- I tak wszystkie zapewne są brudne i przesiąknięte dymem, panienko. Lady St. Vincent poleciła przynieść do pani pokoju kilka swoich sukni. Są panie podobnych kształtów, a lady Westcliff jest nieco wyższa, więc...

- Och, ależ nie mogę nosić sukni lady St. Vincent.

- Obawiam się, że nie ma na to rady, panienko. Jest jedna śliczna, wełniana, w odcieniu głębokiej czerwieni. Przyniosę ją.

Amelia zrozumiała w końcu, że w tym momencie nie ma możliwości odzyskania żadnej ze swoich sukni, dlatego też tylko kiwnęła głową i podziękowała. Skryła się za zasłoną i zdjęła szlafrok. Pokojówka zakręciła kurki i wyszła.

Gdy Amelia rozpiniała koszulę nocną, która lekko opadła na podłogę, zauważyła na serdecznym palcu lewej dłoni błysk złota. Zdumiona, podniosła rękę i dostrzegła mały złoty sygnet z misternie grawerowanym inicjałem. Cam nosił go zawsze na najmniejszym palcu. Musiał wsunąć jej go na rękę poprzedniej nocy, gdy spała. To był podarunek na pożegnanie? Czy ten gest miał dla niego jakieś znaczenie?

Próbowała zdjąć pierścionek, ale okazało się, że całkiem utknął.

- Niech to diabli - mruknęła, na próżno ciągnąc i szarpiąc sygnet. Wyjęła z bielizniarki kawałek mydła i położyła go na brzegu wanny. Gorąca woda ukoiła setki drobnych otarć i bolesność pomiędzy udami.

Amelia westchnęła głęboko, namydliła dłoni i próbowała zsunąć pierścionek. Jej starania nie przyniosły jednak żadnego efektu. Wkrótce powierzchnia wody w wannie pokryła się mydlaną pianą, a Amelia zaczęła mamrotać przekleństwa.

Nikt nie może przecież zobaczyć u niej sygnetu Ca-ma. Jak, na Boga, miałyby niby wyjaśnić, skąd go wzięła i dlaczego go nosi?

Palce spuchły jej w końcu od pocierania i szarpania pierścionka, poddała się więc i dokończyła kąpiel. Wytarła się wyjątkowo miękkim ręcznikiem i poszła do przebieralni, gdzie zastała już Betty trzymającą delikatną suknię w kolorze wina.

- Oto suknia, panienko. Będzie w niej panience pięknie, przy tych ciemnych włosach.

- Lady St. Vincent jest taka uprzejma. - Delikatna, ozdobiona koronkami bielizna wyglądała tak nieskazitelnie, jakby nigdy nie była noszona. Był nawet gorset z białymi tasiemkami, tak czystymi jak bandaże chirurga.

- Och, ona ma bardzo dużo strojów - wyznała Betty, podając Amelii złożone reformy i koszulę. - Lord St. Vincent bardzo pilnuje, żeby jego żona była ubrana jak królowa. Powiem pani jedno: gdyby zażyczyła sobie przeglądać się w księżycu jak w lusterku, znalazłby sposób, żeby go dla niej ściągnąć z nieba.

- Skąd tyle o niej wiesz? - zapytała Amelia, zapinając przód gorsetu, podczas gdy Betty stanęła za nią, aby ściągnąć tasiemki.

- Jestem pokojówką lady St. Vincent, podróżuję z nią wszędzie. Poprosiła mnie, żebym usłużyła dzisiaj panience i innym panienkom



Hathaway. Wymagają specjalnych starań, powiedziała, po tym, co przeżyły.

Amelia wstrzymała oddech, gdy Betty pociągnęła za tasiemki. Dopiero gdy zostały zawiązane, mogła pozwolić sobie na wypuszczenie powietrza z płuc.

- To bardzo miło z jej strony. I twojej. Mam nadzieję, że moja rodzina nie sprawia kłopotów.

W odpowiedzi pokojówka zachichotała.

- Ależ skąd. - Zanim Amelia zdążyła zapytać o przyczynę jej śmiechu, mówiła dalej: - Ależ ma panienka szczupłą talię! Suknia lady St. Vincent będzie pasować jak ulał. Trzeba jeszcze tylko włożyć to.

Wręczyła Amelii garść półprzezroczystego czarnego materiału.

- Co to takiego?

- Jedwabne pończochy, panienko.

Amelia prawie je upuściła. Jedwabne pończochy kosztowały fortunę. A te były jeszcze dodatkowo wyszywane malutkimi kwiatuśkami, co znacznie podnosiło ich cenę. Jeśli je włoży, przez cały dzień będzie myślała tylko o tym, aby ich nie podrzeć. Jednak nie miała innego wyboru, chyba że zamierzała paradować z gołymi łydkami.

- Proszę je włożyć - ponagliła ją Betty.

Z mieszaniną poczucia winy i ogromnej przyjemności, Amelia włożyła w końcu najbardziej luksusowy strój, jaki kiedykolwiek nosiła. Suknia na jedwabnej podszewce miała niezwykle kobiecy krój, a układała się na jej figurze tak, jak jej własne ubrania nigdy się nie układały. Proste, dopasowane rękawy sięgały do łokci i rozszerzały się falą czarnej koronki. Taka sama koronka zdobiła brzeg spódnicy, której szerokość sugerowała mnogość halek. Czarna, satynowa szarfa podkreślała wytwornie szczupłą talię; końce były związane i spięte na boku błyszczącą dżetową broszką.

Siedząc przy toalecie, Amelia obserwowała, jak Betty zręcznie wplata w jej warkocz czarną wstążkę i podpina go wsuwkami. Pokojówka była bardzo przyjacielska i rozmowna, dlatego Amelia ośmieliła się zapytać:

- Betty... Jak długo lady St. Vincent zna pana Rohana?

- Od dzieciństwa, panienko. - Betty uśmiechnęła się szeroko. - Ten pan Rohan to przystojny kawał mężczyzny, prawda? Powinna pani zobaczyć, jak służące walczą, żeby choć przez dziurkę od klucza na niego popatrzeć.

- Zastanawiam się... - Amelia z całych sił starała się utrzymać niezobowiązujący ton. - Myślisz, że relacja pomiędzy panem Rohanem a lady St. Vincent była kiedyś...

- Ależ skąd, panienko. Wychowywali się razem jak brat i siostra. Słyszałam nawet plotki, że pan Rohan tak naprawdę jest jej przyrodnim bratem. Nie byłby to jedyny bękart pana Jennera, to pewne.

Amelia mrugnęła.

- Myślisz, że te plotki są prawdziwe? Betty wruszyła ramionami.

- Lady St. Vincent mówi, że nie. A poza tym w ogóle nie są do siebie podobni. Ale ona naprawdę bardzo go lubi. - Uśmiechnęła się znacząco i dodała: - Ostrzegęła mnie i inne pokojówki, żebyśmy się trzymały od niego z daleka. Mówiła, że nic dobrego z tego nie wyniknie, boby nas tylko wykorzystał i zostawił. To prawdziwy szelma, ten pan Rohan. Ma wystarczająco dużo czaru, żeby ukraść cukier z pani ponczu. - Betty skończyła czesanie i z prawdziwą satysfakcją obejrzała swoje dzieło, a następnie zabrała bieliznę Amelii, porzuconą na leżance, w tym także koszulę nocną.

Przez chwilę mierzyła dziewczynę wzrokiem.

- Czy mam przynieść pani czyste płótno? - zapytała ostrożnie. - Na pani miesięczną przypadłość?

Wciąż jeszcze słysząc w głowie słowa o wykorzystaniu i porzuceniu, Amelia pokręciła głową.

-Nie, dziękuję. To nie jest czas na... - Urwała i ze zdumieniem zauważyła to, co dostrzegła pokojówka: kilka rdzawych plam krwi na koszuli nocnej. Zbladła.

- Dobrze, panienko. - Betty zwinęła koszulę razem z prześcieradłami w ciasny węzełek i uśmiechnęła się obojętnie. - Trzeba tylko zadzwonić, a natychmiast się zjawię. - Podeszła do drzwi i wyszła cicho.

Amelia oparła łokcie na toaletce i złożyła czoło na zaciśniętych dłoniach. Boże, ależ służba będzie plotkować. I pomyśleć, że do dzisiejszego ranka nie zrobiła nic, o czym byłoby warto mówić!

- Proszę, Boże, niech się okaże, że on już wyjechał - szepnęła.

Idąc na dół po schodach, Amelia uświadomiła sobie, że przecież i tak nie wierzy w szczęście. Było to słowo tak samo dobre jak każde inne, aby opisać konsekwentne następstwo wydarzeń. Niezawodnie przewidywalny rezultat możliwy w każdej sytuacji.

A ona przypadkiem po prostu nie miała szczęścia.

W holu natknęła się na lady St. Vincent, która właśnie weszła do domu przez tylny taras. Miała policzki zarumienione od wiatru, dół sukni pobrudziła liśćmi i trawą. Wyglądała jak nieporządny anioł, ze swoją uroczą buzią, wijącymi się rudymi włosami i figlarną smugą jasnych, złotych piegów na nosie.

- Jak się czujesz? - Lady St. Vincent od razu podeszła do Amelii i wzięła ją za rękę. - Wyglądasz ślicznie. Twoje siostry spacerują po ogrodzie, z wyjątkiem Winnifred, która pije herbatę na tarasie. Czy już coś jadłaś? Amelia pokręciła głową.

- Chodź na taras, zadzwonimy po tacę.

- Jeśli nie będę przeszkadzać...

- Ależ skąd. No, chodź.

Amelia poszła za nią, wzruszona, ale i nieco zakłopotana troską, którą

okazywała jej lady St. Vincent.

- Milady - powiedziała - dziękuję za pożyczenie sukni. Zwrócę ją, gdy tylko będzie to możliwe...

- Mów do mnie Evie - padła ciepła odpowiedź. - A suknię musisz zatrzymać. Bardzo ci w niej ładnie, a mnie nie. Czerwień w tym odcieniu gryzie się z moimi włosami.

- Jesteś zbyt miła - odparła Amelia, marząc, aby z jej głosu zniknęła ta sztywna nuta, aby umiała przyjąć podarunek bez świadomości ciężaru zobowiązań.

Evie wydawała się jednak nie dostrzegać jej skrepowania, ścisnęła ją tylko mocniej za rękę, jakby Amelię trzeba było prowadzić jak małą dziewczynkę.

- Twoje siostry ucieszą się, gdy cię zobaczą. Zdradziły nam, że po raz pierwszy w życiu zdarzyło ci się spać tak długo.

- Nie spałam najlepiej. Byłam taka... zaabsorbowana. - Na jej blade policzki wystąpiły ogniste rumieńce, gdy przypomniała sobie, jak leżała obok Cama, z ubraniem w nieładzie, nie broniąc się przed jego gorącymi ustami i dłońmi, które delikatnie badały jej ciało.

- Tak, jestem pewna, że... - Evie się zawahała. - Miałaś wiele spraw do przemyślenia - dodała tonem pełnym zdziwienia.

Podążając za jej spojrzeniem, Amelia dostrzegła swoją dłoń.

Lady St. Vincent widziała pierścionek!

Amelia zacisnęła mocno palce. Spojrzała w zaciekawione, niebieskie oczy hrabiny, czując w głowie kompletną pustkę.

- Nic się nie stało - powiedziała Evie, chwytając dłoń, którą Amelia próbowała cofnąć. Uśmiechnęła się. - Musimy porozmawiać, Amelio. Wydawał mi się dziś taki nieswój. Teraz już rozumiem dlaczego.

Nie było potrzeby wyjaśniać, kim jest ów „on”.

- Milady... Evie... Pomiędzy mną a panem Rohanem nic nie ma. Nic. - Policzki Amelii nabrały jeszcze żywszej barwy. - Wiem, co sobie teraz o mnie myślisz.

Zatrzymały się na chwilę przed oszklonymi drzwiami prowadzącymi na taras. Amelia w końcu uwolniła rękę. Znowu spróbowała zdjąć pierścionek, który jednak uparcie tkwił na jej palcu, i z desperacją spojrzała na swoją towarzyszkę. Ku jej zdumieniu lady St. Vincent nie wyglądała wcale na zszokowaną czy oburzoną, lecz raczej na pełną zrozumienia. Było w jej twarzy coś takiego, rodzaj słodkiej powagi, który sprawił, że Amelię całkiem przestało dziwić, że małżonek Evie dosłownie szalał na jej punkcie.

- Myślę, że jesteś młodą kobietą o licznych zaletach - odrzekła Evie - która kocha swoje rodzeństwo i dźwiga wielki ciężar odpowiedzialności. Kobiecie w takiej sytuacji niełatwo iść samotnie przez życie. Myślę też, że masz rzadki dar akceptowania ludzi takimi, jacy są. A Cam doskonale wie, jakie to niezwykle.

Amelia poczuła niepokój, jakby coś zgubiła i potrzebowała szybko to odzyskać.

- Ja... Czy on nadal tu jest? Powinien był przecież już dawno jechać do Londynu.

- Jest tutaj. Rozmawia z moim mężem i lordem Westcliffem. Wczesnie rano pojechali do Ramsay House, aby obejrzyć to, co zostało z domu, i dokonać wstępnych oszacowań.

Amelii nie spodobała się wieść o tym, że wizytowali posiadłość bez konsultacji z nią lub Leo. Potraktowano ich tak, jakby byli bezradnymi dziećmi. Wyprostowała ramiona.

- To bardzo miło z ich strony, ale teraz już dam sobie radę. Podejrzewam, że część Ramsay House wciąż nadaje się do zamieszkania, co oznacza, że nie będziemy już dłużej wykorzystywać gościnności lorda i lady Westcliff.

- Och, przecież musicie tu zostać - zaprotestowała od razu Evie. - Lilian powiedziała, że powinniście zostać, dopóki Ramsay House nie zostanie w pełni odnowiony. Ten dom jest tak wielki, że na pewno nie będziecie naruszać niczyjego spokoju. A Lilian i lord Westcliff i tak przecież wyjeżdżają do Bristolu na co najmniej dwa tygodnie. Będziemy im towarzyszyć z St. Vincentem. Młodsza siostra Lilian, Daisy, spodziewa się dziecka. Będziecie mieli więc posiadłość właściwie dla siebie.

- Zdążymy obrócić ją w perzynę do waszego powrotu. Evie uśmiechnęła się łagodnie.

- Podejrzewam, że twoje rodzeństwo wcale nie jest takie niebezpieczne.

- Nie znasz Hathawayów. - Amelia poczuła, że musi odzyskać choć złudzenie kontroli nad sytuacją. - Sama pojedę do Ramsay House, gdy tylko zjem śniadanie. Jeśli pokoje na górze nadają się do użytku, przed zapadnięciem zmroku wrócimy do domu.

- Myślisz, że to najlepsze rozwiązanie dla Winnifred? - zapytała delikatnie Evie. - Dla pana Merripena i lorda Ramsaya?

Amelia zaczerwieniła się, rozumiejąc, że postępuje nierozsądnie. Ale poczucie bezradności i utraty wszelkiego autorytetu dosłownie ją dusiło.

- Może powinnaś porozmawiać z Camem, zanim podejmiesz jakąkolwiek decyzję?

- On nie ma nic wspólnego z moimi decyzjami. Evie spojrzała na nią z namysłem.

- Wybacz mi. Nie powinnam była wyciągać pochopnych wniosków. To przez ten sygnet na twoim palcu... Cam nosił go, odkąd skończył dwanaście lat.

Amelia brutalnie szarpnęła pierścionek.

- Nie wiem, dlaczego mi go dał. Jestem pewna, że to bez znaczenia.

- Myślę, że to ma wielkie znaczenie. Cam przez całe życie był

samotnikiem. Nawet wtedy, gdy mieszkał z Romami. Wydaje mi się, że w skrytości ducha marzył o tym, że pewnego dnia znajdzie miejsce, do którego będzie należał. Jednak dopóki cię nie spotkał, nie przyszło mu do głowy, że nie szukał miejsca, lecz osoby.

- Nie jestem tą osobą - szepnęła Amelia. - Naprawdę nie jestem.

Evie spojrzała na nią z pełnym sympatii współczuciem.

- To, rzecz jasna, twoja decyzja. Jednak jako ktoś, kto zna Cama od wielu lat, muszę ci powiedzieć... to dobry człowiek i w pełni godny zaufania. - Otworzyła przed Amelią drzwi na taras. - Twoje siostry są na zewnątrz. Poślę po tace.

Był wilgotny, jasny dzień. W powietrzu unosił się zapach ściółki, róż i późno kwitnących traw. Z tarasu rozciągał się widok na zadbane ogrody, połączone żwirowymi alejkami. Wszędzie stały stoły i krzesła. Goście lorda Westcliffa opuścili posiadłość po zakończeniu ostatniego polowania, większość miejsc była więc pusta.

Amelia zauważyła Win, Poppy i Beatrix i podeszła do nich szybko.

- Jak się czujesz? - zwróciła się do Win. - Dobrze spałeś? Męczył cię kaszel?

- Czuję się całkiem dobrze. Martwiłyśmy się o ciebie. Nigdy nie sypiasz tak długo, chyba że jesteś chora.

- Och, nie, nie jestem chora. Czuję się wspaniale. - Amelia uśmiechnęła się z przesadną beztróską. Spojrzała na pozostałe siostry, obie w nowych sukienkach: Poppy w żółtej, a Beatrix w zielonej. - Beatrix... wyglądasz uroczo. Jak młoda dama.

Beatrix wstała i z dumą powoli okręciła się na pięcie. Bładozielona suknia z kunsztownie plisowanym stanikiem i ciemnozieloną lamówką była niemal idealnie dopasowana, a spódnica sięgała do samej ziemi.

- Lady Westcliff mi ją dała. Należała do jej młodszej siostry, która już nie może jej nosić, bo wkrótce będzie rodzić.

- Och, Bea... - Widząc, jak bardzo siostra cieszy się z dorosłej sukni, Amelia poczuła ukłucie żalu i goryczy. Bea powinna uczyć się na pensję, gdzie nauczyłaby się francuskiego, układania bukietów i wszystkich tych umiejętności, których pozostałym siostronom Hathaway zdecydowanie brakowało. Ale nie mieli na to pieniędzy. I w tych okolicznościach raczej nie można było liczyć na to, że ich sytuacja się odmieni.

Win ujęła ją za rękę i ucisnęła ją lekko. Amelia spojrzała w jej rozumiejące niebieskie oczy i westchnęła ciężko. Zastygły na chwilę w bezruchu, dodając sobie nawzajem otuchy.

- Amelio - szepnęła Win - usiądź przy mnie. Chciałabym cię o coś zapytać.

Amelia usiadła na krześle, z którego rozpościerał się doskonały widok na ogrody. Poczowała bolesny skurcz w piersi, gdy dostrzegła trzech mężczyzn

idących powoli wzdłuż cisowego żywopłotu. Jednym z nich był Cam. Tak jak jego towarzysze, miał na sobie bryczesy do jazdy konnej i wysokie skórzane buty. Zamiast tradycyjnej kurtki jeździeckiej włożył jednak białą koszulę i kamizelkę z cienkiej skóry. Wiatr igrał z jego czarnymi, gęstymi włosami, unosząc je i pozwalając, by swobodnie opadały.

Gdy tak szli, Cam wyglądał na pochłoniętego otoczeniem - wyjmował opadłe liście z żywopłotu, przesuwając dłońmi po miedzianych żdźbłach ozdobnych traw. Amelia była jednak pewna, że nie uronił ani słowa z toczącej się dyskusji.

Nie mógł wiedzieć, że Amelia jest na tarasie, ale zatrzymał się nagle i spojrzał przez ramię prosto na nią. Nawet pomimo dzielącej ich odległości poczuła dreszcz, gdy ich spojrzenia się spotkały.

- Amelio - zapytała Win - czy poczyniłaś jakieś uzgodnienia z panem Rohanem?

Amelii zaschło w gardle. Ostrożnie ukryła rękę z pierścionkiem w fałdach obfitej spódnicy.

- Oczywiście, że nie. Skąd ten pomysł?

- Rozmawia z lordem Westcliffem i lordem St. Vin-centem, odkąd dziś rano wrócili z Ramsay House. Przypadkiem usłyszałam ich uwagi, gdy siedzieli na tarasie. Pan Rohan formułował swoje opinie tak, jakby wyrażał się w imieniu nas wszystkich.

- Co przez to rozumiesz? - zapytała z oburzeniem Amelia. - Nikt poza mną nie ma prawa przemawiać w imieniu naszej rodziny. Chyba że Leo.

- On wydaje się decydować, co powinno zostać zrobione i kiedy - dodała Win speszonym szeptem. - Zupełnie jakby był głową rodziny.

Zdenerwowanie Amelii narastało.

- Ależ on nie ma do tego prawa... Nie wiem, dlaczego miałby pomyśleć... O Boże.

To się musi natychmiast skończyć.

- Dobrze się czujesz, moja droga? Zbladłaś. Proszę, napij się mojej herbaty.

Świadoma tego, że wszystkie trzy siostry wpatrują się w nią z okrągłymi ze zdziwienia oczami, Amelia wzięła od Win filiżankę i opróżniła ją kilkoma haustami.

- Jak długo tu zostaniemy, Amelio? - zapytała Beatrix. - Podoba mi się tu znacznie bardziej niż w naszym domu.

Zanim Amelia zdołała odpowiedzieć, wtrąciła się Poppy.

- Skąd masz ten śliczny pierścionek? Mogę go zobaczyć?

Amelia wstała gwałtownie.

- Wybaczcie mi, muszę z kimś porozmawiać. - Przeszła przez taras i zbiegła po schodkach do ogrodu.

Podchodząc do trzech mężczyzn, którzy zatrzymali się przy kamiennej donicy

wypełnionej daliami, Amelia podsłuchiwała urywek rozmowy: „...wzmocnić istniejące fundamenty...” i „...resztę kamienia od Jennera dostarczyć tutaj...”.

Nie mogą przecież rozmawiać o Ramsay House, pomyślała z narastającym niepokojem. Zapewne nie wiedzą, jak mizerna jest roczna renta Hathawayów. Jej rodziny nie stać było na materiały i robotników, aby móc odbudować dwór.

Gdy tylko zauważyli jej obecność, wszyscy trzej odwrócili się jak na komendę. Lord Westcliff miał miły, pełen troski wyraz twarzy, a lord St. Vincent wyglądał na zadowolonego, lecz powściągliwego. Z twarzy Cama nie można było wyczytać nic, jego wzrok przesunął się po niej szybko, lecz wnikliwie.

Amelia kiwnęła głową w geście powitania.

- Dzień dobry panom. - Nakazała sobie w duchu nawet nie drgnąć, gdy spojrzała w mroczne oblicze Cama. - Panie Rohan, byłam pewna, że pan już wyjechał.

- Lada chwila istotnie wyjeżdżam do Londynu.

I dobrze, pomyślała. Tak będzie najlepiej dla wszystkich. Jej serce ścisnęło się jednak boleśnie.

- Wrócę za tydzień - dodał spokojnie, zaskakując ją tym bezgranicznie.

- Razem z inżynierem i majstrem, którzy ocenią stan Ramsay House.

Zanim skończył mówić, Amelia gwałtownie uniosła ręce.

- Panie Rohan, nie chcę, aby moje słowa zabrzmiały niewdzięcznie, ale to nie będzie konieczne. Mój brat i ja razem podejmiemy decyzję co do tego, co zrobić.

- Pani brat nie jest w stanie podejmować teraz jakichkolwiek decyzji - wtrącił się lord Westcliff. - Panno Hathaway, mogą państwo pozostać w Stony Cross Manor bezterminowo.

- Jest pan niezwykle wspaniałomyślny, milordzie, ale jako że Ramsay House nadal stoi, zamieszkamy tam.

- Dom nie nadawał się do zamieszkania nawet przed pożarem - stwierdził Cam - a w obecnym stanie nie dopuściłbym w jego pobliżu nawet bezpańskiego psa. Większość budynku i tak trzeba będzie zburzyć do fundamentów.

Amelia jęknęła.

- W takim razie przeprowadzimy się do stróżówki.

- Ten domek jest dla was zbyt mały. I również w bardzo złym stanie.

- To nie pańskie zmartwienie, panie Rohan.

Cam spojrzał na nią w skupieniu. W jego wzroku było coś nowego, uświadomiła sobie. Coś, co sprawiło, że poczuła obawy i zakłopotanie.

- Musimy porozmawiać na osobności - stwierdził w końcu.

- Nie, wcale nie musimy. - Jej nerwy napięły się do ostateczności, gdy

zobaczyła, jak wszyscy trzej wymieniają porozumiewawcze spojrzenia.

- Jeśli pani wybaczy - mruknął lord Westcliff - zostawimy państwa.

- Nie, nie ma takiej potrzeby, naprawdę... - Amelia umilkła, gdy stało się jasne, że jej pozwolenie nie jest im potrzebne.

Lord St. Vincent poszedł w ślady Westcliffa, przystanął jednak jeszcze na chwilę, aby szepnąć do Amelii:

- Nie należy słuchać większości dobrych rad, a już zwłaszcza tych, które wychodzą ode mnie... ale proszę wszystko dokładnie przemyśleć, panno Hathaway. Darowanemu bogatemu mężowi nie zagłada się w zęby. - Mrugnął do niej i odszedł w kierunku tarasu.

Stojąc jak rażona gromem, Amelia zdołała wykrztusić z siebie tylko jedno słowo.

- Mężowi?

- Powiedziałem im, że jesteśmy zaręczeni. - Cam wziął ją za rękę czułym, lecz stanowczym gestem i poprowadził na drugą stronę żywopłotu, aby nie można było ich obserwować z domu.

- Dlaczego?

- Bo jesteśmy.

- Słucham?

Zatrzymali się w cieniu cisów. Kompletnie przerażona Amelia zdołała spojrzeć prosto w jego ciepłe orzechowe oczy.

- Czyś ty całkiem oszalał?

Cam uniósł jej dłoń do góry, pierścionek zalśnił w promieniach słońca.

- Nosisz mój pierścionek. Spałaś ze mną. Złożyłaś obietnicę. Romowie powiedzieliby ci, że to oznacza zupełnie prawomocne małżeństwo. Ale żeby nie było kłopotów, weźmiemy ślub również tak jak gadziowie.

- Ależ nic takiego nie zrobimy! - Amelia wyrwała mu dłoń i cofnęła się gwałtownie. - Noszę twój pierścionek, bo nie mogę zsunąć tego diabelstwa z palca. I co masz na myśli, mówiąc, że złożyłam obietnicę? Czy te słowa, które kazałeś mi powtórzyć, były jakąś przysięgą? Oszukałeś mnie! Nie wiedziałam, co mówię.

- Ale ze mną spałaś.

Zarumieniała się ze wstydu i gniewu i otarła rękawem spocone czoło. Odwróciła się i weszła na wysypaną żwirem ścieżkę, która prowadziła w głąb ogrodu.

- To także nic nie znaczyło - rzuciła przez ramię. Z łatwością dotrzymywał jej kroku.

- Dla mnie znaczyło. Akt cielesny jest dla Roma świętością.

Prychnęła pogardliwie.

- A te wszystkie damy, które uwiodłeś w Londynie? Jak z nimi sypiałeś, to też była świętość?

- Błądziłem przez chwilę po nieczystych ścieżkach gadziów - oznajmił



niewinnie - ale zostałem nawrócony.

Amelia spojrzała na niego z ukosa.

- Nie chcesz tego. Nie chcesz mnie. Jedna noc nie może odmienić biegu całego życia.

- Oczywiście, że może. - Wyciągnął do niej rękę, lecz Amelia umknęła, chroniąc się za wodotryskiem otoczonym kamiennymi ławkami. Cam złapał ją jednak od tyłu i odwrócił ku sobie. - Przestań uciekać i posłuchaj. Pragnę cię. Pragnę cię nawet ze świadomością, że jeśli cię poślubię, będę miał od razu całą rodzinę, łącznie ze szwagrem o skłonnościach samobójczych i cygańskim chłopcem na posyłki, który zachowuje się jak rozdrażniony niedźwiedź.

- Merripen nie jest chłopcem na posyłki.

- Nazywaj go, jak chcesz. Przychodzi razem ze wszystkimi Hathawayami. I ja to akceptuję.

- Ale oni nie zaakceptują ciebie - oznajmiła z desperacją w głosie. - Nie ma dla ciebie miejsca w naszej rodzinie.

- Owszem, jest. U twego boku.

Oddychając ciężko, Amelia poczuła, jak jego ręka błądzi po jej ciele. Jej piersi były ukryte pod sztywnym gorsetem, ale mimo to zadrzała, czując dłoń Cama na staniku sukni.

- To będzie katastrofa. - Ciepło zebrało się w jej piersi i wylało na szyję i twarz. - Znienawidzisz mnie za to, że odebrałam ci wolność. A ja znienawidzę ciebie za to, że zabrałaś moją. Nie mogę obiecać, że będę ci posłuszna, że będę akceptować twoje decyzje i wyrzeknę się na zawsze prawa do własnej opinii...

- Przecież tak nie musi być.

- Doprawdy? Czy przysięgniesz, że nigdy nie zmusisz mnie, abym postąpiła wbrew swojej woli?

Cam przyciągnął ją ku sobie, jego palce zacisnęły się delikatnie na jej płonącym policzku. Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Nie - odrzekł w końcu. - Nie mógłbym ci tego przysiąc. Nie, gdybym był przekonany, że czynię to dla twojego dobra.

Dla Amelii to kończyło dyskusję.

- Zawsze sama decydowałam, co jest dla mnie dobre. Nie wyrzeknę się tego prawa ani dla ciebie, ani dla nikogo innego.

Cam przesunął delikatnie palcem po jej podbródku.

- Zanim jednak podejmiesz ostateczną decyzję, może powinnaś wziąć pod uwagę inne rzeczy? Chodzi o coś więcej niż tylko nas dwoje. - Amelia spróbowała się odsunąć, ale chwycił ją za biodra i przytrzymał. - Twoja rodzina ma kłopoty, kochanie.

- To dla nas nic nowego. Od zawsze mamy kłopoty. Cam uznał jej argument.

- Tyle że teraz jest już tak źle, że lepiej ci będzie nawet jako żonie

Roma, niż gdybyś miała radzić sobie sama.

Tak bardzo chciała, aby zrozumiał, że jej protesty nie mają nic wspólnego z jego cygańskimi korzeniami.

Zanim mu to jednak wytłumaczyła, Cam znów przemówił, patrząc jej prosto w oczy.

- Wyjdz za mnie, a odbuduję Ramsay House. Przemienię go w pałac. Umówimy się, że to część twojej ceny.

- Czego?

- To taka romska tradycja. Pan młody tuż przed ślubem płaci rodzinie panny młodej określoną sumę. To oznacza, że spłacę także długi Leo w Londynie...

- On wciąż jest ci winny pieniądze?

- Nie mnie. Innym wierzycielom.

- O nie. - Amelia poczuła skurcz w żołądku.

- Zadbam o ciebie i twoje siostry - kontynuował Cam z niewyczerpaną cierpliwością. - Ubrania, klejnoty, konie, książki... szkoła dla Beatrix... sezon w Londynie dla Poppy. Najlepsi lekarze dla Winnifred. Będzie mogła się leczyć w najlepszej klinice na świecie. - Umilkł na chwilę. - Nie chciałabyś zobaczyć jej znów w pełni sił?

- To nie fair - szepnęła.

- W zamian będziesz musiała tylko dać mi to, czego pragnę. - Jego dłoń powędrowała do jej nadgarstka i poszybowała wolno wzdłuż ramienia, wzbudzając w Amelii falę rozkosznego mrowienia.

- Czułabym się tak, jak gdybym zawarła pakt z samym diabłem - powiedziała, siląc się na dowcip.

- Nie, Amelio. - Jego głos był jak ciemny aksamit.

- Tylko ze mną.

- Nawet nie wiem, czego ty właściwie pragniesz. Cam pochylił ku niej głowę.

- Po ostatniej nocy trudno mi w to uwierzyć.

- Przecież mogłeś to mieć od niezliczonej ilości kobiet. Z-znacznie taniej, jeśli mogę dodać, i bez tylu kłopotów.

- Chcę tego od ciebie. Tylko od ciebie. - Zapadła krótka, niezręczna cisza. Cam się skrzywił. - Kobiety, z którymi byłem... Byłem dla nich egzotyką. Kimś innym niż ich mężowie. Pragnęły mojego towarzystwa w nocy, nie w świetle dnia. Nigdy nie byłem dla nich równorzędnym partnerem. I nigdy nie byłem potem usatysfakcjonowany. Z tobą jest inaczej.

Amelia zamknęła oczy, czując na czole jego gorące usta.

- To bardzo podłe z twojej strony, sypiać z mężatkami - wykrztusiła z trudem. - Może gdybyś spróbował uwieść jakąś przyzwoitą...

- Mieszkam w domu gry. - W jego głosie zabrzmiało subtelne rozbawienie. - Nie spotkałem dotąd wielu przyzwoitych kobiet. I, z wyjątkiem

obecnej tu damy, nigdy się z nimi nie dogadywałem.

- Czemu?

Jego usta zaczęły wędrować po jej policzku.

- Chyba denerwuje je moja obecność. Podskoczyła, gdy dotknął językiem jej ucha.

- J-ja naprawdę nie rozumiem, czemu.

Drażnił jej ucho, przygryzając delikatnie jego koniuszek.

- Przyznaję, że niełatwo być żoną Roma. Jesteśmy zaborczy. Zazdrośni. Wolimy, aby nasze żony nigdy nie dotykały innych mężczyzn. I nie miałybyś prawa wyrzucić mnie z łóża. - Przykrył wargami jej usta w rozkosznym pocałunku i zagłębił w nich język. - Ale przecież i tak byś tego nie zrobiła - dodał, odrywając się od niej. - Nie chciałybyś. - Pocałował ją jeszcze raz, długo, namiętnie i szepnął prosto w jej wargi: - Będiesz bardzo kochana, monisha.

Musiała się na nim oprzeć, aby zachować równowagę. - I tak mnie w końcu zostawisz.

- Przysięgam ci, że nigdy tego nie zrobię. W końcu odnalazłem mój atchen tan.

- Twój co?

- Moją przystań.

- Nie wiedziałam nawet, że Romowie miewają przystanie.

- Nie wszyscy. Najwyraźniej ja jestem jednym z nielicznych. - Potrząsnęła głową rozczarowana. - Plecy mnie bolą od wczorajszego spania na ziemi. Gadzio we mnie w końcu zwyciężył.

Amelia przechyliła głowę i uśmiechnęła się z drżeniem.

- To szaleństwo - mruknęła. Cam przyciągnął ją bliżej.

- Wyjdz za mnie, Amelio. Tylko ciebie pragnę. Jesteś moim przeznaczeniem. - Położył rękę na jej szyi i uniósł ozdobiony wstążkami warkocz. - Powiedz „tak”. - Skubnął lekko jej wargi zębami i rozchylił. Całował ją tak długo, aż zaczęła drżeć w jego ramionach, a jej puls przyspieszył gwałtownie. - Powiedz „tak”, Amelio i oszczędź mi konieczności sypiania z innymi kobietami. Będę spał pod dachem. Obetnę włosy. Na miłość boską, mogę nawet zacząć nosić zegarek z dewizką, jeśli tylko chcesz.

Kręciło jej się w głowie, nie potrafiła zebrać myśli. Oparła się bezradnie na jego silnym ciele. Wyszepał jej imię, które dobiegło do niej z oddali.

- Amelio... - Potrząsnął nią lekko, zapytał o coś i powtórzył pytanie, aż w końcu zrozumiała, że chce wiedzieć, kiedy ostatnio jadła.

- Wczoraj wieczorem - zdołała wykrztusić. Popatrzył na nią ze współczuciem i irytacją.

- Nic dziwnego, że byłabyś mi tu zemdląca. W ogóle nie jadłaś i prawie nie spałaś. Jak zamierzasz opiekować się rodzeństwem, skoro nie potrafisz

zadbać o siebie?

Zaprotestowałyby, ale nie dał jej dojść do słowa. Objął ją ramieniem w talii i poprowadził w stronę domu, besztając całą drogę. Potrzebowała wszystkich sił, aby wejść po kilku schodkach na taras.

Natknęli się tam na lady Westcliff, która spojrzała na Amelię z troską.

- Wyglądasz, jakbyś miała zamiar zwrócić wszystkie placuszki - oznajmiła bez ogródek. - Co się stało?

- Oświadczyłem się jej - odparł Cam krótko. Lilian uniosła brwi.

- Nic mi nie jest - powiedziała Amelia. - Jestem tylko troszkę głodna.

Pani domu towarzyszyła im do stołu, przy który siedziały siostry Hathaway.

- Przyjęła oświadczyny? - zapytała Cama.

- Jeszcze nie.

- Cóż, to mnie wcale nie dziwi. Kobieta nie może rozważać propozycji małżeństwa z pustym żołądkiem. - Spojrzała na Amelię z troską. - Jesteś bardzo błada, moja droga. Może odprowadzić cię do pokoju, żebyś mogła się położyć?

Amelia pokręciła głową.

- Dziękuję, nie ma takiej potrzeby. Przepraszam za tę scenę.

- Och, to żadna scena. Możesz mi wierzyć, to nic w porównaniu z tym, co tu się zazwyczaj wyprawia. - Lilian uśmiechnęła się do niej z otuchą. - Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, moja droga, wystarczy poprosić.

Cam zaprowadził Amelię do sióstr. Z ulgą opadła na krzesło, przed półmiskiem pełnym wędlin, kurczaka, sałatek i chleba. Ku jej zdumieniu Cam zajął miejsce obok, ukroił kawałek czegoś i nadział to na widelec.

Uniósł kąsek do jej ust.

- Zaczynj od tego. Amelia się nachmurzyła.

- Naprawdę potrafię sama się nak...

Wsunął jej widelec do ust. Popatrzyła na Cama wrogo, przeżuując jedzenie. Gdy w końcu je przełknęła, zdołała powiedzieć tylko:

- Oddaj mi to... - A wtedy znów włożył jej widelec do ust.

- Jeśli tak zamierzasz o siebie dbać - stwierdził Cam - to wyraźnie widać, że ktoś będzie musiał się tobą zająć.

Amelia wzięła z półmiska kromkę chleba i wgrzyła się w nią z gniewem. Marzyła, aby móc uświadomić Camowi, że to przez niego tak krótko spała i przegapiła śniadanie, ale nie mogła tego powiedzieć w obecności sióstr. Jadła więc, czując, że na policzki powracają jej kolory.

Obok niej cały czas toczyła się rozmowa. Jej siostry wypytywały Cama o stan Ramsay House i to, co z niego zostało. Informację o tym, że pokój pszczoł pozostał nietknięty, a rój nadal tam jest, przywitał głośny jęk zawodu.

- Zapewne już nigdy nie pozbedziemy się tych przeklętych pszczoł! - zawołała Beatrix.

- Pozbędziemy się na pewno - odparł Cam. Nakrył dłonią rękę Amelii, która spoczywała na stole. Kciukiem odnalazł delikatne, błękitne żyłki po wewnętrznej stronie nadgarstka i zaczął uspokajać mięśniami jej oszalały puls. - Dopilnuję tego osobiście.

Amelia nawet na niego nie spojrzała. Drugą ręką podniosła do ust filiżankę z herbatą i upiła ostrożnie łyk.

- Panie Rohan - zapytała Beatrix - czy ożeni się pan z moją siostrą?

Amelia zakrztusiła się herbatą i odstawiła filiżankę na spodek. Zaczęła prychać i kasłać w serwetkę.

- Cicho, Beatrix - mruknęła Win.

- Ale ona nosi jego pierścionek... Poppy przykryła usta siostry dłonią.

- Cicho!

- Chętnie - odparł Cam. W jego oczach błysnęły psotne ogniki. - Co prawda nieco brakuje jej poczucia humoru. I nie wydaje się zbyt posłuszna. Ale z drugiej strony...

Oszklone drzwi otworzyły się z trzaskiem, któremu towarzyszył brzęk tłuczonej szyby. Wszyscy zgromadzeni na tarasie w zdumieniu poderwali głowy, a Cam podniósł się z krzesła.

- O nie - jęknęła cicho Win.

Na progu stał Merripen, który ostatkiem sił zwlókł się z łóżka. Miał na sobie bandażę i chwiał się na nogach, ale wcale nie wyglądał na bezbronny. Przypominał raczej rozszalałego byka, gdy parł naprzód z pochyloną nisko ciemną głową i dłońmi zaciśniętymi w ogromne pięści. A jego wzrok, w którym można było wyczytać żądę mordu, powędrował prosto do Cama.

Nie było wątpliwości, że zaraz rozleje jego krew, aby pomścić hańbę jednej ze swych podopiecznych.

- O Boże - jęknęła Amelia. Cam spojrzał na nią pytająco.

- Mówiłaś mu coś?

Amelia zaczerwieniła się, gdy przypomniała sobie poplamioną krwią koszulę nocną i wyraz twarzy pokojówki.

- Pewnie słyszał plotki w służbówce.

Cam spojrzał z rezygnacją na rozwścieczonego olbrzyma.

- Może będziesz mieć szczęście - powiedział Amelii. - Wygląda na to, że nasze zaręczyny zakończą się przedwcześnie.

Uniosła się nieco, ale Cam zmusił ją, by z powrotem usiadła na krześle.

- Nie mieszaj się do tego. Nie chcę, żeby przypadkiem stała ci się krzywda.

- On mnie nie skrzywdzi - oznajmiła szorstko. - To ciebie chce zamordować.

Nie odrywając wzroku od Merripena, Cam powoli odsunął się od stołu.

- Chcesz o czymś ze mną porozmawiać, chał? - zapytał z godnym podziwu opanowaniem.

Merripen odpowiedział w romani. Cam nie wszystko zrozumiał, ale większość nie była zachęcająca.

- Zamierzam się z nią ożenić - odparł, aby uspokoić przeciwnika.

- To jeszcze gorzej! - Merripen podszedł bliżej. Z jego oczu biła żądza mordu.

Lord St. Vincent przerwał im gładko, stając pomiędzy nimi. Tak jak Cam, miał doświadczenie w godzeniu bójek w klubie. Podniósł dłonie w uspokajającym geście.

- Spokojnie, olbrzymie. Jestem pewien, że znajdziemy sposób, aby rozwiązać wasz problem cywilizowaną drogą.

- Zejdź mi z oczu - warknął Merripen, kładąc kres cywilizowanej konwersacji.

Uprzejme oblicze St. Vincenta nawet nie drgnęło.

- Cóż, ma pan rację. Nie ma nic bardziej nużącego niż zdrowy rozsądek. Ja sam unikam go, kiedy tylko mogę. Obawiam się jednak, że nie możecie urządzić burdy w obecności dam. Nie wiadomo, co by sobie pomyślały.

Płonący wzrok Merripena powędrował w kierunku sióstr Hathaway, zatrzymując się na dłużej na bladej, delikatnej Win, która lekko pokręciła głową, milcząco prosząc go, aby ustąpił. Aby się zastanowił.

- Merripen - odezwała się Amelia szorstko. Cała ta scena była żenująca. A jednak wzruszyło ją to, że Merripen tak dba o jej honor.

Cam uciszył ją, kładąc dłoń na jej ramieniu. Rzucił na Merripena chłodne spojrzenie.

- Nie przy gadziach - powiedział, kiwając głową w kierunku ogrodów na tyłach i ruszył w stronę kamiennych schodków.

Po chwili wahania Merripen podążył za nim.

## Rozdział 17

**M**oże powinniśmy za nimi pójść, żeby się nie pozabijali? - zwrócił się lord Westcliff do St. Vincenta, gdy obaj przeciwnicy zniknęli z zasięgu wzroku siedzących na tarasie.

St. Vincent machnął ręką i rozsiadł się wygodnie na krześle. Ujął dłoń swojej Evie i zaczął się bawić palcami żony.

- Rohan da sobie doskonale radę, możesz mi wierzyć. Jego przeciwnik jest może nieco roślejszy, ale Rohan dorastał w Londynie i obracał się wśród kryminalistów i gwałtownych brutali. - Uśmiechnął się do żony. - Mam na myśli oczywiście naszych ludzi.

Amelia w ogóle nie obawiała się o bezpieczeństwo Gama. Bójka pomiędzy nimi dwoma będzie wyglądała jak pojedynek na pałkę i rapier... w której rapier, pełen gracji i sprytu, zapewne zwycięży. Ale taki rezultat także niósł ze sobą komplikacje. Wszystkie siostry Hathaway uwielbiały Merripena. Dziewczęta nieprędko zapomniałyby i wybaczyły komuś, kto by go skrzywdził. Zwłaszcza Win.

Amelia spojrzała na siostrę, chcąc powiedzieć jej coś na pocieszenie i nagle dostrzegła ze zdumieniem, że na twarzy Win nie ma ani śladu strachu czy bezradności.

Win była porządnie zirytowana.

- Merripen jest ranny - oznajmiła, patrząc na nią z wyrzutem. - Powinien leżeć, a nie uganiać się za panem Rohanem.

- To nie moja wina, że wstał z łóżka! - zaprotestowała Amelia oburzonym szeptem.

Win zmrużyła błękitne oczy.

- Zrobiłaś coś, co wywołało ogólne poruszenie. I całkiem jasne jest, że cokolwiek robiłaś, pan Rohan był w to zaangażowany.

- Intymnie zaangażowany - dodała Poppy, która dotychczas gorliwie przysłuchiwała się ich rozmowie.

- Bądź cicho, Poppy - poleciły zgodnie obie siostry, spoglądając na nią surowo.

Poppy zmarszczyła brwi.

- Całe życie czekałam, żeby Amelia zeszła z drogi cnoty. Teraz, gdy to się stało, mam zamiar się tym rozkoszować.

- Ja też bym się rozkoszowała - oświadczyła żałośnie Beatrix - gdybym tylko wiedziała, o czym wy w ogóle mówicie.

Cam prowadził ich obu wzdłuż cisowego żywopłotu, coraz dalej od

posiadłości, aż dotarli na podmokłą ścieżkę, która niknęła w lesie. Zatrzymali się przy gąszczu dziurawców, których żółte kwiatki były w pełnym rozkwicie, i turzycy najeżonej młodymi pędami. Zwodniczo spokojny Cam skrzyżował ramiona na piersi. Intrygował go ten ogromny, pełen gniewu chał, Rom, stąpający po ziemi w aurze samotnika. Tajemniczy Merripen nie przyznawał się do wspólnoty z żadnym plemieniem, a zamiast tego wybrał życie opiekuna rodziny gadziów. Dlaczego? Co takiego im zawdzięczał?

Może był mahíme, naznaczonym przez Cyganów piętnem niegodnego zaufania? Wyrzutkiem. Jeśli tak, to co takiego uczynił, aby zasłużyć na taką karę?

- Wykorzystałeś Amelię - powiedział Merripen.

- Nie żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie - odparł Cam w romani - ale jak się dowiedziałeś?

Ogromne dłonie Merripena zacisnęły się, jakby nie mógł się już doczekać, kiedy będzie mógł rozerwać Cama na strzępy. Sam Lucyfer nie mógłby mieć czarniejszych, bardziej płonących oczu.

- Mów po angielsku - rzucił ochryple. - Nie lubię starego języka.

Marszcząc brwi z ciekawości, Cam powtórzył pytanie.

- Pokojówki o tym rozmawiały - padła odpowiedź. - Słyszałem je, gdy stały przed moimi drzwiami. Zhańbiłeś kobietę z mojej rodziny!

- Tak, wiem - rzekł Cam cicho.

- Nie jesteś dla niej wystarczająco dobry.

- To także wiem. - Cam spojrzał na przeciwnika w skupieniu. - Chcesz jej dla siebie, chał?

Merripen skrzywił się, jakby go spotkała śmiertelna obraza.

- Ona jest dla mnie siostrą.

- To dobrze. Bo ja chcę, żeby została moją żoną. A z tego, co wiem - wykonał ręką szeroki gest - do Hathawayów nie ustawiają się kolejki, aby im pomóc. Może więc ja im pomogę.

- Oni nie potrzebują twoich pieniędzy. Ramsay ma roczny dochód.

- Ramsay długo nie pożyje, obaj to wiemy. A gdy już spocznie w grobie, tytuł przejdzie na kolejnego biedaka, a cztery niezamężne siostry Hathaway zostaną same, bez żadnych praktycznych umiejętności. I co się wtedy z nimi stanie? Z tą inwalidką? Jej potrzebna jest pomoc lekarzy...

- Ona nie jest inwalidką! - Merripen starał się zachować obojętną minę, ale tuż przedtem Cam dostrzegł na jego twarzy burzę emocji, coś dzikiego i pełnego udreki.

Najwyraźniej, pomyślał, nie wszystkie Hathawayówny są dla tego olbrzyma jak siostry. Może to był klucz. Może Merripen pielęgnował w sercu namiętne uczucie do kobiety, która była zbyt niewinna, aby je dostrzec, i zbyt krucha, aby mógł ją kiedykolwiek poślubić.

- Merripen, będziesz musiał zacząć mnie tolerować. Są rzeczy, które



mogę zrobić dla Amelii i pozostałych, a których ty zrobić nie możesz - kontynuował wyważonym tonem, mimo że wyraz twarzy Merripena przestraszyłby każdego. - i nie mam przy tym cierpliwości, aby walczyć z tobą na każdym kroku. Jeśli chcesz dla nich tego, co najlepsze, odejdz albo się pogódź z tym, że jestem. Bo ja, tak czy inaczej, nigdzie się nie wybieram.

Cam dosłownie widział, jak zwałisty chał bił się z myślami, ze wszystkich sił pragnąc powalić na ziemię wroga, lecz rozumiejąc także, że powinien zdecydować się na to, co będzie dobre dla całej rodziny.

- Poza tym - dodał Cam - jeśli Amelia mnie nie poślubi, powróci tamten gadzio. A wiesz, że ze mną będzie jej lepiej niż z nim.

Merripen zmrużył powieki.

- Frost złamał jej serce. Ty odebrałeś jej niewinność. Co czyni cię lepszym?

- Ja nigdy jej nie opuszczę. W przeciwieństwie do gadziów, Romowie dochowują wierności swoim kobietom. - Urwał na chwilę i odczekał pięć sekund, zanim dodał z rozmysłem: - Wiesz to prawdopodobnie znacznie lepiej niż ja.

Merripen utkwiał rozszalały wzrok w odległym punkcie.

- Jeśli ją skrzywdzisz w jakikolwiek sposób... - oznajmił w końcu - zabiję cię.

- To uczciwe.

- Mogę cię zabić w każdej chwili. Cam uśmiechnął się lekko.

- Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, od ilu osób już to słyszałem.

- Nie - odparł Merripen. - Wcale bym się nie zdziwił.

Amelia przystanąła zdenerwowana przed drzwiami pokoju Cama. Ze środka dobiegały odgłosy kroków, rozsuwano i zaciągano zasłony, przesuwano coś po podłodze. Uświadomiła sobie, że Cam czyni zapewne przygotowania do swojej podróży do Londynu.

Mieszkańcy i goście Stony Cross Manor dyskretnie opuścili taras, zanim konfrontacja pomiędzy oboma Romami się zakończyła. Amelia właśnie przed chwilą wpadła na korytarzu na Merripena, który wracał do swojego pokoju. Gdy ją zobaczył, nachmurzył się jeszcze bardziej niż zazwyczaj. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, przeprosić, choć nie była pewna, za co, ale nie dopuścił jej do głosu.

- Twój wybór - mruknął. - Ale dotyka on nas wszystkich. Nie zapominaj o tym. - Zamknął za sobą drzwi, zanim zdążyła zareagować.

Rozejrzała się uważnie po korytarzu, aby się upewnić, że nikt jej nie widzi, po czym zastukała lekko do drzwi i weszła do środka.

Cam upychał właśnie stos starannie złożonych ubrań w małym kufrze podróżnym, ustawionym w nogach łóżka. Gdy podniósł głowę, ze środka wylała się powódź czarnego jedwabiu. Cam był tak pełen życia, tak czarujący i przystojny. Jego skóra lśniła jak wypolerowany palisander.

Amelii z trudem przeszedł głos przez ściśnięte gardło.

- Bałam się, że Merripen rozerwie cię na strzępy. Cam podszedł do niej z uśmiechem.

- Jak widać, wciąż jestem cały.

Gdy przesunęła wzrokiem po jego szczupłej, zgrabnej sylwetce, poczuła uderzenie gorąca. Odwróciła głowę i zaczęła wyrzucać z siebie słowa:

- Rozważyłam to, co mi wcześniej powiedziałeś. I podjęłam decyzję. Najpierw jednak chciałabym ci wyjaśnić, że nie ma ona nic wspólnego z twoimi osobistymi przymiotami, które są doprawdy imponujące. Chodzi o to, że...

- Moimi osobistymi przymiotami?

- Tak. Twoją inteligencją. Atrakcyjnością. -Och.

Zastanawiając się, dlaczego jego głos brzmi tak dziwnie, Amelia spojrzała na niego pytająco. W bursztynowych oczach Cama czał się śmiech. Co tak zabawnego powiedziała?

- Czy ty w ogóle mnie słuchasz?

- Wierz mi, gdy omawiane są moje osobiste przymioty, cały zamieniam się w słuch. Kontynuuj.

Zmarszczyła brwi.

- Panie Rohan, choć pana propozycja jest dla mnie wielkim zaszczytem, w obecnej sytuacji, która jest, jaka jest...

- Przejdźmy do rzeczy, Amelio. - Zaciśnął dłonie na jej ramionach. - Wyjdziesz za mnie?

- Nie mogę - powiedziała słabo. - Po prostu nie mogę. Nie pasujemy do siebie. To oczywiste, że bardzo się od siebie różnimy. Ty jesteś porywczy. Podejmujesz ważne decyzje w mgnieniu oka. Ja wybieram drogę i staram się z niej nie zbaczać.

- Zboczyłaś zeszłej nocy. I zobacz, jak dobrze na tym wyszłaś. - Roześmiał się, gdy zobaczył jej minę. - Nie jestem porywczy, kochanie. Po prostu wiem, kiedy coś jest zbyt ważne, aby o tym decydować, podpierając się logiką.

- A małżeństwo właśnie takie jest?

- Oczywiście. - Położył rękę na jej bijącym gwałtownie sercu. - Tę decyzję musisz podjąć tutaj.

Poczuła ucisk w miejscu, które rozgrzała jego dłoń.

- Znam cię zaledwie kilka dni. Nadal jesteśmy sobie obcy. Nie mogę powierzyć swojej przyszłości, przyszłości całej rodziny, mężczyźnie, którego nie znam.

- Małżeństwem można być i pięćdziesiąt lat, i wcale się nie znać. Poza tym wiesz już o mnie najważniejsze rzeczy.

Amelia przez cały czas słyszała irytujący, dudniący dźwięk i z początku myślała, że to dzikie łomotanie jej serca. Gdy jednak noga Cama wdarła się

delikatnie pomiędzy fałdy jej pożyczonej sukni i dotknęła jej nogi, zrozumiała, że znów stuka w podłogę tą piekielną stopą. Opanowała się z wielkim wysiłkiem.

Cam wziął ją za rękę i uniósł dłoń do ust. Przesunął delikatnie wargami po śladzie otarcia, który powstał, gdy próbowała zsunąć z palca jego pierścionek.

- Utknął - zaczęła zrzędzić. - Jest za mały.
- Nie jest za mały. Rozluźnij palce, to sam zejdzie.
- Mam rozluźnione palce.

- Kobiety! - westchnął Cam. - Wszystkie jesteście sztywne jak drzewa amarantu. To pewnie przez te gorsety. - Pochylił się i odnalazł jej wargi. Całował ją powoli, kusząc, aby dla niego rozchyliła usta i polując na nieśmiały czubek jej języka. Amelia drgnęła skonsternowana, gdy uświadomiła sobie, że rozpiął od tyłu jej suknię. Stanik opadał swobodnie, ukazując skromnie okryte koszulą piersi.

- Cam... nie...

- Cicho. - Gorąca, ekscytująca fala jego oddechu wypełniła jej usta. - Pomagam ci zdjąć pierścionek. Przecież tego właśnie chcesz, prawda?

- Zdejmowanie pierścionka nie ma nic wspólnego z rozwiązywaniem tasiemek mojego... Och, nie... - Gorset zsunął się, ukazując krągłe kobiece kształty. - To wcale nie pomaga. - Niezdarnie, jak gdyby poruszała się pod wodą, próbowała osłonić się suknią.

- Mnie pomaga. - Ręka Cama wślizgnęła się pod jej halkę. Amelia zaczęła się wrywać, aby ocalić resztki skromności i przez to jej suknia jeszcze szybciej opadła na podłogę.

- Muszę cię zobaczyć w świetle dnia. - Jego usta przesunęły się po jej szyi i ramionach. - Monisha, jesteś najpiękniejsza, naj... - Jego ręce pieściły ją z rosnącą niecierpliwością i gwałtownością, która sprawiła, że kilka szwów halki pękło.

- Nie rób tego, te rzeczy nie należą do mnie - ostrzegła go z obawą Amelia, uznając, że lepiej będzie po prostu zsunąć pożyczone halki, niż pozwolić, aby Cam je podarł. Zamarła, słysząc odgłos kroków na korytarzu. Ktoś przeszedł obok drzwi, nie zatrzymując się przy nich. Zapewne służba. A jeśli ktoś ją widział, jak wchodziła do sypialni Cama? A jeśli ktoś właśnie teraz jej szuka?

- Cam, proszę cię, nie teraz.

- Będę bardzo ostrożny. - Uniósł ją z rozrzuconych ubrań. - Wiem, że to za szybko po twoim pierwszym razie.

Protestowała, gdy niósł ją do łóżka. Ścisnęła stanowczo w dłoniach koszulę, aby nie mógł jej ściągnąć, i szepnęła:

- Nie, nie o to chodzi. Ktoś się dowie. Usłyszysz. Ktoś...

- Puść, koliberku, żebym mógł to z ciebie zdjąć. - W jego oczach

błysnął diabelski ogień. - Puść albo ją rozerwę.

- Cam, nie...

Przerwał jej trzask rozdieranego jedwabiu. Całkiem pociągnął za przód jej koszuli, a delikatny materiał dosłownie pękł na dwie części.

- Zniszczyłeś ją - jęknęła z niedowierzaniem Amelia.

- Jak ja to teraz wytłumaczę pokojówce? Jak mam na powrót włożyć gorset?

W ogóle nie było widać po nim skruchy, gdy zdjął z niej resztki koszulki.

- Zdejmij pantalone. Albo je też będę musiał z ciebie zderzeć.

- O Boże. - Widząc, że nie da rady go powstrzymać, Amelia zsunęła je z bioder. - Zamknij drzwi - szepnęła ze szkarłatnym rumieńcem na twarzy. - Proszę, proszę, zamknij je.

Cam uśmiechnął się lekko. Wstał z łóżka i podszedł do drzwi, zrzucając po drodze kamizelkę i koszulę. Przekręcił klucz w zamku i przez chwilę stał w miejscu, rozkoszując się widokiem Amelii, kryjącej się pod prześcieradłami.

Stał przed nią półnago, z bryczesami zsuniętymi nisko na biodra. Z trudem oderwała wzrok od jego gładkiego umięśnionego torsu i zadrżała pod zimną pościelą.

- Stawiasz mnie w okropnym położeniu.

Cam skończył się rozbierać i wsunął się obok niej.

- Wiem, jak powinnaś się położyć, żeby było znacznie lepiej.

Przyciągnął ją do swego krzepkiego ciała i natychmiast zaczęła się rozgrzewać. Przesunął po niej rękami, odkrywając przy tym, że wciąż miała na sobie podwiązki i jedwabne pończochy. Zachłysnęła się ze zdumienia, gdy swobodnie zanurkował pod prześcieradło.

Starła się utrzymać pozycję siedzącą, ale poddała się z jękiem, gdy poczuła jego usta na delikatnej wewnętrznej stronie uda. Cam rozpiął jej podwiązki, pozwalając im opaść, a potem zaczął zsuwać jej pończochy z nóg z morderczą powolnością, pieszcząc wargami obnażone miejsca. Jego język zawędrował w zagłębienie za kolaniem... prześliznął się nad napiętymi mięśniami łydki... i delikatną okolicą kostki. Wreszcie ściągnął błyszczący jedwab z podkurczonych palców. Amelia z całej siły powstrzymywała się przed krzykiem, gdy poczuła na nich jego gorące, wilgotne usta. Ssał je i lizał jeden po drugim, gdy jej stopa szarpała się niecierpliwie w odpowiedzi na pieszczotę.

Zanim zsunął drugą pończochę, Amelia płonęła. Odrzuciła pościel, aby ochłodzić rozgrzaną skórę. Jej piersi napreżyły się w chłodnym powietrzu. Cam szeroko rozłożył uda Amelii i oparł sobie jej nogi na ramionach. Pocałował ją czule, pieszcząc językiem, aż stała się gorąca i napięta. Zbyt wiele... nie dosyć... Amelia wyprężyła się pod tą delikatną, smagającą torturą.

Położył dłoń na jej brzuchu i zaczął zataczać palcami kojące kółka.

- Leż spokojnie, kochanie.

- N-nie mogę. Pospiesz się!

Cam roześmiał się miękko, przesuwając rozchyłonymi wargami po jej najwrażliwszym miejscu. Obrysował kontur językiem, sprawił, że zwilgotniała, i dmuchnął w mokre loczki.

- Byłoby lepiej dla ciebie, gdybym się nie spieszył.

- Wcale nie.

- Bo ty tak dużo o tym wiesz. To twój drugi raz. Zakwilila cicho, gdy znów dotknął jej językiem.

- Dłużej tego nie zniosę.

Zanurzał język w jej wnętrzu raz za razem, aż zaczęła jęczeć i drzeć. Przesunął się nieco i ułożył wygodnie między jej udami, a potem wszedł w nią jednym płynnym ruchem. Amelia zachłysnęła się ze zdumienia, gdy ją wypełnił i zaczął na nią napierać, aż jęknęła i zatopiła paznokcie w jego ramionach.

Zatrzymał się i spojrzał w jej rozszerzone oczy - jaśniały złotem, kontrastującym z mrocznymi głębinami źrenic.

-Amelio, kochanie... - Jego pocałunek miał słony, intymny smak. - Czy jesteś w stanie przyjąć mnie głębiej?

Z całych sił starała się przebić myślami przez mgłę przyjemności. Gwałtownie pokręciła głową.

Kąciki jego ust uniosły się w uśmiechu.

- A ja myślę, że tak.

Jego zwinne palce powędrowały do miejsca, w którym ich ciała się łączyły. Zagłębiał się w niej miarowo, zdumiewająco łagodnie, wręcz delikatnie, muskając ją w rytm pchnięć. Z trudem łapiąc powietrze, wygięła się w łuk, aby przyjąć go w siebie jeszcze głębiej i głębiej.

Przy każdym ruchu jego ciało ocierało się o jej ciało w idealnej harmonii. Zaczęła unosić się coraz chętniej, nie mogąc się doczekać kolejnego pchnięcia, domagając się go, a kolejne doznania narastały w niej, aż w końcu skumulowały się w oślepiającej fali rozkoszy... i jeszcze jednej... i kolejnej... Poczula, że Cam się wycofuje i jęknęła, zaciskając mu nogi na biodrach.

- Amelio - jęknął - nie, pozwól mi... Ja muszę... - Drżąc, opadł na nią bezradnie, gdy zacisnęła się na nim gwałtownie po raz ostatni.

Wciąż z nią połączony, przetoczył się na bok i mruknął pod nosem coś w romani. Amelia nie zrozumiała ani słowa, ale zabrzmiało to jak komplement. Obezwładniona przyjemnością i zmęczeniem, oparła głowę na jego twardym ramieniu i spróbowała wyrównać oddech, czując jeszcze od czasu do czasu w głębi ciała jego drgnienia i pulsowanie.

Cam sięgnął po jej lewą dłoń, chwycił w palce sygnet, zsunął go bez trudu i podał Amelii.

- Proszę. Choć wolałbym, abyś go nie zdejmowała. Nie mogła

uwierzyć własnym oczom. Przyjrzała się swojej dłoni, a potem pierścionkowi i z wahaniem włożyła go na ten sam palec. Przesunął się przez kłykcie i z powrotem bez trudu.

- Jak to zrobiłeś?

- Pomogłem ci się rozluźnić. - Pieszczotliwie przesunął dłonią po jej plecach. - Włóż go, Amelio.

- Nie mogę. To by oznaczało, że przyjąłem twoje oświadczenia, a nie zrobię tego.

Przeciągając się jak kot, Cam przewrócił ją na plecy i oparł się nad nią na łokciach. Amelia odetchnęła płytko, gdy poczuła w sobie jego twardą męskość.

- Nie możesz oddać mi się dwa razy i odmówić mi swojej ręki. - Pochylił się i pocałował ją w ucho. - Moja reputacja legnie w gruzach. - Powoli wędrował językiem do wrażliwego miejsca tuż za uchem. - Będę się czuł taki tani.

Pomimo powagi sytuacji Amelia nie zdołała powstrzymać się od uśmiechu.

- Odmawiając, oddaję ci wielką przysługę. Pewnego dnia mi za to podziękujesz.

- Podziękuję ci nawet teraz, jeśli tylko włożysz z powrotem mój pierścionek.

Pokręciła głową.

Cam zatopił się w niej nieco głębiej, sprawiając, że znów jęknęła.

- A moje osobiste przymioty? Kto się o nie zatroszczy?

- Sam możesz - przechyliła się nieco na bok, aby odłożyć pierścionek na stolik - się o nie zatroszczyć.

Posłusznie przesunął się razem z nią.

- Z tobą jest to znacznie bardziej satysfakcjonujące. Gdy sięgnął po pierścionek, jego członek wsunął się w nią jeszcze głębiej. Amelia zastygła zaskoczona. Stwardniał w niej i nabrzmiał, jego pożądanie znów przybrało na sile.

- Cam - zaprotestowała, spoglądając na zamknięte drzwi. Chwyciła go za nadgarstek, nie chcąc, by zabrał pierścionek. Cam mocował się z nią żartobliwie.

Był już znowu pobudzony i teraz drażnił się z nią powolnymi pchnięciami. Gdy zaczął całować jej piersi, Amelia dotknęła jego ciemnych włosów.

-Ale... przecież dopiero co skończyliśmy...

Cam podniósł głowę.

- My, Cyganie... - mruknął, jakby miało to jej cokolwiek wyjaśnić, i ułożył się na niej ostrożnie.

Jeśli w jego tonie czaił się choć cień skruchy, to na pewno nie było go w gwałtownym rytmie jego pchnięć, w namiętych pieszczotach, które

podniecały ją i kołysy jednocześnie. Wkrótce jej protesty rozplynęły się w westchnieniach i jękach.

Amelia owinęła wokół niego ramiona i nogi, próbując uwięzić w sobie jak najwięcej jego twardego, męskiego ciała, gdy narzucone przez niego miarowe tempo przywiodło ją na skraj rozkoszy. Cam wycofał się jednak, zanim zdołała osiągnąć spełnienie, i przewrócił ją na brzuch. Przez jedną straszną chwilę myślała, że to koniec. On jednak przykrył ją swoim ciałem i kolanami rozchylił jej uda. Mruczał do niej słowa angielskie i romskie, a ona rozumiała tylko zapewnienie, że jej nie skrzywdzi i że tak będzie jej łatwiej. Gdy szeptem wyraziła zgodę, wszedł w nią niewyobrażalnie głęboko, podtrzymując rękami jej biodra, gdy uniosła je instynktownie.

Głowa jej opadła, materac tłumił jej gwałtowne jęki. Jego dłoń przesunęła się do środka i odnalazła najwrażliwsze miejsce. Rozkosz wstrząsała nią falami, z których każda była silniejsza i wyższa od poprzedniej, aż w końcu wyrzuciła ją na brzeg rozedrganą i pozbawioną tchu. Cam wycofał się nagle, pozostawiając uczucie nieprzyjemnej pustki i ukrył twarz w poduszce, jęcząc głośno w ostatnim paroksyzmie spełnienia. Oszołomiona i zdeorientowana Amelia leżała w bezruchu, z uniesionymi biodrami. Jej ciało pulsowało, boleśnie domagając się powrotu kochanka. Cam położył dłoń na jej pośladkach i zaczął je głaskać kolistymi ruchami, aż w końcu popchnął ją lekko, aby opadła na materac.

- Zechcesz mnie - szepnął. - Zechcesz mnie, koliberku. Jestem twoim przeznaczeniem, nawet jeśli na razie nie chcesz tego zrozumieć.

## Rozdział 18

Po wyjeździe Cama przygnębiona Amelia wybrała się na spacer po wielkiej posiadłości. W domu panowała cisza, wszyscy rozeszli się do swoich pokojów na popołudniową drzemkę. Czyniono przygotowania do wyjazdu Westcliffów oraz lorda i lady St. Vincent do Bristolu następnego ranka. Mieli zabawiać w domu siostry Lilian Daisy i jej męża, Matthew Swifta, około dwóch tygodni, które dzieliły Daisy od rozwiązania.

Lilian nie mogła się już doczekać spotkania z młodszą siostrą, z którą była bardzo związana.

- Zniosła swój stan doskonale - oznajmiła Amelii z oczywistą dumą. - Daisy jest zdrowa jak koń. Ale bardzo drobna, a jej mąż jest postawny - dodała ponuro. - Co oznacza, że jego potomstwo również będzie duże.

- Nie możesz winić Matthew za to, że jest wysoki - stwierdził lakonicznie lord Westcliff, który siedział obok żony.

- Nie powiedziałam, że to jego wina.

- Ale tak pomyślałaś - mruknął, gdy hrabina podniosła poduszkę, ewidentnie zamierzając nią cisnąć w małżonka.

Pozory sporu zostały jednak zdemaskowane, gdy czule się do siebie uśmiechnęli.

Lilian odwróciła się do Amelii.

- Poradzicie sobie tutaj pod naszą nieobecność? Z przykrością myślę o wyjeździe, gdy tyle spraw jest niezłatwionych, a pan Merripen źle się czuje.

- Spodziewam się, że stan Merripena szybko się polepszy - odparła Amelia z przekonaniem. Merripen przecież nigdy nie chorował. - Ma bardzo silny organizm.

- Poleciałem lekarzowi, aby odwiedzał was codziennie - oznajmił lord Westcliff. - Jeśli pojawią się jakiegokolwiek kłopoty, pošlijcie umyślnego do Bristolu. To niedaleko, przyjadę natychmiast.

Dzięki Bogu, że mieli w tym wszystkim za sąsiadów Lilian i Westcliffa.

Amelia spacerowała po galerii, przesuwając wzrokiem po obrazach i rzeźbach. Nagle doświadczyła uczucia straszliwej pustki. Nie wiedziała, jak ma ją opanować. To nie był głód, strach ani gniew, nie wyczerpanie czy lęk.

To była samotność.

Nonsens, zbeształa się w duchu, podchodząc do jednego z okien wychodzących na boczny ogród. Zaczęło padać, zimne, wilgotne krople opadały na ziemię i zbierały się w błotniste strumienie, płynące w stronę urwiska i rzeki. Nie powinna czuć się samotna. Przecież nie minęło nawet pół



dnia, odkąd on wyjechał. I nie ma powodu, dla którego miałyby tak się czuć, skoro cała jej rodzina była tutaj.

Po raz pierwszy w życiu odczuwała ten rodzaj samotności, której nie mogła ukoić obecność kogokolwiek.

Westchnęła i przycisnęła nos do zimnej szyby, która w tym momencie zadrżała od nagłego grzmotu.

Z drugiej strony galerii rozległ się głos brata.

- Mama powtarzała zawsze, że spłaszysz sobie od tego nos.

Amelia odsunęła się i uśmiechnęła do niego.

- Mówiła tak, bo nie chciała mieć smug na oknach.

Leo miał ściągniętą twarz i zapadnięte oczy. Jego bladość była porażająca w kontraście z miodową cerą Cama. Brat miał na sobie pożyczone ubranie, tak szlachetne i doskonale skrojone, że musiało należeć do lorda St. Vincent. Wytworny St. Vincent nosił je jednak z gracją, a na wyдутym brzuchu i spuchniętym karku Leo opinało się niewygodnie.

- Mam nadzieję, że czujesz się lepiej, niż wyglądasz - powiedziała Amelia.

- Poczuję się lepiej, kiedy zjem jakiś przyzwoity posiłek. Pytałem służbę już trzy razy o wino i inne trunki, ale wszyscy wydają się tak cholernie roztargnieni.

Amelia zmarszczyła brwi.

- Chyba jeszcze za wcześnie na alkohol. Nawet dla ciebie, Leo.

Wyjął z kieszonki zegarek i wykrzywił się do niego.

- W Bombaju jest ósma. Jako prawdziwy obywatel świata mogę się napić w geście przyjaźni.

Normalnie zareagowałaby na jego uwagę milczeniem lub irytacją. Tym razem jednak, patrząc na brata, który wydawał się tak zagubiony i nieszczęśliwy pod kruchą fasadą obojętności, Amelia poczuła wielką litość. Podeszła do niego, objęła go mocno i przytuliła. Zastanawiała się, jak go ocalić.

Zdumiony tym serdecznym odruchem Leo znieruchomiał. Nie oddał uścisku, ale się nie odsunął. Uniósł dłonie i uwolnił się od niej.

- Wiedziałem, że będziesz dzisiaj w płacziwym nastroju - stwierdził.

- Tak, cóż... natknięcie się na prawie upieczonego brata w salonie może mieć taki wpływ na kobietę.

- Jestem tylko troszkę poparzony. - Spojrzał na nią swoimi dziwnymi, jasnymi oczami, zupełnie niepodobnymi do oczu, które znała przez całe życie.

- I nie tak odmieniony jak ty.

Amelia od razu zrozumiała, do czego prowadzi ta rozmowa. Z rezerwą odwróciła głowę, udając, że przygląda się wzgórzom i chmurom nad srebrzystym jeziorem.

- Odmieniona? Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Chodzi mi o tę grę w chowanego, którą prowadzisz z Rohanem.

- Kto ci powiedział? Służba?

- Merripen.

- Nie wierzę, że ośmielił się...

- Po raz pierwszy życiu ja i on zgodziliśmy się co do czegoś. Gdy tylko Merripen wydobrzeje, wracamy do Londynu. Zatrzymamy się w hotelu Rutledge, dopóki nie znajdziemy odpowiedniego domu do wynajęcia...

- Rutledge kosztuje fortunę! - zawołała Amelia. - Nie stać nas na to.

- Nie kłóć się ze mną. Ja jestem głową tej rodziny i już podjąłem decyzję. Przy pełnym poparciu Merripena, o ile to coś warte.

- Obaj możecie iść do diabła! Nie będę przyjmować od ciebie rozkazów, Leo.

- W tym wypadku akurat będziesz. Twój romans z Rohanem jest skończony.

Pełna gorzkiego oburzenia Amelia odwróciła się od niego. Milczała, bojąc się, że powie zbyt wiele. Przez ostatnie lata marzyła o chwili, w której Leo zajmie należne mu miejsce głowy rodziny, wygłosi swoją opinię, okaże troskę o kogoś innego niż on sam. I to właśnie ta kwestia sprowokowała go do działania?

- Cieszę się - odparła ze złowróżbnym spokojem - że tak bardzo interesujesz się moimi osobistymi sprawami, Leo. Może poświęciłbyś chwilę także innym ważnym tematom? Na przykład odbudowaniu Ramsay House, zdrowiu Win, edukacji Beatrix, Poppy, która...

- Nie uda ci się odwrócić mojej uwagi tak łatwo. Dobry Boże, siostrzyczko, nie mogłaś przynajmniej zabawić się z kimś ze swojej klasy? Czy twój gust tak się zepsuł, że musiałaś wziąć do łóżka Cygana?

Amelia ze zdumienia otworzyła usta. Okręciła się na pięcie.

- Nie mogę uwierzyć, że słyszę to od ciebie. Nasz brat jest Romem i...

- Merripen nie jest naszym bratem. I przypadkiem się ze mną zgadza. To poniżej twojej godności.

- Poniżej mojej godności - powtórzyła Amelia z oszołomieniem, cofając się, aż dotknęła plecami ściany. - Jak to?

- Chyba nie muszę ci tego wyjaśniać?

- Owszem, musisz.

- Rohan jest Cyganem, Amelio. Leniwym włóczęgą bez nazwiska.

- Jak możesz tak mówić, skoro sam nigdy w życiu nie kiwnąłeś palcem?

- Ja nie muszę pracować, jestem teraz palem. Dostaję trzy tysiące funtów rocznie tylko dlatego, że żyję.

Nie można było prowadzić rozsądnej dyskusji z kimś, kto najwyraźniej był szalony.

- Do tej chwili nie miałam najmniejszego zamiaru wychodzić za niego -

odparła zimno Amelia. - Ale teraz zaczynam poważnie rozważać korzyści płynące z posiadania w rodzinie przynajmniej jednego rozsądnego mężczyzny.

- Wychodzić za niego?

Amelia rozkoszowała się widokiem jego twarzy.

- Podejrzewam, że Merripen nie wspomniał ci o tym drobnym szczególe. Tak, Cam mi się oświadczył. Jest bogaty, Leo. Bardzo bogaty, co oznacza, że nawet jeśli zdecydujesz się utopić w jeziorze, dziewczętami i mną ktoś się wreszcie zajmie. To miło mieć kogoś, kto troszczy się o twoją przyszłość, nie sądzisz?

- Zabraniam ci. Spojrzała na niego z pogardą.

- Wybacz, jeśli twój autorytet mi nie imponuje, Leo. Może powinieneś poćwiczyć na kimś innym.

Zostawiła go w galerii. Za oknem rozszalała się burza.

Cam zatrzymał się po drodze do Londynu przy Ramsay House, chcąc jeszcze raz obejrzeć posiadłość przed wyjazdem z Hampshire. Nie wiedział dokładnie, co należy zrobić z dworem. Zdecydowanie należało go odrestaurować. Jako część arystokratycznego dziedzictwa, posiadłość powinna być utrzymywana w przyzwoitym stanie. A poza tym Cam lubił to miejsce. Widział w nim możliwości. Gdyby tylko obsadzić drzewami otaczające dom wzniesienia, a także przeprojektować i przebudować główny budynek, Ramsay House stałby się prawdziwą perłą.

Miał jednak wątpliwości, czy tytuł lorda i majątek z nim związany pozostaną na długo w rękach Hathawayów. Nie, jeśli wszystko zależało od Leo, którego zdrowie i przyszłość stały pod ogromnym znakiem zapytania.

Rozmyślając o kłopotach przyszłego szwagra, Cam polecił woźnicy zaczekać, a sam ruszył w kierunku walącego się domu, nie zwracając uwagi na deszcz, który moczył mu włosy i płaszcz. Nie miało dlań znaczenia, czy Leo będzie żył, czy też umrze, ale uczucia Amelii były niezwykle istotne. Zrobiłby, co w jego mocy, aby oszczędzić jej żalu i zmartwień. Nawet jeśli miało to oznaczać, że jej brat zachowa swe bezużyteczne życie.

Wnętrze domu było pokryte popiołem i sadzą. Cam zastanawiał się, co dobry budowniczy mógłby zrobić z tym budynkiem i ile z pierwotnej konstrukcji uda się ocalić. Wyobrazil sobie odrestaurowane i odmalowane pokoje. Jasne, czarujące, z nutką ekstrawagancji. Jak panny Hathaway.

Kąciki jego ust powędrowały w górę na myśl o siostrach Amelii. Z łatwością mógłby je polubić. Dziwne, jak bardzo pomysł ustatkowania się i zamieszkania na tej ziemi, stania się częścią tej rodziny zaczął się mu podobać. Czuł się prawie... członkiem ich klanu. Może Westcliff miał rację - może Cam nie potrafił już dłużej zagłuszyć swej irlandzkiej krwi.

Nagle usłyszał dobiegający z góry hałas i zatrzymał się w holu. Łomot i stukanie, jakby ktoś próbował ciosać drewno. Cam poczuł zimny dreszcz.

Kto to może być, do diabła? Przesady walczyły w nim ze zdrowym

rozsądkiem, gdy zastanawiał się, czy ów intruz jest ludzką istotą. Wszedł na schody z niezwykłą ostrożnością. Starał się poruszać cicho i szybko.

Zatrzymał się u szczytu schodów i zaczął nasłuchiwać. Znow dał się słyszeć ów dziwny hałas, tym razem z jednej z sypialni. Cam podszedł do uchylonych drzwi i zajrzał do środka.

Istota przebywająca w tym pokoju niewątpliwie była człowiekiem. Cam zmrużył oczy, gdy rozpoznał Christophera Krosta.

Wyglądało na to, że Krost próbował oderwać ze ściany fragment boazerii, używając do tego żelaznego łomu. Drewno jednak nie poddało się jego wysiłkom i po kilku kolejnych sekundach intruz opuścił łom i zaklął cicho.

- Może ci pomóc? - zapytał Cam. Tamten omal nie umarł ze strachu.

- Co do diabła... - Odwrócił się z szeroko otwartymi oczami. - A ty co tu robisz?

- Miałem cię o to samo zapytać. - Cam oparł się o drzwi, skrzyżował ramiona na piersi i zaczął się przyglądać architektowi. - Postanowiłem zatrzymać się tu po drodze do Londynu. Co jest za tym panelem?

-Nic.

- To dlaczego próbujesz go usunąć?

Tamten w końcu wziął się w garść i schylił, aby podnieść łom. Trzymał go w rękach swobodnie, jednak w każdej chwili żelazny pręt mógł się stać niebezpieczną bronią. Cam stał zupełnie spokojnie, ale nie spuszczał oczu z twarzy rywala.

- Co wiesz o architekturze i budownictwie? - zapytał Prost.

- Niewiele. Czasami pracuję trochę w drewnie.

- Tak. Cyganie pracują czasami jako druciarze. Nawet dekarze. Ale nigdy nie budują. Nie potrafiliby zostać w jednym miejscu na tyle długo, aby dokończyć robotę, nieprawdaż?

Głos Cama był niesłychanie uprzejmy.

- Pytasz o mnie konkretnie czy w ogóle o Romów? Prost podszedł do niego, ściskając w garści łom.

- To nie ma znaczenia. Odpowiadając na twoje poprzednie pytanie, przeprowadzam inspekcję domu, aby ocenić szkody i opracować kilka pomysłów na nowy projekt. Z polecenia panny Hathaway.

- Prosiła cię, abyś obejrzał dom?

- Jako stary przyjaciel rodziny, a zwłaszcza panny Hathaway, sam postanowiłem im pomóc.

Fraza „a zwłaszcza panny Hathaway”, okraszona nutą dumy posiadacza, prawie rozbiła w drobny mak samokontrolę Cama. On, który zawsze gratulował sobie opanowania, natychmiast poczuł ogromny gniew.

- Może - powiedział - powinieneś być jednak najpierw zapytać? Okazałoby się, że twoje usługi wcale nie są potrzebne.

Frost pociemniał na twarzy.

- Co daje ci prawo do przemawiania w imieniu panny Hathaway i jej rodziny?

Cam nie widział powodu, dla którego miałby zachować dyskrecję.

- Zamierzam się z nią ożenić. Frost omal nie upuścił łomu.

- Nie bądź śmieszny. Amelia nigdy cię nie poślubi.

- Dlaczego?

- Dobry Boże - zawołał Frost z niedowierzaniem - jak możesz o to w ogóle pytać? Nie jesteś dżentelmenem, nie pochodzisz z jej klasy, i... do cholery, nie jesteś nawet prawdziwym Cyganem. Jesteś kundlem.

- Tak czy inaczej, ożenię się z nią.

- Po moim trupie! - krzyknął Frost, robiąc krok w jego stronę.

- Albo rzucisz ten pręt - powiedział Cam cicho - albo złamię ci rękę. - Naprawdę miał nadzieję, że przeciwnik zdecyduje się na niego zamachnąć. Ku jego rozczarowaniu architekt opuścił jednak łom na ziemię i spojrzał na niego wilkiem.

- Nie będzie chciała mieć z tobą nic wspólnego po tym, jak z nią porozmawiam. Upewnię się, że zrozumie, co powiedzą ludzie o damie, która sypia z Cyganem. Lepiej by jej było z prostym dzierżawcą. Psem. Z...

- Zrozumiałem - odparł Cam. Posłał Frostowi lodowaty uśmiech, aby rozwścieczyć swojego rywala. - Interesujące, że poprzednie doświadczenia panny Hathaway z dżentelmenami nastawiły ją tak przyjaźnie w stosunku do Roma. Nie najlepiej to o tobie świadczy.

- Ty samolubny bydlaku! - wybuchnął Frost. - Zrujnujesz ją! Zniżysz ją do swojego poziomu. Gdybyś żywił w stosunku do niej jakieś uczucia, zniknąłbyś stąd na dobre.

Przemknął obok Cama i zszedł na dół.

Cam jeszcze długo stał w otwartych drzwiach, mierząc się z własnym gniewem, troską o Amelię i, co najgorsze, z poczuciem winy. Nie mógł zmienić tego, kim był, i wiedział, że nie zdoła ochronić Amelii przed wszystkim strzałami, które będą wycelowane w nią jako żonę Cygana.

Ale nie zamierzał pozwolić, aby z tego powodu samotnie torowała sobie drogę w tym bezwzględny świecie.

Kolacja przebiegała w dosyć ponurej atmosferze. West-cliffowie i St. Vincentowie wyjechali do Bristolu, a Leo udał się do wioskowej gospody, aby poszukać tam rozrywki. Pogoda była okropna. Amelia z trudem mogła sobie wyobrazić spacer w deszczu i zimnie, ale Leo rozpaczliwie pragnął towarzystwa ludzi sobie podobnych.

Merripen został w swoim pokoju, gdzie przespał większość dnia - było to do niego tak niepodobne, że siostry naprawdę się tym zmartwiły.

- To chyba dobrze, że odpoczywa - zauważyła Poppy, strzepując od niechcenia kilka okruszków z obrusa. Lokaj pospieszył w jej kierunku, aby

oczyścić jej serwetkę i sztućce. - Dzięki temu szybciej wyzdrowieje, prawda?

- Czy ktoś obejrzał jego bark? - zapytała Amelia, spoglądając na Win. - To chyba pora na zmianę opatrunku.

- Ja to zrobię - odparła natychmiast. - I zaniosę mu na górę tacę z kolacją.

- Beatrix pójdzie z tobą.

- Dam sobie radę z tacą.

- Nie o to mi chodzi... Uważam, że nie powinnaś przebywać sama z Merripenem w jego pokoju.

Win popatrzyła na siostrę ze zdziwieniem i skrzywiła się lekko.

- Niepotrzebna mi Beatrix. To przecież tylko Merripen. Gdy wyszła z jadalni, Poppy spojrzała na Amelię.

- Myślisz, że Win naprawdę nie wie, że on...

- Nie mam pojęcia. I nigdy nie ośmieliłam się podnieść tego tematu, żeby nie dawać jej fałszywych nadziei.

- Mam nadzieję, że nie wie - wtrąciła się Beatrix. - To byłoby strasznie smutne, gdyby jednak wiedziała.

Amelia i Poppy spojrzały na młodszą siostrę zagadkowo.

- Wiesz, o czym rozmawiamy, Bea?

- Tak, oczywiście. Merripen kocha Win. Wiem od dawna, zrozumiałam to wtedy, kiedy umył jej okno.

- Umył jej okno? - zapytały obie naraz.

- Tak, gdy jeszcze mieszkaliśmy w Primrose Place. W pokoju Win było kwaterowe okno, z którego miała widok na ten duży klon, pamiętacie? Po szkarlatynie, gdy nie wstawiała z łóżka przez taki długi czas i była zbyt słaba, aby utrzymać w ręku książkę, obserwowała przez okno ptasie gniazdo na jednej z gałęzi. Małe jaskółki wykluły się z jaj i uczyły się latać. Pewnego dnia poskarżyła się, że szyby są tak brudne, że prawie nic przez nie nie widzi, a niebo zawsze wygląda szaro. Od tego dnia Merripen zawsze dbał, żeby okno było nieskazitelnie czyste. Czasami wspinał się na drabinę, aby je umyć od zewnątrz, a wiecie, jak on się boi wysokości. Nigdy go nie widziałyście?

- Nie - odrzekła z trudem Amelia. Nagle poczuła, że oczy ją pieką. - Nie wiedziałam, że to robił.

- Merripen powiedział mi wtedy, że dla Win niebo powinno być zawsze błękitne. I wtedy zrozumiałam, że... Czy ty płaczesz, Poppy?

Poppy podniosła do oczu chusteczkę, aby otrzeć łzy.

- Nie, po prostu pieprz zakręcił mi w nosie.

- I mnie też - dodała Amelia, wycierając nos w chusteczkę.

Win zaniosiła lekką bambusową tacę z rosółem, chlebem i herbatą do pokoju Merripena. Nie było łatwo przekonać służące, aby pozwoliły jej pójść do niego z jedzeniem. Były dogłębnie przekonane, że goście lorda i lady Westcliff nie powinni robić niczego sami. Win wiedziała jednak, jak bardzo

Merripen nie lubi obcych, a w tak kiepskim stanie mógł zachować się bardzo niemilo.

W końcu osiągnięto kompromis: służąca zaniosiła tacę na szczyt schodów, a tam odebrała ją Win.

Była już prawie na miejscu, gdy z pokoju rozległ się odgłos uderzenia czegoś ciężkiego o ścianę, a potem kilka groźnych pomruków, które mogły się wydobyć tylko z gardła Merripena. Win zmarszczyła brwi i przyspieszyła kroku. Z pokoju wypadła oburzona pokojówka.

- Coś takiego! - zawołała zaczerwieniona z oburzenia. - Poszłam tylko poruszyć węgle i dorzucić drewna do kominka, a ten okropny Cygan zaczął krzyczeć i rzucił we mnie filiżanką!

- Ojej, tak mi przykro. Czy cię uderzył? Jestem pewna, że nie chciał...

- Nie, zupełnie chybił celu - odparła pokojówka z mściwą satysfakcją. - Po tej miksturze jest bardziej zawiany niż posterunkowy na Cable Street. - Ta londyńska ulica, znana była z licznych palarni opium. - Na miejscu panienki bym tam nie wchodziła. Rozerwie panienkę na strzępy, jeśli podejdzie panienka za blisko. To bestia.

Win z troską zmarszczyła brwi.

- Tak, dziękuję. Będę uważać.

Mikstura... Lekarz zapewne musiał zaaplikować Merripenowi bardzo silny środek przeciwbólowy, wzmocniony opiatem bądź alkoholem. Merripen nigdy nie przyjmował żadnych leków i rzadko pił coś więcej niż kieliszek wina, był więc niezwykle podatny na leki odurzające.

Win weszła do pokoju i łokciem zamknęła drzwi, a następnie postawiła tacę na stoliku przy łóżku. Wzdrygnęła się lekko, słysząc głos Merripena.

- Mówiłem, że masz stąd wyjść! - warknął. - Mówiłem... - Urwał, gdy odwróciła się do niego twarzą.

Win nigdy wcześniej nie widziała go w takim stanie - był rozgorączkowany i oszołomiony, a jego ciemne oczy drgały, nie mogąc się skupić na jednym miejscu. Leżał na boku, biała koszula rozchylała się, ukazując brzeg grubego bandaża i lśniąca jak wypolerowany brąz klatkę piersiową. Był spięty i rozdrażniony jak zwierzę w klatce.

- Kev - powiedziała łagodnie Win, zwracając się doń jego imieniem.

Zawarli kiedyś układ, gdy zachorowała na szkarlatynę, a Merripen chciał ją nakłonić do wzięcia lekarstwa. Odmawiała, dopóki nie obiecał, że powie jej swoje imię. Przyrzekła, że nigdy nikomu go nie zdradzi i dotrzymała słowa. Może nawet myślał, że o tym zapomniała.

- Leż spokojnie - poleciła mu. - Nie powinieneś tak się złościć. Wystraszyłeś tę biedną dziewczynę na śmierć.

Merripen spojrzał półprzymkniętymi na Win, nie mogąc skupić na niej wzroku.

- Oni chcą mnie otruć - powiedział. - Przemocą leją mi do gardła

lekarstwo. Kręci mi się od niego w głowie. Nie wypiję już więcej.

Win postanowiła zachować się jak stanowcza pielęgniarzka, choć jedyne, czego pragnęła, to przytulić go i pocieszyć.

- Bez tego środka czułbyś się znacznie gorzej. - Usiadła na brzegu łóżka i sięgnęła po nadgarstek Merripena. Jego twarda, ciężka ręka opadła jej na kolana. Przycisnęła palce do jego dłoni, jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć. - Ile wypiełeś tej mikstury?

Merripen westchnął.

- Za dużo.

Win z trudem wyczuła jego słaby puls. Ułożyła rękę chorego na kołdrze i przyłożyła mu dłoń do czoła. Było bardzo rozpalone. Czyżby gorączka wzrosła? - pomyślała z obawą.

- Pozwól mi zobaczyć twoje plecy. - Spróbowała się odsunąć, ale jeszcze mocniej przycisnął sobie jej chłodną rękę do czoła. Nie chciał jej puścić.

- Gorąco tu - wymamrotał i zamknął oczy.

Win siedziała przy nim nieruchoma, rozkoszując się ciepłem jego męskiego ciała i gładką, ciemną skórą.

- Trzymaj się z daleka od moich snów - szepnął Mer-ripen. - Nie mogę spać, kiedy w nich jesteś.

Pogładziła go po gęstych czarnych włosach. Na jego przystojnej twarzy nie było zwykłego wyrazu ponurej surowości. Czula zapach jego skóry, potu, słodkiego od lekarstwa oddechu, cierpką woń miodu. Ich przyjaciel był zawsze gładko ogolony, ale teraz jego zarost lekko drapał jej dłoń. Chciała wziąć rannego w ramiona i przytulić do piersi jak małego chłopca.

- Kev... pozwól mi obejrzeć twoje plecy. Merripen poruszył się, zamroczony opium, a przez to bardziej agresywny niż kiedykolwiek. Zawsze traktował Win z przesadną ostrożnością, jakby uważał, że jest delikatna jak puszek dmuchawca. Teraz jednak jego uścisk był silny i pewny, gdy popchnął ją na materac.

Dyszząc ciężko, spojrzał na nią szklistym wzrokiem.

- Kazałem ci odejść z moich snów.

Jego twarz wyglądała jak maska starożytnego boga wojny, piękna i surowa, z wykrzywionymi ustami i rozchylonymi wargami, które odsłaniały ostre białe zęby.

Win była zdumiona, podekscytowana i odrobinę przerażona... ale przecież to był Merripen... Gdy spojrzała na niego, strach się rozwiął. Przyciągnęła go do siebie, a wtedy ją pocałował.

Zawsze wyobrażała sobie, że jego pocałunek będzie szorstki, pośpieszny i niecierpliw. A jego usta były miękkie i wrażliwe, ocierały się o jej wargi ciepłe jak promienie słońca, słodkie jak letni deszcz. Przytuliła się do niego zdumiona, czując przy sobie twarde męskie ciało, które przywarło do



niej gwałtownie. Zapominając o wszystkim, Win wyciągnęła ramiona, aby go objąć. Merripen jęknął, gdy dotknęła grubego bandaża.

- Kev - szepnęła bez tchu - przepraszam, jak... nie ruszaj się. Odpoczywaj. - Objęła go nieśmiało i zadrżała, gdy pocałował ją w szyję. Potem musnął łagodnie wargami jej piersi, przycisnął policzek do stanika sukni i westchnął.

Przez długą chwilę leżeli tak w bezruchu, pierś Win wznosiła się i opadała w miarowym oddechu.

- Kev? - odezwała się w końcu z wahaniem dziewczyna. Odpowiedziało jej ciche chrapanie.

Po raz pierwszy w życiu całowała się z mężczyzną i od razu go uśpiła.

Cofnęła się, odrzuciła kołdrę i uniosła brzeg jego koszuli. Płótno przywarło do masywnych pleców Merripena. Win odsunęła koszulę i ostrożnie odchyliła brzeg bandaża, lepkiego i cuchnącego miodem. Mrugnęła zaskoczona na widok rany od oparzenia, która się zaogniła. Doktor zapewniał ich, że wkrótce utworzy się strup, ale ropiejąca dziura wcale nie wyglądała lepiej.

Na widok czarnego znaku na plecach rannego Win zmarszczyła brwi z ciekawością i uniosła koszulę jeszcze wyżej. Zobaczywszy dziwny rysunek, wstrzymała oddech i otworzyła szeroko oczy.

Merripen był pod względem fizycznym imponującym mężczyzną, a przy tym niezwykle wstydlwym. Cała rodzina kpiała dobrodusznie, gdy kąpał się i mył za zamkniętymi drzwiami i nawet podczas najbardziej wyczerpujących robót nie zdejmował koszuli.

To wszystko dlatego? Jakie znaczenie miał ten dziwny tatuaż i jak wiązał się z jego przeszłością?

- Kev - szepnęła Win ze zdumieniem, przesuwając palcami po wzorze na ramieniu. - Jakie sekrety przed nami ukrywasz?

## Rozdział 19

Następnego dnia zaraz po przebudzeniu Amelia dowiedziała się od Poppy, że Leo nie wrócił do domu na noc i nigdzie nie można go znaleźć, a Merripenowi znacznie się pogorszyło.

- Nie będę sobie zawracać głowy Leo - wymamrotała Amelia, wstając z łóżka i sięgając po szlafrok i pantofle. - Zaczął pić wczoraj po południu i pewnie jeszcze nie przestał. Nie dbam o to, gdzie jest i co się z nim dzieje.

- A jeśli zabłądził koło domu i... och, sama nie wiem... potknął się o gałąź? Nie powinniśmy poprosić ogrodnika albo kamerdynera, żeby go poszukali?

- Boże, jakie to żenujące. - Amelia włożyła szlafrok i w pośpiechu zapięła guziki. - Zapewne powinniśmy. Dobrze, ale trzeba zaznaczyć, że nie muszą urządzać całej wyprawy. Nie chciałabym odrywać służby od obowiązków tylko dlatego, że nasz brat zupełnie nie potrafi nad sobą zapanować.

- On jest pogrążony w żalu, Amelio - zauważyła cicho Poppy.

- Wiem, ale na miłość boską, mam już dość jego żałoby. I wiem, że jestem straszna, przyznając się do tego na głos.

Poppy popatrzyła na siostrę ze współczuciem i przyciągnęła ją do siebie.

- Wcale nie jesteś straszna. Przecież to zawsze ty musisz nim się zajmować, nie mówiąc już o nas wszystkich. Ja na twoim miejscu także byłabym zmęczona.

Amelia odwzajemniła uścisk i cofnęła się z westchnieniem.

- O Leo będziemy martwić się później. Teraz bardziej niepokoi mnie stan Merripena. Widziałaś go dziś rano?

- Nie, ale Win u niego była. Merripen ma gorączkę, a rana w ogóle się nie goi. Wydaje mi się, że Win przesiedziała przy nim większość nocy.

- I teraz pewnie ślania się na nogach z wyczerpania! - zawołała Amelia ze złością.

Poppy zawahała się i zmarszczyła brwi.

- Amelio... Nie wiem, czy to najlepszy, czy najgorszy czas, aby ci o tym powiedzieć, ale na dole doszło do małego spięcia. Podobno zginęły srebrne sztućce.

Amelia podeszła do okna i spojrzała błagalnie na zachmurzone niebo.

- Drogi, miłosierny Boże, spraw, aby to nie miało związku z Beatrix.

- Amen - zakończyła Poppy. - Ale pewnie ma.

Przytłoczona tym wszystkim Amelia pomyślała z rozpaczą; że zawiodła

na całej linii. Dom przepadł, Leo zaginał albo był już martwy, Merripen jest ranny, Win chora, Beatrix niedługo trafi za kratki, a Poppy będzie skazana na staropanieństwo. Ale głośno powiedziała tylko:

- Najpierw Merripen - i dziarsko wymaszerowała z pokoju. Poppy ruszyła za nią.

Win czuwała przy Merripenie, tak wyczerpana, że z trudem siedziała prosto. Twarz miała bladą, oczy czerwone z niewyspania, głowa jej opadała. Niewiele siły już jej zostało, ale trwała dzielnie na posterunku.

- Ma gorączkę - oznajmiła, wyciskając mokry ręcznik i ocierając nim czoło Merripena.

- Zaraz poślę po lekarza. - Amelia wzięła ją za rękę. - Idź się położyć.

- Później. On mnie potrzebuje - oświadczyła stanowczo Win.

- Ostatnią rzeczą, jakiej on potrzebuje, jest twoja choroba - odparła krótko Amelia. Złagodniała, gdy zobaczyła w oczach siostry cierpienie. - Proszę cię, Win, idź do łóżka. Poppy i ja zajmiemy się nim, gdy będziesz spała.

Win pochylała głowę tak nisko, że ich czoła niemal się zetknęły.

- Wszystko jest nie tak, Amelio - szepnęła. - Bardzo szybko traci siły. A gorączka ciągle rośnie.

- Wyjdzie z tego. - Nawet w jej własnych uszach zabrzmiało to nieszczerze. Amelia zmusiła się jednak do pełnego otuchy uśmiechu. - Idź odpocząć, kochanie.

Win posłuchała z ociąganiem, a Amelia pochylała się nad chorym. Merripen całkiem stracił swoją zdrową ciemną karnację i był teraz trupio blady, co dodatkowo podkreślały jeszcze czarne łuki brwi i długie rzęsy. Spał z rozchylonymi ustami. Wargi miał spierzchnięte, oddychał ciężko. Nie do uwierzenia było, aby Merripen, zawsze taki odporny i krzepki, mógł tak szybko poddać się chorobie. Amelia dotknęła jego policzka i zdumiała się, czując, jak jest rozpalony.

- Merripen - szepnęła. - Obudź się, kochany. Razem z Poppy zmienimy ci opatrunek. Nie możesz się poruszać, rozumiesz?

Merripen przełknął z trudem i kiwnął głową, unosząc nieco powieki. Siostry ostrożnie odchyliły poły jego koszuli, i przygotowały na brzegu łóżka czyste bandaże, słoiczki z maścią i miodem oraz płótno.

Poppy zdjęła stary opatrunek. Zmarszczyła nos, czując nieprzyjemny zapach z rany. Wymieniły z Amelią zaniepokojone spojrzenia.

Tak delikatnie i szybko, jak to tylko możliwe, Amelia oczyściła ranę z ropy, zaaplikowała nową warstwę maści i położyła czysty opatrunek. Merripen leżał cicho i sztywno, ale wzdrygał się przy każdym jej ruchu, a chwilami syczał z bólu. Zanim skończyła, zaczął się trząść.

Poppy otarła jego spoconą twarz suchym kawałkiem płótna.

- Biedny Merripen.

Podsunała mu filiżankę z wodą. Wzbraniał się, ale włożyła mu rękę pod głowę i uniosła ją zdecydowanie.

- Tak, musisz. Powinam była się domyślić, że jesteś okropnym pacjentem. Wypij to, mój drogi, albo będę zmuszona zaśpiewać.

Amelia stłumiła śmiech, gdy Merripen spełnił jej żądanie.

- Twój śpiew nie jest taki okropny, Poppy. Ojciec zawsze powtarzał, że śpiewasz jak ptaszek.

- Miał na myśli papugę - stwierdził ochryple Merripen, opierając głowę na ramieniu Poppy.

- Za to - odparła - przyślę ci tu dzisiaj Beatrix. Na pewno przyniesie ze sobą jedno ze swoich zwierzątek, które włoży ci do łóżka, i wszędzie rozsypie swoje karty. A jeśli będziesz miał szczęście, będziesz musiał pomóc jej robić ubranka dla lalek z papieru.

Gdy Merripen spojrział na Amelię z niemym cierpieniem, ta roześmiała się wesoło.

- Jeśli to cię nie przekona, że powinieneś szybko wyzdrowieć, to już nic ci nie pomoże.

Minęły jednak kolejne dwa dni, a stan Merripena ciągle się pogarszał. Doktor był bezradny - mógł tylko ponawiać swoje starania. Przyznał, że rana się jątrzy. Wystarczyło spojrzeć na białą wydzielinę i czerniejącą wokół niej skórę, aby to stwierdzić. Był to proces gangreny, który zagrażał całemu organizmowi.

Merripen chudł nieprawdopodobnie szybko. Tak bywa przy oparzeniach, powiedział im lekarz. Ciało pochłania samo siebie, aby uleczyć rany. Amelię martwił dodatkowo fakt, że chory wpadał w coraz większą apatię, z której nawet Win nie mogła go wyciągnąć.

- On po prostu nie może znieść własnej bezradności - powiedziała Win do Amelii, trzymając za rękę śpiącego Merripena.

- Nikt nie lubi być bezradny - odparła Amelia.

- W jego przypadku to nie kwestia lubienia czy nielu-bienia. Ja po prostu wiem, że on tego nie zniesie. I dlatego się wycofuje. - Win delikatnie pogładziła brązowe palce chorego, silne i stwardniałe od pracy.

- Kochasz go, Win? - zapytała Amelia miękko, widząc na twarzy siostry czułość i troskę.

Win, tajemnicza jak Sfinks, zwróciła na nią swe błękitne oczy.

- Ależ oczywiście. Przecież wszyscy kochamy Merripena, prawda?

Nie była to żadna odpowiedź, Amelia pojęła jednak, że nie ma prawa nalegać.

Martwiła się także przeciągającą się nieobecnością Leo. Wziął konia, ale nie zabrał ze sobą żadnych rzeczy. Czy pojechałby konno aż do Londynu? Wiedząc, jak bardzo Leo nie znosił podróży, Amelia w to wątpiła. Najprawdopodobniej pozostał w Hampshire, choć miejsce jego pobytu było

dla nich zagadką. Nie było go ani w gospodzie, ani w Ramsay House, ani nigdzie na terenie posiadłości Westcliffa.

Amelia ucieszyła się bardzo, gdy tego dnia odwiedził ją Christopher Frost. Przystojny i pachnący drogą wodą kolońską, przyniósł ze sobą bukiet kwiatów owinięty w pergamin.

Amelia przyjęła go w saloniku na dole. Tak bardzo była zmartwiona chorobą Merripena i zniknięciem Leo, że nie potrafiła już zachować wobec Christophera rezerwy. Dawne cierpienie odeszło w niepamięć, w tym momencie potrzebowała po prostu współczującego przyjaciela.

Christopher ujął ją za obie dłonie i poprowadził w kierunku sofy.

- Amelio - odezwał się z troską - widzę wyraźnie, że coś cię dręczy. Czyżby Merripenowi się pogorszyło?

- Bardzo - odrzekła, wdzięczna za jego życzliwość. - Lekarz nie potrafi mu pomóc i nie sądzi, aby jakiegokolwiek lekarstwa dały inny rezultat niż dalsze cierpienie Merripena. Obawiam się, że go stracimy.

Christopher delikatnie uściśnął jej dłonie.

- Tak mi przykro. Wiem, ile on znaczy dla twojej rodziny. Czy mam posłać po lekarza do Londynu?

- Chyba nie mamy już tyle czasu. - Poczwała, że do oczu napływają jej łzy i zacisnęła powieki, aby powstrzymać płacz.

- Jeśli mogę ci jakoś pomóc, wystarczy jedno twoje słowo.

- Jest coś... - Opowiedziała mu o nieobecności Leo i o tym, że jest pewna, że brat nadal przebywa w Hampshire.

- Ktoś musi go odnaleźć. Poszukałabym go sama, ale jestem tu potrzebna. A on chadza do miejsc, w których...

- W których nie widuje się przyzwoitych ludzi - dokończył za nią Christopher. - Znam twojego brata, moja droga, i uważam, że najlepiej będzie pozwolić mu zostać tam, gdzie jest, dopóki się nie wyśpi i nie wytrzeźwieje.

- Ale on może być w niebezpieczeństwie albo leży gdzieś ranny. On... - Poznała z wyrazu twarzy Christophera, że ten nie ma ochoty szukać jej brata po okolicznych spelunkach.

- Gdybyś mógł tylko zapytać mieszkańców miasteczka, czy go nie widzieli, byłabym ci bardzo zobowiązana.

- Obiecuję. - Zaskoczył ją, gdy wyciągnął ramiona i przytulił ją do siebie. Zesztywniała, ale go nie odepchnęła.

- Moje biedactwo - szepnął. - Tyle dźwigasz na swoich barkach.

Był czas, gdy Amelia namiętnie tęskniła za takimi chwilami. Być blisko Christophera, pozwolić, żeby ją pocieszał. Kiedyś była to dla niej definicja raju.

Ale teraz nie było jak kiedyś.

- Christoph... - zaczęła mówić, odsuwając się od niego, gdy nagle przywarł ustami do jej warg. Amelia zamarła ze zdumienia. To także było

inne... a jednak na chwilę przypomniała sobie, jak było kiedyś, jak czuła się z nim szczęśliwa. To były odległe czasy, jeszcze przed szkarlatyną, gdy była jeszcze niewinna i pełna nadziei na przyszłość, która zdawała się nieść ze sobą tyle obietnic...

Odwróciła od niego twarz.

- Christopherze, nie.

- Oczywiście. - Dotknął ustami jej włosów. - To nie jest odpowiednia chwila. Wybacz mi.

- Tak się martwię o mojego brata i Merripena, że nie potrafię teraz myśleć o niczym innym...

- Wiem, kochanie. - Odwrócił jej twarz ku sobie. - Pomogę wam wszystkim. Niczego bardziej nie pragnę, niż żebyś była bezpieczna i szczęśliwa. A ty potrzebujesz mojej opieki. Twoja rodzina przechodzi ciężki okres i łatwo cię teraz wykorzystać.

Amelia zmarszczyła brwi.

- Nikt mnie nie wykorzystuje.

- A ten Cygan?

- Mówisz o panu Rohanie? Christopher kiwnął głową.

- Spotkałem go, gdy jechał do Londynu. Mówił o tobie w sposób...

Cóż, wystarczy powiedzieć, że nie jest dżentelmenem. Poczulem się obrażony w twoim imieniu.

- Co dokładnie powiedział?

- Posunął się do stwierdzenia, że zamierzacie się pobrać. - Zaśmiał się pogardliwie. - Jakbyś w ogóle mogła rozważać takie poniżenie. Półkrwi Cygan bez manier i wykształcenia.

Amelia poczuła gwałtowny gniew. Spojrzała w twarz mężczyzny, którego kiedyś tak bardzo kochała. Był ucieleśnieniem wszystkiego, o czym mogła marzyć młoda kobieta. Jeszcze nie tak dawno temu mogłaby uznać jego przewagę nad Camem Rohanem. Nie była już jednak tą samą kobietą co kiedyś... A Christopher nie był rycerzem w lśniącej zbroi, jakiego w nim widziała.

- Nie uważałabym tego za poniżenie - stwierdziła. - Pan Rohan jest dżentelmenem, wysoko cenionym przez swoich przyjaciół.

- Uważają, że jest na tyle zabawny, aby można z nim było utrzymywać kontakty towarzyskie, ale nigdy nie będzie im równy. I nigdy nie będzie dżentelmenem. To jasne dla wszystkich, moja droga, chyba nawet dla niego.

- Dla mnie to nie jest jasne i nie zamierzam tego akceptować. Bycie dżentelmenem to coś więcej niż dobre maniery.

Christopher spojrzał niepewnie na jej oburzoną twarz.

- Dobrze więc, nie będziemy o tym dyskutować, jeśli ten temat tak cię irytuje. Ale nie zapominaj, że Cyganie znani są ze swego oszukańczego uroku. Naczelną ich zasadą jest zaspokajać własne zachcianki bez oglądania się na

odpowiedzialność i konsekwencje. Źle robisz, okazując mu zaufanie, Amelio. Mam tylko nadzieję, że nie powierzyłaś mu żadnych interesów rodzinnych ani kwestii prawnych.

- Doceniam twoją troskę - odparła, marząc, aby wyszedł i spróbował odnaleźć jej brata. - Sprawy mojej rodziny pozostaną w rękach lorda Ramsaya i moich.

- Rohan nie wraca więc z Londynu? Zerwałaś z nim stosunki?

- Wraca - przyznała niechętnie. - Ma przywieźć ekspertów, którzy doradzą nam, co należy zrobić w Ramsay House.

- Ach. - W tonie Krosta było tyle protekcyjnej wzgardy, że aż zacisnęła zęby. Christopher milczał przez chwilę. - Czy to jedyna rada, którą przyjmiesz w tej kwestii? - zapytał w końcu. - Czy wolno mi będzie poczynić pewne działania, jako że znam się całkiem nieźle na tych zagadnieniach, a on w ogóle?

- Oczywiście z chęcią wysłucham twojej opinii.

- Mogę więc na własną rękę odwiedzić Ramsay House, aby dokonać profesjonalnej oceny?

- Jeśli chcesz. To bardzo miło z twojej strony. Chociaż... - Przerwała niepewnie. - Wolałabym, abyś nie poświęcał tej kwestii zbyt wiele swego cennego czasu.

- Czas poświęcony tobie na pewno nie pójdzie na marne. - Pochylił się ku niej i dotknął ustami jej warg, zanim zdołała się cofnąć.

- Znacznie bardziej niż o dom martwię się o mojego brata...

- Oczywiście. Pójdę o niego wypytać, a jeśli czegoś się dowiem, natychmiast cię powiadomię.

- Dziękuję.

Amelia wiedziała jednak, że nie poświęci poszukiwaniom Leo zbyt wiele czasu. Rozpacz oblała ją zimną falą.

Następnego ranka obudziła się z koszmaru z obolałymi rękami i nogami i bijącym sercem. Śniła o tym, że dostrzegła Leo unoszącego się twarzą w dół w stawie, a gdy podpłynęła do niego i chciała go zabrać na brzeg, jego ciało zaczęło tonąć. Nie mogła utrzymać go na powierzchni, Leo opadał coraz niżej w czarną otchłań, ciągnąc ją za sobą... Zaczęła się krztusić, nie widziała nic, nie mogła złapać tchu...

Roztrzęsiona wstała z łóżka i zaczęła szukać szlafroka i pantofli. Było jeszcze wcześniej, w domu panowały mrok i cisza. Podeszła do drzwi i zatrzymała się z ręką na klamce. Strach pulsował w jej żyłach. Nie chciała wychodzić z pokoju. Bała się, że Merripen mógł umrzeć w nocy... Bała się, że jej brata spotkała jakaś tragedia... A najbardziej bała się, że nie zdoła wytrzymać najgorszego, jeśli owo najgorsze nadejdzie. Nie czuła się na tyle silna.

Tylko myśl o siostrach zmusiła Amelię do naciśnięcia gałki i

przekręcenia jej. Dla ich dobra musi być spokojna i zdecydowana. Zrobi to, co będzie trzeba.

Przebiegła przez korytarz i pchnęła uchylone drzwi do pokoju Merripena.

Blade światło świtu z trudem przebijało się przez ciemność, ale było na tyle jasno, aby Amelia dostrzegła na łóżku dwie sylwetki. Merripen leżał nieruchomo - jego do niedawna silne sprężyste ciało zapadło się i skurczyło. Obok niego spała w ubraniu szczupła, drobna Win. Wydawało się niemożliwe, aby ta delikatna istota mogła osłaniać kogoś o tyle większego, a jednak Win zdawała się chronić Merripena. Amelia przyglądała się im ze zdumieniem, wyczytując z tego obrazka więcej, niż powiedziałyby jej słowa. Oboje wyrażali sobą tęsknotę i powściągliwość, nawet we śnie.

Zauważyła, że siostra oczy ma otwarte. Win nie poruszyła się i nic nie powiedziała, ale z jej twarzy można było wyczytać, że rozkoszuje się każdą sekundą spędzoną z Merripenem.

Ogarnięta współczuciem i smutkiem, Amelia oderwała od niej wzrok i wyszła z pokoju.

Prawie wpadła na Poppy, która w szlafroku szła korytarzem.

- Jak on się czuje?

Amelia poczuła ból w zaciśniętym gardle. Miała trudności z wydobyciem z siebie głosu.

- Nie najlepiej. Śpi. Chodźmy do kuchni, nastawić wodę. - Razem ruszyły ku schodom.

- Amelio, całą noc miałam straszne sny o Leo.

- Ja także.

- Czy myślisz, że on... zrobił sobie krzywdę?

- Mam nadzieję, że nie, z całego serca. Ale myślę, że to możliwe.

- Tak - szepnęła Poppy. - Ja też tak sądzę. - Westchnęła ciężko. - Biedna Beatrix.

- Dlaczego tak mówisz?

- Jest taka młoda, a straciła już tak wiele bliskich osób... mamę i tatę, a być może Merripena i Leo.

- Nie straciłyśmy jeszcze Merripena i Leo.

- Na tym etapie to byłby cud, gdyby udało nam się któregoś z nich uratować.

- Zawsze jesteś taka radosna o poranku. - Amelia złapała siostrę za rękę i ścisnęła ją mocno. Próbując odsunąć rozpacz, którą czuła, dodała stanowczo:

- Nie poddawajmy się jeszcze, Poppy. Powinnyśmy mieć nadzieję, tak długo, jak się da.

Zeszły na dół.

- Amelio. - W głosie Poppy pobrzmiwała nuta buntu. - Nie masz czasem ochoty rzucić się na ziemię i zacząć płakać?

Tak, pomyślała Amelia. W zasadzie nawet teraz. Ale nie mogła sobie



pozwolić na taki luksus.

- Nie, oczywiście, że nie. Płacz niczego nie rozwiązuje.

- A nie masz czasem ochoty się na kimś oprzeć?

- Nie potrzebuję nikogo. Sama doskonale sobie radzę.

- To głupie. Nie możesz opierać się na sobie samej.

- Poppy, jeśli chcesz zacząć dzień od sprzeczki... - Amelia urwała, słysząc na zewnątrz jakiś hałas: brzęk uprząży, chrzęst żwiru i turkot kół powozu. - Wielkie nieba, a któż to może być o tej porze?

- Lekarz? - zgadywała Poppy.

- Nie, jeszcze po niego nie posyłałam.

- Może wrócił lord Westcliff?

- Przecież nie miał żadnego powodu, zwłaszcza o tej porze.

Ktoś zapukał do drzwi, aż echo poniosło się po pustym holu.

Siostry spojrzały na siebie z niepokojem.

- Nie możemy otworzyć - stwierdziła Amelia. - Jesteśmy w szlafrokach.

W holu pojawiła się służąca. Odstawiła wiaderko z węglem, wytarła dłonie w fartuch i pospieszyła do drzwi. Zdjęła masywną sztabę, otworzyła je i dygnęła.

- Chodźmy - szepnęła Amelia, popychając Poppy w kierunku schodów.

Gdy jednak obejrzała się przez ramię, aby sprawdzić, kto przyjechał, dostrzegła wysokiego mężczyznę i poczuła iskrę nadziei w sercu. Zastygła z nogą na pierwszym stopniu i wpatrywała się w przybyłego, aż jego bursztynowe oczy spojrzały w jej kierunku.

Cam.

Ubranie miał w nieładzie, był strasznie potargany. Uśmiechnął się jednak, gdy ją zobaczył.

- Chyba nie potrafię trzymać się od ciebie z daleka - powiedział.

Amelia pobiegła ku niemu bez zastanowienia, potykając się z pośpiechu.

- Cam...

Ze śmiechem chwycił ją w ramiona. Przywarły do niego zapachy z zewnątrz: mokra ziemia, wilgoć, liście. Wilgoć z jego płaszcza przeniknęła przez cienki materiał jej szlafroka. Czując, jak drżała z zimna, Cam rozchylił poły płaszcza i z cichym pomrukiem przyciągnął ją do swojego silnego, ciepłego ciała. Amelia nie mogła powstrzymać łez. Nie była świadoma obecności służby i siostry. Powinna się odsunąć i wziąć w garść. Ale nie mogła. Jeszcze nie.

- Musiałeś jechać przez całą noc - powiedziała cicho.

- Musiałem wrócić wcześniej. - Poczowała jego wargi na swoich potarganych włosach. - Zostawiłem pewne sprawy niedokończone, ale czułem, że mnie potrzebujesz. Powiedz mi, co się stało, kochanie.

Otworzyła usta, aby mu odpowiedzieć, ale ku jej zawstydzeniu

jedynym dźwiękiem, jaki zdołała z siebie wydać, był żaloszny płacz. Całkiem się rozkleiła. Pokręciła głową i zaszlochała, a im bardziej starała się opanować, tym głośniej płakała.

Cam przyciągnął ją mocno do siebie. Potok łez zdawał się go w ogóle nie przerażać. Wziął Amelię za rękę i przycisnął sobie do piersi jej dłón. Poczwała silne, miarowe bicie jego serca. W świecie, który się wokół niej rozpadał, on był silny i godny zaufania.

- Już w porządku - usłyszała jego szept. - Jestem tu. Zaniepokojona swoim wybuchem Amelia spróbowała się odsunąć, ale Cam tylko przytulił ją mocniej.

- Nie, nie odsuwaj się. Trzymam cię. - Przycisnął ją drżącą do swojej piersi. Gdy zobaczył, że Poppy wycofuje się ukradkiem, uśmiechnął się do niej z otuchą. - Nie martw się, siostrzyczko.

- Amelia nigdy nie płacze.

- Nic jej nie jest. - Cam przesunął dłónią po plecach Amelii w kojącej pieśczocie. - Potrzebuje po prostu...

- Na kimś się oprzeć - dokończyła Poppy, gdy urwał.

- Tak. - Pociągnął Amelię na schody i skinął głową do Poppy, aby usiadła z nimi.

Posadził sobie Amelię na kolanach i otarł jej oczy i nos chusteczką. Gdy uznał, że nic nie pojmie z jej rozslochanych słów, uciszył ją delikatnie i znów przytulił, a ona ukryła twarz w jego piersi. Czując przepełniającą ją ulgę, pozwoliła mu się kołysać jak dziecko.

Gdy uspokajała się w jego ramionach, Cam zadał kilka pytań Poppy, która opowiedziała mu pokrótce o stanie Merripena i zniknięciu Leo, a nawet o brakujących srebrach.

Amelia w końcu wzięła się w garść i podniosła głowę. Odetchnęła głośno.

- Lepiej? - zapytał Cam, podsuwając jej pod nos chusteczkę.

Kiwnęła głową i posłusznie wytarła twarz.

- Przepraszam - powiedziała zawstydzonym głosem.

- Nie powinnam była zamieniać się w fontannę. Już skończyłam.

Cam wydawał się czytać w niej jak w otwartej książce.

- Nie masz za co przepraszać. I nie musisz też kończyć - powiedział łagodnie.

Uświadomiła sobie, że nieważne, co by zrobiła, jak długo by płakała, on by to zrozumiał. I pocieszył ją. Znów poczuła łzy pod powiekami. Wsunęła mu dłón pod koszulę i dotknęła ciepłej spalonej słońcem szyi.

- Myślisz, że Leo nie żyje? - spytała z obawą.

Nie oferował jej fałszywej nadziei ani pustych obietnic, tylko pogładził ją delikatnie po mokrym policzku.

- Cokolwiek się stanie, przejdziemy przez to razem.

- Cam.. zrobisz coś dla mnie?

- Wszystko.

- Czy mógłbyś odnaleźć tę roślinę, którą Merripen wyleczył Win i Leo ze szkarlatyny?

Cofnął się i spojrzał na nią ze smutkiem.

- Wilczą jagodę? To nie zadziała w tym przypadku, kochanie.

- Przecież to gorączka.

- Wywołana zakażeniem. Trzeba wyleczyć jego źródło.

- Położył dłoń na karku Amelii i zaczął masować jej boleśnie napięte mięśnie. - Chodźmy go obejrzeć.

- Myślisz, że zdołasz mu pomóc? - zapytała Poppy, podrywając się ze stopnia.

- Albo go wyleczę, albo moje wysiłki szybko go uśmiercą. Przeciwno czemu, na tym etapie nie może oponować. - Cam podniósł Amelię, postawił ją ostrożnie na nogi i razem weszli na schody. Trzymał rękę na jej plecach, dając lekkie, lecz pewne oparcie, którego tak rozpaczliwie potrzebowała.

Gdy znaleźli się pod drzwiami pokoju, Amelii przyszło do głowy, że Win może tam wciąż być.

- Zaczekaj - powiedziała, przyspieszając kroku. - Wejść pierwsza.

Cam został za drzwiami.

Ostrożnie weszła do pokoju i zobaczyła śpiącego na łóżku Merripena. Był sam. Amelia otworzyła szerzej drzwi i skinęła ręką na Cama i Poppy.

Gdy Merripen uświadomił sobie, że w pokoju jest ktoś jeszcze, poderwał się i spojrzał na nich spod zmrużonych powiek. Gdy tylko zauważył Cama, jego twarz wykrzywiła się ze złości.

- Wynoś się stąd! - wychrypiął opryskliwym tonem. Cam uśmiechnął się miło.

- Wobec lekarza też byłeś taki miły. Założę się, że wychodził ze skóry, aby ci pomóc.

- Odejdź ode mnie!

- To cię może zaskoczyć, ale istnieje naprawdę długa lista rzeczy, które wolałbym robić, zamiast dbać o twoje gnijące plecy. Dla dobra twojej rodziny jednak się poświęcę. Odwróć się. - Merripen oderwał brzuch od materaca i powiedział w romani coś, co zabrzmiało bardzo paskudnie. - i ciebie też - odparł Cam łagodnie. Uniósł koszulę Merripena i oderwał bandaż ze zranionego barku. Z obojętnym wyrazem twarzy lustrował ohydną, zaropiałą ranę. - Jak często zmieniacie opatrunek? - zapytał Amelię.

- Dwa razy dziennie.

- Spróbujemy cztery razy dziennie. I gorące okłady. - Cam dał znak Amelii, aby podeszła z nim do drzwi. Pochylił głowę do jej ucha. - Muszę na chwilę wyjść po parę rzeczy. Gdy mnie nie będzie, podajcie mu jakiś środek nasenny. Inaczej tego nie wytrzyma.

- Nie wytrzyma czego? Z czego masz zamiar przyrządzić ten okład?

- Z mieszaniny kilku składników. W tym apis mellifica.

- A co to takiego?

- Jad pszczeleli. Ekstrakt ze zmiażdżonych pszczoł, jeśli mam być dokładny. Namoczmy je w roztworze wody i alkoholu.

Zdumiona Amelia pokręciła głową.

- Ale skąd weźmiesz... - Urwała i spojrzała na niego z przerażeniem. - Pójdiesz do Ramsay House? J-jak złapiesz pszczoły?

Skrzywił się zabawnie.

- Bardzo ostrożnie.

- Czy chcesz... czy mam ci pomóc?

Wiedząc, jak bardzo Amelia boi się tych owadów, Cam objął jej głowę rękami i wycisnął namiętny pocałunek na jej wargach.

- Nie przy pszczołach, kochanie. Zostań tu i podaj Merripenowi morfinę. Dużo morfiny.

- Nie zgodzi się. Nie cierpi morfiny. Na pewno uzna, że da sobie radę.

- Zaufaj mi, nie chciałabyś, aby on był przytomny, gdy zrobię mu ten okład. Nikt by nie chciał, zwłaszcza Merripen. Romowie nie bez powodu nazywają tę metodę białą błyskawicą. To nie jest coś, co można wytrzymać. Zrób, co tylko w twojej mocy, aby go uśpić, monisha. Ja niedługo wrócę.

- Myślisz, że ta biała błyskawica zadziała?

- Nie wiem. - Cam rzucił nieodgadnione spojrzenie na leżącą w łóżku postać. - Ale jeśli nie spróbujemy, on długo nie pożyje.

Gdy Cam wyszedł, Amelia postanowiła naradzić się z siostrami. Uznały, że to Win ma największą szansę, aby zaaplikować Merripenowi środek uśmierzający. I to Win zdecydowała, że trzeba go oszukać, bo dobrowolnie nie przyjmie morfiny, choćby nie wiem jak go błagały.

- Skłamię, jeśli to konieczne - oznajmiła, wprawiając siostry w osłupienie. - On mi ufa. Uwierz mi we wszystko, co powiem.

Win nie skłamała nigdy w życiu, nawet jako dziecko.

- Naprawdę myślisz, że potrafisz to zrobić? - zapytała Beatrix z respektem.

- Aby ocalić mu życie? Tak. - Pomiedzy delikatnymi brwiami Win pojawiła się pionowa zmarszczka, na policzki wypłynął bladoróżowy rumieniec. - Myślę... myślę, że grzech popełniony w takich okolicznościach może zostać darowany.

- Zgadza się - stwierdziła szybko Amelia.

- Merripen lubi miętową herbatę - powiedziała Win. - Zaparzymy bardzo mocną i dodamy dużo cukru. To pomoże ukryć gorzki smak.

Jeszcze chyba żaden dzbanek herbaty nie był przygotowywany z większą skrupulatnością niż ten, nad którym pochylały się siostry Hathaway jak młode czarownice.

W końcu imbryk został napełniony silnym naparem i cukrem, i ustawiony na tacy z filiżanką i spodeczkiem.

Win zaniósła to wszystko do pokoju Merripena, przystając na progu, gdy Amelia otwierała jej drzwi.

- Czy mam iść z tobą? - szepnęła Amelia. Win pokręciła głową.

- Nie, dam sobie radę. Proszę, zamknij drzwi. I upewnij się, że nikt nam nie przeszkodzi. - Gdy wchodziła do środka, jej szczupłe plecy były sztywno wyprostowane.

Słyszając odgłos kroków Win, Merripen otworzył oczy. Ból w jątrzącej się ranie nie słabł i nie ustępował. Chory czuł, jak toksyny sączą się do jego krwi, karmiąc trucizną każdy skrawek ciała. Ogarnęła go oszałamiająca fala mrocznej euforii. Gdy weszła Win, na powrót osunął się w ból, tylko po to, aby poczuć na sobie jej dłonie i jej oddech na twarzy.

Jaśniała przed nim jak miraż. Skórę miała chłodną i jasną, a z jego ciała buchało gorąco i zgniły fetor.

- Przyniosłam ci coś.

- Nie... nie chcę...

- Owszem - nalegała, siadając na łóżku. - Dzięki temu lepiej się poczujesz... Proszę, podnieś się nieco, a ja cię podtrzymam.

Wyczuł delikatne kształty kobiecego ciała i zazgrzytał zębami w przyplywie tępej rozpacz, gdy się przesunął, aby mogła usiąść obok niego. Ciemność i światło gonily się pod jego powiekami, a on za wszelką cenę starał się zachować przytomność.

Gdy znów mógł otworzyć oczy, zobaczył, że jego głowa spoczywa na piersiach Win, która otoczyła go ramieniem, a drugą ręką podawała mu filiżankę.

Delikatna porcelana dotknęła jego zębów. Merripen wzdrygnął się, gdy gorycz podrażniła jego spierzchnięte usta.

- Nie...

- Tak. Wypij to. - Filiżanka znów się uniosła. Jego uszy wypełnił czuły szept. - Dla mnie.

Był zbyt chory, wiedział, że chyba nawet nie utrzyma w sobie herbaty, ale by zadowolić Win, upił łyk. Poczł rzeński, cierpki smak.

- Co to jest?

- Herbata miętowa. - Anielsko błękitne oczy Win wpatrywały się w niego bez mrugnięcia, jej śliczna twarz miała swój zwykły wyraz. - Musisz wypić całą filiżankę, a potem może jeszcze jedną. Lepiej się poczujesz.

Od razu wiedział, że Win kłamie. Nic nie mogło sprawić, żeby poczuł się lepiej. A gorzki smak morfiny nie sposób było ukryć. Wyczuł jednak zdecydowanie Win i przyszło mu do głowy, że dziewczyna celowo podaje mu zbyt dużą dawkę narkotyku. Jego wyczerpany mózg analizował możliwe wyjaśnienia. Win postanowiła zapewne zaoszczędzić mu cierpienie, wiedząc że

on już nie znieśie dłużej tych męczarni. Uśmiercenie go za pomocą morfiny było ostatnim aktem łaski, który mogła mu ofiarować.

Umrzeć w jej ramionach... przytulił się do niej z całych sił i oddał zbolełą duszę ciemności... Win będzie ostatnia, którą poczuje, zobaczy, usłyszy. Gdyby zostały w nim jeszcze jakieś łzy, zapłakałby teraz z wdzięczności.

Pił powoli, zmuszając się do każdego łyku. Zdołał wychylić jeszcze pół filiżanki, zanim jego gardło odmówiło posłuszeństwa. Zwrócił twarz ku piersi Win i zadrżał. Kręciło mu się w głowie, iskry przelatywały wokół jak spadające gwiazdy.

Win odstawiała filiżankę, pogładziła Merripena po włosach i przycisnęła mokry policzek do jego czoła. Czekali.

- Zaśpiewaj coś dla mnie - poprosił szeptem Merripen, pogrążając się w ciemnym wirze. Win, nie przestając gładzić go po włosach, zanuciła kołysankę. Jego palce dotknęły gardła dziewczyny, aby poczuć cenne wibracje jej głosu, a iskry zbladły, gdy w końcu zatracił się w niej, w swoim przeznaczeniu.

Amelia opadła na podłogę i czekała przy drzwiach, z dłońmi splecionymi na kolanach. Słyszała czule szepty Win... kilka zgrzytliwych mruknięć Merripena... długą ciszę. A potem znów głos Win, która nuciła miękko melodię tak piękną i szczerą, że Amelia poczuła ból w sercu. W końcu łagodny głos zamilkł.

Gdy upłynęła godzina, Amelia, której nerwy były napięte do granic możliwości, podniosła się, by rozprostować zdrtwiałe ręce i nogi. Otworzyła drzwi z przesadną ostrożnością. Win wstawiała właśnie z łóżka i otulała kołdrą leżącego na brzuchu Merripena.

- Wypił lekarstwo? - szepnęła, podchodząc do niej. Win wyglądała na zmęczoną i spiętą.

- Większość.

- Musiałś go okłamać? Niepewnie skinienie głowy.

- Najprostsza rzecz, jaką w życiu zrobiłam. Widzisz? Wcale nie jestem taka święta.

- Jesteś - odparła Amelia, przytulając ją mocno. - Właśnie, że jesteś.

Nawet zdyscyplinowana służba lorda Westcliffa miała ochotę zaprotestować, gdy Cam powrócił do domu z dwoma słojami żywych pszczoł i zaniósł je do kuchni. Pokojówki wybiegły z krzykiem na korytarz, gospodyni udała się do swego pokoju, aby napisać gniewny list do hrabiego i hrabiny, a kamerdyner poinformował głównego stajennego, że jeżeli lord Westcliff oczekuje po nim zajmowania się takimi gośćmi, to on pomyśli poważnie o emeryturze.

Tylko Beatrix ośmieliła się wejść do kuchni i została z Camem, pomagając mu gotować, cedzić i mieszać. Później poinformowała siostry, że

rozgniatanie pszczoł to naprawdę wspaniałą zabawą.

W końcu Cam przyniósł do pokoju Merripena coś, co wyglądało jak czarodziejski wywar. Amelia już tam czekała, przygotowawszy czyste noże, nożyczki, pęsetę, świeżą wodę i stos czystych białych bandaży.

Poppy i Beatrix, ku ich wielkiemu rozczarowaniu, polecono opuścić pokój, a Win starannie zamknęła za nimi drzwi. Wzięła od Amelii fartuch, obwiązała go sobie wokół szczupłej talii i podeszła do łóżka.

- Puls jest słaby i wolny. Morfina działa - powiedziała, przyciskając palce do szyi chorego.

- Jad pszczoł stymuluje serce - odrzekł Cam, podwijając rękawy. - Możesz mi wierzyć, za minutę czy dwie będzie biło jak szalone.

- Czy mam zdjąć bandażę? - zapytała Amelia. Cam kiwnął głową.

- I koszulę. - Podeszedł do umywalni i starannie wyszorował ręce.

Win i Amelia ostrożnie ściągnęły koszulę i opatrunek z zapadniętych pleców Merripena. Ich przyjaciel bardzo stracił na wadze. Żebra sterczały mu ostro pod ogorzałą skórą.

Win wyrzuciła przepoconą koszulę, a Amelia powoli odwinęła bandaż. Przerwała na chwilę, dostrzegłszy dziwny znak na drugim ramieniu chorego. Pochyliła się nad nim i obejrzała uważnie atramentowy rysunek.

- Tatuaż - zdołała tylko wykrztusić zdumiona.

- Tak, zauważyłam go kilka dni temu - odparła Win, podchodząc do łóżka. - To dziwne, że nigdy o nim nie wspomniał, prawda? Teraz już rozumiem, dlaczego zawsze rysował pukę i wymyślał o nim różne historie, gdy był młodszy. To musi mieć jakieś związki z...

- Co powiedziałaś? - Cam mówił cicho, ale w jego głosie słychać było ogromne napięcie.

- Merripen ma tatuaż puki na ramieniu - odparła Win i spojrzała na niego z konsternacją, gdy podbiegł do łóżka trzema długimi krokami. - Nic o tym nie wiedziałyśmy. To podobno bardzo rzadki wzór. Nigdy nie widziałam nic... - Umilkła zdumiona, gdy Rohan zbliżył rękę do ramienia Merripena.

Czarne, uskrzydłone konie z żółtymi oczami były identyczne.

Amelia spojrzała na nieruchomą twarz Cama.

- Co to oznacza?

Nie mógł oderwać wzroku od tatuazu Merripena.

- Nie wiem.

- Znałeś jeszcze kogoś, kto...

- Nie. - Cam się odsunął. - Słodki Jezu. - Powoli obszedł łóżko, przypatrując się nieruchomemu Merripenowi, jakby był egzotycznym zwierzęciem, którego on, Cam, nigdy wcześniej nie widział. Wziął z tacy nożyczki.

Win odruchowo przysunęła się bliżej śpiącego. Widząc to, Cam zapewnił ją:

- Wszystko w porządku, siostrzyczko. Muszę tylko usunąć martwe ciało.

Pochylił się nad Merripem w skupieniu. Po minucie obserwowania go, jak czyścił ranę, Win podeszła do najbliższego krzesła i opadła na nie gwałtownie, jakby ugięły się pod nią kolana.

Amelia stanęła za nim, czując narastającą w gardle falę mdłości. Cam był tak niewzruszony, jakby naprawiał zawily mechanizm zegara, a nie wycinał gnijące ludzkie tkanki. Na jego polecenie, Amelia podała mu butelkę płynu, który pachniał ostro, lecz intrygująco słodko.

- Tylko uważaj na oczy - powiedział Cam, przecierając ranę roztworem soli.

- Pachnie owocami.

- To jad.

Odciął kawałek płótna i zanurzył go w butli. Potem wyjął ostrożnie i położył na ranie zupełnie mokry okład. Nawet tak głęboko uśpiony Merripen poderwał się i jęknął.

- Spokojnie, chał. - Cam położył mu dłoń na plecach, aby go przytrzymać. Gdy upewnił się, że chory znów leży nieruchomo, zabandażował okład. - Trzeba go zmieniać za każdym razem, gdy będziemy czyścić ranę. Nie przewróćcie butelki. Nie chciałbym chodzić po następne pszczoły.

- Skąd będziemy wiedzieli, że to działa? - zapytała Amelia.

- Gorączka powinna zacząć spadać, a do jutra powinniśmy zobaczyć na ranie formujący się strup. - Przyłożył palce do szyi Merripena i spojrzał na Win. - Puls jest silniejszy.

- A ból? - zapytała z niepokojem.

- To także powinno szybko się poprawić. - Cam uśmiechnął się i zacytował łacińską maksymę. - Pro medicina est dolor, dolore qui necat.

- Lekarstwem jest ból, który ból zabija - przetłumaczyła Win.

- To może mieć sens tylko dla Roma - skomentowała Amelia, a Cam się uśmiechnął. Położył dłoń na jej ramieniu.

- Teraz ty tu rządzisz, koliberku. Ja muszę na chwilę wyjść.

- Teraz? Ale... dokąd znów idziesz? Cam zmienił się na twarzy.

- Znaleźć twojego brata.

Amelia spojrzała na niego z mieszaniną wdzięczności i troski.

- Może powinieneś najpierw odpocząć? Podróżowałaś całą noc. Odnalezienie go może potrwać dłużej.

- Nie sądzę - odparł z ironią Cam. - Twój brat nie będzie zacierał za sobą śladów.



## Rozdział 20

Mniej więcej sześć godzin od rozpoczęcia poszukiwań Leo, Cam zapukał do frontowych drzwi dobrze utrzymanego dworu. Okazało się, że ktoś we wsi widział lorda Ramsaya w towarzystwie jakiegoś mężczyzny, zmierzających do pewnego miejsca, gdzie podsłuchano, dokąd się wybierali - i to doprowadziło Cama do tego domu.

Duży budynek w stylu Tudorów z datą „1620” umieszczoną nad drzwiami był położony około dziesięciu mil od Stony Cross Park. Z informacji, które zebrał Cam, wynikało, że posiadłość należała kiedyś do pewnej szlacheckiej rodziny, która jednak była zmuszona sprzedać majątek kupcowi z Londynu. Obecnie służyła jako przybytek zakazanych rozkoszy rozpustnym synom kupca i ich przyjaciółom.

Doskonale towarzystwo dla Leo. Drzwi otworzyły się i stanął w nich kamerdyner z rybią twarzą. Gdy zobaczył Cama, jego usta wygięły się w pogardliwym grymasie.

- Twoi nie są tu mile widziani.

- Dobrze się składa, bo nie zamierzam zostać długo. Przyjechałem po lorda Ramsaya.

- Tu nie ma żadnego Ramsaya. - Kamerdyner próbował zamknąć drzwi, ale Cam przytrzymał je dłonią.

- Wysoki. Jasne oczy. Rumiany na twarzy. Pewnie cuchnął alkoholem...

- Nie widziałem tu nikogo takiego.

- Pozwól mi więc porozmawiać ze swoim panem.

- Nie ma go w domu.

- Posłuchaj - oznajmił zirytowany Cam - przybyłem tu na polecenie sióstr lorda Ramsaya. One chcą, żeby wrócił do domu. Bóg jeden wie dlaczego. Wydaj mi go, to dam ci spokój.

- Jeśli go chcą - odparł lodowatym tonem kamerdyner - niech przyślą prawdziwego służącego. A nie brudnego Cygana.

Cam potarł kąciki oczu i westchnął.

- Możemy to rozstrzygnąć po dobroci albo siłą. Szczerze mówiąc, wołałbym nie wysilać się niepotrzebnie. Proszę tylko, byś mnie wpuścił na pięć minut, żebym odnalazł tego łajdaka i was od niego uwolnił.

- Do diabła z tobą!

Po kolejnej nieudanej próbie zamknięcia drzwi kamerdyner zadzwonił srebrnym dzwonkiem. Kilka sekund później w holu pojawili się dwaj krzepcy lokaje.

- Pozbądźcie się tego robaka - polecił kamerdyner. Cam zdjął płaszcz i

położył go na jednej z ław.

Rzucił się na niego pierwszy lokaj. Cam uderzył go w szczękę prawym sierpowym, a potem przerzucił sobie przez ramię i posłał na ziemię.

Drugi służący podszedł do niego ze znacznie większą ostrożnością.

- Której ręki używasz częściej? - spytał go Cam.

- Dlaczego chcesz wiedzieć? - zapytał tamten zdumiony.

- Wolałbym złamać tę, której nie używasz tak często. Przeciwnik wybałuszył oczy i uciekł, rzucając kamerdynerowi błagalne spojrzenie.

Ten spojrzął na Cama wilkiem.

- Masz pięć minut. Znajdź swojego pana i wynocha.

- Ramsay nie jest moim panem - odparł Cam. - To prawdziwy wrzód na moim tyłku.

- Siedzą w tym samym pokoju już od kilku dni - poinformował go lokaj o imieniu George, gdy szli po wyłożonych chodnikami schodach. - Jedzenie tam donosimy, dziwki przychodzą i odchodzą, wszędzie poniewierają się puste butelki po winie... a smród opiumowego dymu unosi się po całym piętrze. Proszę zakryć oczy, gdy będzie pan wchodził do tego pokoju.

- Z powodu dymu?

- Dymu, i... cóż, to, co się tam wyprawia, samego diabła przyprawiłoby o rumieniec.

- Jestem z Londynu. Nigdy się nie rumienię. - Nawet gdyby George nie chciał mu wskazać drogi do tej jaskini występku, Cam odnalazłby ją po zapachu.

Drzwi były uchylone. Cam otworzył je na oścież i wkroczył do dusznego wnętrza. W środku ujrzał czterech mężczyzn i dwie kobiety, wszyscy byli młodzi i w różnym stopniu roznegliżowani. Zobaczył tylko jedną fajkę do palenia opium, ale cały pokój wypełniał gęsty słodki dym. Przybycie Cama nie zainteresowało nikogo. Mężczyźni leżeli apatycznie na miękkich kanapach, jeden z nich zwinął się na poduszkach w kącie. Twarze mieli trupioblade, oczy szkliste od narkotyku. Na stoliku wałały się łyżeczki i widelce oraz naczynie wypełnione czymś, co wyglądało jak czarna melasa.

Jedna z kobiet, kompletnie naga, właśnie podawała fajkę siedzącemu obok mężczyźnie.

- Patrz - powiedziała do swojej towarzyszki. - Jest ktoś nowy. - Rozległ się senny chichot. - To dobrze, przyda się nam. Ci tutaj niewiele są już warci. Jedyna sztywna rzecz, jaka im została, to ta fajka. - Odwróciła się, aby spojrzeć na Cama. - Boże, ależ piękny mężczyzna!

- Och, czy mogę go mieć pierwsza? - zapytała druga z kobiet, poklepując się zapraszającym gestem. - Podejdz tu, kochaneczku. Dam ci...

- Nie, dziękuję. - Camowi zaczynało się już kręcić w głowie od dymu.

Podszedł do najbliższego okna, otworzył je i wpuścił do środka chłodne powietrze. Rozległy się pojedyncze przekleństwa i protesty.

W mężczyźnie w kącie Cam rozpoznał Leo, podszedł więc do niego, uniósł mu głowę i spojrzał na opuchniętą twarz swojego przyszłego szwagra.

- Mało się nawdychałeś dymu ostatnio? - zapytał.

- Wynoś się stąd. - Leo się wykrzywił.

- Mówisz dokładnie jak Merripen. Który, jeśli cię to w ogóle interesuje, może być martwy, zanim zdążymy wrócić do Stony Cross Manor.

- I dobrze.

- Zgodziłbym się z tobą, gdyby to nie oznaczało, że jestem po twojej stronie. - Cam zaczął podnosić za włosy Leo, który się opierał. - Wstawaj, do cholery. - Postawił go na nogi, sapiąc z wysiłku. - Albo cię stąd wywołokę.

Bezwładne ciało Ramsaya zatoczyło się na niego.

- Próbuję wstać, ale podłoga spode mnie ucieka. Cam próbował go podtrzymać. W końcu Leo stanął pewnie na nogach i zatoczył się do drzwi, w których czekał lokaj.

- Czy mogę odprowadzić pana na dół, milordzie? - zapytał George uprzejmie. Leo odpowiedział mu beczelnym grymasem.

- Zamknijcie okna - zażądała jedna z kobiet, czując na swoim nagim ciele powiew zimnego jesiennego wiatru.

Cam spojrzał na nią beznamiętnie. Widywał zbyt dużo kobiet jej pokroju, aby odczuwać litość. W Londynie było ich tysiące - wiejskich dziewczek z okrągłymi twarzami, na tyle ładnych, aby mogły zwrócić uwagę mężczyznom, którzy obiecywali, brali, a potem porzucali je bez sumienia.

- Przyda ci się trochę świeżego powietrza - powiedział jej, sięgając po wygnieciony koc. - Rozjaśnia myślenie.

- A po co miałabym jasno myśleć? - zapytała opryskliwie.

Cam się uśmiechnął.

- Słuszna uwaga. - Otulił jej białe, drżące ciało pledem. - Ale i tak sądzę, że powinnaś wziąć kilka głębokich wdechów. - Pochylił się i poklepał ją delikatnie po bladym policzku. - I opuścić to miejsce, gdy tylko będziesz w stanie. Nie powinnaś się marnować na tych łajdaków.

Zdumiona kobieta podniosła przekrwione oczy i popatrzyła na czarnowłosego mężczyznę, smagłego i pięknego jak księżę piratów, z błyszczącym diamentem w uchu.

Jej błagalny głos odprowadził Cama do drzwi.

- Wracaj!

Cam i George musieli połączyć siły, aby zapakować opierającego się Leo do powozu.

- Jest ciężki jak wór ziemniaków - powiedział lokaj bez tchu, gdy w końcu wepchnęli go do pojazdu.

- Ziemniaki byłyby cichsze - zauważył Cam i rzucił służącemu złotego suwerena.

George złapał go w powietrzu i uśmiechnął się szeroko.

- Dziękuję panu! Prawdziwy dżentelmen z pana, nawet jeśli jest pan Cyganem.

Cam uśmiechnął się kpiąco i wszedł do powozu. W milczeniu ruszyli do Stony Cross.

- Chcesz, żeby się zatrzymać? - zapytał Cam w połowie drogi, gdy twarz Leo z białej stała się zieloną.

Tamten ponuro pokręcił głową.

- Nie będę z tobą rozmawiać.

- Jesteś mi winien kilka odpowiedzi. Gdybym nie musiał spędzić połowy dnia na szukaniu cię po całym Hampshire, mógłbym już leżeć w łóżku... - Z swoją siostrą, pomyślał, ale głośno dodał: - I spać.

Poczuł na sobie spojrzenie tych intrygująco jasnych oczu koloru sopli lodowych, gdy przenika przez nie błękitny zmierzch. Niezwykle oczy. Cam widział już takie kiedyś, ale nie mógł sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach. Odległe wspomnienie czaiło się tuż poza zasięgiem jego pamięci.

- Co chcesz wiedzieć? - zapytał Leo.

- Dlaczego tak bardzo nie lubisz Merripena? To przez twoją czarującą niedyspozycję czy dlatego, że jest Romem? A może dlatego, że twoi rodzice wzięli go do siebie i wychowali jak jednego z was?

- Nic z tych rzeczy. Gardzę Merripenem, bo odmówił mi jedynej rzeczy, o jaką go kiedykolwiek poprosiłem.

- Czyli?

- Nie pozwolił mi umrzeć. Cam się zamyślił.

- Wtedy, gdy pielęgnował cię w czasie szkarlatyny? -Tak.

- Winisz go za to, że ocalił ci życie? -Tak.

- Jeśli to ci jakoś poprawi humor - oświadczył drwiąco Rohan, sadowiąc się wygodnie - jestem pewien, że teraz tego żałuje.

Zamilkli, a Cam rozluźnił się i pozwolił myślom swobodnie wędrować. Gdy ciemność okryła twarz Leo cieniem, a jego niepokojące oczy zamigotały srebrem i błękitem, Cam przypomniał to sobie wreszcie.

Był wtedy dzieckiem i mieszkał ze swoimi. Znajdował się pomiędzy nimi mężczyzna z wymizerowaną twarzą i lśniącymi, bezbarwnymi oczami, cierpiący z bólu po stracie córki. Babka Cama ostrzegła go wtedy, aby się do niego nie zbliżał.

- On jest muladi - powiedziała.

- A co to znaczy, mami? - zapytał Cam, przywierając z lękiem do jej ciepłej dłoni, sękatej i twardej jak korzenie starych drzew.

- Nawiedza go zmarła osoba. Nie podchodź do niego, on naruszył równowagę światów. Kochał swą córkę zbyt mocno.

- A czy ja będę muladi, gdy ty umrzesz, mami? - zapytał Cam, współczując mężczyźnie i bojąc się o siebie. Był przekonany, że on także

kocha babkę zbyt mocno, ale nie potrafił się od tego powstrzymać.

W mądrych, czarnych oczach staruszki pojawił się uśmiech.

- Nie, Cam. Muladi więzi ducha ukochanej osoby pomiędzy światami, bo nie może pozwolić jej odejść. Ty nie zrobiłbyś mi tego, prawda, mały lisku?

- Nie, Mami.

Wkrótce potem mężczyzna umarł - popełnił samobójstwo. Dla całego plemienia była to straszna tragedia, ale także ulga.

Teraz, gdy Cam spoglądał na te wydarzenia wstecz, nie z perspektywy dziecka, lecz dorosłego mężczyzny, czuł obawę i pełną bólu litość. Czy to możliwe, aby pozwolić odejść kobiecie, którą się kocha? Jak można przestać jej pragnąć? Serce pękłoby mu wtedy z żalu. Przecież to oczywiste, że chciałby ją przy sobie zatrzymać. Albo za nią podążyć.

Gdy Cam wjechał na podjazd z nieodczuwającym skruchy synem marnotrawnym u boku, powitały go Amelia i Beatrix. Ta pierwsza zmarszczyła brwi, a druga się uśmiechała.

Amelia otworzyła usta, aby powiedzieć coś do Leo, ale Cam spojrzał jej w oczy i pokręcił głową, dając znak, aby milczała. Ku jego zdumieniu posłuchała i przełknęła ostre słowa. Sięgnęła po płaszcz Leo.

- Ja to wezmę - powiedziała przygnębionym tonem.

- Dziękuję.

Oboje unikali patrzenia na siebie.

- Właśnie zjedliśmy kolację - wymamrotała Amelia. - Gulasz jest jeszcze ciepły. Zjesz trochę?

Leo przecząco pokręcił głową.

Beatrix, obojętna na napiętą atmosferę, rzuciła się do brata i oplótła go rękami w pasie.

- Tak długo cię nie było! Tyle się wydarzyło: Merripen jest chory, a ja pomogłam zrobić dla niego lekarstwo i... - Urwała i wykrzywiła się. - Brzydko pachniesz. Co...

- Powiedz, jak przyrządziłaś to lekarstwo - przerwał jej szorstko Leo, zmierzając w kierunku schodów. Beatrix poszła za nim, gadając bez opamiętania.

Cam spojrzał uważnie na Amelię. Żaden szczegół nie uszedł jego uwagi.

Ubranie miała w nieładzie, włosy opadały jej kaskadą na plecy, w oczach było widać zmęczenie. Potrzebowała odpoczynku.

- Dziękuję, że go znalazłeś - powiedziała. - Gdzie był?

- W prywatnej rezydencji, z przyjaciółmi. Podeszła bliżej niego i pociągnęła nosem.

- Ten zapach... Obaj nim przesiąkliście.

- To opium. Twój brat ma nową, kosztowną rozrywkę.

- Nie było nas stać nawet na te stare - jęknęła Amelia, nerwowo

postukując stopą.

Była taka bezbronna, niezłomna i urocza, że Cam z trudem nad sobą panował; chciał porwać ją w ramiona i całować do nieprzytomności.

- Jedyne powód, dla którego jeszcze go nie zamordowałam - kontynuowała Amelia - to ten, że wyglądał na zbyt otumanionego, aby to poczuć. Ale kiedy wytrzeźwieje, zamierzam...

- Jak się czuje Merripen? - przerwał jej Cam, przesuwając delikatnie ręką po jej ramieniu aż do łokcia.

Postukiwanie ustało.

- Nadal gorączkuje, ale ma się już znacznie lepiej. Win z nim jest. Zmieniłyśmy mu okład... Rana wygląda nieco mniej ohydnie niż wcześniej. To dobry znak?

- Dobry.

Amelia spojrzała na niego z troską.

- Przygotować ci coś do jedzenia?

- Najpierw muszę się porządnie wykąpać. - O wielu rzeczach musieli porozmawiać, ale to mogło poczekać. - Idź do łóżka, monisha. Wyglądasz na zmęczoną.

- Ty również - odparła, stając na palcach. Cam nawet nie drgnął, gdy przycisnęła usta do jego policzka.

Zawahała się. - Przyjdiesz do mnie w nocy? - zapytała niepewnie.

Nieśmiałe zaproszenie prawie przekonało go do zmiany zdania. Oto dobry początek, oznaka akceptacji, ale zbyt mu zależało na Amelii, aby wykorzystywać ją, gdy była tak wyraźnie zmęczona.

- Nie. - Wziął ją w ramiona. - Bardziej potrzebujesz snu niż moich pieszczot.

Zarumieniła się i przywarła do niego mocniej.

- Nie mam nic przeciwko twoim pieszczotom. Cam się roześmiał.

- Wspaniałe świadectwo moich miłosnych talentów.

- Przyjdź do mnie - szepnęła. - Przytulisz mnie, gdy będę spała.

- Koliberku - odparł, przesuwając ustami po jej brwiach - gdybym cię przytulił, musiałbym się z tobą kochać. Lepiej więc, jeśli pośpimy dzisiaj w osobnych łóżkach.

- Spojrzał na nią z uśmiechem. - Tylko dzisiaj.

Musiał myć się trzy razy, zanim zdołał usunąć ze skóry i włosów woń opium. Wytarł się do sucha, włożył czarny jedwabny szlafrok i przeszedł przez ciemny korytarz do swojego pokoju. Na zewnątrz szalała burza, lał deszcz, a pioruny biły z taką siłą, że trzęsły się okna i dach.

Ktoś napalił mu w kominku, ogień dawał ciepło i światło. Cam zmrużył oczy, gdy zobaczył pod kołdrą szczupły kształt.

Amelia uniosła głowę z poduszki.

- Zimno mi - powiedziała, jakby to było wystarczająco rozsądne

wyjaśnienie jej obecności tutaj.

- Moje łóżko nie jest chyba cieplejsze niż twoje. - Cam podszedł do niej, starając się ignorować falę ciepła, która rozpałała mu krew. Wszystkie jego mięśnie napięły się w oczekiwaniu. Wiedział, czego od niego chciała... i miał zamiar z radością jej to dać.

- Byłoby cieplejsze, gdybyś ty w nim leżał.

Włosy opadały jej ciemną falą aż do bioder. Cam usiadł obok Amelii i dotknął jednego z lśniących loków, który zakrył jej pierś. Dotknął jej delikatnie palcem. Amelia westchnęła i zarumieniła się gwałtownie. Cam zastanawiał się, czy rumieniec pokrył też miejsca, których nie mógł dostrzec.

Tłumiąc w sobie gwałtowne pożądanie, Cam znieruchomiał. Amelia z wahaniem wyciągnęła dłoń i musnęła palcami czarny jedwab, okrywający jego ramiona. Usiadła na kolanach i impulsywnie pocałowała go w ucho, to, w którym tkwił brylantowy kolczyk. Nieśmiało dotknęła wilgotnych, wijących się włosów Cama.

- Nie jesteś podobny do żadnego znanego mi mężczyzny - powiedziała.  
- Nie jesteś tym kimś, o kim marzyłam. Jesteś jak postać z bajki napisanej w języku, którego nie znam.

- Mam nadzieję, że jestem księciem.

- Nie, jesteś smokiem, pięknym, niegodziwym smokiem.

- W jej głosie pojawiła się tęsknota. - Jak można przeżyć przy tobie zwyczajne życie?

Cam objął ją i położył obok siebie.

- Może ty mnie ucywilizujesz. - Pochylił się, aby pocałować jej pierś. - A może zagustujesz w smokach. - Odnalazł jej sutek i musnął go językiem przez muślinową koszulę.

- Ch-chyba już zagustowałam. - Była tak tym zaniepokojona, że musiał się rozeźmiać.

- Nie ruszaj się więc - szepnął - a ja dmuchnę na ciebie ogniem.

Kobiety, z którymi sypiał w przeszłości, nie nosiły takich pruderyjnych białych koszul nocnych, które Cam teraz uważał za najbardziej podniecający strój, jaki kiedykolwiek widział. Te wszystkie drobne pliski, zakładki, falbany i wstążki i jeszcze guziczki do rozpinania. Cienki materiał okrywał Amelię od szyi do kostek jak warstwa bladego, kruchego lukru, sprawiając, że serce Cama tłukło się w piersi jak oszalałe. Przód koszuli był zapinany na długi rząd ukrytych guziczków. Skupił się na nich, a jej dłonie przesuwaly się coraz śmieiej po jego okrytych jedwabiem plecach.

Pocałował ją, zagłębiając język w jej słodkich ustach. Stanik koszuli rozchylił się, ukazując dwa białe wzgórciki i kuszącą dolinę pomiędzy nimi. Zsunął koszulę niżej, więzając ramiona Amelii i odsłaniając jej piersi. Pochylił głowę i wziął to, czego pragnął. Całował naprężone sutki, muskał je językiem, aż stały się wilgotne i różowe. Amelia westchnęła głęboko, przymknęła

powieki, a jej ciało wygięło się bezradnie.

Cam zaczął oddychać nierówno, gdy ściągnął koszulę jeszcze niżej, uwalniając ramiona Amelii i obnażając jej biodra i brzuch. Powiódł dłońmi po jej ciele, pocałował pępek, delikatną skórę wokół niego i miejsce, gdzie zaczynały się miękkie, kręcone włoski.

Wyprężyła się pod nim, przygnieciona jego ciężarem. Cam przesunął się nieco i zdjął sygnet, którego wzięcia odmówiła wcześniej. Pokazał go jej teraz.

- Możesz dostać to, czego chcesz, ale najpierw go włoż.

Amelia skupiła wzrok na pierścionku.

- Nie mogę.

- Nie będę się z tobą kochał, jeśli go nie włożysz.

- Zachowujesz się absurdalnie.

- A ty jesteś uparta. - Cam pochylił się nad nią, przycisnął jej ręce do boków i pocałował nadąsane usta. - Tylko dzisiaj - szepnął. - Weź mój sygnet, Amelio, i pozwól mi się zadowolić. - Pocałował jej szyję i otarł się biodrami o jej biodra. Odetchnęła głośno, czując na swoim ciele jego twarde, nabrzmiały członek, ukryty pod czarnym szlafrokiem. Usta Cama powędrowały powoli do jej ucha. - Wejść w ciebie, wypełnię cię, a potem będę cię trzymał nieruchomą i cichą w ramionach. Nie poruszę się. I nie pozwolę tobie się poruszyć. Zaczekam, aż poczuję, jak pulsujesz wokół mnie... Podążę za twoim rytmem, za tym słodkim pulsowaniem... Nie przestanę, aż będziesz jęczała, drżąc i błagając o więcej. A ja dam ci więcej, tak długo, jak będziesz chciała. Weź mój sygnet, kochana. - Przykrył jej usta gorącym pocałunkiem. - Weź mnie.

Ułożył się wygodnie między jej udami i poczuł przez szlafrok, jaka jest ciepła i wilgotna. Jej drobna dłoń dotknęła go; Amelia wyprostowała palce... i pozwoliła, by wsunął jej pierścionek.

Rozebrał ją do naga i położył na swoim szlafroku. Jej skóra wydawała się zdumiewająco biała w lśniącej kałuży czerni. Całował ją wszędzie, dotarł do każdego zagłębienia

I wypukłości jej gładkiego ciała. Owinęła się wokół niego, a jej usta niewinnie badały każdy skrawek jego skóry, którego mogła sięgnąć.

Pocałował ją pomiędzy udami, obejmując jej biodra rękami, a jej zapach wywołał w nim eksplozję ognia. Muskał ją czule, drażnił i ssał, aż zaczęła jęczeć przy każdym oddechu i sięgnęła do jego głowy, ponagłając go, aby się podniósł.

Przywołując na pomoc resztki samokontroli, Cam wszedł w nią głęboko jednym zdecydowanym ruchem. Amelia poruszyła się i wygięła, prawie doprowadzając go tym do szaleństwa.

- Kochanie, zaczekaj - powiedział drżącym głosem, próbując ją uspokoić. - Nie ruszaj się. Proszę. Nie... - Śmiech uwiązał mu w gardle, gdy poderwała biodra w rozpaczliwym pragnieniu. - Nie ruszaj się - szepnął,



wyciskając pocałunki na jej rozchylonych wargach. - Zatrzymaj mnie w sobie. Poczuj, jak cała się wokół mnie zaciskasz.

Amelia spróbowała go posłuchać. Jej ciało pulsowało bezradnie. Cam sprawił, że oboje czekali, a ich zmysły koncentrowały się na tym subtelnym, podniecającym doznaniu. W końcu poruszył się, aby ją zadowolić. Kochał się z nią, kochał ją i gdy zanurzył się w niezgłębionej mrocznej rozkoszy, przepełniło go uczucie spełnienia, którego nigdy wcześniej nie zaznał.

Uwięziła go w swym aksamitnym, rozgrzanym wnętrzu, pozwalając mu rozkoszować się pocałunkami. Poruszał się w niej szybkim, gwałtownym rytmem. Spojrzał w jej zamglone rozkoszą oczy, na jej płonąca twarz i szepnął w romani: „jestem twój”. Widział, jak powieki Amelii opadają w słodkim oszołomieniu, poczuł jej napięcie; fale namiętności atakowały go coraz mocniej i mocniej, aż cały świat stanął w ogniu.

Leżeli obok siebie jak rozbitkowie z zatopionego okrętu, oszołomieni uderzeniem sztormu. Gdy Cam w końcu zdołał zebrać siły, aby się poruszyć, przetoczył się na swoją stronę i pocałował Amelię, rozkoszując się jej wilgotnym ciepłem.

Amelia sięgnęła po pierścionek i zaczęła go ściągać z palca.

- Znowu nie chce zejść - stwierdziła z rozczarowaniem.

Cam przytrzymał ją za nadgarstek i wziął jej palec do ust. Jęknęła, gdy jego język zawirował wokół pierścionka. Cam delikatnie zsunął zębami sygnet, wyjął go spomiędzy warg i wsunął z powrotem na palec. Jej ręka, teraz jakby naga, uniosła się tęsknie, a Amelia spojrzała na Cama zdezorionowana.

- Przywykniesz do noszenia mojego pierścionka. - Cam przesunął dłonią po jej talii i brzuchu. - Będziemy go wkładać na kilka minut co pewien czas. Tak się przyucza konie do uprzęży. - Uśmiechnął się, gdy zobaczył wyraz jej twarzy.

Przykrył ich oboje, nie przestając jej pieścić. Amelia westchnęła, wtulając się wygodnie w jego ramię.

- A tak przy okazji - szepnął Cam - srebra wróciły już do kredensu.

- Naprawdę? - zapytała sennie. - Jak... co...

- Odbyłem z Beatrix interesującą pogawędkę, gdy rozgniataliśmy pszczoły. Wyjaśniła mi, na czym polega jej problem. Zgodziliśmy się, że musimy znaleźć jej jakąś pasję, aby mogła się czymś zająć. Na początek nauczę ją jeździć konno. Powiedziała, że ledwie umie utrzymać się w siodle.

- Nie było czasu w całym tym zamieszaniu...

- Sza... Przecież wiem, koliberku. Zrobiłaś więcej, niż mogłaś, opiekując się rodzeństwem. Nadszedł czas, aby ktoś ci w tym pomógł. - Pocałował ją delikatnie. - Zatrzaszczył się o ciebie.

- Ale ja nie chcę...

- Śpij - szepnął Cam. - Rano możemy znów się zacząć kłócić. A teraz,

ukochana... śnij o czymś słodkim.

Amelia zasnęła głęboko, śniąc o odpoczynku w gnieździe smoka, który zionął ogniem na każdego, kto ośmielił się do nich zbliżyć. W środku nocy z trudnością uświadomiła sobie, że Cam wstaje i się ubiera.

- Dokąd idziesz? - wymamrotała.

- Do naszego chorego.

Wiedziała, że powinna z nim pójść. Ona też martwiła się o Merripena, ale gdy spróbowała usiąść, zachwiała się z wyczerpania, zupełnie oszołomiona.

Cam namówił ją, aby znów się położyła. Zasnęła, i zbudziła się tylko na chwilę, gdy poczuła, że kładzie się obok niej.

- Czuje się lepiej? - szepnęła.

- Jeszcze nie. Ale jego stan się nie pogorszył. To dobry znak. A teraz zamknij oczy... - Utulił ją do snu.

Merripen obudził się w ciemnej sypialni. Jedyne światło wydobywał się z niewielkiej szpary pomiędzy zasłonami i lśnił jasnością południa.

Piekielnie bolała go głowa. Jego język był chyba dwa razy większy niż zwykle, suchy i opuchnięty. Bolały go wszystkie kości i całe ciało. Nawet w rzęsach czuł ból. Wszystko było zupełnie odwrotnie, bo tylko w poparzonym barku czuł prawie przyjemne ciepło.

Spróbował się poruszyć.

Natychmiast ktoś podszedł do łóżka.

Win. Chłodny, kruchy, pachnący słodko uroczy duch ciemności. Bez słowa usiadła obok niego i uniosła mu głowę, aby mógł się napić wody. Zwilżył tylko usta, aby coś powiedzieć.

Nie umarł więc. A jeśli dotąd to się nie stało, to już pewnie nie umrze. Nie był pewien, jak powinien się czuć z tego powodu. Typowy dla niego brutalny głód życia zastąpiła drżąca melancholia. To zapewne uboczne skutki działania morfiny.

Wciąż podtrzymując mu głowę, Win przesunęła palcami po jego splątanych, niemytych włosach. Jej lekki dotyk wyzwolił w jego obolałym ciele dreszcz namiętności. Był jednak tak zażenowany swoim brudem i potem, o bezradności nie wspominając, że odepchnął z irytacją jej miękką dłoń.

- Muszę być w piekle - wymamrotał. Win uśmiechnęła się do niego z czułością.

- W piekle byś mnie przecież nie zobaczył.

- W mojej wersji piekła... owszem.

Jej uśmiech zbladł. Ułożyła mu głowę z powrotem na poduszkach.

W jego piekle odgrywałaby znaczącą rolę. Najgłębszy, najbardziej rozrywający ból przeżywał właśnie z powodu Win - była to agonია oczekiwania, bez nadziei na zdobycie miłości, której nigdy nie pozna. A teraz

wyglądało na to, że będzie nadal cierpieć. Znienawidziłby ją za to, gdyby aż tak jej nie wielbił. Pochylając się nad nim, Win dotknęła bandaża na jego ramieniu i zaczęła rozwiązywać końce.

- Nie - rzucił Merripen ochryple, odsuwając się od niej.

Był nagi, śmierdział potem i gorączką. Wielka, olbrzymia bestia. I co gorsza, niebezpiecznie pobudzona. Jeśli Win nadal będzie go tak dotykać, zajmować się nim, jego silna wola legnie w gruzach, a Bóg wie, co wtedy mógłby powiedzieć lub zrobić. Musiał sprawić, aby odeszła od niego jak najdalej.

- Kev - powiedziała tonem tak ostrożnym, że rozpałała w nim jeszcze większy gniew. - Muszę zobaczyć ranę. Trzeba zmienić okład. Gdybyś tylko położył się płasko i pozwolił mi...

- Nie tobie.

Położyć się płasko. Jakby to było możliwe, jeśli każdym dotknięciem wyzwalala w nim oszałamiającą erekcję. Nie był niczym więcej niż zwierzęciem, skoro pragnął jej tak bardzo, nawet teraz, brudny, chory i wciąż otumaniony morfiną... Wiedział przecież, że ich miłość stanowiłaby dla niej wyrok śmierci. Gdyby miał większą wiarę, zacząłby się modlić do bezlitosnych niebios, aby Win nie dowiedziała się nigdy, czego pragnął i co do niej czuł.

Minęła długa chwila, zanim Win zdołała odzyskać swój normalny głos.

- Kto ma więc zmienić ci opatrunek?

- Ktokolwiek. - Merripen nie otwierał oczu. - Byle nie ty.

Nie miał pojęcia, o czym myślała Win w tej przedłużającej się, krepującej ciszy. Nadstawił uszu, słysząc szelest sukni. Wyobrażając sobie gładki materiał wirujący wokół szczipłych nóg ukochanej, Merripen dostał gęsiej skórki na całym ciele.

- Dobrze - powiedziała obojętnym tonem, podchodząc do drzwi. - Przyślę tu kogoś najszybciej, jak to będzie możliwe.

Merripen przesunął dłoń na miejsce, na którym ona siedziała i rozcapierzył palce. Walczył, aby zamknąć podwoje swego serca, które mieściło w sobie zbyt wiele sekretów.

Idąc powoli po schodach, Win zobaczyła przed sobą Cama Rohana. Jej żołądek zacisnął się gwałtownie. Zawsze czuła się nieswojo w obecności obcych mężczyzn, a poza tym nie była pewna, co ma o nim myśleć. Rohan w zadziwiającym tempie zdobył ważną pozycję w ich rodzinie. Skradł serce starszej siostry z taką zręcznością, że sama Amelia jeszcze się w tym nie połapała.

Tak jak Merripen Rohan był postawnym, silnym mężczyzną. Tak jak Merripen był Romem, ale znacznie łatwiej się z tym godził - dobrze się czuł w swojej skórze. Rohan był gładki w obejściu i ujmujący, a Merripen skryty i pełen rezerwy. Ale przy całym wdzięku Rohana dało się w nim wyczuć nutę

niebezpieczeństwa, świadomość, że znał te strony życia, z którymi chowanie pod kloszem siostry Hathaway nigdy się nie zetknęły.

Był mężczyzną, który miał swoje tajemnice... Tak jak Merripen. Ich identyczne tatuaże sprowokowały ją do myślenia. Chyba wiedziała już, co łączy tych dwóch, nawet jeśli oni sami nie zdali sobie jeszcze z tego sprawy. Gdy spotkali się na schodach, przystanęła z bojaźliwym uśmiechem.

- Panie Rohan.

- Panno Winnifred.

Obrzucił ją tym swoim spokojnym spojrzeniem. Win wciąż jeszcze była zdenerwowana z powodu spięcia z Merripenem. Poczwała, jak jej policzki zalewa nagły rumieniec.

- Jak rozumiem, już się obudził - stwierdził Rohan, z łatwością odgadując nurtujące Win uczucia, widoczne na jej twarzy.

- Jest na mnie zły za to, że nakłoniłam go do wypicia herbaty z morfiną.

- Sądzę, że wszystko by pani wybaczył.

Win oparła dłoń na balustradzie i spojrzała przez nią nieobecny wzrokiem. Poczwała dziwne pragnienie, by porozmawiać z tym przyjacielskim nieznanym, ale nie miała pojęcia, co mogłaby mu powiedzieć.

Rohan czekał cierpliwie w milczeniu, najwyraźniej donikąd się nie spiesząc. Win, przyzwyczajona do szorstkości Merripena i autodestrukcji Leo, poczuła się spokojna i bezpieczna w obecności tak zrównoważonego człowieka.

- Ocalił pan życie Merripenowi - ośmieliła się powiedzieć. - On wyzdrowieje.

Rohan przyglądał się jej w skupieniu.

- Pani na nim zależy.

- Och, tak, jak nam wszystkim - odparła Win zbyt szybko i zaraz umilkła.

Słowa skłębiły się w jej sercu i wyleciały na zewnątrz, jakby miały skrzydła. Wysilek, który wkładała w ich powstrzymywanie, był tak wyczerpujący. W jej oczach błysnęły nagle frustracja i rozpacz, gdy pomyślała o mężczyźnie w sypialni na górze i dystansie nie do przebycia, który ich dzielił.

- Ja też chcę wyzdrowieć - wybuchnęła. - Chcę... chcę...

- Gwałtownie zacisnęła usta i pomyślała: dobry Boże, jak to musiało zabrzmieć w jego uszach? Zawstydziała się swojego braku opanowania, przesunęła dłonią po twarzy i potarła skronie.

Rohan jednak zdawał się doskonale ją rozumieć. I na szczęście, w jego wzroku nie było litości. A szczerść w jego głosie przyniosła jej prawdziwą pociechę.

- Myślę, że wyzdrowiejesz, siostrzyczko.

- Pragnę tego tak bardzo, że obawiam się mieć nadzieję - wyznała.

- Nigdy nie bój się marzyć - odparł Rohan. - To jedyny sposób, żeby zacząć żyć.

## Rozdział 21

Amelia nie potrafiła pojąć, jak mogła spać aż do lunchu. Przypisywała swój tak zaskakująco długi sen Camowi, który samą swoją codzienną obecnością w domu sprawiał, że mogła się uspokoić. Jakby jej umysł po prostu przekazał mu wszystkie troski i lęki, pozwalając, by spała jak niemowlę.

Nie podobało jej się to.

Nie chciała na nim polegać, ale nie potrafiła powstrzymać tego procesu. Ubrana w elegancką czekoladową suknię z różową aksamitną lamówką, poszła odwiedzić Merripena. Nawet jego opryskliwość nie mogła stłumić radości, którą odczuwała Amelia, widząc, że jego stan się polepsza.

Gdy zeszła na dół, gospodyni powiedziała jej, że właśnie przyjechali dwaj dżentelmeni z Londynu, a pan Rohan konferuje z nimi w bibliotece. Domyśliła się, że jeden z nich to budowniczy, po którego Cam posłał. Ciekawa gości, poszła do biblioteki i przystanęła w drzwiach.

Męskie głosy zamilkły. Panowie zgromadzili się wokół stołu w bibliotece: dwóch z nich siedziało, jeden opierał się swobodnie o poręcz krzesła, a ostatni - Leo – kulił się w rogu. Wszyscy wstali na jej widok, poza Leo, który ledwie się przesunął na krześle, jakby kurtuazja była zbyt dużym wysiłkiem, aby zawracać nią sobie głowę.

Cam był ubrany z typową dla siebie niedbałą elegancją: miał doskonale skrojony surdut, lecz nie włożył krawata. Podszedł do Amelii i wziął ją za rękę. Uniósł jej dłoń do ust i wycisnął na niej długi pocałunek gestem posiadacza, tak aby wszyscy to zauważyli.

- Panno Hathaway. - Jego głos był uprzejmy, ale w oczach tańczył diabelski ogień. - Cóż za doskonale wycucie czasu. Panowie przyjechali, aby przedyskutować sprawę odbudowy Ramsay. Pozwoli pani, że ich przedstawię.

Amelia wymieniła grzeczności z przybyłymi: głównym inżynierem Johnem Dashiellem, który nie mógł mieć więcej niż czterdzieści lat, i jego asystentem, panem Francisem Barksbym. Dashiell wyrobił sobie nazwisko, wybudowawszy hotel Rutledge kilka lat wcześniej. Razem z bratem założyli firmę i w swoich działaniach stosowali stosunkowo nową koncepcję zatrudniania robotników na miejscu, zamiast przywozić ze sobą całą ekipę. Trzymając wszystkich pod jednym dachem, Dashiell mógł doskonale kierować pracą nad danym projektem.

Sam pan Dashiell był postawnym mężczyzną o surowym wyglądzie, lecz atrakcyjnym i zawsze skłonny do uśmiechu. Z łatwością można było go sobie wyobrazić jako dawnego terminatora w stolarskim fachu, z młotkiem w

ręku.

- To dla mnie ogromna przyjemność, panno Hathaway. Było mi przykro, gdy dowiedziałem się o pożarze w Ramsay House, ale cieszę się, że wszyscy państwo uszli z życiem. Wiele rodzin nie ma takiego szczęścia.

Amelia skinęła głową.

- Dziękuję panu. Będziemy wdzięczni za pańską opinię i sugestie dotyczące tego, co powinniśmy teraz zrobić z naszym domem.

- Postaram się - obiecał.

- Panie Dashiell, czy zatrudnia pan w swojej firmie architekta?

- Tak się składa, że mój brat posiada ogromną wiedzę na ten temat. Ale jest bardzo zajęty swoją pracą w Londynie. Szukamy właśnie drugiego architekta, aby móc sprostać wymaganiom klientów. - Rzucił szybkie spojrzenie Leo.

- Mam nadzieję przekonać milorda, by udał się z nami do Ramsay. Bardzo chciałbym usłyszeć jego zdanie.

- Przestałem się dzielić swoim zdaniem - odparł Leo. - I tak nikt się ze mną nie zgadza, a nawet jeśli się zgodzi, to tylko dowód na to, że sam nie ma żadnego poglądu.

Jakimś sposobem jednak Camowi udało się nakłonić go do przejażdżki. Potem opisał Amelii przebieg oględzin - przez większość czasu jej brat mamrotał coś pod nosem i dąsał się, gdy pan Dashiell robił notatki i szkice. Ale były momenty, kiedy Leo po prostu nie mógł się powstrzymać i mówił im o swojej gorącej niechęci do barokowych ozdób i o tym, jak dom powinien zostać przebudowany, aby zachować symetrię i proporcje.

- Wspomniałeś panu Dashiellowi, że pan Frost znajduje się teraz w Hampshire? - zapytała Amelia.

Szli powoli ścieżką prowadzącą do lasu, niebo czerwieniło się z nadejściem wieczoru. Rześki wietrzyk podrywał z ziemi opadłe liście. Cam przystosował swój krok do drobnych kroczków dziewczyny. Zdjął jedną z jej rękawiczek i wsunął sobie do kieszeni, a sam ścisnął dłoń Amelii.

- Nie - odrzekł - nie wspominałem mu o tym. A po co miałbym to robić?

- Cóż, pan Frost to ceniony architekt i jako przyjaciel rodziny zaoferował nam swoją pomoc przy...

- On nie jest przyjacielem rodziny - przerwał jej Cam.

- I nie potrzebujemy jego pomocy. Prędeż mnie piekło pochłonie, niż on będzie miał coś wspólnego z Ramsay House.

- On chce nam wszystko wynagrodzić. Był bardzo miły, kiedy oferował swoją pomoc, gdybyśmy potrzebowali...

- Kiedy?

- Kiedy, co? - Amelia zamrugała, zaskoczona gwałtownym tonem.

Cam stanął i odwrócił ją twarzą do siebie.

- Kiedy oferował tę swoją pomoc?

- Złożył wizytę, kiedy cię nie było. - Jeszcze nigdy nie widziała u niego takiej złości. Odepchnęła z niepokojem dłońe Cama, które ścisnęły jej ramiona zbyt mocno.

- Chciał tylko pomóc.

- Jeśli w to wierzysz, jesteś bardziej naiwna, niż sądziłem.

- Nie jestem naiwna - odparła zapalczywie. - I naprawdę nie masz powodów do zazdrości. Nie wydarzyło się nic niestosownego.

Jego wzrok zapłonął niebezpiecznie.

- Czy przebywałaś z nim sama w pokoju?

Amelia była zdumiona jego natarczywymi pytaniami. Jeszcze żaden mężczyzna nie odnosił się do niej z taką zaborczością. Nie była pewna, czy powinno jej to pochlebiać, irytować ją, czy niepokoić.

- Tak, byliśmy sami. Drzwi pozostały otwarte. Zgodnie z konwenansami.

- Może dla gadziów. Ale nie dla Romów. - Uniósł ją tak, że musiała stanąć na czubkach palców. - Nie wolno zostawać ci sam na sam ani z nim, ani z żadnym innym mężczyzną, poza twoim bratem i Merripenem. Nigdy. Chyba że dam ci pozwolenie.

Amelia otworzyła usta ze zdumienia.

- Pozwolenie?

- Nigdy - powtórzył pośepnie.

Poczuła przypływ złości, ale nie podniosła głosu.

- No właśnie, i dlatego nigdy za ciebie nie wyjdę. Nikt nie będzie mną rządził. Nikt nie...

Uciszył ją pocałunkiem i przytrzymał, gdy próbowała odwrócić twarz. Rozchyliła usta, a jej stanowczy opór osłabł, kiedy ogarnęła ją fala przyjemności. Rozumiejąc, że nie da rady z nim walczyć, Amelia zastygła chłodna i nieruchoma. Cam wyczuł, że nie reaguje na jego pieszczoty, i spojrzał na nią gniewnie.

Odpowiedziała mu tym samym.

- To nie jest twój dom, a ja nie jestem twoją...

Znów ją pocałował, z takim zapamiętaniem, że wszystko zaczęło w niej pulsować. Jęknęła i wsparła się na nim, czując że brak jej sił. Mrucząc coś w romani, pociągnął ją ku wielkiemu bukowi, którego szara kora była pełna guzów i poznaczona upływem czasu. Gałęzie opadały pod własnym ciężarem aż do ziemi, jakby drzewo było leniwym olbrzymem, opierającym się na swych wiekowych łokciach.

Cam rozwiązał wstążki czepka Amelii i rzucił go na ziemię. Popchnął ją na pień drzewa, w miejsce, gdzie ogromna gałąź tworzyła masywną podporę. Łuski bukowych orzechów trzeszczały pod ich stopami, gdy całował ją coraz mocniej, bez końca, atakując jej usta z porażającą namiętnością.



Nad ich głowami mieniły się bladozłote liście.

- Cam, nie - szepnęła Amelia, gdy jego wargi powędrowały niżej. Rozpiął stanik jej sukni i rozchylił go, nie zwracając uwagi na protesty dziewczyny. Pochylił się do jej chłodnych piersi i ogrzał je swoimi ustami, przyprawiając ją o drżenie.

- Nie tutaj - zdołała powiedzieć. Cam sunął ustami w górę po jej szyi.

- Tutaj - odparł zduszonym głosem. - Tutaj nie różnimy się od innych dzikich stworzeń żyjących w lesie. - Przycisnął jej dłoń do swojej pulsującej męskości. Amelia przymknęła powieki, gdy poczuła jego sztywność i ciepło nawet przez materiał spodni. Zrozumiała nagle, że pragnie go tak bardzo, że aż drży. Jej palce przesuwają się bezradnie po napiętej tkaninie, gdy Cam podciągnął do góry jej spódnicę.

Szarpnął tasiemki pantalonów, a potem wsunął rękę pomiędzy jej uda. Dotknął jej, uwodząc ją nieznosnie powolną pieszczotą. Całował ją i szeptał jej czule słowa, przyciskając do siebie jej rozedrgane ciało.

Wiatr poruszał gałęziami drzew, które obsypały ich deszczem złotych liści, nad lasem zapadał wieczór. Cam odwrócił Amelię i pochylił ją lekko, aż oparła się na ogromnym konarze, a jej dłonie, zacisnęły się na pokrytej guzami korze.

Uniósł jej spódnicę wraz z halkami i objął dłońmi jej biodra.

Jego męskość otarła się o wilgotne wejście do jej wnętrza. Amelia nie mogła się powstrzymać i wypchnęła biodra w górę, prosząc o więcej, podczas gdy on drażnił się z nią, wchodząc na krótko i wycofując się, aż kora buku zwilgotniała pod jej palcami. Amelia mogła tylko czekać, nie śmiała otworzyć ust z obawy, że krzyczałyby jak jedno z tych dzikich stworzeń, o których wspominał Cam. Jęknęła przeciągle, gdy wszedł w nią w końcu długim, gwałtownym pchnięciem, wypełniając ją całkowicie.

Wsunął dłoń pomiędzy jej uda i muskał ją palcami w rytm swoich poruszeń, pogrążając się w rozpalonej do białości rozkoszy. Wyczuwała jego dziki głód i widziała, że dla niej, dla jej przyjemności, narzucił sobie dyscyplinę. Wreszcie jej ciało zareagowało gwałtownym pulsowaniem, a Cam wysunął się z jękiem w ostatnim przebłysku silnej woli.

Amelia pragnęła mieć go w sobie. Chciała wciągnąć go tak głęboko, jak to tylko możliwe w tym momencie. Opadła jednak bez sił na konar drzewa. Nogi miała tak słabe, że wątpiła, aby mogła dojść teraz do domu. Cam powoli poprawił na niej ubranie, a jego silne ręce dźwignęły ją z gałęzi. Przyciągnął ją do siebie i wyszeptał w jej włosy jakieś niezrozumiałe słowa. Kolejne zaklęcia, aby ją do siebie przywiązać, pomyślała przyciskając policzek do jego gładkiej, twardej piersi.

- Mówisz w romani - mruknęła. Cam przeszedł na angielski.

- Amelio, ja... - Urwał, jakby szukając właściwych słów. - Nie mogę powstrzymać się od zazdrości, tak, jak nie mogę przestać być Romem. Ale

spróbuję się opanować. Tylko powiedz, że zostaniesz moją żoną.

- Proszę - szepnęła Amelia, nie mogąc zebrać myśli - pozwól mi odpowiedzieć później. Gdy już odzyskam rozsądek.

- Za bardzo na nim polegasz. - Ucałował ją w czubek głowy. - Nie mogę obiecać ci idealnego życia. Ale niezależnie od tego, co się stanie, dam ci wszystko, co mam. Będziemy razem. Ty we mnie... ja w tobie. - Przytulił ją do siebie i westchnął lekko. - Dobrze. Daj mi odpowiedź później. Ale pamiętaj, smoki szybko tracą cierpliwość...

Pan Dashiell i jego asystent zostali w Hampshire jeszcze dzień i ponownie wybrali się do Ramsay House, aby zrobić dodatkowe szkice budynku oraz otaczających go terenów. Pan Barksby miał dokonać wstępnych pomiarów. Na zaproszenie pana Dashiella Amelia udała się tam z nimi, zachwycona możliwością obserwowania budowniczych przy pracy.

Cam musiał zostać w Stony Cross, aby spotkać się z zarządcą posiadłości, Geraldem Pymem, przedstawicielem firmy z Portsmouth, która od lat już zajmowała się posiadłością Ramsay. Pan Pym został wysłany do Ramsay w pośpiechu, gdy tylko jego pracodawcy dowiedzieli się o pożarze. Miał sporządzić wstępny opis szkód i na miejscu zorientować się w sytuacji. Ponadto obaj zamierzali przedyskutować kwestie dotyczące czynszów i napraw, jak również kontrakt z Johnem Dashiellem. O wielu sprawach należało zdecydować natychmiast, aby powstrzymać przed odejściem ostatnich dzierżawców z wioski. Istniała jednak nadzieja, że w przyszłości, przy odpowiednim zarządzaniu, Ramsay zdoła przyciągnąć nowych dzierżawców, którzy zapewniliby znośne dochody gwałtownie potrzebującym pieniędzy Hathawayom.

Oczywiście wszystko zależało od tego, jak długo jeszcze pożyje obecny właściciel majątku.

Jako że spotkanie z panem Pymem należało do obowiązków obecnego lorda Ramsaya, Cam zmusił Leo do przyjścia. Nie dlatego, że podejrzewał, że ten mógłby powiedzieć coś sensownego, ale jego obecność miała symboliczne znaczenie.

- Poza tym - oświadczył ponuro Amelii - jeśli mam się zanudzić na śmierć, omawiając różne sprawy gadziów, nie rozumiem, czemu Leo miałby zostać oszczędzony.

- Obrzucił władczym spojrzeniem jej suknię spacerową z zielonej wełny i lamowaną futrem czarną pelerynę.

- Nie powinienem był pozwolić ci pójść z Dashiellem i Barksbym - stwierdził. - Będziesz tam jedyną kobietą. Nie podoba mi się to.

- Och, nie masz się o co martwić. Obaj są dżentelmenami, a ja...

- Jesteś już zaręczona ze mną. Jej serce zabiło nieco szybciej.

- Tak, wiem - przyznała, nie patrząc na niego.

To drobne ustępstwo wyraźnie go zadowoliło. Zamknął stopą drzwi i

sięgnął pod jej pelerynę niecierpliwymi dłońmi. Całował ją, jakby chciał ją w siebie wchłonać. Gwałtowne, twarde pocałunki, pełne pożądania, miękkie i ponętne, pocałunki, które rozpałały ogień, wypełniały niebo i sięgały do gwiazd w górze.

Gdy w końcu ją uwolnił i otworzył przed nią drzwi, szepnął jej do ucha tylko jedno słowo, zanim uciekła. To słowo rozpałiło ją aż do białości.

- Dziś wieczorem.

Przechadzając się po zniszczonych wnętrzach Ramsay House, Amelia z ożywieniem rozmawiała z Johnem Dashiellem, wypyując o jego projekty, ambicje i trudności, jakie może napotkać ktoś, kto pracuje z własnym bratem.

- Często się spieramy - odparł Dashiell, mrużąc oczy w słońcu. Jego twarz rozświetlił miękki uśmiech. - Obaj nienawidzimy kompromisów. Ja oskarżam go o upór, a on mnie o ignorancję. Niestety, zazwyczaj obaj mamy rację.

Amelia się roześmiała.

- Ale praca musi zostać wykonana.

- Tak, dochodzimy do kompromisów, bo wiemy, że trzeba płacić rachunki. Poprowadzę panią, panno Hathaway. Teren jest bardzo nierówny.

Poczuła pod rękawiczką jego mocne, pewne ramię. Już zdołała go polubić.

- Bardzo się cieszę, że przyjechał pan do Hampshire, panie Dashiell. Wiem, że lord Ramsay docenia pana wysiłki.

- Czyżby?

- Ależ tak. Jestem pewna, że sam by to panu powiedział, gdyby nie miał w ostatnim czasie tylu spraw na głowie.

- Spotkałem go już kiedyś. Dwa lata temu, gdy jeszcze terminował u Rowlanda Temple'a. Choć pani brat chyba nie przypomina sobie tego spotkania. Wywarł na mnie wtedy ogromne wrażenie, był taki uprzejmy, ujmujący i miał mnóstwo planów na przyszłość.

Amelia spuściła oczy.

- Na pewno pana zdaniem bardzo się zmienił od tamtego dnia.

- To zupełnie inny człowiek.

- Nie doszedł jeszcze do siebie po śmierci narzeczonej. - Amelia zniżyła głos do szeptu. - Czasami boję się, że już nigdy się nie otrząśnie.

Dashiell zatrzymał się i zwrócił ku niej twarz. W jego oczach błysnęło współczucie.

- To jest cena uczuć: ból, który nas dręczy po stracie ukochanej osoby. Nie jestem pewien, czy miłość jest tego warta. Może jeśli już kochamy, należy to robić z umiarem.

Jego słowa brzmiały rozsądnie. Ale gdy Amelia otworzyła usta, aby przyznać mu rację, głos uwiązał jej w gardle. W końcu roześmiała się niepewnie.

- Umiarkowana miłość - zadumała się na głos. - To nie jest coś, co inspirowałoby poetów, prawda?

- Nie żyłoby się nam zbyt wygodnie w świecie poetów, nie sądzi pani? Wszyscy w szponach namiętności, rwący włosy z głowy z powodu nieodwzajemnionego uczucia...

- Albo odchodzący w mrok. Życie marzeniami i fantazją...

- No właśnie. To wiedzie do katastrofy.

- Albo do romansu - dopowiedziała Amelia, mając nadzieję, że nie zauważył lekkiego drżenia jej głosu.

- Powiedziała to pani jak kobieta. Znowu się roześmiała.

- Tak, panie Dashiell. Wyznam panu, że nie jestem całkiem uodporniona na ideę romansu. Mam nadzieję, że to nie umniejsza mnie w pana oczach.

- W najmniejszym stopniu. W zasadzie... - Jego głos złagodniał. - Mam nadzieję, że pozwoli mi pani się odwiedzać, gdy będę nadzorował postępy prac w Ramsay House. Bardzo by mnie ucieszyło towarzystwo czarującej i uroczej damy o tak rozsądnym usposobieniu.

- Dziękuję - odparła Amelia, rumieniąc się. Gdy jednak spojrzała na doskonale ubranego architekta, w jej umyśle pojawiła się przystojna twarz z diabelskimi, złotymi oczami i ustami upadłego anioła na tle rozgwieżdżonego nieba o północy. Fascynujący nieprzewidywalny mężczyzna, którego nigdy nie zdoła ujarzmić.

„Ty we mnie, ja w tobie...”

- Mnie również ucieszyłoby pańskie towarzystwo. - Zarumieniła się. - Powinien pan jednak wiedzieć, że zawarłam pewne porozumienie z panem Rohanem.

Na szczęście jej towarzysz w lot pojął aluzję. Nie wydawał się zaskoczony.

- Tego się obawiałem. Nie można nie dostrzec szacunku, jakim darzy panią pan Rohan. Zdecydowanie daje do zrozumienia, że pragnie pani tylko dla siebie. - Uśmiechnął się smutno. - Trudno go za to winić.

Zawstydzona Amelia, nie wiedząc, co powiedzieć, zwróciła wzrok w kierunku domu. Nie była przyzwyczajona do męskich komplementów. Jej spojrzenie przesunęło się po nierównej linii dachów. Dom wyglądał jak wrak statku, okna przypominały rany dogorywającej bestii. Okna... Dostrzegła w jednym z nich jakiś ruch, migotanie, coś, co wyglądało jak płatanina promieni księżyca i cieni. Twarz.

Musiała wydać z siebie jakiś dźwięk, bo Dashiell spojrzał na nią uważnie, a jego wzrok powędrował w tym samym kierunku.

- Co się stało? - zapytał.

- Myślałam... - Chwyciła go za rękaw płaszcza jak przerażone dziecko. W głowie miała zamęt. - Myślałam, że widzę kogoś w oknie.

- Może to Barksby.

Ale pan Barksby właśnie wychodził zza rogu, a owa twarz mignęła w pokoju na drugim piętrze.

- Czy mam iść to sprawdzić? - zapytał cicho pan Dashiell.

- Nie - odparła natychmiast Amelia, siląc się na słaby uśmiech. Puściła jego rękaw. - Zapewne to tylko zasłona poruszana wiatrem. Jestem pewna, że nikogo tam nie ma.

Po odjeździe budowniczych do Londynu Cam wrócił do gabinetu z panem Pymem, aby omówić kilka ostatnich spraw. Mając już dość spraw dotyczących posiadłości, Leo przestał udawać, że te kwestie w jakimkolwiek stopniu go interesują, i zniknął w swoim pokoju. Cam z sardonicznym uśmiechem zapewnił Amelię, że jej obecność na spotkaniu z zarządcą będzie mile widziana, ale dziewczyna odmówiła pospiesznie, podejrzewając, że nie zdołałaby znieść nużących dyskusji z większym taktem niż jej brat.

Zamiast tego udała się na poszukiwania Win.

Znalazła ją w rodzinnym saloniku na piętrze, zwiniętą w rogu sofy i z książką na kolanach. Win przerzucała kartki, nie czytając, i podniosła głowę z wyraźną ulgą, gdy zobaczyła Amelię.

- Cały dzień chciałam z tobą porozmawiać. - Przesunęła się, aby zrobić jej miejsce. - Jesteś taka rozkojarzona od wizyty w Ramsay House. Czy to widok domu nastroił cię melancholijnie? A może to przez pana Dashiella? Próbował z tobą flirtować?

- Wielkie nieba! - Amelia roześmiała się z zakłopotaniem. - Skąd pomysł, że on chciałby ze mną flirtować?

Win uśmiechnęła się i lekko wzruszyła ramionami.

- Wydawał się tobą oczarowany. -Phi.

Win uśmiechnęła się jeszcze szerzej i przez chwilę wyglądała jak dawna, figlarna Win z czasów sprzed szkarlatyny.

- Mówisz: „phi”, bo masz już na sznurku pana Rohana. Amelia otworzyła szeroko oczy i rozejrzała się, jakby się bała, że ktoś może podsłuchiwać.

- Cicho, Win! Nie mam nikogo na sznurku. Cóż to za straszne wyrażenie. Nie mogę uwierzyć...

- Przyznaj się sama przed sobą - odparła Win, rozkoszując się jej zakłopotaniem. - Stałaś się femme fatale.

Amelia wyróciła oczami.

- Kpij ze mnie dalej, to ci nie powiem, co się wydarzyło podczas naszej wizyty w Ramsay House.

- Co? Och, powiedz mi, proszę. Omal nie umarłam tu z nudów.

Amelia nie potrafiła beztrosko mówić o tym wydarzeniu. Poczowała ucisk w gardle.

- Czuję się jak wariatka, mówiąc to, ale... Kiedy spacerowałam z panem

Dashiellem wokół domu, zobaczyłam w jednym z okien na górze czyjaś twarz.

- Ktoś był w środku? - zapytała Win drżącym szeptem. Wyciągnęła dłoń i ścisnęła chłodne palce Amelii.

- Nie ktoś. To... to była Laura.

- Och! - westchnęła cicho Win.

- Wiem, że trudno w to uwierzyć...

- Nie, nie. Pamiętaj, że widziałam jej twarz w magicznej latarni w noc pożaru. I... - Win zawahała się, a jej szczupłe, białe palce przesunęły się na dłoń Amelii. - Byłam tak blisko śmierci, że łatwo mi uwierzyć w takie rzeczy.

Zapadła zimna, pełna napięcia cisza. Amelia próbowała myśleć rozsądnie, znaleźć logiczne wytłumaczenie tej sytuacji.

- Myślisz, że Laura nawiedza Leo? - spytała z trudem.

- Jeśli tak - szepnęła Win - robi to z miłości.

- On traci od tego rozum. - Gdy Win nie zaprotestowała, Amelia dodała z desperacją: - Jak możemy to powstrzymać?

- Nie możemy. Wszystko zależy od Leo.

Zirytowana Amelia wyszarpnęła dłoń z uścisku siostry.

- Wybacz mi, jeśli nie umiem tak do tego podejść. Coś trzeba zrobić.

- To zrób coś - odrzekła Win chłodno - jeśli nie boisz się zaryzykować, że pchniesz go do ostateczności.

Amelia poderwała się z sofy i spojrzała z ukosa na siostrę. Czego, na Boga, spodziewała się Win? Że ona tak po prostu będzie patrzyła bez słowa, jak Leo niszczy sobie życie?

Ogarniający ją gniew zgasiło jednak zmęczenie. Miała już dość wszystkiego, dość myślenia, martwienia się, obaw i tego, że w zamian za troskę spotykała ją tylko niewdzięczność ze strony rodzeństwa.

- Do diabła z tą rodziną - rzuciła zirytowana i wyszła, aby nie powiedzieć nic gorszego.

Rezygnując z kolacji, poszła do swojego pokoju i w ubraniu położyła się na łóżku. Utkwiła wzrok w suficie i trwała tak, aż pokój pogrążył się w ciemnościach, słońce zgasło, a powietrze stało się nieruchome i chłodne. Zamknęła oczy, a gdy znów je otworzyła, pokój wypełniał nieprzenikniony mrok. Poczowała jakiś ruch obok siebie i poderwała się, wyciągając rękę. Dotknęła ciepłego, ludzkiego ciała, twardego ramienia, silnego nadgarstka.

- Cam - szepnęła. Uspokoila się, gdy wyczuła gładką, złotą obrączkę na jego kciuku.

Cam nie powiedział ani słowa. Rozbierał ją powoli, a ona przyjmowała to w rozmarzonej ciszy. Wszystkie zmartwienia rozwiały się, gdy rozkwitła w niej namietność.

Cam odnalazł jej usta i czekał, aż się rozchyliły, a wtedy pocałował ją długo i głęboko. Uniosła ku niemu ramiona, czując, jak otacza ją bijąca od

niego siła. Z każdym oddechem jego pierś ocierała się o jej twarde brodawki, a wtedy Amelia jęczała cicho.

Oderwał od niej usta i zaczął pokrywać jej ramiona i piersi gorącymi, szybkimi pocałunkami, jakby chciał skosztować każdego skrawka jej ciała. Jego dłonie były ciepłe i delikatne. Nie wszedł w nią jeszcze, ale już czuła w sobie to pulsowanie, przyjemność. Ty we mnie... Sięgnęła po niego na oślep i objęła go nogami.

Oparł się jej z krótkim śmiechem, bawiąc się z nią i rozkładając szeroko jej uda. Ssał ją i drażnił, aż całkiem zwilgotniała. Dotknął jej językiem, odnalazł wrażliwe miejsce, które pulsowało gwałtownie. Mięśnie jego ramion napięły się, gdy wsunął pod nią ręce, robiąc kołyskę z jej bioder. Mocowała się z nim przez chwilę, nie w proteście, lecz w błaganiu, wstrząsana dreszczami przy każdym muśnięciu jego języka.

Oszołomiona i nabrzmiała, poczuła, że unosi się w ciemności, że jego dłonie trzymają ją i układają. Cam sprawił, że uklękła nad nim i pociągnął ją na siebie, unosząc i opuszczając jej biodra w delikatnym rytmie. Jego usta znów ją odnalazły. Jęknęła bezradnie, gdy poprowadził ją przez ogień na szczyty czułymi muśnięciami języka, a potem zaczęła dyszeć w ekstazie, całkiem owładnięta... Wtem rozległo się pukanie do drzwi.

- O Boże - szepnęła Amelia, zastygając w bezruchu. Pukanie powtórzyło się, tym razem bardziej natarczywie. Towarzyszył mu stłumiony głos Poppy.

Cam oderwał się od Amelii i powoli wycofał palce z jej pulsującego wnętrza.

- Poppy - zawołała słabo - czy to nie może zaczekać?

- Nie.

Amelia uwolniła się od Cama. Całe jej ciało dygotało gwałtownie, protestując przeciw przerwaniu ich miłosnego aktu. Cam przewrócił się na brzuch, zaklął cicho i zacisnął palce na pościeli.

Zataczając się, oszołomiona Amelia zdołała odnaleźć szlafrok. Włożyła go i zapięła kilka przypadkowych guzików.

Podeszła do drzwi i uchyliła je ostrożnie.

- Co się stało, Poppy? Jest środek nocy.

- Wiem - powiedziała Poppy z obawą, starając się nie patrzeć siostrze w oczy. - Ja nigdy bym... to tylko... Nie wiedziałam, co robić. Miałam zły sen o Leo. Straszny koszmar, który wydał mi się bardzo prawdziwy. Nie mogłam z powrotem zasnąć, nie upewniwszy się, że nic mu nie jest. Poszłam więc do jego pokoju, ale on... zniknął.

Amelia z rozdrażnieniem machnęła ręką.

- Nie martw się o Leo. Poszukamy go rano. Nie sądzę, abyśmy musieli uganiać się za nim w ciemnościach i chłodzie. Pewnie pojechał do gospody, a w takim wypadku...

- Znalazłam to w jego pokoju. - Poppy podała jej świstek papieru.

Amelia marszcząc brwi, odczytała szybko liścik.

Przepraszam. Nie oczekuję, że zrozumiecie. Tak będzie lepiej.

Było tam jeszcze kilka wykreślonych słów: Mam nadzieję, że pewnego dnia - i na samym dole powtórzone: Przepraszam.

Nie podpisał się. Nie musiał.

Amelia ze zdumieniem usłyszała, jak spokojnie brzmi jej głos.

- Wracaj do łóżka, Poppy.

- Ale jego list... Myślę, że to znaczy...

-Wiem, co to znaczy. Wracaj do łóżka, kochanie. Wszystko będzie dobrze.

- Znajdziesz go?

- Tak, znajdę.

Jej sztuczne opanowanie zniknęło, gdy tylko zamknęła drzwi. Cam już wciągał na siebie ubranie i wkładał buty, a Amelia zaświeciła lampkę przy łóżku. Drżącą ręką podała mu kartkę.

- To nie jest pusty gest. - Oddychała z trudem. - On naprawdę to zrobi. Może już...

- Dokąd mógł pójść? - przerwał jej Cam. - Jest gdzieś na terenie posiadłości?

Amelia pomyślała o widmowej twarzy Laury w oknie.

- Jest w Ramsay House - wykrztusiła, szcękając zębami. - Zabierz mnie tam. Proszę.

- Oczywiście. Ale najpierw może zechcesz się ubrać. - Cam posłał jej pełen otuchy uśmiech i pogłaskał ją po policzku. - Pomogę ci.

- Każdy mężczyzna - mruknęła Amelia - który po tym wszystkim chciałby się wżenić w rodzinę Hathawayów, powinien zostać zamknięty w odpowiedniej instytucji.

- Małżeństwo to instytucja - zauważył Cam rozsądnie, podnosząc z podłogi jej suknię.

Pojechali do Ramsay House na koniu Cama. Wszystko to wydawało się sennym koszmarem - szybka jazda w ciemnościach, dojmujący chłód, pośpiech i narastający lęk. Ale za sobą Amelia miała Cama, którego ciepłe ramię dodawało jej otuchy. Bała się tego, co czeka ich w Ramsay House. Jeśli najgorsze już się wydarzyło, będzie musiała przez to przejść. Ale nie była sama. Była z mężczyzną, który zdawał się rozumieć każdą jej słabość i obawę.

Przed wejściem zobaczyli pasącego się spokojnie wierzchowca Leo. Ucieszyli się na ten widok. Leo tu był, nie musieli więc przetrząsać całego hrabstwa, aby go znaleźć.

Cam pomógł Amelii zsiąść z konia i chwycił ją za rękę. Cofnęła się jednak, gdy pociągnął ją w kierunku frontowych drzwi.

- Może - powiedziała niepewnie - ty tu zaczekasz, a ja...



- Nie ma mowy.

- Może być bardziej uległy, jeśli zobaczy mnie samą, tylko na początku...

- On postradał zmysły. Nie staniesz z nim twarzą w twarz beze mnie.

- To brat.

- A ty jesteś moją romni.

- Co to znaczy?

- Wytlumaczę ci później. - Skradł jej szybkiego całusa i otoczył ją ramieniem, gdy ruszyli w kierunku domu. Budynek był cichy i nieruchomy jak mauzoleum, chłodne powietrze pachniało dymem i kurzem. Na parterze nie zauważyli ani śladu obecności Leo. Nic nie mogli dostrzec w ciemnościach, ale Cam poruszał się pomiędzy pokojami z gracją kota.

Nad ich głowami rozległo się skrzywienie desek podłogowych. Amelia poczuła nerwowy dreszcz, a jednocześnie ulgę. Chciała biec na górę, ale Cam ją zatrzymał, zaciskając dłoń na jej ramieniu. Zrozumiała, że chce, aby szła powoli i zmusiła się do spokoju.

Zbliżyli się do schodów. Cam prowadził i badał uważnie każdy stopień, zanim pozwolił Amelii pójść za sobą.

Nagromadzony żwir trzeszczał im pod nogami. Im wyżej byli, tym powietrze stawało się chłodniejsze, a lodowate igielki wbijały się w ich kości. To było jakieś niesamowite zimno, zbyt przenikliwe i zbyt upiorne, aby uznać je za zwykły jesienny przymrozek. Ten chłód wysuszał wargi i powodował ból zębów. Amelia zacisnęła palce na dłoni Cama i przysunęła się do niego najbliżej, jak mogła.

Z pokoju na końcu korytarza biła słaba matowa poświata. Amelia wzdrygnęła się, gdy uświadomiła sobie, gdzie zapalono lampę.

- Pokój pszczół.

- Pszczoły nie latają w nocy - mruknął Cam, kładąc rękę na jej karku i przesuując dłonią po szyi. - Ale jeśli wolałabyś zaczekać tutaj...

- Nie. - Zebrała się na odwagę, wyprostowała ramiona i ruszyła za nim przez korytarz. Jak bardzo było to w stylu Leo, że zaszył się w pomieszczeniu, które śmiertelnie ją przerażało.

Przystanął na progu, a Cam częściowo zasłonił jej widok.

Wyjrzała zza jego ramienia i zachłysnęła się zdumiona.

To nie był Leo, lecz Christopher Prost. Lampa oświetlała jego szczupłą sylwetkę. Stał naprzeciwko ściany, w której mieściło się gniazdo. Pszczoły były oszołomione, ale zdecydowanie nie spały, miliony skrzydełek trzepotały złowrogo. W powietrzu unosił się odór gnijącego drewna i sfermentowanego miodu. Cienie kładły się na podłodze jak rozlany atrament, a światło lampy załamywało się i wykręcało dziwnie pod stopami Frosta.

Słyszając gwałtowne westchnienie Amelii, mężczyzna odwrócił się i wyciągnął coś z kieszeni. Pistolet.

Wszyscy troje zamarli. Amelia nie potrafiła otrząsnąć się z szoku.

- Christopher - powiedziała zaskoczona. - Co ty tu robisz?

- Cofnij się - szepnął ochryplym głosem Cam, próbując ją zasłonić. Nie chciała jednak pozwolić, aby to on znalazł się na linii strzału, zanurkowała więc pod ramieniem Rohana i stanęła obok niego.

- Wy też po to przyszliście. - Christopher był zdumiewająco spokojny, wpatrywał się w nich zimnym wzrokiem. Trzymał pistolet wycelowany w ich stronę.

- Po co? - Zdezorientowana Amelia dostrzegła prostokątną dziurę w ścianie. - Co to za otwór?

- To rozsuwany panel - poinformował ją Cam lakonicznie, nie spuszczając oczu z Frosta. - Zasłania wejście do kryjówki.

Zastanawiając się, co takiego oni obaj wiedzą o Ramsay House, czego ona nie wie, Amelia zapytała ze zdziwieniem:

- Jaka kryjówka?

- Została zrobiona dawno temu - odparł Christopher - jako schronienie dla prześladowanych katolickich księży.

Jej oszołomiony umysł próbował odnaleźć w tym jakiś sens. Czytała o takich miejscach. Ponad dwa wieki temu katolicycy duchowni byli ścigani przez wyznawców anglikanizmu i zabijani. Niektórzy z nich ukrywali się w domach rodzin sympatyzujących ze starą religią. Nigdy jednak nie podejrzewała, że taki schowek znajdował się także w Ramsay House.

- Skąd wiedziałeś o... - Nie mogła mówić, pokazała więc ręką otwór w ścianie.

- Czytałem o tym w prywatnych dziennikach architekta Williama Bissela. Są teraz w posiadaniu Rowlanda Temple'a.

I teraz, po dwóch wiekach, pomyślała Amelia, kryjówka została ujawniona... tyle że zamieszkiwał ją rój pszczół.

- Dlaczego pan Tempie powiedział ci o tym? Co miałeś nadzieję odnaleźć?

Christopher spojrzał na nią z rozbawieniem i pogardą.

- Udajesz tylko czy naprawdę nie masz pojęcia?

- Niech zgadnę - wtrącił Cam. - To ma zapewne coś wspólnego z tutejszymi opowieściami o skarbie ukrytym w Ramsay House. - Wzruszył ramionami, widząc zaciekawione spojrzenia obojga. - Westcliff wspomniał kiedyś o tym mimochodem.

- Skarb? Tutaj? - wykrzywiła się Amelia. - Dlaczego nikt mi o tym dotąd nie wspomniał?

- To tylko niepotwierdzona plotka. A o pochodzeniu owego rzekomego skarbu nie powinno się wspominać w eleganckim towarzystwie. - Cam spojrzał zimno na Christophera. - Odłóż broń. Nie mamy zamiaru wtrącać się w twoje sprawy.

- Ależ oczywiście, że mamy! - zawołała zirytowana Amelia. - Jeśli w Ramsay House jest jakiś skarb, to należy on do Leo. A dlaczego o jego pochodzeniu nie należy wspominać?

Tym razem odpowiedział jej Frost, wciąż trzymając Cama na muszce.

- Bo to pamiątki i biżuteria podarowana przez króla Jakuba komuś z rodziny Ramsayów w szesnastym wieku.

- Król miał romans z lady Ramsay?

- Właściwie z lordem Ramsayem. Amelia otworzyła usta ze zdumienia.

- Och. - Zmarszczyła brwi i potarła zmarznięte ramiona, daremnie próbując się rozgrzać. - A ty myślisz, że skarb jest tutaj, w jednej z kryjówek Bissela. I przez cały ten czas próbowałeś go odnaleźć. Twoja oferta przyjaźni i żal, że mnie porzuciłeś, to wszystko było kłamstwo! Chodziło ci wyłącznie o fortunę!

- Nie wszystko było kłamstwem. - Christopher spojrział na nią z mieszaniną pogardy i litości. - Chciałem odnowić nasz związek, dopóki nie uświadomiłem sobie, że zesłaś się z tym Cyganem. Nie akceptuję rzeczy używanych.

Ogarnięta furią Amelia rzuciła się na niego z palcami zakrzywionymi jak szpony.

- Nie dorastasz mu do pięt! - krzyknęła, wrywając się Camowi, który ją przytrzymał.

- Nie - szepnął więzając ją w żelaznym uścisku. - On nie jest tego wart. Uspokój się.

Amelia posłuchała go, patrząc na Christophera morderczym wzrokiem. W pokoju było coraz zimniej.

- Nawet jeśli skarb jest tutaj, i tak nie zdołasz go wydostać - warknęła. - W tej ścianie pszczoły zrobiły sobie gniazdo, jest ich tu co najmniej dwieście tysięcy.

- I dlatego przydacie mi się oboje. - Wymierzył pistolet prosto w pierś Amelii. - Wyciągniesz dla mnie skarb - powiedział do Cama - albo wpakuję w nią kulę.

- Nawet się nie waż! - zawołała Amelia do Cama, chwytając go z całej siły za rękę. - On blefuje.

- Zaryzykujesz jej życie, Rohan?

Próbowała go zatrzymać, ale Cam wyzwolił się z jej uścisku.

- Nie rób tego!

- Spokojnie, monisha. - Cam chwycił ją za ramiona i potrząsnął nią lekko. - Sza. Nie pomagasz mi. - Spojrział na Christophera. - Pozwól jej odejść, a zrobię to, o co prosisz. Christopher z uśmiechem pokręcił głową. - Jej obecność stanowi dla ciebie doskonałą zachętę do działania. - Machnął pistoletem. - Wejdź tam i zacznij szukać.

- Oszalałeś - powiedziała Amelia. - Ukryte skarby, pistolety, czajenie

się nocami... - Urwała, gdy dostrzegła cień ruchu, srebrzącą się smugę bieli w powietrzu. Przez pokój przemknęła fala chłodu, cienie wokół nich zgęstniały. Christopher zdawał się nie zauważać nagłego spadku temperatury i półprzezroczystej bladej smugi tańczącej pomiędzy nimi.

- Teraz, Rohan.

- Cam...

- Sza. - Dotknął policzka Amelii i posłał jej nieodgadnione spojrzenie.

-Ale pszczoły...

- Nic mi nie będzie. - Podniósł z podłogi lampę i podszedł z nią do otworu w ścianie. Poświecił do środka i się pochylił. Pszczoły zaczęły siadać na jego barkach, ramionach i głowie. Amelia utkwiała w nim wzrok. Zobaczyła, jak drgnął i zrozumiała, że któraś go użądliła. Ogarnęła ją dusząca panika.

Z otworu rozległ się przytłumiony głos Cama.

- Tu nie ma nic oprócz pszczoł i plastrów miodu.

- Musi tam być! - warknął Christopher. - Znajdź go!

- Nie może! - krzyknęła wzburzona Amelia. - Umrze od tyłu żądeł.

Wycelował w nią pistolet.

- No już - poleciał.

Pszczoły opadały na Cama złotym deszczem, chodziły po jego czarnych, lśniących włosach, twarzy i karku. Na ten widok Amelia poczuła, że została uwięziona w koszmarze na jawie.

- Tu nic nie ma - oznajmił Cam ze zdumiewającym spokojem.

Christopher wydawał się czerpać chorą satysfakcję z tej sytuacji.

- Źle szukasz. Wejdz do środka i nie wychodź bez skarbu.

Amelii napłynęły do oczu łzy.

- Jesteś potworem - oznajmiła z furją. - Tam nic nie ma i ty doskonale o tym wiesz.

- Spójrz tylko na siebie. Płaczesz za swoim cygańskim kochankiem.

Ależ nisko upadłaś!

Zanim zdołała odpowiedzieć, pokój wypełniła bezgłośnie eksplozja niebieskobiałego światła. Płomień lampy zgasł w lodowatym podmuchu. Amelia zamrugała i zaczęła ocierać mokre oczy. Popatrzyła wokoło, próbując znaleźć źródło tego światła. Coś migotało wokół nich - chłód, zimny blask i czysta energia. Potykając się, wpadła prosto w wyciągnięte ramiona Cama. Pszczoły podniosły się zbitą masą i odleciały do gniazda; w błękitnej poświacie ich skrzydełka wyglądały jak deszcz iskier.

Amelia wyciągnęła dłoń do Cama, a on zamknął ją w ciepłym, mocnym uścisku.

- Nic ci nie jest? - zapytała, gorączkowo przesuwając dłońmi po jego ramionach.

- Nie, to tylko jedno czy dwa ukąszenia. Ja... - Przerwał i gwałtownie

wciągnął powietrze.

Amelia podażyła za jego spojrzeniem. Dwie zamglone postaci, zniekształcone przez załamujące się światło, walczyły o broń. Kto tu był? Kto jeszcze znajdował się w pokoju? W następnej sekundzie Cam pchnął ją na podłogę.

- Nie ruszaj się. - Bez wahania rzucił się do walki. Przeciwnicy jednak już się rozdzielili, jeden z nich upadł na podłogę, ściskając w dłoni pistolet, a drugi pobiegł do drzwi. Cam podbiegł do leżącego, a powietrze w pokoju zaczęło trzaskać, jakby wokoło wybuchały fajerwerki. Drugi mężczyzna uciekł. Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem... choć nikt ich nie dotknął.

Oszołomiona Amelia usiadła; załamujące się smugi świetlne przekształciły się w bladobłękitne promieniowanie, które otoczyło postać leżącą obok na podłodze.

- Cam? - zapytała niepewnie. Jego niski głos drżał lekko.

- Już w porządku, koliberku. Chodź tutaj. Podeszła i pochyliła się nad leżącym mężczyzną.

- Leo. Co ty tu., jak ty... - Umilkła na widok pistoletu w jego dłoni. Opierał go swobodnie na udzie. Twarz miał spokojną, jego usta wykrzywił błady uśmiech.

- Miałem cię zapytać o to samo - odrzekł łagodnie. - Co wy tu, u diabła, robicie?

Amelia opadła na podłogę obok Cama, nie spuszczając wzroku z brata.

- Poppy znalazła liścik - oznajmiła bez tchu. - Przyjechaliśmy tu, bo myśleliśmy, że zamierzasz... skończyć ze sobą.

- Taki miałem plan - stwierdził Leo. - Ale po drodze wstąpiłem do gospody na kieliszek. A kiedy w końcu tu dotarłem, zrobiło się zbyt tłoczno jak na mój gust. Samobójstwo to krok, do którego potrzeba choć odrobinę prywatności.

Jego spokój wytrącił Amelię z równowagi. Popatrzyła na pistolet w dłoni Leo, a potem przeniosła wzrok na jego twarz. Zaciśnęła dłoń na naprężonym udzie Cama. Duch jest tu z nami, pomyślała. Twarz jej zdrętwiała z zimna; z trudem mogła poruszać ustami.

- Pan Frost szukał skarbów - wyjaśniła bratu. Leo posłał jej sceptyczne spojrzenie.

- Skarbów? W tej kupie gruzu?

- Cóż, widzisz, pan Frost myślał...

- Nie, proszę, nie kłopotz się. Obawiam się, że w najmniejszym stopniu nie interesuje mnie, co myślał Frost. Przecież to głupiec. - Leo spojrział na pistolet i delikatnie pogładził kciukiem spust.

Amelia nigdy nie myślała, że człowiek rozważający samobójstwo może być tak spokojny. Zrujnowany właściciel w zrujnowanym domu. Całe jego ciało nosiło znamiona znużonej rezygnacji. Leo spojrział na Cama.

- Musisz ją stąd zabrać - powiedział cicho.

- Leo... - Amelia zaczęła drżeć, rozumiejąc, że jeśli go tu zostawią, zabije się. Nie wiedziała, co powiedzieć, nie mogła wymyślić nic, co nie brzmiałoby patetycznie, nieprzekonująco, absurdalnie.

Usta jej brata zadrżały, jakby był już zbyt zmęczony, aby się uśmiechnąć.

- Wiem - odezwał się łagodnie. - Wiem, czego sobie życzysz. Wiem, że chciałabyś, abym się z tym uporał. Ale nie potrafię.

Amelii pociekły z oczy łzy, zamieniające się na podbródku w lód.

- Nie chcę cię stracić.

Leo objął ją ramieniem, nie wypuszczając pistoletu z dłoni.

- Nie jestem twoim bratem, Amelio. Już nie. Zmieniłem się po śmierci Laury.

- Mimo to nadal cię kocham.

- Nie zawsze można mieć to, czego się chce - mruknął Leo. - Już nie.

Cam wpatrywał się w niego uporczywie. Zapadła bolesna cisza. Wszystkich troje owiał lodowaty wiatr.

- Mógłbym cię przekonać, abyś odłożył broń i wrócił z nami do domu - oznajmił w końcu Cam. - Abyś wstrzymał się jeszcze dzień. Ale nawet gdybym ci tym razem przeszkodził... Nie można utrzymać przy życiu człowieka, który nie chce żyć.

- Racja.

Amelia otworzyła usta, aby zaprotestować gwałtownie, ale Cam powstrzymał ją, kładąc jej palce na ustach. Nadal wpatrywał się w Leo, nie z troską, lecz obojętnie obserwując rozwój sytuacji, jakby koncentrował się na równaniu matematycznym.

- Nikt nie jest nawiedzany - powiedział cicho - jeśli tego nie chce. Wiesz o tym, prawda?

W pokoju zrobiło się jeszcze zimniej, jeśli to w ogóle było możliwe. Szyby w oknach zaczęły brzęczeć, a płomień lampy zamigotał. Zaniepokojona gwałtownymi wibracjami powietrza Amelia przywarła do Cama.

- Oczywiście, że wiem - odparł Leo. - Powinienem być umrzeć, kiedy ona umarła. Nigdy nie chciałem żyć. Nie wiesz, jak to jest. Kiedy myśl o zakończeniu tego niesie tak wielką ulgę.

- Ale ona tego nie chce.

W jasnych oczach Leo błysnęła wrogość.

- A skąd ty, do diabła, o tym wiesz?

- Gdyby sytuacja była odwrotna, czy ty chciałbyś tego dla niej? - Cam wskazał dłonią pistolet. - Ja nie żądałbym takiej ofiary od osoby, którą kochałem.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

- Mam. Rozumiem. I mówię ci, że powinieneś skończyć z tym

egoizmem. Zbyt duzo czasu poświęcił na żalobę, phral. Zmusił ją do powrotu, aby cię pocieszyła. Musisz teraz pozwolić jej odejść. Zrób to - nie dla siebie, lecz dla niej.

- Nie mogę. - Na twarzy Leo odmalowały się gwałtowne emocje. Błękitna poświata zatańczyła wokół niego, zimny wiatr uniósł kilka jego loków jak niewidzialne palce.

- Pozwól jej spocząć w pokoju - powiedział Cam ciszej.

- Jeśli odbierzesz sobie życie, skazesz was oboje na wieczne potępienie. To nieuczciwe w stosunku do niej.

Leo w milczeniu pokręcił głową i podciągnął kolana - teraz przypominał Amelii chłopca, którym był kiedyś. Nagle w pełni pojęła istotę jego smutku.

A jeśli nagle odebrano by jej Cama? Nigdy więcej nie mogłaby wsunąć mu palców we włosy, nie poczułaby jego gorących warg na ustach. Nie spożytkowałyby tego, co niedawno zaczęła czuć, obietnic, uśmiechów, łez, nadziei - wszystko to wyrwano by jej z serca. Na zawsze. Jak bardzo by tęskniła. Nikt inny nie mógłby go zastąpić.

Ogarnięta bolesnym współczuciem, obserwowała, jak Cam zbliża się do jej brata. Leo pochylił głowę i uniósł dłoń, rozkładając palce w pełnym rozpacz, bezradnym geście.

- Nie mogę pozwolić jej odejść - wykrztusił. Lampa zgasła, a szyby w oknach zadrżały, gdy uderzył w nie podmuch mroźnego powietrza. Wokoło słyhać było trzaski energii, błękitne błyskawice światła przelatowały pomiędzy nimi.

- Możesz to zrobić dla niej - powiedział Cam, obejmując go tak, jakby pocieszał zagubione dziecko. - Możesz.

Leo zaczął płakać, w każdym jego oddechu słyhać było rozpacz.

- O Boże! - jęknął. - Lauro, nie zostawiaj mnie!

Jednak gdy płakał, nagle w pokoju wszystko się uspokoiło, a błękitne światło, jak luna odległej, umierającej gwiazdy, zaczęło blednąć. Usłyszeli ciche brzęczenie - kilka pszczół ośmieliło się wylecieć z gniazda, a potem wróciło do środka, aby odpoczywać do rana.

Cam mrucał coś pod nosem, trzymając Leo w stanowczym, opiekuńczym uścisku. Mówił w romani, a jego słowa unosiły się w ciemniejącym powietrzu. Porozumienie, obietnica złożona gasnącemu, zanikającemu duchowi.

W końcu zostali tylko we troje, siedzieli w ciemności pośród odłamków szkła, obok porzuconej broni.

- Odeszła - oznajmił Cam miękko. - Jest wolna.

Leo kiwnął głową; twarz miał ukrytą w dłoniach. Był zdruzgotany, ale nadal żywy. Złamany, ale otwarty na przyszłość.

I w końcu pogodzony z życiem.

## Rozdział 22

Po powrocie do Stony Cross Manor położyli Leo do łóżka. Wyszli z pokoju i zatrzymali się tuż za progiem. Amelia z trudem panowała nad szalejącymi w niej emocjami.

- Powiem Poppy, że nic mu nie jest - szepnęła. Cam kiwnął głową. Był milczący i nieco rozkojarzony.

Ich palce splotły się na chwilę, a potem Amelia poszła do pokoju siostry.

Poppy leżała w łóżku. Oczy miała szeroko otwarte.

- Znaleźliście Leo? - zapytała na widok Amelii.

- Tak, kochanie.

- Czy on...?

- Nic mu nie jest, tak sędzę... - Amelia usiadła na brzegu łóżka i uśmiechnęła się do siostry. - Chyba wróci do siebie.

- Będzie jak dawniej?

- Nie wiem. Poppy ziewnęła.

- Amelio... nie zaczniesz się złościć, jeśli cię o coś zapytam?

- Jestem zbyt zmęczona, żeby się złościć. Słucham.

- Czy wyjdiesz za pana Rohana?

To pytanie wprawiło Amelię w oszłamiający zachwyt.

- A powinnam?

- Ależ tak. Zostałaś skompromitowana, przecież wiesz. A poza tym on ma na ciebie taki dobry wpływ. Przy nim prawie w ogóle nie przypominasz jeżozwiera.

- Ależ ty jesteś urocza - powiedziała Amelia, uśmiechając się do siostry.

- Powiem ci rano, kochanie. A teraz śpij.

Przeszła przez mroczną pustkę korytarza, czując się jak onieśmielona panna młoda. Nadszedł wreszcie czas, aby mogła być czuła, uczciwa, ufna, jaka nigdy nie była, nawet w najbardziej intymnych chwilach. Łomotanie jej serca odbijało się echem od ścian, wibrowało w koniuszkach palców. Weszła do pokoju Cama, zwabiona światłem sączącym się przez uchylone drzwi.

Cam siedział na łóżku w ubraniu, z pochyloną głową i rękami na kolanach, pogrążony w myślach. Gdy przekroczyła próg i zamknęła drzwi, podniósł wzrok.

- Co się stało, kochanie?

- Ja... - Podeszła do niego z wahaniem. - Chcę cię o coś prosić, ale obawiam się, że odmówisz.

Jego cudowny uśmiech niemal pozbawił ją tchu.



- Jeszcze nigdy niczego ci nie odmówilem. Nie zamierzam teraz zaczynać.

Staneła tuż przed nim, jego czysty, słony, świeży zapach wypełnił jej nozdrza.

- Mam dla ciebie propozycję - powiedziała, siląc się na rzeczowy ton. - Bardzo rozsądną. Widzisz... - Przerwała, aby odchrząknąć. - Zastanawiałam się nad twoim problemem.

- Jakim problemem? - Cam przyjrzał się uważnie jej twarzy.

- Tym szczęśliwym zaklęciem. Wiem, jak się go pozbyć. Powinieneś się wżenić w rodzinę, która ma straszego pecha. Rodzinę z poważnymi problemami finansowymi. Wtedy nie będziesz musiał się wstydić, że masz tyle pieniędzy, bo będą od ciebie odpływać równie szybko, jak napływają.

- Bardzo rozsądne wyjście. - Cam ujął jej drżące dłonie w swoje ciepłe ręce. I przycisnął delikatnie jej drgającą stopę. - Koliberku, przy mnie nie musisz się denerwować - szepnął.

Amelia zebrała się w końcu na odwagę.

- Chcę nosić twój pierścionek. Nigdy go nie zdejmę. Będę twoją romni na wieczność - uśmiechnęła się speszona - cokolwiek to znaczy.

- Moją narzeczoną. Żoną.

Amelia zamarła na moment w zachwycie, gdy poczuła, jak Cam wsuwa jej na palec złoty sygnet.

- Gdy byliśmy dziś z Leo - wyznała drżącym głosem - wiedziałam dokładnie, co czuł po stracie Laury. Powiedział mi kiedyś, że nie zrozumie tego, dopóki kogoś tak nie pokocham. Miał rację. A dziś, gdy obserwowałam jego i ciebie... Wiedziałam, co będę myśleć w ostatniej chwili mojego życia.

Cam pogładził kciukiem jej dłoń.

- Tak, kochanie?

- Pomyślę: och, ile bym dała za jeszcze jeden dzień z Camem. Oddałabym życie za kilka godzin.

- Nie musisz - zapewnił ją łagodnie. - Statystycznie rzecz biorąc, spędzimy razem jeszcze przynajmniej dziesięć, może piętnaście tysięcy dni.

- Nie chcę się z tobą rozstawać choćby na jeden z nich.

Cam ujął w dłonie jej drobną, poważną twarz i otarł palcami ślady łez z policzków, pieszcząc ją wzrokiem.

- Czy będziemy żyć w grzechu, najdroższa, czy może w końcu zgodzisz się mnie poślubić?

- Tak, tak. Wyjdem za ciebie. Choć nie mogę obiecać ci posłuszeństwa.

Cam roześmiał się cicho.

- Jakoś sobie z tym poradzimy. Jeśli obiecasz, że będziesz mnie kochać.

Amelia chwyciła go za nadgarstki. Palcami wyczuła jego silny, miarowy puls.

- Och, kocham cię, jesteś...

- Ja też cię kocham.

- ...moim przeznaczeniem. Jesteś dla mnie wszystkim. Ja... - Powiedziała więcej, gdyby nie przyciągnął jej do siebie i nie pocałował mocno, namiętnie.

Rozbierali się w pośpiechu, zdzierając z siebie kolejne rzeczy w gorączce pożądania. Gdy już byli nadzy, Cam złagodniał. Jego dłonie powoli wędrowały po ciele Amelii, a każde muśnięcie wywoływało w niej dreszcze rozkoszy. Popchnął ją na plecy i opadł ustami na jej piersi.

Amelia jęknęła, poddając się bezradnie, gdy podniósł się, aby ukłęknąć pomiędzy jej nogami. Jego dłonie zamknęły się na jej biodrach, podnosząc ją i przyciskając do jego rozłożonych ud. Obserwował ją, a jego oczy lśniły diabelskim ogniem, gdy jej dotykał, i pieścił delikatne, wrażliwe miejsca.

Wyciągnęła do niego ręce, spragniona jego ciężaru, ale nie zdołała go na siebie pociągnąć. Mogła tylko łkać i wyginać się błagalnie, gdy wsunął w nią palce, a kciukiem drażnił jądro jej kobiecości, przyciskając udami jej napięte biodra. Westchnęła głośno, a jej dłonie zacisnęły się na prześcieradłach.

Wtedy wysunął palce i zostawił ją drżącą, gdy jej ciało na próżno zaciskało się wokół pustki. I w końcu wszedł w nią, wypełniając ją całkowicie. Amelia uniosła wysoko biodra, aby go przyjąć, i jęknęła, gdy wycofał się z wyrachowaną powolnością.

Jej dłoń bezwiednie powędrowała od jego ramienia do twarzy.

- Nie drażnij mnie - mruknęła, drżąc z rozkoszy. - Nie zniosę tego.

- Kochanie... - Jego jedwabisty oddech pieścił jej policzki. - Obawiam się, że będziesz musiała.

- Dla-dlaczego? - Odetchnęła płytko, gdy znów się wycofał, a potem wsunął się w nią na powrót.

- Bo najbardziej na świecie kocham się z tobą drażnić. - Cała wieczność upłynęła, zanim znów w nią wszedł, pieszcząc ją jednocześnie z takim zapamiętaniem i tak bezlitośnie, że zanim ją wypełnił, znów szczytowała. Dwa razy.

- Zostań we mnie - poprosiła ochryple, gdy narzucił miarowy rytm, i poczuła, że znów zaczęła w niej narastać fala rozkoszy. - Zostań, zostań... - Słowa rozplynęły się w długim jęku.

Cam pochylił się nad nią i wszedł jeszcze głębiej. Jego oddech uderzał gorącą falą w jej twarz i szyję. Spojrzał w oszołomione oczy Amelii i poczuł dziką satysfakcję na widok jej zachwytu. Wsunął jej ręce pod głowę i objął ją mocno, gdy ją pocałował. Uciszył gwałtowny jęk i w ostatniej chwili się wycofał.

Przytulili się do siebie, a Cam zaczął łagodnie gładzić jej plecy i ramiona. Amelia położyła głowę na jego piersi, rozkoszując się jego leniwymi ruchami.

- Po ślubie - mruknął Cam - będę cię musiał porwać na trochę.

- Dokąd? - zapytała ochoczo, odwracając głowę, aby przycisnąć usta do jego piersi.

- Poszukamy moich krewnych.

- Przecież już ich znalazłeś. - Położyła mu nogę na biodrze. - Nazywają się Hathawayowie.

Cam zaśmiał się cicho.

- W takim razie moich romskich krewnych. Minęło tak wiele lat. Chciałbym się dowiedzieć, czy moja babka jeszcze żyje. - Urwał na chwilę. - I muszę im zadać parę pytań.

- Na jaki temat?

Cam uniósł jej dłoń do swojego przedramienia i przycisnął do tatuażu.

- Tego.

Amelia zmarszczyła brwi z ciekawości, przypominając sobie identyczny tatuaż Merripena.

- Jaki jest związek pomiędzy tobą a Merripenem?

- Nie mam pojęcia. - Cam uśmiechnął się smutno. - Nawet boję się tego dowiedzieć.

- Cokolwiek to jest, musimy zaufać przeznaczeniu. Cam uśmiechnął się szerzej.

- Teraz już wierzysz w przeznaczenie?

- I szczęście - oznajmiła, zaciskając dłoń na jego ramieniu. - Dzięki tobie.

- Przypomniałem sobie... - Podniósł się na łokciu i spojrzał na nią; ciemne rzęsy przysłoniły błyszczący bursztyn. - Muszę ci coś pokazać. Nie ruszaj się stąd... Zaraz przyniosę.

- Czy to nie może zaczekać? - zaprotestowała Amelia.

- Nie. Wrócę za kilka minut. Tylko nie zasypiaj. Wstał i ubrał się szybko. Amelia obserwowała go z zaborczą przyjemnością.

Aby nie zasnąć, ona także wstała, podeszła do umywalni i odświeżyła się zimnym ręcznikiem. Biegiem wróciła do łóżka, usiadła na nim i nakryła się kołdrą.

Cam wrócił bezszelestnie jak kot, niosąc w obu rękach niewielką skrzynkę. Amelia spojrzała na niego zaintrygowana, gdy usiadł obok niej na łóżku. Ciężkie drewniane pudło było ozdobione zmatowiałym teraz i zaśniedziałym srebrem. Unosiła się z niego dziwna słodko-kwaśna woń. Amelia przesunęła po nim palcami i poczuła, że drewno nieco się lepi.

- Na szczęście przezornie owinięto ją w nasączone olejem płótno - powiedział Cam. - Gdyby nie to, doszczętnie przesiąkłaby sfermentowanym miodem.

Amelia mrugnęła z niedowierzaniem.

- Czy chcesz mi powiedzieć, że to jest ów skarb, którego szukał Christopher Frost?

- Znalazłem go, gdy poszedłem po pszczoły na okład dla Merripena. Przyniosłem go dla ciebie. - Spojrzał na nią ze skruchą. - Chciałem powiedzieć ci wcześniej, ale całkiem wyleciało mi to z głowy.

Amelia stłumiła śmiech. Inny mężczyzna nie zapomniałby o czymś takim jak stara skrzynka, prawdopodobnie kryjąca skarb... Dla Cama jednak miała niewiele większe znaczenie niż skrzynka orzechów.

- Tylko ty mogłeś udać się na poszukiwanie pszczelego jadu i znaleźć ukryty skarb. - Podniosła pudło, potrząsnęła nim delikatnie i wyczuła, że przesuwa się w nim coś ciężkiego. - Och, zamknięte na amen. - Sięgnęła do swoich poplątanych włosów, wyciągnęła spinkę i wręczyła ją Camowi.

- Dlaczego zakładasz, że potrafię nią otworzyć zamek? - zapytał z przebiegłym błyskiem w oku.

- Bo mam niezachwianą wiarę w twoje przestępcze umiejętności. Otwórz, proszę.

Posłusznie wygiął spinkę i włożył ją do starego zamka.

- Dlaczego nie powiedziałeś Frostowi, że znalazłeś skrzynkę? - zapytała Amelia. - Nie miałbyś roju pszczoł nad głową.

- Chciałem zatrzymać skarb dla twojej rodziny. Frost nie miał do niego żadnych praw. - Nie minęła następna minuta, a zamek ustąpił.

Serce Amelii tłukło się w piersi z podekscytowania, gdy podnosiła wieko. Znalazła pakiecik listów, było ich może z pół tuzina, owiniętych cienkim warkoczykiem z włosów. Ostrożnie je odwinęła, wyjęła pierwszy i rozłożyła poźółkły ze starości papier.

Był to list miłosny od króla, podpisany po prostu: „James”. Skandalicznie żarliwy i pełen słodczy, wydał jej się zbyt intymny, aby mogła go czytać. Nie był wszak przeznaczony dla jej oczu. Poczuła się jak wścibska plotkarka, złożyła więc list i odłożyła pakiecik na bok.

Cam w tym czasie zaczął wyjmować ze skrzynki kolejne przedmioty i układał je na kolanach Amelii: duży rubin, parę diamentowych bransoletek, sznur dużych czarnych pereł, broszkę z owalnym szafirem wielkości suwerena, ozdobioną łezkami brylantów i zbiór kolczyków z kamieniami szlachetnymi.

- Nie wierzę własnym oczom - powiedziała Amelia na widok mieniącego się stosu kosztowności. - To wystarczy, aby dwa razy odbudować Ramsay House.

- Nie do końca - stwierdził Cam, szacując wartość klejnotów okiem znawcy - ale niewiele by brakło.

Amelia zmarszczyła brwi, oglądając bezcenną biżuterię.

- Cam? - zapytała po chwili milczenia.

- Hm? - Całkiem stracił zainteresowanie skarbem i teraz bawił się pasmem jej włosów.

- Czy moglibyśmy nie mówić nic Leo, dopóki... całkiem nie odzyska

rozsądku? Obawiam się, że w przeciwnym razie może zrobić coś bardzo nieodpowiedzialnego.

- Słuszna uwaga. - Niedbałym ruchem zebrał klejnoty, wrzucił je do skrzynki i zamknął wieko. - Tak, poczekamy, aż będzie gotowy.

- Myślisz - zapytała Amelia z wahaniem - że Leo się zmieni? Znów będzie taki jak dawniej?

Słyszac w jej głosie napięcie, Cam wyciągnął ręce i przygarnął ją do siebie.

- Jak mówią Romowie: żaden wóz nie będzie wiecznie jeździł na tych samych kołach.

Narzuta zsunęła się z ramion Amelii. Chłodne powietrze owiało jej nagie plecy, aż zadrzała.

- Wracaj do łóżka - szepnęła. - Musisz mnie ogrzać. Cam ściągnął koszulę i roześmiał się cicho, gdy Amelia sięgnęła palcami do zapięcia jego spodni.

- A co się stało z moją wstydliwą gadzi?

- Obawiam się - oznajmiła, przesuwając dłoń niżej i gładząc jego pobudzoną męskość - że związek z tobą uczynił mnie całkiem bezwstydną.

- I dobrze, właśnie na to liczyłem. - Jego rzęsy opadły, a oddech zaczął się rwać, gdy nie przerywała pieszczoty. - Amelio, jeśli będziemy mieć dzieci... czy nie będzie ci przeszkadzać, że po części będą Romami?

- Nie, jeśli tobie nie będzie przeszkadzać to, że po części są Hathawayami.

Jęknął rozbawiony i szybko rozebrał się do końca.

- A ja myślałem, że życie w drodze będzie wyzwaniem. Wiesz, każdy inny mężczyzna uciekłby z krzykiem na wieść, że musi się zająć twoją rodziną.

- Masz rację. Nie mogę zrozumieć, dlaczego ty się na to godzisz.

Objął jej nagie ciało gorącym spojrzeniem i wsunął się do niej pod koldrę.

- Możesz mi wierzyć, zwraca mi się to z nawiązką.

- A twoja wolność? - zapytała, wtulając się w niego. - Nie żałujesz, że ją straciłeś?

- Nie, ukochana. - Cam zgasił lampę, pogrążając ich w aksamitnych ciemnościach. - W końcu ją odnalazłem. Tu, z tobą.

I z rozkoszą wsunął się w jej oczekujące ramiona.

